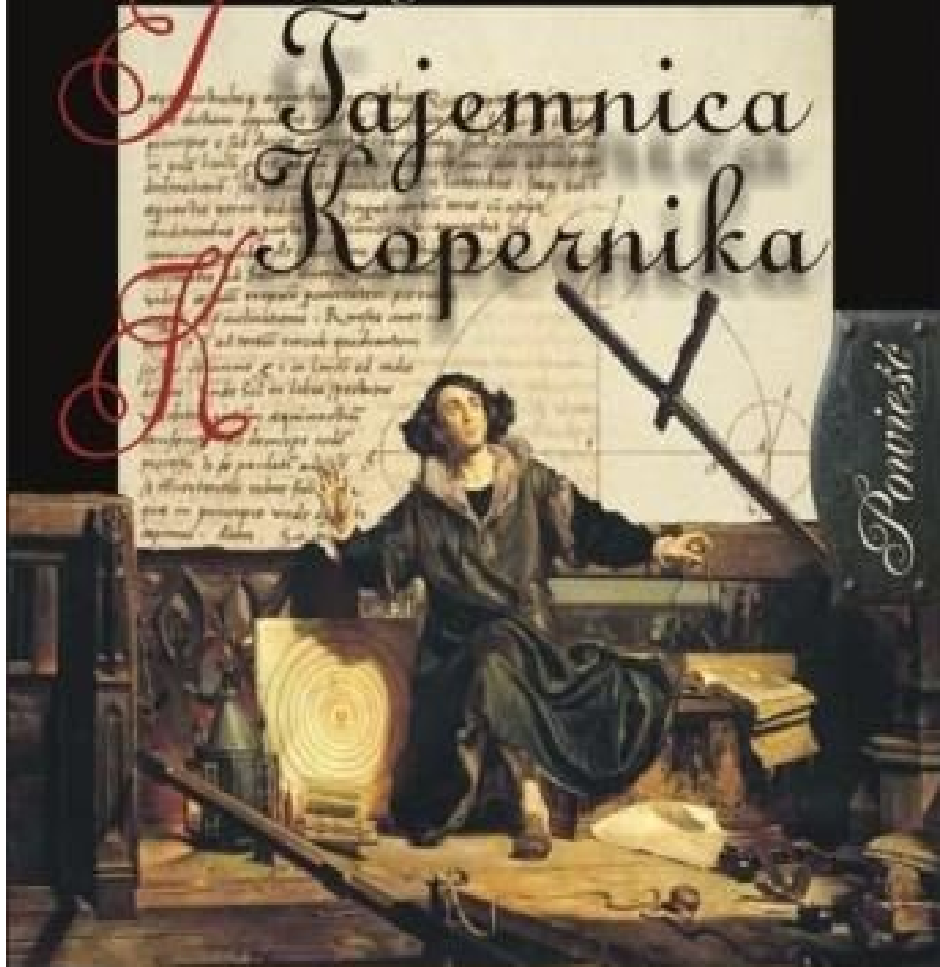
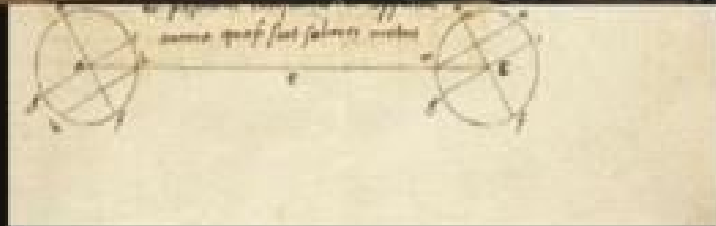



Jean Pierre Luminet

# Tajemnica Kopernika



Powieść



WYDAWNICTWO 

# **TAJEMNICA KOPERNIKA**

**Jean-Pierre Luminet**

**Tytuł oryginału:**

**Le secret de Copernic**

A stylized, handwritten-style signature or logo consisting of the letters 'MKS' in a bold, cursive font.

Spośród wszystkich odkryć i poglądów żaden nie wywarł nigdy większego wpływu na ludzki umysł niż teoria Kopernika. Za ledwie świat dał się poznać jako okrągły i doskonały sam w sobie, a już musieliśmy wyrzec się wyjątkowego przywileju bycia jego centrum. Bez wątpienia w żadnym czasie nie wymagano od ludzkości więcej, albowiem akceptacja tej wizji świata sprawia, że dostrzegamy, jak wiele rzeczy znika we mgle lub obraca się w popiół. Ileż ta stara wizja miała z raju, naszej niewinności, duchowości, poezji?

Johann Wolfgang Goethe

Uważam za słuszne, by nie pogłębiano poglądów Kopernika.

Blaise Pascal

Tybinga, 29 września 1595

Drogi Janie,

Przesyłam ci kilka drobnych spostrzeżeń dotyczących znakomitej pracy, którą mi przesłałeś, a którą nazbyt skromnie nazywasz „szkicem”. Zachęcam cię żywo, byś rozwinął ją i opublikował, szczerze przy tym wyznając, że nie wszystko z niej zrozumiałem. Oczywistym jest, że w matematyce niczego już ciebie, najlepszego z moich uczniów, nie nauczę. W zgłębianiu niebiańskich tajemnic doszedłem do kresu moich możliwości. Mija właśnie pół wieku, jak Mikołaj Kopernik, ten Atlas astronomii, otworzył nam wrota cudownych pałaców. Ja nie byłem w stanie do nich wkroczyć. Tobie się uda, jestem tego pewien.

Proszisz mnie, bym przesłał ci pisma mego zmarłego profesora, osławionego Retyka, w których wspomina on właśnie nauczyciela swojego, Kopernika. Retyk pozostawił mi w spadku poczyniony przez siebie opis tego przykładowego życia, bowiem sam także czułem, że, poznając losy Kopernika, nieporównanie lepiej zrozumiałbym jego dzieło. Chciałem odkryć, kim był ten kolos, który wyrwał Ziemię z centrum wszechświata, gdzie umieścili ją nasi przodkowie, i rzucił ją w oszalały bieg dookoła wielkiego, nieruchomego Słońca, ośmielając się zaprzeczyć w ten sposób Pismu Świętemu.

Niestety, kiedy Retyk zmarł w Krakowie, jezuici wdarli się do jego mieszkania i wszystko spalili. Mój przyjaciel i towarzysz ze szkolnej ławy Valentin Otho, czuwający u wezgłowia mistrza, gdy ten oddał ducha, zdołał wyrwać ze szponów Świętego Oficjum kilka pism, które rozważnie skopiował i powierzył sprawdzonym osobom, w tym mnie. Lecz historię życia Kopernika, tę, którą zasłyszał Retyk z ust swojego mistrza i spisał, pochłonął ogień. Szczęśliwym trafem, kiedy przybyłem do Krakowa, by słuchać jego nauk, pozwolił mi przeczytać te trzydzieści stron pokrytych pięknym, ozdobnym pismem, które miał zamiar umieścić we wstępie do nowego wydania dzieł Kopernika. Zapewne wiesz, że nie było nowego wydania. Jak sobie przypominasz, przed pięcioma laty, kiedy wyjaśniałem ci teorię Kopernika - heliocentryzm - czyniłem to w największej

tajemnicy. Mój profesorski urząd zobowiązywał mnie do nauczania zgodnego z teorią Ptolemeusza, że Ziemia jest nieruchoma.

Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Powiedziałbym nawet, że obecnie rzeczy mają się jeszcze gorzej. Żyjemy w czasach zamętu i ciągłych podejrzeń. Wysłanie ci dokumentów odnoszących się do filozofa, którego papiści oskarżają o herezję, a nasi reformowani bracia o papizm, byłoby zbyt dużą nieostrożnością. Cóż stałoby się z nami, gdyby wpadły w ręce cenzora albo szpiega? Rad bym, Janie, ujrzeć cię w Tybindze: czy nie byłoby lepszym porozmawiać o tym wszystkim w cztery oczy, a w każdym razie poszukać wskazówek w mojej bibliotece?

Zgaduję, co myślisz: taka podróż, tylko po to, by słuchać mojego gładzenia, byłaby dla ciebie stratą czasu i pieniędzy. Byłem taki, jak ty. Gdy miałem dwadzieścia lat, myślałem, że każda stracona chwila jest kęsem rzuconym śmierci! Zdecydowałem zatem sam opisać ci życie Kopernika w tym i następnych listach. Nie jak profesor dyktujący lekcję uczniowi, czy jak uczynił Retyk: on pokazał anioła, nie człowieka. To częsta dola tych, którzy świadczą, bo ujrzeli. Są jak ludzie, którzy, podziwiając płótno Leonarda da Vinci, stoją zbyt blisko i widzą tylko mgłę. Retyk znalazł się zbyt blisko Kopernika i widział w nim tylko światło.

Opis mój będzie na modłę tych kastylijskich opowieści, co ożywiają swoich bohaterów, mówiących i działających w iluzorycznej, barwnej scenerii, gdzie przewijają się zamaskowani książęta i żebracy. Ja zaś poczuje, że przynajmniej w tej dziedzinie mogę cię jeszcze czegoś nauczyć!

Wiedz jednakże, że nie tylko dla ciebie oddam się temu ćwiczeniu. Niczego nie ukrywam przed tobą: uczynię to także po to, by przypodobać się Helenie. Tak, ma na imię Helena! Ja, który wypatrzyłem oczy na kolumnach cyfr albo wlepiłem je w niebo, pewnego dnia podniosłem wzrok na powóz przemierzający główną ulicę Tybingi. I zobaczyłem w nim najpiękniejszą twarz kobietą, jaką można sobie wyobrazić. Jest córką dziekana uniwersytetu. Zdaje się, że kobiety uwielbiają takie opowieści, a bardziej

jeszcze kronikarzy, którzy je spisują. Poślubię ją, Janie, poślubię i chętnie ujrę cię na weselisku!

Jeszcze jedna rzecz: ponownie zalecam ostrożność, gdy chodzi o listy, które będę ci wysyłał. Nieoficjalne wieści, które zdołałem zasłyszeć, niosą, że Święta Kongregacja Stolicy Apostolskiej w Rzymie zamierza umieścić dzieło Kopernika na indeksie ksiąg zakazanych, lub przynajmniej wstrzymać jego rozpowszechnianie aż do wprowadzenia poprawek. Cóż jednak będzie do poprawiania? Kopernik opuścił ten padół w 1543 roku, to znaczy pięćdziesiąt dwa lata temu, zaś jego astronomia została oparta na tak mocnych podstawach, że próżno trudziłby się ten, kto usiłowałby ją podważyć. Mury tej twierdzy są trwalsze i lepiej chronione niż sądzić mógł sam Kopernik, co jasno wynika z twoich własnych, jak i moich prac. Można więc przyrównać tych kardynałów i ich cenzurę do ślepców próbujących ocenić intensywność barw!

Niektórzy dawni filozofowie, odcinając się od powszechnych twierdzeń, zdawali się przeczuwać Kopernikowską astronomię, aż wreszcie Arystarch, niczym drugi Atlas, wziął ją na swoje barki. Nauczał on - pozwól, że ci przypomnę - tego samego rozkładu sfer niebieskich, jaki ukazuje i rzetelnie potwierdza Kopernik, posługując się absolutnie niepodważalną argumentacją, opartą na obserwacjach astronomicznych i geometrii. Ów Arystarch działał wprawdzie w dwieście osiemdziesiątym roku przed Chrystusem, ale już w tamtych czasach został oskarżony przez egipskich kapłanów o herezję. To samo przydarza się dzisiaj Kopernikowi i jego astronomii.

Twój mistrz i przyjaciel,

Michael Maestlin

# I

Mikołaj Kopernik przyszedł na świat w Toruniu, dziewiętnastego lutego Roku Pańskiego tysiąc czterysta siedemdziesiątego trzeciego o czwartej czterdzieści osiem po południu. Nazwa tego przycupniętego nad Wisłą, niewielkiego miasta w Prusach Królewskich pochodzi od niemieckiego słowa tarn oznaczającego tarninę, drzewo powszechnie występujące na tych terenach. Lecz my, Niemcy, nazywamy je „Thorn” od czasu, gdy przeszło dwa wieki temu rycerze zakonu krzyżackiego przekształcili je w fortecę, wprowadzając doń niemieckojęzycznych osadników, by umocnić swoje wpływy na siłą wydartych rdzennym mieszkańcom ziemiach.

W momencie narodzin Kopernika ten zakon na poły mnichów, na poły wojowników, wróg Polski, wciąż walczył o to miasto z królem Kazimierzem Jagiellończykiem. Dziesięciokroć zwyciężani i tyleż razy odpierani w trzynaście lat trwającej wojnie, ci, którzy mienili się ostatnim bastionem chrześcijaństwa, ukorzyli się w końcu, podpisując z Polską traktat noszący złudne miano „pokoju wieczystego”. Następnie ugięli przed Jagiellonem okute żelazem kolana. Z Prus zachowali ledwie część dawnych komandorii, wycofując się do brandenburskich dziedzin na zachodzie, na wschodzie zaś do Królewca, do marchii moskiewskich.

Krzyżacy nie zaprzestali bynajmniej grabieży i rozbojów, morderstw i gwałtów. Niczym krwawe widmo minionych czasów nieustannie czyhali na cztery pruskie biskupstwa i bogate ziemie, które odbił król Polski, z najcenniejszymi ich klejnotami: Gdańskiem i Toruniem. Toruń, surowa forteca, ze swymi prostymi, brukowanymi ulicami, została zagospodarowana przez kupców hanzeatyckich, przeładowujących tam swoje statki przewożące drogą rzeczną wszelkie sprowadzane z Italii bogactwa. Wśród nich jednym z najlepiej prosperujących był ojciec Mikołaja przybyły z Krakowa, by przyłączyć się do Związku Pruskiego, sprzymierzonego z Polską w celu pobicia Krzyżaków.

Drogi Janie! Błędem byłoby sądzić, że mieszczaństwo w owych czasach przypominało to, które znamy dzisiaj, obrastające w piórka i siedzące za kontuarami na pieniądzach jak kury w gniazdach. Byli to ludzie szpady: dzielni, zdolni postawić na szali własne życie dla kolejnego guldena lub złotego. Kopernik ojciec poślubił siostrę swojego towarzysza broni, Łukasza Watzenrodego, burmistrza miasta i, jak on, kupca, ale przede wszystkim sługi Kościoła, władającego szablą z większą zaciętością niż kropidłem czy liczydłami.

Podobnie jak Retyk, niewiele wiem o tej kobiecie poza jej imieniem - Barbara. Dała mężowi czwórkę dzieci: dwóch synów, pierworodnego Andrzeja i młodszego Mikołaja oraz córki, na temat których równie mało wiem poza tym, że jedna poślubiła gdańskiego notabla, a druga została oddana do klasztoru. Jak wiesz, mój nauczyciel Retyk nie gustował zanadto w kobietach i niewiele się nimi interesował. Cenił sobie natomiast - na modłę Grecji i Platona - pięknych młodzieńców. Wiem o tym dobrze, gdyż sam włożyłem niemało trudu w wymykanie się jego miłosnym sidłom w roku, który przy nim spędziłem. Mój współtowarzysz Valentin Otho nie żywił podobnych uprzedzeń. Szybko uległ i został ulubionym uczniem mistrza. Swoboda niegdyś panowała wielka i każdy prowadził życie zgodne ze swym upodobaniem i skłonnościami.

Barbara, matka Mikołaja Kopernika, zmarła w połogu po wydaniu na świat najmłodszej córki. Gdy zaś młodszy syn ukończył ledwie dziesięć lat, umarł ich ojciec. Wuj ze strony matki, Łukasz Watzenrode, wziął czworo sierot pod opiekę, stając się w tym samym czasie najznacniejszą osobistością nie tylko w Toruniu, ale i w całych Prusiech. I kiedy tylko zwolniło się biskupstwo warmińskie, polski król, znający go z czasów, gdy walczył u boku monarchy przeciwko Krzyżakom, z papieskim błogosławieństwem nadał je trzydziestosześcioletniemu Łukaszowi. To był najlepszy wybór, jakiego mógł dokonać. Bohaterski w bitwie, ale i ogromnie biegły w sprawach istotnych w czasie pokoju Watzenrode wykazywał tyleż energii w walce, ile zręczności w dyplomacji. Za jego panowania Warmia, granicząca z Prusami Krzyżackimi, pozostawała niezależna od króla Polski, swojego suzerena. Ambitnym planem nowego biskupa było uczynienie ze swych włości Florencji Północy, której byłby Medyceuszem, zyskując



przydomek Łukasza Wspaniałego. Cóż bardziej przerażającego dla Krzyżaków, którzy mieli go za wcielonego diabła i codziennie zanosili modły o jego rychłą zagładę? Malowali go jako brutalnego tyrana, sprzedajnego i rozpustnego: portret, z którym do głębi się nie zgadzam, uczyniony przez nich na ich własne podobieństwo. Konkubiny dały mu wprawdzie przynajmniej dwoje dzieci, w tym syna, Filipa Teschnera, którego wychował z taką samą troską i czułością jak czworo osieroconych siostrzeńców. Jednak nie robił on nic ponad to, co czynili inni książęta Kościoła tamtej epoki, poczynając od samych papieży! Można rzec, że w owych czasach czystość nie była wśród kleru regułą, lecz chlubnym wyjątkiem. Wiele wody musiało upłynąć, zanim Marcin Luter, żeniąc się, położył kres temuż absurdowi, co zresztą wywołało większy skandal wśród tych hipokrytów niż jego dziewięćdziesiąt pięć tez!

Jak upływało dzieciństwo Mikołaja w doskonale chronionym i świetnie prosperującym mieście, jakim w owych czasach był Toruń? Smutek po stracie rodziców trwał długo, czy też przeciwnie, chłopiec szybko pocieszył się dzięki kochającemu wujowi, wzrastając pośród rodzeństwa i potomstwa swego opiekuna w rodzinnym mieście lub pałacu biskupim w Lidzbarku Warmińskim, o kilka dni drogi konno lub statkiem przez jeden z dopływów Wisły?

Wiadomo, kto był jego pierwszym preceptorem: młody bakałarz, tak biedny, jak uczony, o którym również gadano, iż jest biskupim bękartem. Ów Bernard przybrał łacińskie nazwisko Sculteti zaraz po tym, jak został sekretarzem kardynała Jana Medyceusza, jeszcze zanim ten florencki możnowładca zasiadł na Stolicy Piotrowej pod imieniem Leona X i mianował go swym kapelanem. Wypada sądzić, że Sculteti był doskonałym nauczycielem, gdyż Mikołaj wysłany został na studia w wieku zaledwie osiemnastu lat.

Akademia Krakowska była wówczas jedną z najznamienitszych uczelni świata chrześcijańskiego, przynajmniej w naszych północnych krainach, otwartą na świeży powiew płynący z Italii, niosący łacińskie przekłady Platona poczynione przez Ficina i tłumaczenia autorów arabskich Pico della Mirandoli, autora powiedzenia, że „nie ma nic

wspanialszego od człowieka”. Król Kazimierz IV, sam ledwie potrafiący czytać, liczyć i skreślić swoje imię, uważał się za mecenasa kraju nad Wisłą, propagując szczególnie malarstwo w stylu włoskim. Sprowadził był z Norymbergi słynnego Wita Stwosza, który wyrzeźbił ogromny ołtarz o niezrównanej piękności dla Bazyliki Mariackiej; dopomógł kronikarzowi Janowi Długoszowi w spisaniu Roczników, czyli kronik sławnego Królestwa Polskiego, podczas gdy drukarze krakowscy wypuszczali ze swych warsztatów tyleż druków pisanych po łacinie, ile greką czy cyrylicą.

Wielkim ekwipażem wyprawił się Łukasz, by towarzyszyć swoim bratankom i bastardowi do Krakowa, chętniej pokonując drogę w siodle, z przypiętą u pasa szpadą na czele okazałej eskorty, niżli w ciężkiej, zbrojonej karecie biskupów warmińskich. Wrota królewskiego miasta otwały się na roścież, by przyjąć jak należy jednego z najmożniejszych panów w królestwie. Jadący na narowistym wierzchowcu przy powozie, w którym w końcu zdecydował się na wjazd do miasta zasiąść biskup, Mikołaj olśniony był przepychem stolicy. Z wysokiego wzgórza wawelskiego ogromny zamek i dzwonnica katedry świętego Stanisława rozblyskiwały w letnim słońcu tysiącem świateł, podczas gdy u stóp murów przetaczały się wzburzone wody wezbranej Wisły.

Orszak biskupa Warmii wspiął się główną ulicą, otwierającą się na przeogromny plac otoczony białymi jak śnieg pałacami zdobnymi w pełne wdzięku arkady. Z przodu, stragany zdawały się oferować tłumom przechodniów wszelakiego rodzaju owoce, przyprawy i wszystkie tkaniny świata. I mówił sobie Mikołaj, że surowa toruńska forteca to li tylko wiejska osada, gdy porównać ją z tym rojnym przepychem.

Z zamyślenia wyrwał go wuj, każący mu wsiąść do powozu przed wjazdem w obręb murów zamku królewskiego. Następnie rozkazał eskorcie, by go odstąpiła i udała się do rezydencji biskupa, leżącej w dolnej części miasta.

Widziany z dołu Wawel miał wygląd srogiej fortecy; po przekroczeniu ciężkiej, wybijanej gwoździami bramy ogarniało człowieka wrażenie, że oto wkroczył do pałacu tureckiego sułtana w Konstantynopolu. Następujące po sobie dziedzińce zdobiły jedno

lub dwupiętrowe krużganki, całe w kolumnach rzeźbionych misternie niczym korona, zaś w samym centrum wirydarzy szemrała fontanna, wytryskująca z okrągłej misy, na powierzchni której unosiły się nenufary strojne w białe i różowe kwiaty. Mężczyźni, sądząc po przepysznych strojach wielcy panowie, pozostawiali piękne damy, chroniące pod parasolkami delikatną skórę przed promieniami sierpniowego słońca, i szli pokłonić się biskupowi i odebrać błogosławieństwo udzielane naprędce dwoma palcami. To wszystko wydało się nagle Mikołajowi zupełnie naturalne - doszło w końcu do niego, że wuj to bardzo ważna osobistość.

Królewska sala audiencyjna pokryta była arrasami i przeogromnymi obrazami przedstawiającymi zwycięstwa dynastii Jagiellonów nad Imperium Otomańskim, Węgrami, Moskalami i wreszcie Krzyżakami, ale także - i przede wszystkim - przyjęcie chrześcijaństwa przez pierwszego z nich, Władysława Jagiełłę. Uwieczniony w momencie wyrzekania się kultów pogańskich, czy może herezji Ariusza, klęczał oto przed świętym Stanisławem, wkładającym mu na głowę potrójną koronę Polski, Węgier i Litwy.

Jego syn Kazimierz IV w przeciwieństwie do ojca był mizernej postury. Niedbale rozparty na tronie prostoduszny starzec zwrócił spojrzenie na biskupa Warmii, gdy ten kłaniał się nisko, by oddać monarsze wasalski hołd. Potem podniósł Łukasza, poufale ujął go pod ramię i poprowadził do mniejszej sali, gdzie czekał nakryty stół, zastawiony daniami wielce apetycznymi dla osiemnastoletniego głodomora, który nie jadł nic od samego rana. Król zajął miejsce, zaprosił Łukasza, by zasiadł u jego boku, a następnie, spoglądając w stronę trzech młodzieńców, rzekł:

- Siadajcie do stołu, moje dzieci, musicie być wygłodzone! Powiedz, biskupie, ci wszyscy chwacą to owoc twoich lędźwi? Trzy bękarty! Zaiste, dziwny sposób przestrzegania ślubu czystości! Czyżbyś stawał w szranki z Jego Świątobliwością Innocentym VIII, który rozsiał swój pomiot po całych Włoszech i hojnie mu rozdziela kardynalską purpurę?

- Uchowaj Boże, Wasza Wysokość - odpowiedział, śmiejąc się, Łukasz. - Spośród nich jedynym moim dzieckiem jest Filip. To ten zwalisty wyrostek, który na próżno usiłuje zapuścić namiastkę węża. Tęga głowa do polityki, co pewnego dnia będzie potrafiła przysłużyć się Polsce. Dwaj pozostali to moi siostrzeńcy, których przyjąłem pod dach po śmierci ich ojca, Mikołaja Kopernika. Oto pierworodny, Andrzej, który nie raczył czekać przyzwolenia Waszej Królewskiej Mości i właśnie się objada. Andrzej! Tyle razy ci mówiłem...

- Daj spokój, biskupie, odpuśćże! Sam mam pięciu synów, a każdy ma wilczy apetyt. A drugi chłopak?

- Drugi? A, to jest Mikołaj! Mikołaj mądrała, Mikołaj artysta! Wcałe dobry pędzel, Wasza Miłość. W dodatku władza pięścią i szpadą nie gorzej od swojego wuja. Akuratny biskup, jak Bóg pozwoli...

- No dobrze. Ale, miły Mikołaju - rzucił król z szorstką poufałością, która pozostała mu z żołnierskich czasów - słowo Kopernik jest mi znajome... Nie chodzi aby o jedno z moich pięknych miast, zasobne w kopalnie miedzi?

Mikołaj poczerwieniał, przygryzł usta, próbując zebrać myśli i błyskawicznie podjął wyzwanie, odpowiadając lekkim tonem, tak, jakby zwracał się do własnego dziadka, a nie do monarchy:

- Wasza Wysokość zna swoje ogromne i potężne królestwo nie gorzej niż rolnik swe uprawy. Z tego, co wiem, w Koperniku miedzi wprawdzie pod dostatkiem, ale nie przysparza ona wielkich bogactw tym, którzy wrywają ją nieurodzajnej ziemi. Kopernik zaś nie należy, niestety, do najpiękniejszych miast. To tylko miejscina z drewnianymi chałupami i odzianymi w łachmany mieszkańcami.

- Cenny metal powinien wszakże przynieść im dobrobyt - z nutą ironii wtrącił król.

- A jednak, Wasza Wysokość - podjął Kopernik, niezmiészany - przyniół go tylko niektórym. W tym mojemu dziadowi, który, jak było wtedy w zwyczajn, przybrał imię od swego rodzinnego miasta i wyjechał, by osiedlić się w Krakowie. Jego syn, a mój ojciec, osiągnąwszy pełnoletniość, wyjechał z kolei do Torunia, by zająć się raczej wojaczką niż handlem. Wraz z moim wujem, Jego Eminencją Łukaszem, z wielkim męstwem odpierali i wygnali Krzyżaków daleko na ich zachodnie terytoria.

- Byłem tam, drogi chłopcze, byłem - odpowiedział król, pragnąc skrócić nieco wywód Mikołaja - i poznałem twojego ojca. Dzielny człowiek. Jako i nasz drogi Łukasz. Nieprawda, biskupie? Ale cóż nam chciałeś powiedzieć o tej historii z miedzią? Najpierw jednak coś zjedz... Wypij szklaneczkę...

- Miedź, Wasza Wysokość, to szansa Polski, ale może także i jej przekleństwo. Domieszka srebra zdaje się wyparowywać z aliażu złotego, i...

- Hola, Mikołaju, mój młody przyjacielu - przerwał król. - Zapuszczasz się na grząski teren. Twemu wujowi, którego charakter nie należy do najuleglejszych, nie brak wrogów i w biskupstwie, i na granicach. Jeśli dołączą do nich złotnicy i wybijający monety, nie ręczę za jego bezpieczeństwo. Aha, biskupie, właśnie o tym muszę porozmawiać z tobą na osobności... Nie wstawajcie, dzieci, pozywajcie się w spokoju.

Stary monarcha podniósł się, wziął Łukasza pod ramię i zawiódł go do przyległej sali, której ściany bez wątpienia znały sporo państwowych tajemnic.

Na licznych dziedzińcach Uniwersytetu Jagiellońskiego czuć było powiew wolności, choć zacy zobowiązani byli do zachowania surowego stroju z białym kołnierzem i biretem, z którego zwisały tasiemki w kolorze stosownym do rangi studenta. Zaledwie jednak rozbrzmiewał dzwon kończący zajęcia, najswobodniejsi spośród nich, synowie wielkich panów, spieszyli do mieszczącej się naprzeciw gospody, gdzie czekały na nich własne, bogate stroje. Wychodzili potem poza mury, na przedmieścia, gdzie oddawali się przyjemnościom z rodzaju takich, za które groziły srogie baty od profesora teologii. W

murach Collegium Maius mówiono głównie po łacinie, ale także po niemiecku. Na zewnątrz dominowała polszczyzna.

Wiść o przyjęciu zgotowanym przez króla Kazimierza biskupowi Warmii i jego trzem podopiecznym szybko obiegła stolicę i dotarła na uniwersytet. Tam zaś przebywało wielu studentów znacznie wyżej urodzonych niż ci Kopernikowie i bękart jakiegoś Watzenrodego - mieszczanie, których czuć było jeszcze pruskimi moczarami. Prawdę powiedziawszy, trzech młodzieńcy rodem z Torunia wydawali się nieco prostacy: za grubymi murami rodzinnego miasta preceptor Bernard Sculteti nie zadbał o wpojenie podopiecznym wyrafinowanych manier królewskiego dworu.

Szczęśliwie, jak wielu innych przed nimi, udatnie wtopili się w zakowski tłum. Reszty dopełniły wdzięk i urok Andrzeja, krzepa Filipa, a w szczególności swoboda i prędkość, z jaką Mikołaj, najmłodszy z tria, pojmował wszystko, a następnie tłumaczył i, nie wywyższając się, pomagał pozostałym zrozumieć. Mimo to nie miał w sobie nic z „prymusa” zaszytego w książkach chuderlawego pracusia. Przeciwnie, pełno go było na wszystkich wesołych pochodach w mieście i biesiadach w gospodzie. Posiadał talent karykaturzysty i zabawiał współtowarzyszy, kreśląc na brzegu stołu ich portrety lub podobizny profesorów, których przedstawiał jako folwarczne zwierzęta.

Tak więc studenckie życie w Collegium Maius nie ustępowało w niczym innym światowym uniwersytetom. Mikołaj czerpał z niego pełnymi garściami, ale przede wszystkim korzystał w wykładów cenionego profesora sztuk wyzwolonych, Wojciecha z Brudzewa, który podczas długiego pobytu w Italii poznał Wawrzyńca Wspaniałego, Marsilia Ficina, Pica della Mirandolę i Leonarda da Vinci, przełożył znaczną liczbę dzieł z greki, arabskiego i hebrajskiego na łacinę, a potem na polski, i podtrzymywał bogatą korespondencję ze wszystkimi wielkimi umysłami Europy, chcącymi zdjąć ze Starego Świata jarzmo mroków średniowiecza i przywrócić pełne harmonii piękno antycznej mądrości.

Sam autor wielu dzieł poświęconych matematyce, Brudzewski, szybko dostrzegł

niezwykle zdolności Mikołaja w tej dziedzinie i jego głód wiedzy. Zdecydował zająć się nim w szczególności i zalecił mu szereg lektur niemających żadnego związku z prawem kanonicznym. Prawem, które Mikołaj szczególnie lekce sobie ważył. Szybko przyswoił dialektykę i miał ją za tak ciężką w formie i dziecinną w treści, jak scholastykę. Trzeba było jednak pokonać i te przeszkody, aby z pomocą wuja Łukasza dochrapać się dobrej posady, która być może pozwoliłaby Kopernikowi zostać następcą mistrza Brudzewskiego w poszukiwaniu prastarych mądrości i odkrywaniu nowych.

Albowiem temu właśnie chciał poświęcić Mikołaj swoje życie. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, w którym kierunku podążyć. Lub raczej chłonał wszystko: Euklides, potem odkrycie najnowszych studiów na temat perspektywy w malarstwie, prace renowacyjne, jakim poddane zostały w owym czasie Zamek Królewski, uniwersytet i wiele kościołów w mieście zdawały mu się znakami pociągającymi nieodparcie ku architekturze. Zostać w Krakowie tym, kim Brunelleschi był dla Florencji! Budować! Łączyć piękno z użytecznością! Inne marzenia jeszcze, inne ambicje: pójść w ślady Ficina lub Mirandoli i pogrążyć się w meandrach historii, czerpać z niej prawdziwe świadectwa minionych wieków, zapomniane lub zniekształcone, zdradzone, ukryte pod mnóstwem palimpsestów lub fałszerstw skrybów. Sprawić, by się odrodziły w pierwotnej czystości, a następnie przetłumaczyć je na łacinę lub języki nowożytnie.

Zupełnie nie kierował Kopernik wzroku ku gwiazdom i tańcowi planet, pomimo zachęt swojego mistrza, który sam żywił wielką pasję dla tych rzeczy. Mikołaj nie widział żadnego sensu w przepowiadaniu z nieba przyszłości ludzi; zbyt mocno przypominało mu to komentarze egzegetów. Almagest Ptolemeusza jeszcze ujdzie: w tej planetarnej teorii można znaleźć kilka matematycznych subtelności; ale jego Czworoksiąg, który Kopernik zmuszony był przeczytać w kiepskim łacińskim tłumaczeniu, skąd ciemny mnich kopista wyrzucił fragmenty jego zdaniem nazbyt pogańskie i zastąpił je mętnymi komentarzami, wydał mu się bezgranicznie pretensjonalnym, próżnym wielosłowiem! Ośmielić się utwierdzić świat raz na zawsze... „Ten Ptolemeusz to nudziarz”, wymknęło mu się pewnego dnia w obecności mistrza, którego na te słowa o mało nie raził atak apopleksji. Mikołaj zdecydował zatem nie

zajmować się więcej tym, co uważał za stek niedorzeczności i ogólników: astrologią.

Był karnawałowy poranek. Mikołaj Kopernik opuścił pilnie studiujących towarzyszy ze szkolnej ławy, by przyłączyć się do wesołej bandy zebranej przez starszego brata Andrzeja, który oczekiwał go we wspomnianej gospodzie naprzeciwko kolegium, ochrzczonej przez studentów mianem „Lepiej tu niż naprzeciw”.

Mikołaj jednym susem przesadził sześć stopni prowadzących do niższej sali, gdzie rozłożona na ławach dwudziestka młodych ludzi przywitała go burzą okrzyków:

- Drzwi, do diabła! Na zewnątrz nie grzeją! Pomarzniemy tutaj!

Nowo przybyły żartobliwie skwitował:

- Patrzcie no na te zmarznięte dziewczątka! Piwo i gorzałka nie starczą, by was rozgrzać?

Zręcznie uchylił się przed szklanicą, którą jeden ze studentów rzucił w jego stronę, a następnie, z wystudiowaną powolnością, wspiął się na schody, otworzył drzwi na oścież i nisko pokłonił się lodowatemu wichrowi, który wpadł do sali w śnieżnej zadymce:

- Witaj w naszym pałacu, Panie Karnawale!

W zgiełku oklasków i gwizdów towarzyszy zgodził się w końcu zamknąć drzwi. Dzwony katedry świętego Stanisława wybiły ledwie czternaście uderzeń, a już alkohol szumiał w głowach, zaś obracane na rożnie w kominku proszę wyraźnie zeszczupełało. Rozmowa przestawała się kleić. Andrzej podniósł się i stukając nożem w kufel obwieścił:

- Panowie, panowie, chyba nie zamierzacie się tu pospać! Święto dopiero co się zaczęło. Prawda to, że nie ma karnawału bez pijaństwa, ale bez dziewcząt też nie ma zabawy. Bachanalia bez bachantek? Pozwólcie, że zaprowadzę was teraz do najlepszego



burdelu w mieście.

Śnieg przestał sypać. Świeży puch na dachach i ulicach skrzył się w słońcu, tronującym na czystym niebie. Zeszli w stronę mostu przerzuconego nad skutą lodem Wisłą i bez przeszkód dostali się na nowe miasto. Tego świątecznego dnia wszystkie bramy były szeroko otwarte. Zagłębili się w dzielnicę żydowską. Tutaj sklepiki i okiennice były pozamykane. Lud Abrahama nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że gorączka karnawału może podpalić ich domy, pozabijać synów, dopuścić się gwałtu na ich żonach i córkach. Gdy przechodzili przed synagogą, jeden z towarzyszy Kopernika splunął. Pozostali zaczęli pokrzykiwać, wałąc laskami lub płazami mieczy w ściany i odrzwia domostw:

- Na pohybel Żydom, trucicielom wody, bluźniercom, pożeraczom dzieci!

Mikołaj przygryzał wargi i w myślach przeklinał swoje tchórzostwo, które nie pozwalało mu ukrócić tej zabawy. Wuj Łukasz i mistrz Brudzewski - którego niektórzy uważali za „nowego chrześcijanina” - uczyli go, że ludzie ci, uciekający z Francji lub z Hiszpanii, zostali przez pierwszego Jagiellona przyjęci w Polsce, aby upowszechnić wśród barbarzyńskich mieszkańców nadwiślańskiego kraju znajomość medycyny, języków starożytnych, weksli, a także odsłonili przed nimi wszelką mądrość pochodzącą z Arabii, Persji, Indii czy Chin. Kamień spadł mu z serca, gdy pochód opuścił w końcu żydowską dzielnicę, nie natykając się na żadnego z jej mieszkańców, gdyż z całą pewnością nie umknąłby cało z tego spotkania.

Wkroczyli do dzielnicy Węgrów, cieszącej się niegdyś reputacją heretyckiej. Przylegająca do wałów obronnych wielka budowla o cynobrowych ścianach uczepiła się opasłych murów niczym złożony z minerałów, poźółkły bluszcz. Czerwona latarnia ubrana w śnieżną czapę wisiała nad wybijanymi gwoźdźmi drzwiami, pomalowanymi na szpetny różowy kolor. Mikołaj znał tę przyozdobioną szyldem z napisem „Bukiet Fiołków” oberżę; zajrzał tu dwa lub trzy razy po to, by zdobyć pierwsze doświadczenia wieku męskiego. W przeciwieństwie do niego Andrzej, zawsze w towarzystwie

służącego mu za ochronę bitnego Filipa, był częstym gościem tego rodzaju przybytków. Tak więc, gdy otworzyło się małe okienko w drzwiach i właściciel rozpoznał jednego ze swoich stałych klientów, bez najmniejszych problemów dostali się do środka.

W obszernym pomieszczeniu starano się odtworzyć otomański harem, z ceramicznymi płytkami w arabeskowe motywy i stosami poduszek, w których nurzała się dwunastka prawie nagich dziewcząt. Na środku widniał mały, okrągły basen bez wody, wypełniony suszonymi kwiatami. Panował piekielny upał; w kominku i dwóch piecykach, niewiele mających z Turcją wspólnego, trzaskał ogień nieustannie podsycany przez starą służącą.

Było ich już tylko ośmiu. Pozostali, zbyt bojaźliwi lub po prostu ostrożni, woleli pozostać w wyżej położonej części miasta i podążyć za karnawałowym orszakiem. Podczas gdy towarzystwo, chichocząc, przestępowało z nogi na nogę, nie skrępowany najwyraźniej Andrzej wskazał na trzymającą się na uboczu młodziutką dziewczynę o ciemnej cerze, długich czarnych włosach i ogromnych oczach grubo podkreślonych barwiczką:

- To ci dopiero! Nowa! Jak masz na imię, mała?

- Kleopatra - odpowiedziało dziewczę z mocnym morawskim akcentem.

Jej lekka, prześwitująca tunika i zdobiący głowę żelazny diadem mogły, przy odrobinie fantazji, uchodzić za strój królowej Egiptu.

- Dobrze, Kleopatro - podjął wesoło Andrzej - chodź zatem oddać Cezarowi należny mu hołd.

Ciasno spleciona para ruszyła po skrzypiących schodach. Mikołaj czuł się ogromnie skrępowany. Wypił mniej niż pozostali, zaś marsz w zimnie dodatkowo go otrzeźwił. To nie ten wypad do domu publicznego tak go niepokoił. Przewidując zaopatrzył się

zresztą w kondom ze świńskiego pęcherza. Od początku, praktycznie od biesiady w gospodzie, martwiło go zachowanie starszego brata. Tak szybko wychylał kufel za kuflem, a potem, u Żydów, tak zajadle wykrzykiwał obelgi, że młodszy brat nie rozpoznawał w nim już przyjaciela z dzieciństwa, z którym dzielił wszystko jak z bliźniakiem. Od chwili przenosin do Krakowa Andrzej zmienił się. Raz odgrywał rolę głowy rodziny, co strasznie go irytowało, bo ten kruchy jak szkło, zawsze napięty chłopiec o rozedrganych nerwach potrzebował raczej opieki ze strony statecznego i rozsądnego Mikołaja albo silnego i obdarzonego sporą dawką zdrowego rozsądku Filipa; to znów zniknął na całe tygodnie, nie chodząc na wykłady i nie zdradzając bratu, gdzie się w owym czasie podziewał.

W tym momencie ociekającego potem pod grubą lisiurą Mikołaja wzięła chęć, by odwrócić się na pięcie i opuścić ten ohydny przybytek. Ale nie, nie powinien tak zostawiać brata. Znużony, poprosił grubą Izabelę, by poszła z nim na górę. Ta kobieta bez wieku, ubrana lekko na hiszpańską modłę, by uzasadnić imię zapożyczone od kastylijskiej królowej, zręcznie rozprawiczyła go w ubiegłym roku.

Pokojem zwano szumnie małą, brudną izbę na poddaszu z pełniącym rolę łoża siennikiem. Izabela rozpięła spinający talię pas. Nagle zza cienkiej ścianki dobiegł przeraźliwy krzyk kobiety, a potem głos Andrzeja:

- Zdzira, świnia, żydowska suka! Ostrzegałem cię... Ostrzegałem!

Mikołaj, w rozpiętych spodniach i samej tylko koszuli jednym susem wyskoczył z izby i wpadł do sąsiedniego pokoiku. Jego brat stał, rozebrany, z zakrwawionym sztyletem w dłoni. Dziewczyna leżała nieruchomo u jego stóp, naga, z krwawą raną w miejscu ramienia.

- Coś ty zrobił, Andrzeju? Oszalałeś?

- To ona, to ona! Ma ospę, popatrz... Kazałem jej zwrócić pieniądze. Odmówiła.

Rzuciła się na mnie. Wtedy...

Pozostali studenci zebrali się w drzwiach. Na pewno zaraz przybiegnie właściciel.

- Wynośmy się stąd! - rzucił Mikołaj. - Andrzej, zostaw tutaj te pieniądze.

Wynośmy się, mówię!

Pozbierawszy ubrania, banda stoczyła się po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz. Właściciel zagroził drzwi. Jednym ciosem pięści Filip wysłał go w stos poduszek, podczas gdy Mikołaj rzucił mu pełną sakiewkę. Na przyprószonej śniegiem ulicy rozproszyli się i zaczęli biec, chcąc jak najszybciej wydostać się z węgierskiej dzielnicy. Mikołaj, Filip i Andrzej, który nie wypuszczał z dłoni pełnej w połowie butelki wódki, znaleźli się wkrótce przed żydowską dzielnicą. Minęła ich banda przebierańców wykrzykujących obelgi i walących w drzwi i zawarte okiennice. Niektórzy wymachiwali pochodniami, co wróżyło niepomyślny obrót rzeczy.

- Nareszcie ludzie, którzy potrafią się bawić. - Rzucił z rosnącym podekscytowaniem Andrzej. - Przyłączmy się.

Mikołaj chwycił go za ramię:

- Proszę, wracajmy do domu!

Starszy z braci gwałtownie wyzwolił się z uścisku:

- Zostaw mnie, zrzędo! Dzisiaj karnawał. Wszystko jest dozwolone.

Niewzruszony Filip stanął przed nim i ze spokojem wymierzył mu dwa celne policzki. Ogluszony Andrzej zachwiał się. Brat i kuzyn podtrzymali go, owijając jego ramiona wokół własnych, i dosłownie pociągnęli przez przedmieścia, omijając dzielnicę żydowską, nad którą zaczęły się już wznosić pióropusze dymu. Wkrótce pokonali most

na Wiśle pod drwiącymi, pełnymi niesmaku spojrzeniami strzegących go żołnierzy. Przeszli duży rynek pełen świętujących i w końcu znaleźli się w pięknej rezydencji biskupa Warmii.

Andrzej, osłabiony, przez trzy dni pozostawał w łóżku. Kiedy niespokojni Mikołaj i Filip zagłądali do niego, rzucał im się do nóg i prosił o przebaczenie. W poranek czwartego dnia służący w królewskich barwach zastukał do ich drzwi. Przyniósł królewskie wezwanie, nakazujące Mikołajowi i Andrzejowi Kopernikom udać się natychmiast na Wawel, gdzie zostaną przyjęci przez króla. W największym pośpiechu Mikołaj pobiegł po brata. Pokój Andrzeja był jednak pusty. Służący powiedział, że dopiero co widział, jak rekonwalescent wychodził drzwiami dla służby, ale zaułek świecił pustkami. Zmartwiony Mikołaj obwieścił owo zniknięcie królewskiemu słudze i z głupia frant zaproponował, by Filip zastąpił uciekiniera. Ten jednak wzruszył ramionami i Mikołaj zrozumiał: bastard biskupa oficjalnie był tylko przygarniętym z litości, ubogim krewniakiem.

Poprzedzany przez lokaja, Mikołaj wspinał się więc samotnie prowadzącą pod górę aleją do zamku królewskiego. Strach ścisnął go za gardło. Dobrze wiedział, jaki był powód tego wezwania. I, jak widać, Andrzej także się go domyślił.

Kazimierz IV kazał przenieść swoje łoże do niewielkiej sali służącej prywatnym audiencjom. Jakiś czas temu stary monarcha mocno podupadł na zdrowiu, nadworni medycy zaś nie dawali mu więcej jak kilka miesięcy życia. Gdy Mikołaj ukląkł, lokaj schylił się do poszczupłej twarzy króla, która, niegdyś rumiana, teraz jakby szcerniała. Wysłuchawszy posłańca, który szeptem wyjaśniał mu nieobecność Andrzeja, król Kazimierz uśmiechnął się dziwnie i rzucił tonem, który miał być grzmiący, a wydawał się dziwnie schrypnięty:

- Mikołaju, Mikołaju, co zrobiłeś z twoim bratem?

Nie wiedząc, czy czcigodny chory stroi sobie żarty, młodzieniec wybełkotał:

- Wasza Wysokość, Wasza Wysokość...

Król odwrócił głowę w stronę mężczyzny, który stał wyprostowany u jego boku. Był to największy wróg wszystkich krakowskich żaków: namiestnik królewskiej straży, baron Glimski. Ten skinął lekko głową i zaczął monotonnym głosem:

- Panie Kopernik, pan i pański brat sprawiliście nam sporo kłopotów waszą burzliwą eskapadą. Na szczęście dziewczyna żyje. Ale właściciel wiadomego... przybytku przyszedł poskarżyć się moim strażnikom. Człowiek ten jest jednym z moich najlepszych agentów. Pewnie pan o tym nie wie, panie Kopernik, ale w dzielnicy nazywanej węgierską roi się od szpiegów tureckiego sułtana. Arpad zaś, bo tak brzmi imię tego nieszczęsnego sutenera, który doświadczył pięści pańskiego... kuzyna, zna ich wszystkich i informuje mnie o ich knowaniach. Nie chcę, by zabrakło mi tak cennego człowieka z powodu wybryków głupich, pijanych studentów.

- Zwłaszcza, gdy rzeczeni opoje - dopowiedział król - należą do rodziny człowieka, którego kocham jak własnego syna i który potrafi ustrzec moje królestwo przed zakusami mistrza krzyżackiego. Ach, już słyszę śmiech tego Hohenzollerna, kiedy dowie się, że jedyną rozrywką bratanków biskupa Warmii jest zarzynanie dziwek. Ale niechże pan mówi dalej, namiestniku!

Podczas, gdy Mikołaj, ciągle klęcząc, trząsł się na całym ciele, baron Glimski podjął właściwym sobie suchym, nasyconym podejrzliwością tonem:

- Musieliśmy słono zapłacić, by Arpad zapomniał o tym incydencie. Jednak inna sprawa z Żydami. Kilka ich domów zostało splądrowanych i spalonych. Dwie dwunastoletnie dziewczynki zgwałcone. Stary rabin umęczony i ogolony od stóp do głów, co dla nich jest najcięższym upokorzeniem. Bardzo trudno było mi przekonać przewodniczącego gminy żydowskiej, że bratankowie biskupa Warmii nie brali w tej drugiej sprawie udziału, co donoszą moi agenci. A wie pan, panie Kopernik, kim jest ów

przewodniczący? Doktor Jan Faust, jedyny medyk w całej Polsce, który potrafi ulżyć cierpieniom Jego Królewskiej Mości. Doktor Faust, który podczas wojny z krzyżakami wyleczył pańskiego wuja z poważnego zranienia. Co pan robi, panie Kopernik? Chce pan zgubić królestwo?

Z wysokimi kośćmi policzkowymi i ciężkimi powiekami maskującymi spojrzenie, Glimski przypominał kruka.

- Podnieś się, drogi Mikołaju - powiedział król łagodnym głosem - i usiądź przy mnie. Wiem, że potrafiłeś w całej tej sprawie zachować zimną krew. Twój poczciwy kuzyn Filip, który z pewnością nie należy do najbystrzejszych umysłów na świecie, ale posiada przemiły talent bazarza, opowiedział mi całą tę przygodę. Pewnie szczerze bym się uśmieł, wspominając moje własne młodzieńcze szaleństwa, gdyby nie okoliczności. Wstań, mówię!

Młodzieniec posłuchał i przycupnął na taborecie, który wskazał mu król. Czuł, jak w środku gotuje się ze złości. „Filip! Zdrajca! A więc donosił o wszystkim namiestnikowi, królowi, wujowi Łukaszowi!” Mikołaj poprzysiął sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, powie kuzynowi, co o tym myśli.

- Udało nam się w końcu wyciszyć ten incydent - podjął na nowo baron. - Nie bez problemów. Ale jeśli chodzi o pańskiego brata...

Zawiesił głos; zapachniało groźbą.

- Niestety, nie wiem, dokąd uciekł - zaczął Mikołaj błagalnym tonem. - Proszę mu wybaczyć, Wasza Wysokość. Przrzekam Waszej Królewskiej Mości, że od tej pory go upilnuję i utrzymam na prostej drodze. To słaba istota, wydaje mi się, że mam na niego dobry wpływ...

- To nie będzie potrzebne - uciął Glimski. - W dniu zajścia powiadomiliśmy Jego

Eminencję biskupa. Tego ranka zaś jeden z jego posłańców nakazał mi jak najszybciej odesłać Andrzeja do Torunia. Być może już wpadł w ręce moich ludzi. Musiał schronić się u kochanki...

- Kochanki? - wykrzyknął Mikołaj.

Król zaśmiał się drwiąco:

- Aha, miły Mikołaju! Kiepsko pilnujesz swego starszego brata! Całe miasto, a nawet król, wie o jego związku z Filomeną, piękną, lecz nieco przywidłą jak na mój gust, neapolitanką, o którą konkuruje z wielebnym Pasolesim, legatem Jego Świątobliwości Innocentego VIII w Polsce.

Mikołaj miał wrażenie, że padnie z osłupienia i wściekłości. W jaką kabałę wplątał się Andrzej? A jaki los przeznaczy wuj jemu? Jakby czytając w jego myślach, naczelnik królewskiej straży podjął od nowa:

- Przedstawiliśmy Jego Eminencji, pana wujowi, pański dobroczynny udział w tej przykrej sprawie. Proszę więc kontynuować studia...

- ...tak błyskotliwie jak dotąd - przerwał król. - I, na moją wiarę, pewnego dnia, którego już nie ujrzę, i oby nastąpił jak najpóźniej ze względu na drogiego Łukasza, będziesz godnym biskupem Warmii. Albo i papieżem! Chociaż, skoro polskiego papieża świat dotąd nie widział, to i pewnie nigdy nie ujrzy!

Kazimierz IV wybuchnął gromkim śmiechem, który nagle urwał się w paroksyzmie bólu:

- Ajajaj, zaraz mnie rozerwie! Glimski, niech pan wezwie doktora Fausta! I zostawcie mnie samego!



Zaledwie wyszli z małej sali audiencyjnej, do której wbiegli pospiesznie medycy, namiestnik dość brutalnie chwycił Mikołaja za łokieć:

- Mój chłopcze, wyciągnąłem cię z niezłej kabały. W zamian za to poproszę cię o małą przysługę. Pruski student, Otton, alias Achilles Hohenzollern, znasz go?

- Tak, z widzenia. Chorowity, małomówny chłopak. I trochę zarozumiały. O niego chodzi? Nie spotykam się z nim. A w każdym razie on nie spotyka się nami, gorszymi, „Polaczkami”.

- W takim razie nie tylko zaczniesz się z nim spotykać, ale zostaniesz jego najlepszym przyjacielem. To syn burgrabiego Brandenburgii, który chce położyć łapę na zakonie krzyżackim. Zdobędziesz jego zaufanie i będziesz donosić mi o każdym słowie, jakie wypowie, każdym człowieku, z jakim się spotka. Jeżeli dodatkowo uda ci się dotrzeć do jego korespondencji... mam zgodę twojego wuja. I króla...

Glimski nie powiedział już nic więcej. Mikołaj doskonale zrozumiał, jaką rolę kazano mu odgrywać: szpiega. Choć w gruncie rzeczy, jak stwierdził w drodze powrotnej, nie był temu do końca przeciwny. To mogło być podniecające.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom, nic nie stanęło na przeszkodzie w nawiązaniu zażyłości z Ottonem Hohenzollernem. Jego rodzina rosła w siłę na swych północnych dziedzicach; jej obecność u granic Prus Królewskich zaczynała budzić niepokój. Studenci tak zwanej narodowości niemieckiej pogardzali natomiast chłopcem, zwłaszcza Bawarczycy, którzy uważali wszystkich rodaków z północnych terenów Brandenburgii i Meklemburgii za germańskich barbarzyńców, by nie powiedzieć: Gotów. W dodatku ogólnie było wiadomo, że obecni Hohenzollernowie wywodzili się z drobnej szlachty z okolic Norymbergi.

Noszący imię antycznego herosa Otton nie miał w sobie nic z dzielnego wojownika czy junkra. Był to wąty chłopiec, to zaś, co Mikołaj wziął za pyszałkowatość, było

straszliwą nieśmiałością, która sprawiała, że biedak się jąkał. Kiedy podczas zajęć wznowionych po karnawałowym tygodniu Kopernik zaczął go pod pretekstem odpisania opuszczonego wykładu z prawa kanonicznego, Achilles, rumieniąc się jak panienka, wyznał mu podziw, jaki żywił dla nierozłącznego tria, które kolegium zwało „trzema synami biskupa Warmii”. Tak bardzo chciałby uczestniczyć w ich psotach i rozgardiaszu, jaki czynili! Na te słowa Mikołaj wybuchnął śmiechem i solidnie klepnął młodzieńca, któremu przeznaczone było zostać pewnego dnia burgrabią, a nawet mistrzem zakonu krzyżackiego. Achilles po tym przyjaznym plaśnięciu w plecy o mało nie upadł; pozbierawszy się, zmartwił wyjazdem Andrzeja:

- Bez niego w Collegium Maius nie będzie już tak samo - westchnął.

- W takim razie go zastąpisz! Hej, Filipie! A gdybyśmy poszli z naszym nowym przyjacielem na piwo do „Lepiej tu niż naprzeciw”?

Achilles Hohenzollern przywiązał się do Mikołaja Kopernika jak psiak. Mówił mu wszystko, powierzał najdrobniejsze wspomnienia z pozbawionych uczucia i wypełnionych smutkiem dni swego dzieciństwa w Królewcu, bez matki, bez jakiegokolwiek kobiety, bez najmniejszych oznak czułości, pośród pijanych i śmierdzących żołdaków w zbrojach, z którymi rozstawali się tylko w sypialni. Pokazywał nowemu przyjacielowi listy przysyłane przez wuja, wielkiego mistrza krzyżackiego, najzacieklejszego wroga biskupa Warmii. Były to wyłącznie surowe nakazy w rodzaju „spotykaj się tylko z najlepszymi uczniami w twojej klasie”, „zachowaj szacunek dla profesorów”, naszpikowane błędami i barbaryzmami, okraszone maksymami i ludowymi przysłowiami: „dziesięć koron włożonych w mszał wartych jest więcej niż jeden złoty stracony w gospodzie, lecz cowieczorna modlitwa warta jest więcej od mszału...”. Przekazując te rzeczy namiestnikowi królewskiej straży, Mikołaj zastanawiał się, jak takie głupstwa mogą być użyteczne dla barona Glimskiego i polityki obronnej kraju. Lecz cała sprawa bawiła go coraz bardziej.

Natomiast o wiele mniej cieszyły nocne spacerunki poza murami, na które wyciągał go

Achilles teraz, gdy nastala wiosna. Delikatny chłopiec, „to chuchro”, jak mawiał trochę zazdrosny Filip, wieszal się ramienia Mikołaja; czasem brał jego dłoń w swoją, wychudłą i spoconą. Zmuszał go, by siadał na szczycie zbocza i podziwiał nocne niebo w łagodną wiosenną porę.

- Popatrz, Mikołaju, jak pełny jest Księżyc! Któż może powiedzieć, jaka jest jego droga wokół naszej matki Ziemi? A Mars, ta niespokojna gwiazda, popatrz, jaki jest czerwony. Kto wie, czy tam, w górze, nie żyją ludzie tacy jak my? He? Kto wie?

Achilles był bardzo słaby z algebry i geometrii: Mikołaj odrabiał za niego wszystkie zadania. Ich mistrz, Wojciech z Brudzewa, wiedząc o tym szachrajstwie i będąc dokładnie poinformowanym przez Glimskiego, że ta nieoczekiwana przyjaźń między siostrzeńcami biskupa Warmii i wielkiego mistrza krzyżackiego miała za przyczynę wyłącznie rację stanu, zachęcał wręcz swojego najlepszego ucznia, by zagłębiał się w mędrkowanie Prusaka. Cel Brudzewskiego był jednak inny. Od momentu, gdy zawziął się, by udowodnić Kopernikowi, że Euklides i Pitagoras przede wszystkim stanowili narzędzia zdolne zbudować niebiańską mechanikę, napotkał na nieprzejednany opór młodzieńca. Teraz, z powodu gadaniny Achillesa, Kopernik został niejako zmuszony, by z większą uwagą wczytać się w Ptolemeusza i filozofów Aleksandryjskich, choćby tylko po to, by przydać nieco pikanterii tym mdłym rozmowom pod gwiazdzistym sklepieniem. A także, by pokazać namiestnikowi królewskiej straży, że potencjalny wielki mistrz krzyżacki jest istotą tak zniewieściałą, jak nieszkodliwą.

W ten właśnie sposób Mikołaj Kopernik w końcu zainteresował się Aleksandryjską i arabską astronomią.

## II

Rok Pański tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty drugi - zaprawdę, niezwykle to był rok... Król Kazimierz IV zmarł na początku lata. We Florencji w drodze do grobu wyprzedził go o dwa miesiące Wawrzyniec Wspaniały. W Rzymie wkrótce podążył za nimi Innocenty VIII. Ten pewnie od razu poszedł smażyć się w piekle!... Inne, dziwniejsze jeszcze nowiny dotarły wkrótce do brzegów Wisły: genueński marynarz, opłacony przez Kastylię, dotarł do wybrzeży nieznanego lądu. Ale oczywiście to śmierć króla Polski najbardziej zaciążyła na losie Mikołaja.

Biskup Łukasz w największym pośpiechu przybył ze swych włości, by uczestniczyć w ostatniej drodze swojego suzerena i wyborze następcy przez sejm, do którego należał jako elektor Warmii. Towarzyszył mu Andrzej w skromnym ubiorze księdza; drwiący uśmiešek pojawił się na niektórych twarzach pośród dziedzińców Collegium Maius. Ten nieobliczalny chłopak, któremu wuj powierzył odpowiedzialną funkcję sekretarza, był teraz obrazem skruchy i pobożności. A przecież zaledwie cztery miesiące upłynęły od czasu, kiedy w węgierskiej dzielnicy zranił nożem egipską dziewczkę.

Wybór następcy Kazimierza nie nastęrczał problemów: miał nim zostać Jan Olbracht, co mocno niepokoiło Łukasza. Książę-biskup Warmii w wielkiej tajemnicy zaprosił więc do swojej krakowskiej rezydencji kilku zaufanych sojuszników, a także barona Glimskiego, naczelnika królewskich straży, i poprosił Mikołaja, by ten przyjął funkcję sekretarza.

- Czemu ja, a nie Andrzej, wuju? - dopytywał młodzieniec. - Czy mój brat nie poczuje się dotknięty?

- Bo masz od niego ładniejsze pismo!

Biskup wybuchnął swoim gromkim śmiechem, od którego trzęsły mu się ramiona i który w pewnej mierze przekazał w spuściznie Mikołajowi, nabierającemu w miarę dorastania pozornie szorstkiego obejścia Łukasza. Sala, gdzie oczekiwali goście biskupa, pogrążona była w półmroku. Łukasz zasiadł u szczytu długiego stołu, naprzeciw wejścia; Mikołaj postawił skryptorium na małym stoliku, nieco na uboczu, w ciemniejszym kącie oświetlonym pojedynczą świecą.

- Oczywiście przesadzam - zaznaczył książe. - Ale wasza przygoda w węgierskim burdelu, mimo wysiłków barona Glimskiego, może tutaj wypłynąć: nie lubią mnie zbyt w otoczeniu naszego przyszłego monarchy. Nakazałem Andrzejowi, by starał się być jak najmniej widoczny. Zrozumiał lekcję... w każdym razie na ten moment. Jeśli chodzi o ciebie, zachowałeś się wzorowo. Wszyscy zapomnieli, że brałeś udział w tej eskapadzie. A ci, którzy pamiętają, nie mają w stosunku do ciebie żadnych pretensji. Od tamtej pory bez zarzutu odgrywałeś rolę spokojnego studenta z nosem w księgach lub gwiazdach. Glimski pisał mi o tobie jak najlepiej. Zdobądź się na odrobinę cierpliwości. Będziemy tu mieli do rozegrania delikatną partię. Być może złoży nam wizytę pewna ważna osobistość. Nie okaż na jego widok najmniejszego zaskoczenia, bądź cichym i obojętnym skrybą, schowanym za swoim kałamarzem. Czy teraz już rozumiesz, dlaczego nie powierzyłem tego zadania twemu nieszczęsnemu bratu?

W końcu zaproszeni goście weszli. Mikołaj rozpoznał przewodniczącego gildii gdańskich kupców, bardzo bogatego, generała szczecińskiej fortecy i księcia-biskupa Glocka. Wstał, by nisko im się pokłonić, ale nie wydawali się go zauważyć. Zjawił się w końcu baron Glimski, jak zawsze sztywny i oschły, nie zaszczycając go jednym spojrzeniem. Wymieniwszy przepisane zwyczajem komplementy, pięciu spiskowców zasiadło dokoła stołu i na moment zapadła cisza.

- Przyjdzie on w końcu? - zapytał, nieomal szeptem, przewodniczący gildii.

- Obawiam się, że nie wcześniej niż za godzinę - odpowiedział Glimski. - Zatrzymują go w zamku.

- Daje nam to czas, by ustalić, co mu zaproponujemy - zabrał głos Łukasz. - Może zresztą nie zaproponujemy mu nic. Wszystko zależy od tego, co on zamyśla.

Praktycznie pewna elekcja i koronacja pierworodnego syna zmarłego króla rysowały przyszłość w ciemnych barwach dla zebranych osobistości północnych marchii Polski. Byli bezpośrednio narażeni na zakusy Krzyżaków i ich pruskich sprzymierzeńców z Brandenburgii. Liczący zaś niewiele ponad trzydzieści lat Jan Olbracht, jeszcze jako wielki książę litewski, marzył tylko o tym, by stanąć na czele krucjaty przeciwko Turkom. Niejako próbując zatrzeć fakt, że i tak pozostanie wnukiem świeżo nawróconego poganina, otoczył się młodszymi synami chrześcijańskiej, starej polskiej szlachty. Ci także chcieli walczyć i odbić Konstantynopol, a nawet Jerozolimę, aby szablą zdobyć bogactwo i chwałę.

Ludzie doświadczeni, tacy jak ci, którzy rozprawiali przyciszonymi głosami w zaciszu krakowskiej rezydencji biskupa warmińskiego, wiedzieli nazbyt dobrze, że polska armia zostałaby zmasakrowana natychmiast po przekroczeniu granic Mołdawii. Skąd więc sprzymierzeńcy w krucjacie, jeśli nie z zakonu krzyżackiego? I za jaką cenę, jeśli nie Gdańska i Warmii, tak odważnie odzyskanych przez Kazimierza?... Ponadto, podkreślał przewodniczący hanzeatyckich kupców, wojna przeciwko Otomanom zamknęłaby na długo drogę dla przypraw korzennych i jedwabiu, docierających do Gdańska przez Wenecję i Kraków, a potem aż do Danii, skąd powracały w zamian złoto, bursztyn i srebro. Co zatem zrobić?

- Mówi się, że przyszedł król jest słabego zdrowia - powiedział Glimski.

Dwuznaczny ton, jakim namiestnik królewskiej straży wypowiedział te słowa, pozwalał sądzić, że niewidzialne ręce mogłyby osłabić je jeszcze bardziej, wlewając do królewskiego kielicha jakąś miksturę... Łukasz skwitował machnięciem ręki:

- I któż by go zastąpił? Aleksander, jego młodszy brat, ta marionetka w rękach kliki

męskich dziwek? Lekarstwo okazałoby się gorsze od choroby.

- Co do średniego syna - zgadzam się! Ale najmłodszy, panowie, najmłodszy...

Na te słowa, dobiegające od strony drzwi, które niepostrzeżenie otwarto, spiskowcy podskoczyli. Wszyscy pospiesznie wstali, by powitać nowo przybyłego. Ten niedbale rzucił na ziemię szeroki płaszcz, którym okrył się mimo panującego w mieście upału. W wieku dwudziestu pięciu lat Jego Wysokość Zygmunt Jagiellończyk, książę głogowski, był mężczyzną, którego ciało, choć szczupłe, emanowało niespotykaną siłą. Z twarzy zaskakująco przypominał ojca, ale staranna edukacja u włoskich mistrzów uczyniła go bardziej subtelnym, zmyła nieokrzesanie.

- Wybacz mą wypowiedź, Wasza Wysokość - rzucił Łukasz, nie wydając się jednak prawdziwie zmieszany. - Twoi bracia...

- Wiem, że mnie miłujecie, panowie - przerwał książę. - Proszę was o cierpliwość. Mam w Sejmie wielu zwolenników, poczynając od was. I proszę was wszystkich, byście przyznali koronę Janowi Olbrachtowi. To ostatecznie przyłączy Litwę do naszego królestwa. Pragnę was również pocieszyć co do jego planów rzucenia się w wojnę przeciwko Bajazetowi. Sądzę, że darzy mnie zaufaniem. Długo z nim rozmawiałem. Gdybyście wiedzieli, jak bardzo perspektywa tronu może zmienić człowieka! Gdy zaś chodzi o czas jego panowania, Bóg jeden go zna. A pan, baronie Glimski, nie jest Panem Bogiem. Wszystko, co mogę wam powiedzieć, to to, co donieśli mi lekarze: wada członka uniemożliwia memu starszemu bratu spłodzenie potomka, chyba, że każe go sobie obciąć jak Żyd. Gdy zaś chodzi o Aleksandra, nie można sądzić z tego, w jaki sposób kompromituje się w towarzystwie swoich czułych towarzyszy, że tak samo będzie czynił w przyszłości. Panowie! Gdy tylko zakończą się uroczystości koronacyjne, powróćcie do waszych siedzib. Jesteście dla mnie zbyt cenni. Co do pana, baronie Glimski, zdaje się, że mój brat pana nie lubi. Przekazał pana do mojej dyspozycji, uznając to za dobry dowcip. Oto więc zostaje pan kapitanem mojej gwardii przybocznej, chyba, że pan nie zechce...

Glimski przyklęknął na jedno kolano i odpowiedział:

- To więcej niż zaszczyt, Wasza Wysokość, to dla mnie największa radość.

Podniósł z ziemi długi płaszcz i okrył nim księcia. Następnie wyprzedził go, przyjmując rolę ochrony i wyszedł. Pozostali uczynili to samo.

- Spakuj swoje rzeczy, Mikołaju, i każ zrobić to samo Filipowi i Andrzejowi. Jutro o świcie wyjeżdżacie do Torunia.

- A więc nie obejrzę koronacji?

- Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale w żaden sposób nie chcę was narażać. Początki panowania są zawsze pełne niebezpieczeństw. Zresztą, uniwersytet pozostanie zamknięty jeszcze przez trzy miesiące. Jak wszyscy studenci pojedziecie do domu. A jeśli uważnie słuchałeś naszej narady, powinieneś rozumieć, że zobaczysz jeszcze niejedną uroczystość koronacyjną. Jeśli spełnisz nadzieje, jakie w tobie pokładam, zastąpisz mnie podczas nich jako biskup Warmii.

Ponury trymestr spędzany za murami rodzinnego miasta włókł się niemiłosiernie. Mikołaj snuł się jak widmo po biskupim zamku. Nawet biblioteka nie stanowiła dla niego atrakcji: już dawno temu przeczytał wszystkie znajdujące się w niej książki. Jak tylko mógł, unikał swego brata Andrzeja, który z przesadną gorliwością odgrywał rolę pokutującego rozpustnika. Kim stał się niesforny towarzysz z dzieciństwa? Starszy brat wydawał mu się od pewnego czasu odpychający. Jeśli chodzi o Filipa, ojciec wysłał go, z powodów nieznanymi Mikołajowi, do Braniewa, jednego z miast zarządzanych przez biskupa - kuzyna, wyjeżdżając, zrobił tylko tajemniczą minę. „Żegnajcie wspólne polowania, jedyna rozrywka zdolna przerwać śmiertelną nudę!” Tygodnie mijały, a wuj wciąż nie wracał. W krótkim liście, przekazanym im w lipcu, biskup informował o zgonie papieża, i konieczności z tego powodu udania się do Rzymu, gdzie zapowiadała



się ostra walka o sukcesję, mimo iż biskup Warmii nie miał na kapitule prawa głosu. Następnie, stylem pobrzmiwającym tym szorstkim i żartobliwym uczuciem, jakie żywił wobec niego, Łukasz dopisał, iż mianuje swego ulubionego bratanka „głową rodziny”.

Nie minęło wiele czasu, jak przyszło Mikołajowi odgrywać tę rolę, która go nieco kłopotowała z powodu Andrzeja, wyraźnie przez wuja pomijanego, oddanego niejako pod jego opiekę. Tak bardzo podziwiał kiedyś starszego brata, jego brawurę, gdy pierwszy rzucał się do Wisły po roztopach lub kradł całusa młodej wieśniaczce, kwiaciarce czy służącej.

Kilka dni po oznajmieniu przez Łukasza jego zamiaru podróży do Rzymu, posłaniec przybyły z Gdańska przyniósł wiadomość, że starsza siostra Mikołaja, która poślubiła przed trzema laty potomka starego rodu wywodzącego się z największego hanzeatyckiego portu, właśnie wydała na świat drugie dziecko, które będzie nosić imię Mikołaj, jeśli wuj zgodzi się trzymać je do chrztu. Pierwsze, dziewczynkę, nazwano Łucją, na cześć wuja i opiekuna. Co na to Andrzej? Na jego twarzy wykwitł pełen zawodu, szydery uśmiech, gdy młodszy brat możliwie najdelikatniej poinformował go, że to nie on, pierworodny, będzie ojcem chrzestnym dziecka, jak było podówczas w zwyczaju.

W końcu coś zaczęło się dziać tego przygnębiającego lata tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku! Przygnębiającego wyłącznie dla Mikołaja, bo miało pod rozslonecznionym niebem. Mimo swoich dziewiętnastu lat, a może właśnie z tego powodu, „głowa rodziny” niezbyt taktownie organizowała podróż do Gdańska na sposób generała ustawiającego swoje wojska. Zdecydował, że odbędzie się ona rzeką, na dwóch ciężkich biskupich galeotach. Uzasadniał ten sposób podróżowania jako najpewniejszy w czasach, kiedy zbłąkani krzyżaccy żołnierze trudnili się na drogach rozbojem i twierdził przy tym, że spływ rzeką będzie mniej męczący i przyjemniejszy dla dam. Dodatkowo, jak wyliczył z pełną powagą, wodą będą przemieszczać się szybciej, bo nawet jeśli poruszać się będą wolniej niż drogą, to podróżować mogą cały czas, dniem i nocą...

Dla dam... Gdyż w podróż wyruszyć miały także damy. Poza pokojowymi, służącymi, kilkoma mniszkami i przeznaczoną do zakonu młodszą siostrą Barbarą, na pokładzie miały się znaleźć biskupia guwernantka, którą ogólnie nazywano panią wdową Schilling, i jej córka Anna, urocze i pełne życia ośmioletnie dziecko, którą biskup adoptował, podobnie jak wcześniej usynowił Filipa. Nikt nie miał wątpliwości co do tego, kto był jej ojcem, ani co do domniemanego wdowieństwa pani Schilling, kobiety o urodzie rozkwitającej w miarę przybliżania się trzydziestych urodzin.

Dwa opasłe, krągłe statki odbiły od toruńskiego nabrzeża o świcie zapowiadającym przepiękny letni dzień. Podążały za nimi trzy statki handlowe. Popychani regularnym prądem, z żaglami wzdętymi łagodnym południowym wiatrem, potrzebowali dwóch dni i dwóch nocy, by dotrzeć do Gdańska i dwa razy tyle, by wrócić z pomocą wioślarzy lub koni, holujących ich z brzegów. Kolację zjedli późno w nocy na pokładzie; powietrze było ciepłe, niebo bezchmurne, gdyż wyjątkowo mgła nie podniosła się z moczarów, w których często się gubił dolny bieg podążającej ku delcie rzeki.

Mikołaj zajął miejsce na pokładzie pierwszego statku wraz ze swą siostrą Barbarą i panią wdową Schilling, której towarzyszyła Anna. Andrzej, mimo nalegań brata, wolał wsiąść na drugą galeotę razem z biskupimi strażami, księdzem i kilkoma kupcami, którzy płacili za podróż.

Stół został uprzątnięty i wszyscy rozmarzyli się ze wzrokiem utkwionym w rozgwieżdżone niebo. Mała Anna była zbyt podekscytowana, aby dało się ją wysłać do łóżka. Nazywając poufale „Miko” tego, o którym nie wiedziała, że jest jej wujem, zamęczała go pytaniami o nazwy gwiazd. Odpowiadał na nie z cierpliwością, kazał jej szukać konstelacji, potem opowiadał historie mitycznych postaci, od których wzięły imiona. I zapytywał sam siebie, jakie tajemnice kryją się za tą harmonią. Tak, harmonią, muzyką, a nie tą kakofonią Almagestu. Nagle Anna wykrzyknęła:

- A ta, Miko, jak ona się nazywa?

- To spadająca gwiazda, mała Aniu. Nie ma imienia. Wymyśl życzenie, pomyśl o nim bardzo mocno, a wtedy się spełni...

- Już! Kiedy będę duża, wyjdę za ciebie za męża.

- Oj, trzeba było zachować je w sekrecie. Bo teraz twoje życzenie się nie spełni.

- W takim razie pomyślę je jeszcze raz, bo zobacz, spada jeszcze jedna, i jeszcze...

To było jakby deszcz srebrnych nitek padał hen, daleko, w zatoce.

Dziecko ucichło. Mikołaj, ciągle wpatrzony w niebo, odczuł jakąś pełnię, której nie zaznał nigdy dotąd. Jego duch wzleciał... Ujrzał siebie, jak Seneka, wchodzącego do Wszechświata tak, jak wkracza się do miasta - wspólnego miasta bogów i ludzi, podlegającego niezmiennym, odwiecznym prawom, w którym ciała niebieskie niestrudzenie wykonują swoje obroty. Miriady gwiazd iskrzyły się ze wszystkich stron; pośrodku stało Słońce, jedyna gwiazda, i ogarniało swoimi promieniami całą przestrzeń. Z tego bratniego źródła Księżyc otrzymywał łagodne i miękkie światło, raz ukryty, raz wystawiający nad Ziemię swoją pełną twarz, to rosnącą, to malejącą, za każdym razem inną niż wczoraj. Zobaczył pięć planet podążających drogą przeciwną niż pozostałe ciała niebieskie i poruszających się w kierunku przeciwnym do ruchu sfer niebieskich. Czy to od ich najmniejszych wahań zależą losy narodów, wielkie, jak i małe rzeczy? Ze Słońcem pośrodku...

Pełne poezji marzenia przysły, gdy poczuł, jak stopa pani Schilling dotyka jego kostki. Myśląc, że to niezręczny przypadek, cofnął nogę. Ale to nie był przypadek. Stópka powróciła i delikatnie głaskała stopę młodzieńca. Następnie ciepła ręka wsunęła się w jego rozwartą dłoń. Ich palce splotły się, podczas gdy nogi ciągle się dotykały.

Ciszę, podkreślaną aksamitnym szmerem wody opływającej kadłub statku, przerwała siostra Mikołaja.

- Czas do łóżka. Idziesz, Aniu? - powiedziała młoda mniszka trochę oschłym tonem, jakby czegoś się domyślała.

Kiedy na pokładzie nie było już nikogo poza sternikiem przysypiającym na kole sterowym, Mikołaj, bardzo zakłopotany, odsunął rękę i udał, że wstaje ze swojego fotela.

- Pozwoli mi pan spełnić moje życzenie? - wyszeptała mu na ucho pani Schilling.

Legli na wypolerowanym pokładzie, w słabym świetle latarni, pod wysadzonym diamentami, czarnym jak aksamit sklepieniem.

W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od ich powrotu do Torunia, odbyli tylko jedną schadzkę, nie odnajdując jednak rozkoszy tamtej nocy na pokładzie galeoty. Było to zbyt niebezpieczne, w każdej chwili mogli zostać przyłapani przez służbę, lub, co gorsza, przez Annę, okazującą teraz gwałtowną, przeradzającą się w złośliwość agresję tak w stosunku do matki, jak i Mikołaja. Gdy mijali się z panią Schilling w długich, ciemnych zamkowych korytarzach, starając się nawzajem unikać, a zarazem szukając okazji do kolejnych spotkań, wymieniali zaledwie muśnięcia, ukradkowe pieszczoty, które czyniły ich pragnienie jeszcze dotkliwszym.

Biskup powrócił z Italii w początkach jesieni. Mikołaj nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy z głupiej obawy, że wuj mógłby wyczytać na jego twarzy zdradę, którą skrycie postrzegał jako rodzaj kazirodztwa. Jego wstyd spotęgował się, gdy biskup, zawsze przecież jowialny, ujrzawszy go, dał wyraz dużo cieplejszych uczuć niż w stosunku do Andrzeja i Filipa. Ten ostatni, przybyły na tę okazję z Braniewa, z dumą nosił przyozdobiony piórami hełm kapitana biskupiej straży tamtego miasta stawiającego czoło Królewcowi, będącemu przyczółkiem Krzyżaków. Publicznie okazując swoją słabość do młodszego z bratanków, biskup jasno dawał do zrozumienia, kogo wyznaczy na swego następcę. Nazajutrz po jego przybyciu, gdy cały niewielki dwór Warmii zbiegł się, by ucałować mu pierścień, biskup przyjął w sali audiencyjnej tylko trzech koadiutorów,

burmistrza, dwóch bratanków i kapitana Braniewa, którego nikt nie ośmieliłby się nazwać jego bękartem.

- Moi przyjaciele - rzekł im - nasze małe biskupstwo czekają być może niespokojne dni. Jego Wysokość król Polski i wielki książę litewski Jan Olbracht otacza się junkrami, szlachetkami bardziej zatroskanymi o wyprawę przeciw Turkom niż o dobro kraju. Wiele wolnych, kupieckich miast straciło swoje przywileje na korzyść tych bezmózgich żołądków. W dodatku Jan Olbracht jest skłócony z nowym papieżem, Jego Świątobliwością Aleksandrem VI, oskarżając go o rozwiązłość i żądając jego natychmiastowej abdykacji pod groźbą wywołania kolejnej wielkiej schizmy. Zapewne jeszcze nie wiecie, ale Jego Świątobliwość, pochodzący z rodu Borgia, jest Hiszpanem, a bogactwa królestwa Grenady, które Ferdynand Aragoński i jego małżonka Izabela Kastylijska właśnie odebrali Maurom mocno przyczyniły się do jego wyboru, jakkolwiek sam osobisty majątek papieża spokojnie by mu go zapewnił.

Grenada... Kastylija... Aragonia... Mikołaj poczuł nagle, że porywa go gwałtowny wichur Historii.

- I oto Polska podejrzewana jest przez Hiszpanię i cesarza Maksymiliana o sprzyjanie zakusom króla Francji wobec królestwa Neapolu. Myślicie: „To przecież daleko od Księstwa Warmińskiego”. Nie tak bardzo, jak się wam wydaje. Pojechałem do Rzymu, aby próbować uzyskać rozwiązanie zakonu krzyżackiego. Jeszcze jako kardynał Rodrigo Borgia Jego Świątobliwość był temu bardzo przychylny i nawet poparł u swojego poprzednika moją prośbę. Ale po nieszczęsnych słowach Jego Wysokości Jana Olbrachta każdy Polak, nawet biskup i książę Warmii, stał się w Watykanie persona non grata. Audiencja, której mi udzielono, była krótka i bardzo oschła. A jeszcze niedawno kardynał Borgia był w stosunku do mnie niezmiernie łaskawy. Mieliśmy ten sam gust, gdy chodzi o sztukę, literaturę...

„I ładne kobiety, wuju!”, uzupełnił w myślach Mikołaj, przywołując obraz pięknej pani wdowy Schilling.

- ... krótko mówiąc, Krzyżacy wkrótce zrozumieją, że mają pełną swobodę działania. Będziemy musieli postawić w stan wojny wszystkie miasta Warmii. Będziemy zmuszeni opuścić Toruń i Gdańsk, które, jak wiecie, należą do króla, lecz w których nieboszczyk Kazimierz IV pozwolił nam przebywać, byśmy mogli parać się handlem. Przywileje przyznane Hanzie mogą zostać wkrótce zniesione na korzyść junkrów. Jeśli chodzi o mnie, osiedlę się na stałe w moim biskupim pałacu w Lidzbarku Warmińskim i wzmocnię jego obronę. Zróbcie to samo we Fromborku, Elblągu, Olsztynie, Pieniężnie, Malborku, w Braniewie.

Na te słowa burgrabia, koadiutor i burmistrz - zarządcy wymienionych miast - skłonili głowy. Mikołaj zaś zadał sobie pytanie, jaka będzie jego rola w tym, co było w gruncie rzeczy szykowaniem się na wojnę. Czy będzie musiał przerwać studia w Krakowie?

- Nie wahajcie się, panowie, czerpać z biskupiej szkatuły, jeśli zajdzie taka potrzeba - podsumował biskup. - Ale, bardzo was proszę, z umiarem, i tylko wtedy, gdy wasze skarbcze będą puste. Możecie odejść, już was nie zatrzymuję. Postarajcie się jak najostrożniej wycofywać na Warmię. Nie potrzeba alarmować Krzyżaków.

Na zakończenie tej długiej przemowy podniósł się z fotela, który śmiało można by nazwać tronem. Każdy podszedł, w porządku wyznaczonym powagą stanowiska, by przed opuszczeniem sali ucałować pierścień. Gdy przyszła kolej na krewniaków, Łukasz powiedział głosem tak donośnym, by każdy mógł go usłyszeć:

- Zostańcie, dzieci, mam wam do powiedzenia jeszcze parę słów.

Zostawszy sam na sam z Andrzejem, Mikołajem i Filipem, biskup rozluźnił się, wymierzył kuksańca w potężną pierś swojego bastarda i głośno się zaśmiał:

- Moje małe pacholątka, rzeczywistość nie jest tak ponura, jak ją odmalowałem tym

dzielnym ludziom. Powiem wam w sekrecie, że to sam Jan Olbracht doradził mi, bym pozostał na stałe w moim biskupstwie. Aby, według tego, co mówi, wypełnić moje posłannictwo. Moje posłannictwo! Oj, śmiałybym się z tego, gdyby nie chciało mi się płakać z wściekłości wobec takiej głupoty. Krótko mówiąc, oto znalazłem się w niełasce. Ale niepotrzebnym wydawało mi się poruszać ten temat przed tamtymi. Och, rozchmurzcie się, mam jeszcze wiernych przyjaciół w Krakowie. Jednak to prawda, że zagrożenie ze strony Krzyżaków znów może się pojawić, jeśli król poprowadzi wbrew wszelkiemu rozsądkowi swoją przeklętą mołdawską krucjatę. Wycofanie się na Warmię nie jest więc bezużyteczne. Filipie, ty wyruszysz jak najszybciej do Braniewa. Powiedziano mi, że byłby z ciebie znakomity burmistrz. Dobrze by było, gdyby ten stary ramol, którego zastąpisz, wkrótce wyciągnął kopyta.

Filip zaczerwienił się pod wpływem komplementu. Kierować garnizonem w wieku dwudziestu trzech lat! Jego marzenie z dzieciństwa miało się w końcu spełnić.

- Gdy chodzi o was, bratankowie, wznowicie wasze ukochane studia w Krakowie. Moje wielkie manewry w Księstwie Warmińskim mogą zaalarmować otoczenie króla. Konieczne jest więc, aby mój pałac w stolicy był jawnie zamieszkiwany. Wasza obecność będzie w pewnym sensie zastawem za wierność mojemu suzerenowi. Będziecie jego zakładnikami. Ale uwaga, żadnych wybryków, dobrze, Andrzeju? Chcę dwóch pilnych, gładkich żaków. Co do ciebie, Mikołaju, nie zdziw się, jeśli ten żaloszny baron Glimski o nic cię już nie poprosi. Byłoby zbyt niebezpieczne, gdyby was spotkano razem. Jeśli chodzi o wymianę listów ze mną, jeśli zechcesz ją kontynuować, żadnych wzmianek o polityce. Bądź nudny! Pisz mi na przykład o gwiazdach i planetach. Podobno możesz mówić o nich bez końca...

Serce Mikołaja zabiło szybciej... Czy wuj wiedział? Ta aluzja...

Pierwsze miesiące po powrocie do Krakowa były spokojne, by nie powiedzieć nudne. Andrzej zmienił się nie do poznania; przesadzał z ostentacyjną cnotliwością tak, jak niegdyś z zapamiętałym dostarczaniem sobie różnych rozkoszy.

Pewnej nocy jego dawna kochanka, o której istnieniu Mikołaj tak długo nie wiedział, zapukała do drzwi biskupiej rezydencji. W zakrywającej twarz woalce została wprowadzona do niedużego gabinetu, w którym siedział, pogrążony w jakiejś pobożnej lekturze, starszy z braci Koperników. Mikołaj akurat w tym momencie wrócił z miłego wieczoru spędzonego z wesołymi towarzyszami przy suto zastawionym stole. U góry, na piętrze, usłyszał krzyki. Zanim zorientował się, co się dzieje, zobaczył ubraną na czarno kobietę, która zbiegła po schodach i rozszlochała się na najniższym stopniu. Kiedy w końcu zrozumiał, kim była i jak brutalnie przegnał ją Andrzej, usiadł obok niej, otoczył ramieniem i próbował pocieszyć, opowiadając historyjkę, według której jego starszy brat dostąpił boskiego objawienia i zdecydował natychmiast po ukończeniu studiów wstąpić do zakonu zachowującego regułę świętego Benedykta.

Kłamstwo jest wiarygodne tylko wtedy, gdy posiada choć zamię prawdopodobieństwa... Na moment w głowie mocno podchmielonego Mikołaja zagościła myśl, czy nie nadużyć sytuacji i bezbronności damy, ale opanował się: nawet jeśli legat papieski, którego była kochanką, został wezwany do Rzymu przez Aleksandra VI, mogłoby to wywołać skandal. W dodatku zbierać resztki po bracie jak po wuju... Nie! Zadowolił się odprowadzeniem biedaczki do drzwi, po czym powrócił do gospody, gdzie najwytrwalsi biesiadnicy nie okazali zaskoczenia, widząc go ponownie.

Gdy po inauguracji roku akademickiego Mikołaj wszedł do Collegium Maius, pierwszą osobą, która rzuciła się w jego kierunku, był Achilles alias Otton Hohenzollern.

- Mój przyjacielu, nareszcie wróciłeś - zawołał swym cienkim, płacziwym głosikiem, chwytając go za ręce i podnosząc ku niemu pełne łez, wielkie niebieskie oczy. - Będziemy znowu mogli toczyć nasze piękne i dobre rozmowy...

Mikołaj, który czuł się zwolniony z przydzielonej przez barona Glimskiego misji, spodziewał się tego spotkania i przygotował się na nie. Dzięki roli szorstkiego mieszkańca warmińskiej prowincji, którą sobie wybrał, miał nadzieję nie sprawić



Niemcowi przykrości. Uwolnił ręce z przykrego dla niego uścisku.

- Achilles, mój stary - rzekł gderliwym, ojcowskim tonem, który na kilometr czuć było Łukaszem - od tej pory nie możemy być widywani razem zbyt często. Jak wiesz, między Prusami i Warmią nie dzieje się teraz najlepiej. Nasza przyjaźń mogłaby nadwerżyć i tak kruchy pokój. Idź już! Zostawiam cię samego. Zachowaj ostrożność, przyjacielu, nade wszystko zachowaj ostrożność!

Zachwycony swoim wystąpieniem i efektem, jaki wywołało na zaskoczonym Achillesie, odszedł swoim męskim, kołyszącym krokiem w stronę grupki wesołych kompanów wołających do niego:

- Miko, z kim tam jeszcze gadasz? Chodź, zobacz, co przywiozłem z Norymbergi!

Achilles posłuchał. Od tej pory, gdy mijał Mikołaja na krużgankach kolegium, robił tajemnicze znaki, mające dawać do zrozumienia, że posiadają wspólny sekret. Kiwanie głową, mrugnięcia okiem, małe gesty czynione ręką wywoływały w Koperniku wściekłą chęć wlepienia mu paru klapsów, zwłaszcza gdy jeden z kolegów, świadek manewrów uskutecznianych przez, jak mawiał, „wariatkę”, rzucił:

- Hej, Miko, twoja wielbicielka mówi ci dzień dobry!

Doprowadzało go to do szewskiej pasji. Ale szybko się uspokajał, bo wzmiankowany kompan był tym Bawarczykiem, który przywiózł mu z Norymbergi przedmiot, o który prosił i który drogo go kosztował: wspaniałe astrolabium wykonane z miedzi, nie zaś z powszechnie używanego do tego celu drewna, wynalazek słynnego Martina Behaima.

Albowiem w końcu Mikołaj zdecydował zająć się na poważnie obserwacją ciał niebieskich, ku ogromnej satysfakcji swego mistrza Wojciecha Brudzewskiego. Ten ostatni uczenie mu wyłożył:

- Tak, jak wszystkie pożyteczne nauki mają poprowadzić ludzki umysł ku wzniosłym rzeczom i oddalić go od ułomności, astronomia, poza przyjemnością, jaką daje, może dokonać tego lepiej niż pozostałe.

Mikołaj zapamiętał sentencję i przetłumaczył ją dla towarzyszy biesiad, powtarzając każdemu, kto chciał słuchać, że astronomia stała się dla niego jak te oliwki pochodzące z Italii i serwowane, by pobudzić apetyt na początku posiłku. Przegryza się od niechcenia jedną i nie wie kiedy, w mgnieniu oka miska jest pusta.

Ale tutaj misa zdawała się nie mieć dna, apetyt Mikołaja zaś ciągle się wzmagił. Usłyszał o jakimś Janie z Głogowa, uczonym, który wykładał przez czternaście lat w Krakowie i pisał w astronomicznych i filozoficznych traktatach, że Słońce jest najważniejszą z planet i rządzi ruchem wszystkich pozostałych. Badacza tego zainspirowało studium Cycerona wpisane w program wykładów Brudzewskiego, które ten szeroko komentował na poparcie swojej krytyki Ptolemeusza: rzeczywiście, Sen Scypiona opisywał Wenus i Merkurego obracające się wcale nie wokół Ziemi, ale dookoła Słońca.

Mikołaj odmawiał jednak zagłębiania się w bardziej uczone dzieła, które polecał mu mistrz, jak Nowe teorie planet Peurbacha i Epitoma Regiomontanusa. Wolał odłożyć ich lekturę na później, aby - jak mówił - nie odbierać sobie przyjemności samodzielnego odkrywania tego bezkresu, w jakim się zanurzał.

Pewnego wrześniowego dnia tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego trzeciego roku, gdy wychodził z wyjątkowo nudnego wykładu z prawa kanonicznego, ujrzał nadchodzącego Achillesa Ottona Hohenzollerna, który, bardzo podekscytowany, wymachiwał małym tomikiem. Nie dało się go ominąć.

- Czytałeś to? Czytałeś?

Mikołaj rzucił okiem na tytuł dzieła i powiedział lekceważącym, znudzonym tonem:

- A, tak! To ten list marynarza z Kastylii, który uważa, że dotarł do Chin od zachodu.  
I cóż z tego?

- To wspaniała nowina! Zatrząsę światem!

- Jeśli nie są to wyspy zagubione pośrodku oceanu. A gdyby nawet chodziło o Indie czy królestwo księdza Jana, nie byłaby to pomyślna nowina dla Polski. Adieu, mam teraz coś do zrobienia.

- Zechciałbyś zjeść dziś wieczór ze mną kolację, żeby o tym porozmawiać? Dostałem list od wuja, pisze, że nie widzi przeszkód, bym spotykał się z bratankiem biskupa Warmii.

Stanowczo trzeba było zakończyć tę znajomość, mimo że Mikołaj nie lubił zadawać innym cierpienia.

- Ale ja widzę jedną poważną przeszkodę. Narzucasz mi się, nie mogę już znieść twojej dziecinnej, czczej gadaniny.

I obrócił się na pięcie, dołączając do czkającego nieopodal przyjaciela z Norymbergi, który rzucił drwiąco:

- A więc rozstanie? Biedna mała Achilletka! Mikołaju, jesteś prawdziwym pożeraczem serc!

- Pewnego dnia, Bernardzie - odpowiedział, śmiejąc się, Kopernik - oberwiesz i nawet nie będziesz wiedział, za co.

Mimo że niezbyt z siebie dumny, czuł ulgę na myśl, że ostatecznie pozbył się Achillesa. Nie wiedział, jak bardzo się mylił. Chłopiec zaczął słać do niego błagalne,

tonące we łzach listy, wiersze... Codziennie jeden list, przez cały miesiąc. Mikołaj przestał je czytać, ale męczyło go to niepomierne, zwłaszcza że goniec za każdym razem pytał go, czy będzie jakaś odpowiedź. W końcu, nie mogąc dłużej tego znieść, ruszył porozmawiać z Achillesem, widząc go na wielkim dziedzińcu kolegium. Ten zapłakany oczyma śledził jego nadejście.

- Dość już twojej łzawej pisaniny. Przestań natychmiast albo dostarczę ten stos listów, których nawet nie otworzyłem, do pałacu arcybiskupa! Dobrze wiesz, ile kosztuje oskarżenie o sodomie: ogień buzujący pod twoimi małymi stópkami!

Następnie odwrócił się do chłopca plecami, zły na samego siebie, że nie umiał lepiej powściągnąć złości i języka. Rezultat został jednak osiągnięty: korespondencja ustała, a Achillesa Hohenzollerna nie zobaczono już w Collegium Maius.

Minęło parę tygodni. Potoki zimnego deszczu zalewały Kraków, tocząc rwące wody wiodącymi do zamku stromymi uliczkami. Przed kominkiem w wielkiej sali wujowskiej rezydencji Mikołaj, nie mogąc oddać się obserwacjom Księżyca, który był pewnie teraz w pełni, znalazł pocieszenie w lekturze dzieła niemieckiego kardynała rodem z Kuzy, swojego imiennika. W dziele tym pod tytułem O oświeconej niewiedzy, które stwierdzało, w opozycji do Ptolemeusza, nieskończoność wszechświata, Mikołaj zaznaczył jedno zdanie, które go zafascynowało: „Świat ma środek wszędzie, obwód zaś - nigdzie”. Wyłapał mniej więcej to samo sformułowanie w książce Ficina, której tytułu nie mógł sobie przypomnieć. Wszystko to bardzo piękne, tylko, niestety, nieudowodnione rachunkiem matematycznym. Może u Regiomontanusa...

Wszedł służący, oznajmiając, że jakiś człowiek, który nie zdradził swojego nazwiska, chciał się z nim widzieć. Mikołaja zaintrygowało, kim może być gość przybywający przy takiej pogodzie i o tak późnej porze. Każąc wpuścić przybysza, przyrzekł sobie, że jeśli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności będzie to „Achilletka”, to przegna go mocnym kopniakiem w zadek. Nie była to jednak Achilletka, lecz wysokiego wzrostu jegomość, który zgodził się zdjąć ociekający wodą płaszcz z naciągniętym na twarz kapturem

dopiero po tym, jak służący wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Baron Glimski! - wykrzyknął Mikołaj.

- Żadnych nazwisk, panie Kopernik, żadnych nazwisk! - przerwał dawny namiestnik straży króla Kazimierza IV i omiół salę ukradkowym spojrzeniem swych wąskich oczu o ciężkich powiekach, jakby chciał się upewnić, czy aby na pewno są sami.

Kopernik nie lubił tego człowieka, który budził w nim strach. Podsunął mu fotel i z udawaną życzliwością zaproponował kieliszek wina przywiezionego mu przez powracającego z Italii przyjaciela. Glimski niecierpliwym ruchem ręki odmówił. Mikołaj zdecydował wyprosić gościa za drzwi, jeśli nadal będzie się zachowywać równie arogancko. Zdecydowanie nie cierpiał tego człowieka.

- Czemuż zawdzięczam niezwykłą radość z pańskiej wizyty? - odezwał się z wyszukaną ironią. - Przecież mój wuj, Jego Wielbność Łukasz, oficjalnie zakazał mi się z panem spotykać.

Rozparty w fotelu baron skrzyżował swe długie, obute w wysokie, zabłocone buty nogi.

- Przez pańskie burzliwe studenckie przyjaźnie postawił nas pan w bardzo niebezpiecznym położeniu, panie Kopernik...

- Nie rozumiem. Czy może pan przestać mówić aluzjami i choć raz wyrażać się trochę jaśniej?

- Achilles Hohenzollern odebrał sobie życie.

Mikołaj zerwał się z krzesła.

- Co pan mówi?

Najwyraźniej czując się u siebie, Glimski kazał mu najpierw wrócić na miejsce, a następnie opowiedział, iż przed dziesięcioma dniami odnaleziono zwłoki Achillesa z zawiązanym na szyi sznurem w sieciach, które rybacy zastawiają czasem w poprzek rzeki poniżej miasta. Przy nieszczęśniku znaleziono list, którego treść przekazano baronowi, mającemu jeszcze wśród straży paru zauszników.

- A w tym liście niestety pisze tylko o panu. Wydaje się obciążać pana odpowiedzialnością za to, co, jak się zdaje, było zamachem na samego siebie, czyli samobójstwem.

- Obciążać odpowiedzialnością? Ale za co?

- Za zniszczenie najpiękniejszej i najszlachetniejszej z przyjaźni. To dosyć zagmatwane: pisze o uczcie, w jakiej mieliście obydwaj uczestniczyć u niejakiego Platowa, i która miała być decydująca w jego fatalnej decyzji...

- Platow? Ależ ja nie znam...

Nagle zrozumiał i nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu: Uczta... Platon...

- Nieważne - kontynuował Glimski. - Nie pozwolono mi skopiować tego listu. Tak czy inaczej postawił się pan w bardzo groźnej sytuacji, panie Kopernik.

- Ależ ja za nic nie jestem odpowiedzialny!

- Jak taki mądry chłopak jak pan może być tak ślepy? Sądzi pan, że rodziny takie jak Hohenzollernowie godzą się, by ciało jednego z ich dzieci zostało spalone, a jego prochy rozsypane? To los wszystkich samobójców, panie studencie prawa kanonicznego. Oskarżą pana o zabójstwo ku uciesze wielu osób na dworze! A mniej więcej zażegnany

konflikt między Prusami a Warmią przekształcił się w wojnę klanów: brandenburskiego i biskupa Łukasza Watzenrodego. To najgorsza rzecz, jaka mogłaby się nam przytrafić.

Rozdarty między paniką a złością Mikołaj wybrał tę ostatnią:

- To również pańska wina! Gdyby nie narzucił mi pan niepotrzebnej zresztą roli nędznego szpiega wobec tego biednego chłopca, który najwyraźniej był niespełna rozumu, nie doszłoby do tego. I dlaczego ostrzega mnie pan tak późno? Dziesięć dni!

Chuda twarz Glimskiego przybrała niepokojący wyraz.

- To nie czas na wylewanie żalów. Zresztą, niech pan nie sądzi, że pańska misja zdała się psu na budę. Gdy chodzi o te dziesięć dni... Powracam z Warmii. Zajechałem na śmierć dwa konie. Pański wuj i ja mieliśmy pomysł, by wysłać pana do Italii, gdzie kontynuowałby pan studia i co pozwoliłoby, żeby w parę lat o panu zapomniano. Niestety, okoliczności są niesprzyjające: wojska Karola VIII, króla Francji, przekroczyły Alpy i idą na Neapol. Dlatego proszę spakować się, pański brat niech uczyni to samo; bagaż musi być jak najlżejszy. Tej nocy wyjedziecie do Lidzbarka Warmińskiego. Kapitan Filip Teschner czeka na was z solidną eskortą za tajnym wejściem od północy. Nie będę mógł wam towarzyszyć - moja przedłużająca się nieobecność przy Jego Wysokości wielkim księciu mogłaby wzbudzić podejrzenia. Teraz niech pan idzie przygotować bagaże, i proszę o wygodne łóżko. Jestem zmordowany. Jutro odeślę służbę i zamknę pałac, o co prosił mnie pański wuj.

Pędzili nocą co koń wyskoczy, twarze smagał im zacinający deszcz. Bez przeszkód wyjechali poza mury, budki strażników stały puste. Co ciekawsze, północne przejście stało otworem. Pozostający w niełasce Glimski miał jeszcze sporo przyjaciół... Niezawodny Filip zgodnie z planem czekał na nich w otoczeniu piętnastki uzbrojonych ludzi. Powitanie było wylewne, lecz krótkie. Musieli jak najszybciej zostawić za sobą Kraków. Dopiero o świcie, grząskim i szarym pod deszczowym niebem, ich wierzchowce przeszły w stępa. Mała grupka często krążyła, omijając miasta. Zawinięci w peleryny

spali w wiejskich oberżach lub gospodarstwach. Mimo zmęczenia, wyciągnięty na swym sienniku Mikołaj nie potrafił zasnąć. A kiedy w końcu udawało mu się zdrzemnąć, budził się zaraz zlany potem. We śnie widział unoszącą się na wodzie szczupłą, białą twarz Achillesa Hohenzollerna spoglądającą na niego uważnie załzawionymi niebieskimi oczami, dopóki nie zniknęła pośród rybackich sieci.

Pomimo niebezpieczeństwa napotkania penetrujących te tereny oddziałów krzyżackich, w miarę zbliżania się do kresu podróży towarzystwo stawało się coraz radośniejsze. Szczególnie Andrzej, który zamienił ciemny ubiór księdza na wojenny żołnierski strój widoczny spod długiego futra ze srebrnych lisów i, śpiewając na całe gardło marszowe albo myśliwskie pieśni, nie odmawiał łyeczka gorzałki z pełnego po brzegi bukłaka, który podawał mu jeden z członków eskorty. To był znowu Andrzej ze starych czasów, swobodny, zawsze skory do żartów, uprzejmy dla wszystkich, nawet najmniejszych. Za to Mikołaj, którego niegdyś nic tak nie bawiło jak konne przejażdżki poza miasto uwalniające ciało i umysł od dni spędzanych nad zakurzonymi księgami, przez całą drogę trzymał się na uboczu, posępny i milczący.

Biskup, pod pozorami szorstkości skrywający niezwykłą przenikliwość, natychmiast dostrzegł u swego ulubionego bratanka zmianę spowodowaną śmiercią młodego Hohenzollerna. Biskupia rezydencja w Lidzbarku Warmińskim była fortecą w każdym calu, obecnie postawioną w gotowość. Łukasz ostentacyjnie ujął Mikołaja pod ramię i wziął go na bok, pod wyglądające jak otwór strzelniczy okno z widokiem na równinę. Usiedli naprzeciwko siebie na dwóch małych kamiennych ławach, na których rozłożono malwowe poduszki ze złotymi pomponami.

- Uwierz mi, mój chłopcze - powiedział dostojnik łagodnym głosem. - Nie masz powodów, by czuć się odpowiedzialnym za śmierć tego biednego dziecka. To trochę moja wina. Nigdy nie powinienem był zgodzić się na prośbę Glimskiego, by powierzyć ci tak idiotyczną misję. Zastanawiam się zresztą, czy nie próbował mnie w ten sposób skompromitować.



- Skompromitować? Nie rozumiem, wuju...

- Ależ tak, popatrz: zmuszając cię, byś nawiązał przyjaźń z tym słabym i delikatnym Hohenzollernem, chciał wzbudzić podejrzenia naszych wrogów Krzyżaków, że próbujemy użyć ich potomka przeciwko nim. Jeśli chodzi o Związek Pruski, za którego siłę napędową jestem uważany, mógłby zacząć podejrzewać mnie o zmianę obozu.

Mikołaj nie potrafił powstrzymać grymasu niedowierzania, tak okropnie dziwne wydało mu się to wszystko. Łukasz zauważył malujący się na jego twarzy sceptycyzm i oschłym tonem dorzucił:

- Jeśli chcesz pewnego dnia działać na polu polityki, a, jak mi się wydaje, posiadasz po temu wszelkie uzdolnienia, musisz być mniej naiwny, bratanku. Glimski to niebezpieczny człowiek, którym kieruje wyłącznie własny interes. Podczas wizyty u mnie twierdził, że to Hohenzollernowie mieliby upozorować samobójstwo, by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć się niewydarzonego potomka i wplątać ciebie w tę śmierć. To jest możliwe. Widywało się gorsze rzeczy. Ale przyszła mi do głowy inna możliwość, o której nie wspomniałem oczywiście ani słowem: Glimski ma swoje powody, by doprowadzić do wybuchu nowej wojny z Krzyżakami.

Mikołaj nie miał pojęcia, jakież to interes mógłby mieć baron w zerwaniu rozejmu, ale powstrzymał się od pytań, z zapalem przytakując słowom wuja. W głębi ducha nie przekonywała go idea zbrodni upozorowanej na samobójstwo. Nie, życie i śmierć były o wiele prostsze niż te wszystkie wyimaginowane spiski Łukasza i Glimskiego.

Mikołaj dopiero co skończył dwadzieścia lat.

### III

Przez następne dwa lata Mikołaj Kopernik czekał. Wciąż był zapisany na uniwersytet krakowski i, mimo że przez cały ten długi czas nie pojawił się tam ani razu, jego nazwisko wciąż było odnotowywane w rejestrach na początku i na końcu roku akademickiego - przyjaciele, których biskup miał jeszcze w Krakowie, dbali o to, fałszując podpisy. Była to jednak droga przyjemność. Poza wpisowym dwóch pseudostudentów, trzeba było jeszcze zapewnić „przyjaciółom” sutą rekompensatę za ich zaangażowanie. Sieroty po bogatym kupcu Koperniku, którego cztery okręty pływały jeszcze po Bałtyku, nie musiałyby się o to kłopotać, gdyby południowe szlaki nie zaczynały się zamykać pod gwałtownymi ciosami zadawanymi Wenecji i Wiedniowi przez tureckiego sułtana Bajazeta II.

Lecz coś innego stawało się coraz bardziej niepokojące: Andrzej. Wkrótce po osiągnięciu pełnoletności, starszy z braci Koperników zdecydował się wyjść spod skrzydeł wuja i wziąć w swoje ręce ojcowskie sprawy, których był, jako pierworodny syn, jedynym spadkobiercą. Nikt nie wyrażał większych sprzeciwów, wychodząc z założenia, że nawet jeśli nie wykazał się szczególną zdolnością do studiów, to może zrealizuje się w handlu. Wyruszył więc Andrzej do Torunia, gdzie znajdowała się siedziba przedsiębiorstwa „Kopernik i synowie”. Wkrótce doszły ich wieści, że w sprawnie funkcjonującej firmie wyrzucił wszystko do góry nogami. Dodatkowo prowadził wystawne życie, każąc wyburzyć starą rodzinną posiadłość i wybudować w jej miejsce rodzaj pałacu na włoską modłę. Po jakimś czasie obwieścił w liście do młodszego brata, że zamierza wyjechać do Hiszpanii, by zrealizować swój zamiar nawiązania trwałych stosunków handlowych z Kastylią, teraz, gdy z Ponant otwierała się droga na Wschód, szlak złota i przypraw korzennych. Mikołaj i jego wuj nie krytykowałiby nawet tych działań, gdyby przyjaciele z Hanzji nie zaalarmowali ich, że żyjąc tak bardzo ponad stan Andrzej zmierzał prostą drogą do bankructwa. Oto, co ucieszyłoby wrogów biskupa Warmii i włożyłoby im do ręki dodatkową broń przeciwko niemu. Cóż robić? Zwołać rodzinną radę?

Na razie należało zabezpieczyć przyszłość Mikołaja. Przyszłość, która była już dla biskupa wytyczona: sukcesja po nim albo inne biskupstwo w regionie. Takich nie brakowało. Droga do spełnienia marzeń miała być jednak długa. Wkrótce miały się zwolnić stanowiska kanonika w kapitule we Fromborku, gdyż dwóch z jej członków było już mocno podeszłych w latach. Ten port w pełnym rozkwicie, ukryty w Zalewie Wiślanym, nazywanej tak przez mieszkańców miasta zatoce, do której wpadał tylko jeden z dopływów rzeki, był dobrze chroniony od gwałtownych sztormów Morza Bałtyckiego przez wał przybrzeżny i miał tę przewagę nad swoim rywalem Gdańskiem, że lód skuwał go zawsze kilka tygodni później. Ponadto te dwa porty hanzeatyckie nie podlegały jednej jurysdykcji, gdyż Gdańsk zależał bezpośrednio od królewskiej administracji, podczas gdy Frombork znajdował się pod jurysdykcją biskupa Warmii. Ten ostatni poprzez liczne ulgi podatkowe zachęcał handlowe statki do rzucenia kotwicy we fromborskim porcie.

Funkcja kanonika cieszyła się dużym powodzeniem. We Fromborku było ich szesnastu, w tym dwóch umierających. Nominacja na to stanowisko może wywołać uśmiech u nas, protestantów. Jednego miesiąca nowego dostojnika mianował papież, następnego biskup. Z niecierpliwością oczekiwano więc zbliżającej się śmierci urzędującego kanonika. Niekiedy nawet nieco ją przyspieszano. I u wezglowia umierającego, w biskupim pałacu alborzyskich westybulach snuto intrygi, by otrzymać dla siebie lub swojej rodziny tę hojnie czerpiącą z beneficjów synekurę. Ale biskup Łukasz nie zamartwiał się tym zbytnio. Wiedział, że Aleksander VI miał na głowie inne rzeczy: francuską inwazję, ataki mnicha Savonaroli, królów hiszpańskich i portugalskiego monarchę, którzy prosili go, by podzielił ziemię wzdłuż południka, jedną część przyznając Izabeli Kastylijskiej, a drugą Janowi II Doskonałemu.

Łukasz, zazwyczaj subtelny polityk, tym razem dał dowód zbytnej pewności siebie. Stało się to, kiedy w końcu jeden z fromborskich kanoników wyzionął ducha. Miało to miejsce podczas papieskiego miesiąca. Zanim ciało zmarłego na dobre ostygło, biskup Gdańska wysłał do Rzymu emisariusza z jukami wypchanymi bogatymi podarkami.

Wysłannik wkrótce powrócił z nominacją swojego kandydata, potomka jednego z najbardziej liczących się kupców w biskupstwie.

Łukasz nie miał mu tego za złe - walka była uczciwa, i tylko w skrytości ducha ganił się za swoją nonszalancję. Co do drugiego fromborskiego kanonika, to umierał, umierał, i nie mógł umrzeć. Można pomyśleć, że znajdował w tym przyjemność. Biskup Warmii wahał się przez moment, czy nie skrócić jego cierpień, ale w końcu zdecydował się czekać. Dwa zgony w diecezji w tak krótkim czasie mogłyby wywołać plotki. Tymczasem należało łożyć na młodszego z bratanków, bo ten w wieku dwudziestu jeden lat ciągle nie miał wyrobionej pozycji w świecie, podczas gdy biskup pokładał w nim wielkie nadzieje. Wkrótce okazało się, że jakaś posada ma się zwolnić na Śląsku. Nadarzała się prawdziwa okazja - tamtejszy książę biskup był jednym z najserdeczniejszych przyjaciół Łukasza. W ten oto sposób Mikołaj Kopernik został scholastykiem w kolegiacie Świętego Krzyża we Wrocławiu. Wcale miła prebenda.

- Kiedy będę musiał wyjechać, żeby tam nauczać, wuju?

Na to pytanie Łukasz wybuchnął gromkim śmiechem, od którego cały się trząsł.

- Wiedziałem, że jesteś naiwny, mój miły Miko, ale nie każ mi wierzyć, że jesteś głupi. Jeśli pewnego dnia udasz się do Wrocławia, to tylko po to, by skorzystać z przyjemności, jakie oferuje to miłe miasto, albo w charakterze dyplomaty. Tymczasem pozostań tutaj i uzbrój się w cierpliwość! To, o czym marzysz i o czym ja marzę dla ciebie, nastąpi. Uwierz ojczulkowi Łukaszowi!

Cierpliwość... skąd ją wziąć w tej posępnej twierdzy? Biblioteka była tu straszliwie uboga. Mikołaj błagał w słanych do przyjaciół listach o jakieś książki, choć kilka nowości... I zdawało mu się, że zawsze zwlekali z odpowiedzią, że zapominali o nim, zagubionym w tych bagniskach i w tej spowijającej wszystko mgle.

Krótko po powrocie z Krakowa dowiedział się przez barona Glimskiego, że pałac

wuja w stolicy został splądrowany i zupełnie ogołocoony przez złodziei. Tym, co zmartwiło go najbardziej, była strata astrolabium z Norymbergi. Wkrótce z kilku kawałków drewna zbudował laskę Jakuba wyposażoną w listwę z podziałką i przeziernik, złożoną z dwóch prostopadle skrzyżowanych listew w taki sposób, by krótsza, mogła przesuwac się po dłuższej. Ten przyrząd pozwalał mierzyć wysokość gwiazd, a więc szerokość geograficzną miejsca obserwacji; umożliwiał także pomiary topograficzne, na przykład ustalenie wysokości budynku lub jego oddalenia. Jednak zakres błędu obserwacyjnego był znaczny i Kopernik szybko zaniechał pomiarów.

W końcu, po upływie długiego roku, zmarł drugi kanonik z Fromborka. Nie był to ten, którego śmierci oczekiwano, a okoliczności zgonu - upadek z konia - były na tyle niespotykane, by co poniektórzy zaczęli powątpiewać w jego przypadkowość. W każdym razie wakans przydarzył się w odpowiedniej chwili, w miesiącu parzystym, kiedy to biskupowi przypadało wyznaczenie następcy zmarłego.

Kiedy wuj obwieścił nowinę o jego nominacji, Mikołaj nie mógł powstrzymać ciężkiego westchnienia. Perspektywa dożycia swoich dni w tym porcie na końcu świata nie miała w sobie nic pociągającego dla pełnego energii dwudziestodwuletniego młodzieńca, z duszą wrzącą śmiałymi ideami, spragnioną wiedzy, poznania, mądrości, niecierpliwie wyglądającą okazji, by wyruszyć na odkrycie nowych horyzontów.

- Kiedy mam tam zamieszkać? - zapytał Łukasza, kładąc pogardliwie nacisk na słowo „tam”.

- Zamieszkać? Przesadzasz, mój chłopcze! Sądzisz, że powierzę moją katedrę we Fromborku nic niewiedzącemu żółtodziobowi, który nie ma żadnego tytułu z prawa kanonicznego?

Żółtodziób popatrzył na biskupa z takim osłupieniem, że Łukasz ze śmiechu zapadł się w fotelu. Otarł spływającą łzę i, przyjmując właściwą sobie godną postawę, w końcu powiedział:

- Udamy się „tam” już jutro, bym mógł przedstawić cię twoim przyszłym piętnastu współbraciom. Masz być skromny i pełen szacunku. Czas na podpisanie rejestrów, co pozwoli ci sięgnąć po twoje beneficjum - biorąc pod uwagę twój wiek, mój chłopcze, nie możesz być już na moim utrzymaniu...

Biskup zrobił krótką przerwę i z figlarnym błyskiem w oku podjął:

- Czas także, by kapituła przyznała mi trzyletni urlop dla ciebie. Niech tylko spróbują odmówić!

- Trzy lata... Ale co... - bełkotał nic nierozumiejący Mikołaj.

- To, gamoniu: pakuj kufry i ruszaj do Italii!

Mikołaj o mało nie zemdlął z radości. Italia!

Eskorta dowodzona przez Filipa opuściła Mikołaja dopiero w Toruniu, gdy pozostawili daleko za sobą niebezpieczeństwo krzyżackiej napaści. Jedną noc zaledwie spędził Kopernik w rodzinnym mieście. Zatrzymał się w gospodzie, bo dom jego dzieciństwa stał zamknięty: jak widać, Andrzej wciąż znajdował się gdzieś między Sewillą i Lizboną.

Wczesnym rankiem przekroczył mury miasta, nareszcie sam, nareszcie wolny na szerokich gościńcach. Sam... niezupełnie. Wuj przydzielił mu służącego, olbrzymą z płaską, pozbawioną zarostu twarzą, którego nazywali Radom. Mikołaj zadawał sobie niegłupie pytanie, w jaki sposób potężne, grube jak konary ręce nowego giermka będą w stanie cerować jego koszule i krochmalic kołnierzyki. Nazajutrz próbował dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego, który miał być jedynym towarzyszem tej długiej podróży. Nie udało mu się wyciągnąć nic poza kilkoma monosylabami lub raczej pomrukami. W głębi duszy, w świeżości tego letniego świtu, siedząc na wysokim francuskim koniu, ze

szpadą kanonika-szlachcica cieszył się z tej niewidocznej obecności podążającej za nim krok w krok. Radom potrafił sprawić, by zapomniano o jego obecności, tak jak o obładowanej bagażami mulicy, która zamykała mały orszak. Mikołaj Kopernik był sam, był wolny, był szczęśliwy: podróżował.

Oczywiście, zajęli miejsce w centrum grupy solidnie uzbrojonych kupców udających się do Norymbergi, którzy jednak nie próbowali spoufalać się z tym, o którym wiadomo, iż należał do rodziny możnej osobistości. Mikołaj zaś cieszył się, że nie przyłączyli się do nich inni studenci.

Po zielonych równinach przerywanych długimi jeziorami o srebrzystym odcieniu, krajobraz zaczął stawać się bardziej górski, mniej monotony. Wjechali do Saksonii. Drezno było piękne, powietrze w nim nieprawdopodobnie łagodne i słodkie. Potem były lasy Turyngii, długi i wąski grzbiet, z którego schodziło się, nie czując, że pokonuje się jakąkolwiek przeszkodę.

Mikołaj korzystał z długich godzin jazdy, aby rozwijać swój talent rysownika. Italia w pełni zasługiwała na miano najwłaściwszego kraju, by rozbudzać wyobraźnię i wyrabiać gust dzięki wspaniałości i różnorodności miast, pięknemu niebu, majestatowi zabytków historii i splendorowi sztuk. Mikołaj zawsze uważał, że aby być w stanie docenić arcydzieło malarstwa, rzeźby czy architektury, należy poznać arkana sztuki. Poza tym rysowanie było podczas tej podróży do Italii świetnym sposobem na zbieranie wrażeń, utrwalanie wspomnień najpiękniejszych miast i naukę sporządzania map.

W końcu pewnego dnia ukazało się ich oczom ukryte w sercu cesarskich lasów miasto Norymberga z zastępami dachów krytych brunatną i czerwoną dachówką, przypuszczających atak na górujący ze stromego szczytu potężny zamek, do którego wiodły je koronkowe strzelistości stu kościelnych iglic z połyskującymi na szczytach złotymi kulami i chorągiewkami. Im bliżej byli opasłych murów, tym częściej wzdłuż wykładanej tłucznem drogi pojawiały się kuźnie. Wartkie wody rzeki Pegnitz obracały łopatkowe koła, unosząc, przyprowadzając o przyspieszone bicie serca, ciężkie młoty.

Pod bramą urzędu celnego strażnicy zaledwie rzucili okiem na podane przez Kopernika paszporty. Jedna brązowa moneta wystarczyła, by go przepuszczono z miłym powitaniem: „Witajcie w cesarskim wolnym mieście Norymberdze”. Zachwycony tym przyjęciem Mikołaj zapytał o najlepszą gospodę w mieście. Jeden ze strażników wskazał mu oczywiście przybytek prowadzony przez szwagra. Młodzieniec zrobił uprzejmą minę sugerującą, że uważnie słucha wskazówek swojego rozmówcy, przyrzekając sobie jednocześnie, że nie popełni błędu popełnianego na poprzednich postojach, kiedy to opisywany piękny zajazd okazywał się niezmiennie brudną norą. Mikołaj pieczołowicie przygotowywał swoją podróż wraz z wujem, który sprawiał wrażenie, że odwiedził wszystkie miasta świata. Lecz tutaj nie miał najmniejszej ochoty spać u tego czy tamtego kanonika, urzędnika lub członka małej rady dwudziestu trzech rodzin, będących z pewnością najlepszymi przyjaciółmi biskupa.

Nie, do Norymbergi pasowała gospoda, tak jak do Krakowa akademia. Najważniejsze były tutaj praca, rzemiosło i bogactwo. A także radość. Ze wszystkich okien, wszystkich sklepików słychać było śpiew w rytm stukania narzędzi kształtujących miedź, srebro, żelazo. Na głównym placu Mikołaj zdecydował się na oberżę „Pod herbem Wenecji”. Zeskoczył z konia i dał znak, by Radom rozkulbaczył mulicę.

- Ale jaśnie panie, Jego Wielbność biskup mówił nam, byśmy zatrzymali się w ratuszu u Jego Eksceleńcji Ulmana von Stromera - zaprotestował sługa dziwnie wysokim głosem jak na tak potężne ciało.

- Ty mówisz? To coś nowego. Będziesz mógł pocieszyć mojego wuja, ty wstrętny szpiegu, ponieważ pójdę złożyć panu burmistrzowi wizytę, z tym, że wtedy, gdy nabiorę na to ochoty.

- Ale Jego Wielbność biskup...

- Wystarczy! Jego Wielbność biskup jest teraz daleko. A od tej pory ja jestem twoim



jedynym panem. Zaprowadź zwierzęta do stajni. Pójdę spytać o pokój.

Wolny, tak, był wolny od wuja i całej reszty. Oberża była wspaniała, a izby w niej przestronne.

O dwa dni odłożył wizytę u burmistrza, kolejnego wielkiego przyjaciela wuja Łukasza. Natomiast już następnego ranka poprosił o przyjęcie przez tego, którego pod niebiosa wynosił jego nauczyciel z Krakowa i którego znakomite miedziane astrolabium przywiózł mu bawarski kolega: Martina Behaima.

Mikołaj spodziewał się, że przyjmie go skurczony, mały staruszek w szlafroku, ze skrytymi za binoklami oczyma niemal całkiem wypatrzonymi na księgach i obserwacji nieboskłonu. Tak właśnie wyobrażał sobie osoby wykonujące zawód kartografa czy produkujące przyrządy miernicze. Wyobrażenie zdało się potwierdzić, gdy zgarbiona i chroma służąca wprowadziła go do wielkiego gmaszyska, w którym pachniało czystością i woskiem, stojącego przy ulicy wychodzącej na plac, gdzie wznosiła się jego gospoda. Poprowadziła go na podwórze za domem, zajęte prawie całkowicie przez budynek w rodzaju długiego hangaru z cegły z górującym nad całością wysokim kominem, takim, jakie miały piekarnie albo kuźnie.

Był zaskoczony. I poczuł, jak oblewa go pot. W letnie przedpołudnie znalazł się bowiem w długiej na całą budowlę izbie, na końcu której pośrodku paleniska stał poczerniały gar wyglądający, jakby miał eksplodować w huczącym ogniu. Nieopodal znajdowała się rupieciarnia pełna narzędzi, ekierek, zwojów papieru. Na samym środku zgrzytało koło wprawiane w ruch pedałem naciskanym przez stojącego tyłem półnagiego mężczyznę o szerokich, muskularnych, owłosionych plecach. Martin Behaim odwrócił się, gdy zaanonsowano gościa. Ubrany był wyłącznie w spodnie z grubego, szarego płótna i kowalski skórzany fartuch. Twarz zakrywała długa, rozwiana broda, bardzo ciemna, w której wily się pasma srebrzystych włosów. Spod krzaczastych brwi spoglądały błyszczące, trochę straszne, szmaragdowozielone oczy. Podniósł się z taboretu, wytarł o fartuch czarne od sadzy ręce, po czym energicznie uściśnął dłonie

Mikołaja.

- Zatem pan jest tym słynnym Kopernikiem? Proszę nie udawać zdziwienia. Stary Brudzewski wynosił pana pod niebiosa... Jest pan według niego chodzącą encyklopedią, cudownym dzieckiem żonglującym Euklidesem jak kuglarz piłeczkami. Drugi Pitagoras, zmartwychwstały Tales z Miletu!

Kopernik skromnie zaprzeczał. Był zaskoczony, że mistrz mówił o nim w ten sposób, i to aż w Norymberdze. Oczywiście, wiedział o swoich uzdolnieniach w tej dziedzinie i w kilku innych, ale sądził, że były proporcjonalne do raczej przeciętnego poziomu polskiego uniwersytetu. Gdy Behaim opowiadał o swoich spotkaniach i korespondencji z Brudzewskim oraz innymi osobami o obco brzmiących nazwiskach, uwagę Mikołaja przyciągnął dziwny przedmiot umieszczony na stoliku w kącie pokoju: przebita osią kula ziemiska o średnicy jednego łokcia, pomalowana w żywe kolory.

- Ogląda pan mój globus? - spytał Behaim, który nie wydawał się zły, że młodzieniec już go nie słucha.

- Tak, i zastanawiam się...

- Ależ to Ziemia, panie Kopernik, nasza matka Ziemia!

Nie pytając o pozwolenie Mikołaj podniósł się i podszedł bliżej. Tak, to rzeczywiście była Ziemia. Namalowano na niej świat chrześcijański z flagami każdego narodu, w tym Hiszpanii wystawiającej swojego iberyjskiego lwa przeciwko mrocznemu morzu; poniżej Afryka i jej bajeczne zwierzęta z umieszczonymi wzdłuż brzegów portugalskimi proporcami...

- Mogę? - zapytał Mikołaj zdjęty nagłą nieśmiałością, by nie powiedzieć świętą grozą.

- Ależ proszę bardzo! Niech pan nim pokręci, po to jest zrobiony. Ta oś jest zresztą jednym z tych moich wynalazków, z których jestem szczególnie zadowolony, bo globusy robione przez mych współpracowników osadzone były na stałe i niewygodnie się ich używało. Co do reszty...

Kopernik jakby od niechcenia położył wskazujący palec na samej górze, na Zatoce Gdańskiej. Opasła kula zaczęła obracać się dookoła własnej osi, pod zaopatrzoną w podziałkę półkolistym łukiem: Ziemia Święta, domniemane królestwo księdza Jana, Indie, Chiny, jeszcze ocean i wyspy Antyle, archipelag Świętego Ronana, aż wreszcie Europa znów pojawiła się pod jego palcem.

- Zresztą - ciągnął Behaim, szczerze ubawiony pełną ekstazy miną swojego gościa - zachowałem go tylko dlatego, że to pamiątka mojego pobytu w Lizbonie, bo nie odpowiada już obecnemu stanowi wiedzy o świecie.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Proszę mi wybaczyć, jestem bardzo głodny. Zechce pan towarzyszyć mi przy obiedzie? Ale przedtem założę coś bardziej stosownego. Tymczasem niech pan przejrzy tę rzecz. To tablice astronomiczne mojego zmarłego mistrza Johanna Müllera, znanego pod łacińskim imieniem Regiomontanus. I proszę je zatrzymać, mam tyle kopii, że nie wiem, co z nimi robić. Obdarowuję nimi wszystkich gości.

Posiłek był wysmieniony i suto zakrapiany. Mikołaj żałował tylko, że drobno pokrojona kiszona kapusta została przyrządzona z baraniną i drobiowym mięsem, a nie, jak lubił, z wieprzowiną. Zdziwił się także, że pan domu nie odmówił przed posiłkiem nawet najkrótszej modlitwy i nie nakreślił na chlebie znaku krzyża, zanim podzielił go między współbiedniaków. Albowiem, poza młodą małżonką Behaima, ciemnowłosą, drobną, o przeogromnych oczach i niesłychanie delikatnych rysach, którą geometra przed sześcioma laty przywiódł ze sobą z Portugalii, w posiłku uczestniczył brodaty i długowłosy mężczyzna mniej więcej w wieku Kopernika, który zdawał się być

przepojony nieskończonym smutkiem. Ów Albrecht Dürer, parający się grawerstwem, odzywał się z rzadka i obdarzał Behaima niepozabawioną szczypty żartobliwej ironii synowską czułością.

- Niestety, panie Kopernik, pana też to nie ominie - westchnął komicznie, kiedy ich gospodarz, sprowokowany pytaniami Mikołaja, zaczął opowiadać historię swojego globusa i innych przygód i wędrówek.

Przed piętnastoma laty Martin Behaim znany był w świecie chrześcijańskim jako najlepszy uczeń niekwestionowanego mistrza geometrii i astrologii, nieżyjącego już Regiomontanusa z Norymburgi. Dla tej przyczyny infant Portugalii, przyszły Jan II Doskonały, wezwał go do siebie, chcąc podjąć kolejną próbę przetarcia morskiego szlaku do Indii wzdłuż wybrzeży południowej Afryki.

- Lizbona była wtedy nowym Jeruzalem. Sasi, Bawarczycy, Florenczycy, Weneccjanie, Genuieńczycy, Normanowie, mistrzowie murarscy, geometrzy, bankierzy... Ach! Wymyślaliśmy najlepsze metody nawigacji, pełni wesela, używając słów wszystkich krajów świata, cóż za radosna wieża Babel! I kobiety, ach, te kobiety! Z małżonkami na morzu. Och... Disculpe, Umbellina!

- Nao faz mal, Martin - odpowiedziała małżonka Behaima z dziecięcym uśmiechem, szelmowsko puszczając oko do męża.

Lecz i na Martina Behaima przyszła kolej, by wyruszyć w morze. Opłynął wybrzeża Afryki i zagłębił się w koryto rzeki, którą uważał za przesmyk wiodący do Indii. Na próżno. Jego karawela, dowiedziona przez kapitana Diego Cao, powróciła do Lizbony. Przez wiele lat pracował z dwoma Genuieńczycami, braćmi Kolumbami, nad mapami i portulanami. Starszy z nich, Krzysztof, poprosił Behaima o zbudowanie tego globusa w celu udowodnienia królowi Janowi, że między wschodem Azji a zachodem Europy rozciąga się tylko maleńkie morze, którego pokonanie będzie o wiele prostsze niż poszukiwanie hipotetycznego przesmyku na południe od Afryki.

- Globus, który przed chwilą pan tak bardzo podziwiał, nie pokazuje prawdy. Ścieśniliśmy stopnie Ptolemeusza, znacznie wydłużyliśmy Afrykę, wymyśliliśmy wyspy Antyle i Cipango, aby skuteczniej nakłonić króla, by udostępnił nam statki na tę wyprawę.

Ale rzeczy nie potoczyły się tak, jak przewidywali. Jan II Doskonały wahał się, aż w końcu wezwał do siebie Kolumba i Behaima. Jeden z jego marynarzy, Bartolomeo Diaz, właśnie zawinął w ukryciu do Lizbony: odkrył drogę na wschód. Po cóż więc mieliby teraz przedsiębrać tę niepewną wyprawę na zachód? Kolumb ruszył więc zaproponować swą służbę królowej Kastylii. Behaima zaś, jak i innych cudzoziemskich kartografów i geometrów w owym czasie, zaczęto traktować w Portugalii nieufnie, podejrzewając - nie do końca niesłusznie - o przekazywanie coraz precyzyjniejszych żeglarskich map konkurującym w morskich podbojach potęgom, w szczególności Kastylii i Francji. Zabroniono mu opuszczać kraj. Behaim zdołał jednak potajemnie zbiec do rodzinnej Norymbergi.

- Ale dlaczego nie pojechał pan z Kolumbem? - zapytał Kopernik.

- Ponieważ, drogi przyjacielu, ludzie mojego gatunku, nawet nawróceni na chrześcijaństwo, nie są pożądani w królestwie Izabeli Katolickiej.

Zapadła pełna zakłopotania cisza, którą przerwał Dürer:

- Kiedy wyrusza pan do Italii, panie Kopernik?

- Ależ ja się zastanawiam, czy nie przedłużyć mojego pobytu tutaj! Wasze piękne miasto... a jego mieszkańcy są tacy gościnni i tak wielu rzeczy mogą mnie nauczyć...

- Niechże pan sobie wyobrazi - odparł mu na to Behaim - że Albrecht i ja musimy udać się, on do Padwy, a ja do Rzymu. Wyruszamy za dwa tygodnie. Jeśli nasze

towarzystwo panu nie przeszkadza...

W ten oto sposób pięknego sierpniowego dnia tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego szóstego roku Mikołaj Kopernik, Albrecht Dürer i Martin Behaim, pokonawszy przełęcz Brenner i szedłszy wzdłuż doliny Adygi, znaleźli się w Weronie. Podróż ta stanowiła dla Mikołaja nieprzerwane pasmo zachwyty. Albrecht Dürer, cudownie cichy, przemawiał częściej rysunkiem niż ustami. W drodze, pomimo kołysania w siodle, bez przerwy szkicował w swoich kajetach fragmenty krajobrazu: góry, rzeki, chaty, zdające się bardziej realne niż ich modele. Skrępowany wobec takiego mistrza Kopernik nie odważył się już dobyć swoich ołówków, po które wcześniej tak chętnie sięgał. Na postojach Dürer szkicował twarze przebywających w gospodzie ludzi. Następnie wpadł na pomysł sportretowania Kopernika. Przedstawił go jako anioła, siedzącego, pogrążonego w głębokiej medytacji, kontemplującego przyrządy geometryczne i zwoje papieru, z leżącym u jego stóp psem, śpiącym, a może martwym? W jaki sposób synowi norymberskiego złotnika udało się oddać głęboką prawdę o człowieku, którego dopiero co poznał? Namalowany na podobieństwo Kopernika anioł zdawał się być przepojony uniesieniem na widok nieskończoności tajemnic i sekretów wszechświata, czekających, by uchylił ich rąbka.

- Dlaczego namalował mnie pan takim smutnym, Albrechcie? Czyżbym był aż tak przygnębiającym towarzyszem?

- Smutnym? Nie, Mikołaju. Melancholijnym, a to nie jest to samo. Melancholijnym...

Młody malarz zaczerwienił się po tych nieskromnych według siebie słowach. Jednak na płótnach, które Dürer mu pokazywał, Kopernik nie dostrzegł żadnej pruderii, a raczej przeciwnie. Jedno z nich uderzyło go szczególnie. Malarz przedstawił samego siebie, dumnego, promieniejącego jak Chrystus w chwale. Ale to artystę stawiał w ten sposób na piedestale, nie bogów albo książąt. Artystę? Więcej, człowieka! Gdy Mikołaj podziwiał ten obraz, poczuł, jak jego oczy wypełniają się łzami. Pewnego dnia, gdy wyszkoli swój pędzel, on także przedstawi siebie w ten sposób. On także pewnego dnia będzie artystą w

chwale majestatu.

Behaim był zupełnym przeciwieństwem swojego młodszego rodaka, a jednak ci dwaj zdawali się doskonale uzupełniać. Jak Albrecht był milczący, tak Martin rozmowny. Ale nigdy gadatliwy. Był typem bazarza. Gdy opowiadał jakąś historyjkę ze swej podróży do Afryki, wydawało im się, że słyszą murzyńskie tam-tamy i głosy zwierząt w dżungli. Jego wiedza była wszechstronna, a śmiałe idee, bluźniercze czasem, wytryskiwały z niego niczym z fontanny. Także twierdził z przekonaniem, że wyspy odkryte przez Kolumba nie były Indiami, ale wielkim stałym lądem, Nowym Światem. Zresztą w tej właśnie sprawie udawał się do Rzymu, by pomóc papieżowi w podziale świata, będącym stale przedmiotem sporu między Hiszpanią i Portugalią: wydawało się, że ta ostatnia przekroczyła południk i na wodach należących do Kastylii natknęła się na rozległe ziemie, niebędące ani wyspami, ani Chinami. Odkrył je florencki nawigator, zręczny kartograf mocno związany z Behaimem, Amerigo Vespucci. Pomimo zakazu Jana II Doskonałego, Vespucci poinformował o odkryciu Aleksandra VI i wielkiego księcia Medyceusza.

Poznając te cudowne tajemnice, Mikołaj przyrzekł sobie, że pewnego dnia on także wyruszy na morze, na poszukiwanie kraju złota i korzennych przypraw.

Po gorących uściskach i przyrzeczeniach dozgonnej przyjaźni opuścił ich w Weronie Albrecht Dürer. Martin i Mikołaj pokonali następnie lombardzkie równiny. Po francuskiej inwazji nie pozostało śladu, a po drodze pracujące przy żniwach kobiety rzucały w stronę dwóch podróżników swawolne zaczepki, mające na celu li tylko to, by mógł w nich rozbrzmiewać ich piękny, śpiewny język, czystą przyjemność artykułowania słów.

Gdy tylko wjechali do Bolonii, Martin Behaim zasepił się, więcej milczał. Gdy Mikołaj spytał go o powody tej nagłej zmiany nastroju, odrzekł mu:

- Mam wątpliwości, przyjacielu, mam wątpliwości. Czy rzeczywiście wiem, kim

jesteś? Bez wątpienia błyskotliwym człowiekiem o wielkiej wiedzy. Ale... Taka prostota i bystrość w jednej osobie skrywać mogą wiele innych rzeczy. Początkowo nosiłem się z zamiarem przedstawienia cię ludziom, którzy... Ale nie! Nie znam cię wystarczająco dobrze.

- W takim razie adieu, mistrzu - odparł sucho Kopernik. - W tym miejscu nasze drogi się rozchodzą.

Udał, że zawraca konia.

- Zaczekaj, przyjacielu, nie unoś się! Miałem nadzieję, że się rozzłościsz. Złość dowodzi twej szczerości. Bo widzisz, żyjemy w czasach, gdy ludzie tacy jak my muszą mieć się na baczności.

Mikołaj nie oponował, wiedząc, że jego towarzysz podróży zna w Bolonii wiele osób, co mogłoby młodzieńcowi zaoszczędzić oczekiwania i odmownych odpowiedzi na prośby o spotkanie. Pomyślał też, że wszystkie te listy polecające, w które zaopatrzył go wuj, na niewiele mu się zdały: Warmię od Emilii dzielił kawał świata. Świata, którego teraz nie chłonał; obrażony na Behaima za ten nagły przypływ nieufności; nadąsany jechał przez szerokie bolońskie ulice z ciągnącymi się wzdłuż arkadami dźwigającymi wysmukłe pałace w radosnych barwach. Weronę i Mantua zaspokoili już jego ciekawość. Odczuwał także ten rodzaj goryczy, która pojawia się na końcu podróży, goryczy zaprawionej ulgą i szczyptą obawy.

Następnego poranka Behaim bardzo wcześnie wyciągnął go z łóżka. Mikołaj źle spał tej nocy, mimo iż zajazd był najlepszy w mieście, a łoże miękkie. Dlatego, gdy spotkali się na ulicy, humor miał podły, w przeciwieństwie do wesoło pogwizdującego Martina. Gdy zbliżali się do uniwersytetu, mruknął:

- Wiecie, Martinie, od dawna nie potrzebuję już niańki, żeby mnie odprowadzała do szkoły. Poza tym burczy mi w brzuchu. Nie dałeś mi pan czasu na najcieńszą zupinę i



kromkę chleba.

Behaim nie dał po sobie poznać, że zauważył nieuprzejmość towarzysza i z rozradowaną miną powiedział:

- Przedstawię cię, drogi przyjacielu, jednemu z najlepszych astronomów i geometrów naszych czasów, który przewyższa nawet mojego mistrza Regiomontanusa i Mikołaja z Kuzy. Jego instrumenty obserwacyjne nie mają sobie równych. Nadmienię tutaj, że wykonał je dla niego twój uniżony sługa.

Domenico Maria Novara był małym, słabowitym człowieczkiem zamieszkującym nieopodal uniwersytetu, w domu, który dotychczasowemu mieszkańcowi Torunia wydał się raczej książęcym pałacem niż siedzibą nauczyciela. Uściskali się z Martinem jak starzy przyjaciele. Miłość własna Mikołaja została urażona, gdy Behaim bezceremonialnie przedstawił go jako „pana Kopernika, towarzysza podróży, który przyjechał studiować w Bolonii”. Ten handlarz mapami i przyrządami nawigacyjnymi zdecydowanie nie patyczkował się z nim, kanonikiem kapituły we Fromborku.

Faktycznie, Novara i Behaim, po wymianie zwyczajowych grzeczności a potem nowin dotyczących zdrowia ludzi o nazwiskach nic niemówiących Kopernikowi, którego przestano zauważać, zaczęli handlową dyskusję na temat ceny nowego astrolabu udoskonalonego przez Behaima i przywiezionego specjalnie dla Novary. W dodatku nie byli nawet na tyle uprzejmi, by mówić po łacinie. Porozumiewali się w języku tokańskim, który Kopernik znał bardzo słabo. Gdy w końcu sprawa została zamknięta, a Behaim znacznie obniżył cenę w zamian za mapy afrykańskich wybrzeży, uznali za stosowne odwrócić się w stronę Mikołaja.

- Pan Kopernik jest nie tylko najbardziej czarującym towarzyszem podróży - rzekł Behaim swoim wiecznie kpiarskim tonem - ale także znakomitym astronomem i geometrą. W każdym razie tak mi się wydaje na podstawie moich skąpych wiadomości z tych dziedzin. Będzie pan mieć w nim najlepszego ucznia. Nie chciałem uczynić mu

afrontu i włączać go do naszych negocjacji, ale proszę mi wierzyć, byłby wart kilku portulanów naszego przyjaciela Vespucciego.

Wtedy Novara odwrócił się do Mikołaja, tak jakby widział go po raz pierwszy, zmierzył od stóp do głów i spytał po łacinie:

- Znasz grekę?

Język Cyserona, nieobciążony konwenansami, pozwalał dwom mężczyznom porozumiewać się jak równy z równym pomimo różnicy wieku i pozycji.

- Niestety nie, bo w Krakowie postrzega się ją jeszcze, podobnie jak język hebrajski, jako diabelską mowę. Gorzej jeszcze, jako język Turków.

Profesor docenił ten zgrabny komentarz lekkim uśmiechem.

- Kraków... Brudzewski jeszcze naucza? Czytałeś jego *Commentum planetarium in theoricis Georgii Purbachii*?

- Co do pierwszego pytania: nie. Już nie naucza. Co do drugiego: owszem - odpowiedział Mikołaj z wykalkulowaną zuchwałością. - Po zmianach na tronie katedra matematyki została zniesiona. Według naszego nowego monarchy nauczanie Euklidesa i Ptolemeusza wydaje się nie do pogodzenia z przygotowaniem do krucjaty.

- Proszę, żadnej polityki! Zresztą w Bolonii matematyka i astronomia ciągle nie mają swojej katedry mimo prośby mojej i kilku innych kolegów. Najstarszy uniwersytet w Italii ma spore trudności z wprowadzaniem reform. Ale proszę cię, żadnej polityki! Naśladuj swojego wuja w tym, co dobre, a nie w tym, co niedobre.

- Mojego wuja? Biskupa Watzenrodego? Nie rozumiem.

- Kiedy Łukasz wycierał portki na tych samych ławach co ja, tutaj, w Bolonii, więcej energii tracił na domaganie się od swojego rektora korzyści dla studentów „narodu niemieckiego”, do których należał, niż na rozprawianie o świętym Augustynie. Zresztą, wcale miły kompan.

Novara ze złośliwym błyskiem w oku ocenił efekt swoich słów na rozmówcy. Udało mu się. Kopernik szeroko rozdziawił buzię. Właśnie spostrzegł, jak niewiele wiedział o biskupie Warmii, o jego studiach w Bolonii, młodości... I zdał sobie sprawę, że jak tylko Łukasz go adoptował, droga jego życia została dokładnie wytyczona: pewnego dnia obejmie po nim urząd. Targnął nim przyływ buntu.

Wbrew wcześniejszym planom przedłużenia o tydzień pobytu w Bolonii, Martin Behaim wyruszył nazajutrz do Rzymu. Novara powiedział mu bowiem, że we Florencji pewien fanatyczny mnich imieniem Savonarola podburzył lud i wygnał z miasta ksiąząt Medyceuszy. Niedobrze było w tym nieszczęsnym mieście być artystą lub uczonym. Tak więc, by dotrzeć do Rzymu, trzeba było pojechać szerokim objazdem przez Pizę, a następnie wzdłuż wybrzeża.

Jeśli chodzi o Kopernika, poszedł zapisać się na uniwersytet, dołączając do grupy studentów „narodu niemieckiego”, posiadających swoje własne kolegium i rektora. Zdecydowany wziąć swój los we własne ręce, udał się ponownie do Novary i, jak było podówczas we Włoszech w zwyczaju, usilnie prosił go, by ten dał mu u siebie pokój, dowodząc tym samym, że jego studia poświęcone będą wyłącznie sztukom świeckim, takim jak astronomia, matematyka, greka i języki wschodnie. Novara długo egzaminował jego wiedzę i umiejętności, ale po prawdzie, młodzieniec miejsce miał zapewnione od pierwszego spotkania z mistrzem. Na uniwersytecie tym, gdzie niepodzielnie królowało prawo, tłumy na wykładach z greki stopniowo się przerzedziły i zdarzało się nawet, podług zaprawionego goryczą powiedzenia tego, który miał być odtąd mistrzem i gospodarzem Mikołaja, „że Sofokles grał w pustym teatrze”. W ten oto sposób Kopernik zyskał prawo nie tylko do jednego pokoju, ale do całego piętra w domu Novary. Radom został odesłany do Polski z listem dla biskupa, wyrażającym posłuszeństwo, w którym

jednak dawało się wyczuć pewną przekorę; komunikował bowiem, iż zaraz po ukończeniu kursu bolońskiego biskupi bratanek zamierza zapisać się na uniwersytet w Padwie, by zostać lekarzem.

Zbyt mądry był Łukasz, by sprzeciwić się temu niespodziewanemu powołaniu noszącemu wszelkie znamiona buntu, młodzieńczej potrzeby, by się wyszumieć. Wręcz przeciwnie, w odpowiedzi zachęcił go, by dążył do zrealizowania swoich zamierzeń i zapewnił, że z całej siły będzie naciskał kapitułę we Fromborku, by przedłużyła jego urlop tyle razy, ile to będzie konieczne, tak, by Mikołaj mógł stale korzystać ze swojego beneficjum. Tym sposobem przypomniawszy bratankowi, że ciągle to on rozporządza Mikołajowymi środkami.

Mikołaj zrozumiał lekcję i jak szalony rzucił się w wir studiów. Przez dwa lata nie widziano go w żadnej gospodzie, na żadnej hucznej zabawie, żadnej ulicznej bitwie między Niemcami, Włochami i Francuzami, kiedy akurat nie nacierali wspólnie uszu paru mieszczanom. A przecież w Krakowie nie trzeba go było dwa razy namawiać, by chwycił za kufel lub kij. I niejedną w Bolonii żałował, że w śmiałych eskapadach nie towarzyszy mu ten wysoki, krzepki chłopak o szerokich barach, mocnym podbródku, spojrzeniu czarnym i otwartym, z nosem wyglądającym, jakby otrzymał już parę ładnych ciosów. On, niegdyś tak serdeczny, nigdy niewahający się uczynić pierwszego kroku w stronę budzącej w nim sympatię osoby, teraz izolował się i gdy był nie w sosie, lepiej było go nie zaczepiać. On, w Krakowie zawsze skłonny uśmiechnąć się do ładnej kwiaciarki spotkanej na rynku czy klepnąć w pośladek posługującą dziewczkę, nie wślawił się tutaj żadnym romanssem. Studiował.

Studiował z żarłocznością smoka. Prawo, retoryka, teologia - oczywiście, ale to była zaledwie przystawka, ćwiczenie mięśnia pamięci. A także greka, hebrajski, arabski, toskański. Nauka języków przychodziła mu z łatwością; w niemowlęctwie już wysał z mlekiem matki dwa tak niepodobne do siebie języki, jakimi są niemiecki i polski. Jednakże nie zonglował już swymi imponującymi zdolnościami z ową nonszalancją, która wzbudzała zachwyt i zazdrość szkolnych towarzyszy w Krakowie. Teraz przykładał

się do nauki. Zaś jego mistrz Novara potrafił ukierunkować ten ognisty temperament, który łatwo by uległ różnorodnym pokusom podszywanym przez łagodne bolońskie powietrze, które czasem, pod koniec wiosny, wirowało w mocnych podmuchach, pachnących, przesyconych pożądaniem.

Mikołaj nie należał do najkarniejszych i najpotulniejszych uczniów. Novarze udało się w końcu znaleźć sposób na przywołanie go do porządku, gdy hardo się stawiał lub kłócił: „Przypominasz swojego wuja” - mówił mu, a Kopernik stawał się bardziej uległy. W gruncie rzeczy mistrz delectował się: przypadło mu w udziale uprawiać glebę żyzną, ale dziewiczą, lub raczej źle zaoraną.

- Kto chce uprawiać filozofię, musi mieć umysł wolny od wszelkich uprzedzeń, od wszelkiej wiedzy - powiedział uczniowi pewnego dnia.

Faktycznie, były krakowski zak podczas swoich chaotycznych studiów chłonał wszystko, cokolwiek by to było. Stawiał na równi najbardziej szanowanego przedstawiciela antyku i najpośledniejszego kopistę. Novara zaczynał postrzegać go jako bogatą bibliotekę, której woluminy zostały źle skatalogowane.

Pomimo wrodzonej porywczosci, Kopernika nie można było nazwać postrzeleńcem. Był doskonale świadom, że w wieku dwudziestu trzech lat, po tych wszystkich latach chaotycznych lub samodzielnych studiów trzeba było zacząć od nowa, powrócić do źródeł. A źródła to Egipt, Pitagoras, Hermes Trismegistus. Wszystko miało znajdować swój początek w liczbach. Właśnie z liczb wywodzą się harmonia, muzyka, ruch. Zaś, jak mawiał Parmenides, najbardziej harmonijną bryłę stanowiła kula.

- Świat jest sferyczny - dopowiedział Novara - ponieważ kula jest najdoskonalszą ze wszystkich figur i nie potrzebuje niczego, co by ją podtrzymywało; stanowi całość, posiada największą mocność. Słońce i Księżyc są sferami, sfera jest naturalnym kształtem, jaki przybierają wszelkie ciała. Popatrz na krople wody, Mikołaju, i nie wątp, że jest to także kształt wszystkich ciał niebieskich.

Wtedy Kopernik powrócił do astronomii, bez tego zapału, z jakim kpił dawniej z antycznych filozofów, lecz tak, jak wkracza się do świątyni; gdyż Novara uświadomił mu także, jakimi są szczęściami, że ich epoka odkryła starożytnych w ich pierwotnej, czystej formie. Czytając ich, przechodząc ponad ich pogaństwem, mogli osiąść szerszą wiedzę niż oni. Nauczył go również, że studiowanie natury to najpierw i przede wszystkim przyswojenie języka przed obserwacją zjawisk, gdyż ich przejawy są mylące.

- Na przykład - tłumaczył Mikołajowi, który przeistaczał się w pokornego ucznia - dawni filozofowie ustalili porządek planet na podstawie długości ich obrotów z tej racji, że obiekty znajdujące się dalej winny sprawiać wrażenie, że poruszają się wolniej. Wierzyli więc, że Księżyc jest najbliższą z planet, ponieważ okrąża Ziemię w jeden miesiąc, w czasie krótszym niż jakakolwiek inna planeta; i że Saturn powinien być bardziej oddalony niż pozostałe, ponieważ trzydzieści lat zajmuje mu pokonanie większej z orbit. Poniżej umieścili Jowisza, który obraca się w dwanaście lat, a potem Marsa, przemierzającego swą orbitę w dwa lata. Zdania były podzielone na temat Wenus i Merkurego, które kończą swe obroty w rok, tak jak Słońce. Jedni, jak Platon, umieszczali je ponad Słońcem, inni, jak Ptolemeusz, sądzili, że znajdują się poniżej. Ze swojej strony skłaniam się ku teorii Platona.

- Sądziłem, mistrzu, że Ptolemeusza ceni pan ponad wszystko.

- Nawet najwięksi nie są nieomylni. Widzisz, Merkury i Wenus nie znajdują się zbyt daleko od Słońca; tak więc, gdyby znajdowały się poniżej, musiałyby posiadać fazy jak Księżyc. Lub powodować zaćmienia. Nigdy zaś tych zjawisk nie zaobserwowano. Wnoszę stąd, że te planety są bardziej oddalone niż Słońce.

- Ale - zaproponował Mikołaj - kto powiedział, że pewnego dnia doskonalsze obserwacje astronomiczne nie dowiodą istnienia faz Merkurego i Wenus albo ich przesuwania się przed tarczą słoneczną? W takim wypadku udowodnione zostałyby, że te planety znajdują się poniżej Słońca...

Daleki, by obruszyć się na poddanie w wątpliwość jego wywodu, Novara zachwycony był postępami, jakie czynił jego uczeń. I gdy Kopernik uzyskał w końcu dyplom z greki, mógł sięgnąć do wszystkich źródeł wytryskujących z Jonii, Aten, Aleksandrii, do pierwszych filozofów greckich, tych, którzy poszukiwali harmonii świata, ale jej nie odnaleźli, lub znaleźli ich tak wiele, że wyłożone jednocześnie stawały się kakofonią i powodowały chaos.

W tamtych czasach, jak zresztą i dzisiaj, niepodzielnie królowało ogromne dzieło stworzone czternaście wieków temu, wspomniany już Almagest, ukazujący Wszechświat takim, jakim naucza się go jeszcze na naszych uniwersytetach. Pięćset lat po Arystotelesie ów Grek, Klaudiusz Ptolemeusz, zebrał wszystkie poczynione dotąd przez starożytnych obserwacje ruchów planet i zaćmień; dorzucił do nich własne, wcale liczne. Następnie skonstruował świat według tych wszystkich pozornych ruchów, to znaczy widzianych z Ziemi, a dokładniej z wybrzeży Morza Śródziemnego. Widzianych z Ziemi, co oznaczało, że jest ona nieruchomym centrum wszystkiego i Księżyc, Mars, Wenus, Słońce oraz inne wędrowne gwiazdy obracają się dookoła niej po okręgach harmonijnych bardziej niż najpiękniejsza z muzyk. Sklepienie niebieskie zaś, poprzesywane gwiazdami stałymi, było niezmierną wklęsłą sferą mieszczącą w sobie wszystkie pozostałe, ruchome sfery. Kula, okrąg, koło to w konsekwencji figura, w którą nic nie uderzy, której nic nie może zniszczyć, taka, w którą wpisać się może każda inna figura geometryczna. Czyż nie mawia się o Bogu, że jest On okręgiem, którego cyrkumferencja jest wszędzie, centrum zaś - nigdzie?

Nie należy sądzić, że ludzie, a w każdym razie osoby uczone, pewnego dnia uwierzyli, że Ziemia jest płaska. Być może w bardzo zamierzchłych, bardzo barbarzyńskich czasach albo jeszcze dzisiaj w dywagacjach jakiegoś ograniczonego mnicha lub gadanie tych, których Kopernik nazywał „trutniami”, chcącymi zniszczyć wszelki ul wznoszony przez pracowite pszczoły - filozofów, a może w ciasnym umyśle wieśniaka pochylonego nad swoją rolę czy pasterza, któremu horyzont przesłaniają wysokie góry. Lecz czy ci ostatni zastanawiają się pod brzemieniem codziennych trosk

nad kształtem naszego świata? Nie, by wiedzieć, iż Ziemia jest okrągła, nie czekano, aż hiszpańskie okręty Magellana potwierdzą tę prawdę doświadczeniem. Już Arystoteles w swoim traktacie O niebie stwierdza, że ponieważ podczas zaćmienia Księżyca cień Ziemi jest zawsze okrągły, świat musi mieć formę sferyczną, nie zaś płaską. Kulistość Ziemi wydedukował również z faktu, że można zauważyć, jak na horyzoncie znika najpierw kadłub statku, a po nim dopiero znikają żagle.

Świat zbudowany przez Ptolemeusza z Aleksandrii uważano za najbardziej niezniszczalną harmonię, taką, jaką zbudowałyby i stworzył Pan wszystkich rzeczy, najlepszy i najdoskonalszy z artystów: Wszechświat, obracający się z tą samą prędkością i po jednorodnych trajektoriach wokół Ziemi.

Lecz obserwacja zjawisk ukazywała, że nie wszystko odbywało się w opisany sposób. Z powodu mnogości okręgów istniało wiele ruchów. Najbardziej widoczny był ruch dobowy, czyli przestrzeń czasu dnia i nocy. W niej cały świat, za wyjątkiem Ziemi, niesiony był ze wschodu na zachód. Następnie, łatwe do zauważenia były inne ruchy, niejako wsteczne, to znaczy idące z zachodu na wschód, w szczególności Słońca, Księżyca i pięciu planet. Ale i w swoim własnym ruchu okrężnym planety te nie wydawały się poruszać w sposób jednostajny. Na wielkiej, odwiecznej szachownicy gwiazd stałych Słońce i Księżyc poruszały się to wolniej, to szybciej. Gdy chodzi o pięć wędrownych ciał niebieskich, zauważano niekiedy ich ruch wsteczny lub przerwy między poszczególnymi rodzajami ruchu. Podczas gdy Słońce zawsze podążało swoją drogą, te planety błędziły, raz to na południe, raz na północ. Jedna stale opóźniała powrót na wyznaczony szlak, w miejsce, które powinna zajmować na niebie; druga, rozblaskując swym światłem, okresami sprawiała wrażenie, że znajduje się zbyt blisko lub zbyt daleko.

Trzeba było „zachować twarz”: wytłumaczyć poprzez obliczenia i z większą precyzją ruchy pozorne sfer niebieskich, nie zakładając jednak, że zachodzą w rzeczywistości. Idąc śladami Apolloniosa i Hipparcha, aleksandryjski geometra wykonywał, że poza dużą orbitą wędrowcy ci krążą po orbitach małych, tak jak objeżdża się mury miasta na



etapie długiej podróży. Te małe obroty wokół punktu kreślącego wielkie koło nazwane „deferentem” określił mianem „epicykli”. W ten sposób można było lepiej wytłumaczyć pewne nieregularności wielkiej niebiańskiej mechaniki, jednakże nie wszystkie. Ptolemeusz zaproponował zatem, by Ziemia nie była dokładnym środkiem okręgu, po którym poruszały się sfery niebieskie. Ten wymyślony centralny punkt nazwał „ekwantem”. Dopasowując rozmiary okręgów, Ptolemeusz był w stanie „zachować twarz”. Ale im bardziej doskonaliła się sztuka obserwacji, tym więcej kolejnych nieregularności ludzie odkrywali i tym większą liczbą epicykli trzeba było obciążyć wszechświat. Do tego stopnia, że w końcu Świat, przez Boga zamierzony jako prosty i harmonijny, znowu przeistaczał się w chaos pod piórem synów Adama, tak, jak wcześniej Stworzenie...

W roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym, w Idy Marcowe po zachodzie słońca na bezchmurnym niebie Księżyc znajdujący się w gwiazdozbiornie Byka przysłonił piękną gwiazdę Aldebaran. Novara i Kopernik zainstalowali na tarasowym dachu kolegium sferę armilarną, ruchomy kwadrant, ekwatoriały, globus nieba z ruchomymi biegunami, dioptry, laskę Jakuba i astrolabium Martina Behaima, jak również klepsydrę, którą Mikołaj miał jak najszybciej odwracać.

Niepokojące było owo spotkanie dwóch tak różniących się między sobą ciał niebieskich: majestatycznego półksiężyca i małego czerwonego punktu, z pewnością rozdzielonych zawrotną przepaścią przestrzeni, które dzięki perspektywie miały za chwilę obdarzyć się długim pocałunkiem. W pogodną włoską noc ogromny sierp Księżyc zbliżał się powoli do Aldebarana, maleńkiego czerwonego oczka. Nagle, o piątej godzinie, gwiazda dotknęła południowego brzegu Księżycy i w okamgnieniu zniknęła pomiędzy jego rogami.

- Widzisz, Mikołaju - wyłożył mu Novara, odmierzając moment wejścia i wyjścia Aldebarana zza księżycowego dysku - będziemy mogli lepiej opisać nieregularności ruchu Księżycy. Aldebaran powinien wynurzyć się za około godzinę; pilnuj klepsydry.

- Rozumiem - odrzekł zainteresowany kiwając głową. - Godzina to mniej więcej czas, jakiego Księżyc potrzebuje na przebycie drogi równej jego pozornej średnicy.

- Dobrze rozumiesz, Mikołaju!

Dziwne odurzenie, nieomal upojenie ogarniało stopniowo obu mężczyzn, podczas gdy świerszcze grały w środku ciepłej, balsamicznej nocy.

- Czy wiesz, Mikołaju, że ten godny podziwu spektakl, który niniejszym oglądamy, został zaobserwowany już tysiąc lat temu? Czytałem o tym w nie wiem już którym almanachu, ale pamiętam, że był to rok pięćset dziewiąty, w Atenach. Niestety, ówczesni nieucy, zamiast zbadać to zjawisko, dostrzegli w nim tylko niebiański znak zapowiadający przyjście Antychrysta!

- W imię czerwonej gwiazdy, Alderabanie, co umierasz między rogami Febe... - unosząc ramiona, zaintonował z emfazą Mikołaj.

Nagle znieruchomiał, doznawszy nagłego olśnienia.

- W roku pięćset dziewiątym, powiadacie? - podjął po chwili głębokiej refleksji. - Trzeba nam w takim razie tablic!

- O jakie tablice ci chodzi, do diabła?

- Wszystkie tablice! Ruchów planet, Słońca i Księżycy z ostatnich dziesięciu wieków! Trzeba je ze sobą zestawić! Nie sądzicie, mistrzu, że jeśli astronomia ptolemejska działa bez zakłóceń, jeśli Wszechświat podług twierdzenia Ptolemeusza jest skomplikowanym, a zarazem precyzyjnym mechanizmem, to powinniśmy odnaleźć w tablicach okultację Alderabana przez Księżyc w pięćset dziewiątym roku? W przeciwnym razie położenie Księżycy jest inne niż w wyliczeniach Ptolemeusza! Czy nie uczyłeś mnie, mistrzu, że według Regiomontanusy położenia Wenus i Marsa wyliczone z tablic są fałszywe, że

koniec zaćmień jest przewidziany o godzinę za wcześnie? W takiej sytuacji, jeżeli różnica między przewidywaniami a obserwacjami wykracza poza granice tolerancji, trzeba udoskonalić schemat świata!

Czy to właśnie tej nocy w głowie Mikołaja Kopernika zrodził się pomysł tego, co pewnego dnia nazwie ze śmiechem swoim „Wielkim Przemebłowaniem”? Tego nie wiem... W każdym razie dwójka astronomów spędziła noc, obserwując z cichym entuzjazmem pozostałe gwiazdy. Następnie, o świcie, wrócili zmordowani do domu Novary. Słońce stało w zenicie, gdy służący zastukał do drzwi Mikołaja Kopernika, by zaanonsować przybycie gościa. Był to Andrzej, jego brat.

#### IV

Andrzej czekał na progu. Za nim atletyczny Radom dźwigał bagaż, podczas gdy muł i dwa konie spokojnie poskubywały wyrastającą między brukowymi kostkami trawę.

W rozchełstanej koszuli nocnej, potargany Mikołaj, stoczywszy się ze schodów, powiedział jedynie:

- Co ty tu, do licha, robisz?

Tym szorstkim przyjęciem próbował zamaskować zaskoczenie. Andrzej był nie do poznania. Jego twarz, niegdyś tak delikatna, niemal kobieca, zdeformowała się jakby pod poszarzałą skórą. Sine worki pod oczami zgasiły przejrzysto-niebieskie spojrzenie, usta, dawniej łakome wszelkich rozkoszy, ścisnęły się w fałszywym grymasie, szeroki zaś na hiszpańską modłę kapelusz nie zdołał ukryć przeredzonych brudnobląd włosów przetykanych pasemkami siwizny.

Gdy minął pierwszy szok, Mikołaj tradycyjnie wyciągnął w stronę brata ramiona, by go energicznie uściskać. Miał jednak wrażenie, że przyciska do piersi szmacianą lalkę, wydzielającą silną woń rozkładu.

- Pozwolisz mi wejść? Jestem wykończony podróżą - spytał w końcu Andrzej.

- Tylko... Nie jestem u siebie i nie wiem, czy mój nauczyciel zechce obciążyć się drugim lokatorem.

Przyjazna dłoń spoczęła na jego ramieniu.

- Zapomniałeś przypowieści o synu marnotrawnym, drogi Mikołaju? - wtrącił Novara. - Wystarczy miejsca dla was obu. Niczego nie odmówię bratankom biskupa

Watzenrodego. Podczas naszych wspólnych studiów wasz wuj dopomógł mi wykaraskać się z poważnych kłopotów.

Następnie kazał gospodyni otworzyć dla Andrzeja pokój na piętrze zamieszkiwanym już przez jego brata i ulokować Radoma w pomieszczeniach dla służby. Olbrzymi służący wręczył przedtem Mikołajowi zapieczętowany list od biskupa Warmii, którego lekturę młodzieniec odłożył na później, nie chcąc wywołać niezadowolenia brata, najwyraźniej nieorientującego się w jego zawartości.

Pozorując zmęczenie po nieprzespanej nocy spędzonej na obserwacji nieba, Novara zostawił braci, by posilili się we własnym gronie. Andrzej jadł mało, lecz pił ponad miarę. Jego upojenie nie przypominało radosnego odurzenia z uczt w Krakowie, a słowa, coraz bardziej bezładne i bełkotliwe, przepełniało szydercze rozgoryczenie. Był zrujnowany. Wyjeżdżając z Sewilli z mocnym postanowieniem wzięcia udziału w wyścigu po przyprawę i złoto Wschodu, sfinansował wyprawę florentczyka Ameriga Vespucciego w służbie katolickim monarchom. Ten przywiózł bardzo niepomysłne wieści: ziemie odkryte przez Kolumba nie były grupką wysp poprzedzających Indie, lecz niezmiernym stałym lądem przecinającym szlak wiodący do rzeczonych przypraw i złota. Wobec takiego stanu rzeczy nie było już dobrze być w Kastylii cudzoziemcem. Anonimowy donos skierowany do Świętego Oficjum twierdził, że Polak Andrzej Kopernik jest „nowym chrześcijaninem”, świeżo nawróconym, oddającym się w ukryciu hebrajskim praktykom. Miał odbyć się proces. Andrzej stwierdził, że Półwysep Iberyjski stał się dla niego zbyt niebezpiecznym miejscem i wołał powrócić do Prus. Uciekając, nie mógł odzyskać pieniędzy, które skonfiskowała inkwizycja na czas trwania śledztwa. W ten oto sposób w Toruniu, pod koniec roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego przedsiębiorstwo „Kopernik i synowie” postawione zostało w stan upadłości, zaś jego odkryty hańbą właściciel wyruszył szukać schronienia u swego wuja biskupa.

To bankructwo mogło skompromitować kościelnego dostojnika. Trzeba było pozbyć się kłopotliwego bratanka. Miał tylko jedno rozwiązanie: zrobić z niego kanonika, tak jak z jego młodszego brata. Tymczasem trzeba było, by kandydat uzyskał najpierw

jakikolwiek dyplom z teologii lub prawa kanonicznego. Nie było mowy, by Andrzej podjął studia w Krakowie, gdzie Kopernikowie stali się persona non grata. Tak więc wysłał go biskup do Włoch, do Mikołaja, by na pewien czas wyciszyć całą sprawę.

- Ale odzyskam moje pieniądze, na pewno, możesz mi wierzyć, mój Miko - rzekł Andrzej uderzając pięścią w stół. - Pieniądze, które mi ukradli ci wszyscy łajdacy, bankierzy, inkwizytorzy, Vespucci! Myślisz, że wuj Łukasz kiwnął choć palcem, żeby mnie oczyścić z podejrzeń o żydostwo? Pojadę do papieża, a on już będzie wiedział, on...

- Uspokój się, Andrzeju, proszę cię! - poprosił łagodnie Mikołaj. - Jesteś zmęczony podróżą, a wino bynajmniej ci nie pomaga. Idź przespać się parę godzin. Porozmawiamy o tym wszystkim, kiedy będziesz miał jaśniejszy umysł...

- A więc ty też przeciwko mnie, gardzisz mną, chcesz mojej śmierci... Ciesz się, nie będziesz musiał długo czekać! W Kadyksie Vespucci przedstawił mi, jak twierdził, pewną księżną, która okazała się raczej ladacnicą. Popatrz, zobacz prezent, jaki mi zrobiła ta szlachetnie urodzona dama...

I Andrzej rozerwał koszulę, guziki poleciały na wszystkie strony. Jego zapadłą pierś pokrywały białawe, ropiejące wrzody.

- Odpychające, co? Jedni nazywają to chorobą francuską, inni wenecką. Albo trądem. Ja to nazywam chorobą andaluzyjską.

Nagle przerwał gestykulację, bo gospodyni Novary, gruba Filomena, pomimo błagalnego wzroku Mikołaja, wniosła nowy dzban czerwonego wina.

- Boże, co za tyłek! - rzucił Andrzej. - Przyjdź pościelić mi łóżko, piękna, a dam ci je, to andaluzyjskie choróbsko.

Skierował rozcapierzone dłonie w stronę wielkich pośladków dziewczyny, która, nie

rozumiejąc słowa z jego niemieckiego, uprzejmie się śmiała. Mikołaj odrzucił krzesło i zaczął krzyczeć, oszalały z gniewu:

- Dosyć, Andrzeju! Przypominam ci o szacunku, jaki winien jesteś domowi naszego gospodarza! Teraz pójdziesz się położyć. A poślę cię do pokoju paroma kopniakami w zadek.

Czuł, że za chwilę zacznie okładać brata pięściami. Ale to, co się stało, zupełnie zbiło go z tropu. Podczas gdy Filomena uciekała zdjeta paniką, Andrzej osunął się, szlochając i uderzając czołem o stół. Mikołaj zobaczył, że na czubku głowy starszego brata wygolona była szeroka tonsura, pośrodku której wyrastał jedyny, długi siwy włos. Wstrząśnięty, miał ochotę wziąć go w ramiona i zapłakać razem z nim.

- Przebacz, Mikołaju, przebacz! - jęczał Andrzej. - Nie tylko pogrzyżłem się w najstraszliwszej otchłani, ale ściągam na dno wszystkich, których kocham. Mikołaju, Mikołaju - wymawiał jego imię po polsku, tak jak kiedyś, gdy byli dziećmi, a nie z pruska, po męsku: „Nikolaus” - pomóż mi, błagam cię, ja tonę, ja tonę!

Znienacka przerwał swoją jeremiadę, podniósł się, oświadczył, że idzie się położyć i wyszedł przesadnie sztywnym krokiem pijanego, który chce, by wierzone w jego trzeźwość. Mikołaj został sam, wściekły i załamany. Po tej cudownej nocy spędzonej na obserwacji gwiazd wydawało mu się, że śni jakiś koszmar.

Ze złością złamał woskową pieczęć zamykającą list od wuja. Jego wzburzenie jeszcze wzrosło: „Czuwaj nad swoim bratem!” - nakazywał mu na samym początku biskup. Po czym następował cały ciąg wszelkiego rodzaju zaleceń, na przykład, by zawieźć Andrzeja do Florencji, gdzie praktykowali jedyni lekarze zdolni leczyć chorobę, na którą cierpiał, a potem, w przyszłym roku, jubileuszowym Roku Świętym tysiąc pięćsetnym po Chrystusie, udać się do Rzymu, by papież osobiście poprosił hiszpańską inkwizycję o oczyszczenie Koperników z wszelkich podejrzeń o judaizm, przedstawiając akty chrztu, poczynając od ich prapradziadków i dalszych krewnych. Przekazywał mu nazwiska

kardynałów i biskupów, z którymi powinien się tam spotkać. Ponieważ niektóre zdania wydawały się zbyt napuszone i nie pasowały do właściwego biskupowi błyskotliwego stylu, Mikołaj poszedł do pokoju po klucz do szyfru, który od wyjazdu z Polski starannie ukrywał w podszewce jednego z płaszczy.

Otworzył sekretarzyk, rozłożył na płasko list, na wierzchu kładąc klucz, tak, aby brzegi obu kartek dokładnie się pokrywały. W pustych miejscach kartki-klucza, wyciętych w mniejszych lub większych rozmiarów prostokąty, pojawiły się inne, krótkie zdania. Łukasz prosił go, by wstawił się u papieża Borgii i wyprosił, by polecono Krzyżakom przyłączyć się do wojsk króla Polski w celu pobicia Turków w Mołdawii. Chciał także, by bratanek skorzystał z roku jubileuszowego i licznych sprzymierzeńców, jakich biskup miał w Rzymie, i uzyskał prywatną audiencję u Aleksandra VI.

Dwa lata, które Mikołaj spędził przy wuju przed wyjazdem do Włoch pozwoliły mu odkryć subtelności i brutalność polityki. Więc to on ma błagać papieża, by nakazał zakonowi wesprzeć Polskę w jej wojnie przeciwko Turkom... Ale Andrzej? Co z nim zrobić? Swoim zachowaniem mógłby narazić na szwank delikatne negocjacje. W przyszłym roku ukończy trzydzieści lat. Nie można przecież ciągle prowadzić go za rękę i nakłaniać, żeby raczył zapisać się na wydział! No i kto za to zapłaci?

Klnąc na zmarnowany czas, na to, że musi przełożyć na później sporządzenie obliczeń dotyczących okultacji Aldebaranu, chwycił za pióro i starannym charakterem napisał w okienkach klucza zakodowaną odpowiedź dla wuja. Następnie trzeba było ułożyć przy użyciu tych dryfujących na prawie czystej karcie słów w miarę spójny list, w którym nie omieszkał poskarżyć się na kłopotliwą obecność brata. Zajęło mu to całe popołudnie i sporą część wieczoru. Gdy gospodyni obwieściła, że kolacja jest już podana i że jego mistrz wraz z Andrzejem oczekują go, odmówił i poprosił, by zupę i chleb podano mu do pokoju, w głębi duszy zachwycony swoim nieposłuszeństwem wobec władczego opiekuna. Ukończywszy wkrótce pracę, rzucił się na łóżko i zasnął snem sprawiedliwego. Aldebaran będzie musiał poczekać.



Rankiem, trochę niespokojny, wszedł do gabinetu mistrza.

- Ma pan czarującego i błyskotliwego brata - powiedział mu Novara. - Przemięło upłynęła mi kolacja na słuchaniu jego iberyjskich przygód. Jakiż kontrast z szorstkim i gburowatym usposobieniem jego krewnych! Co za szkoda, że nie chce studiować greki!

Mikołaj poczuł w sercu ukłucie zazdrości.

- Jeśli pan pozwoli, mistrzu, pójdę z nim porozmawiać.

- Nie znajdzie go pan tutaj. Poszedł zapisać się na prawo kanoniczne. Zdaje się, że bardzo mu się spieszy do uzyskania dyplomu, by czym prędzej powrócić do ojczyzny i objąć swój urząd kanonika. W każdym razie spieszy mu się bardziej niż panu. Na jakim etapie jest pan z okultacją z poprzedniej nocy?

Kopernik wyznał, że nie mógł poświęcić się pracy, będąc zajęтым pisaniem odpowiedzi do wuja.

- Pamiętał pan przynajmniej, by przekazać mu moje pozdrowienia? Niechże więc pan idzie do kolegium wysłać ten list i proszę szybko wracać. Mamy sporo pracy.

Mikołaj odnalazł Radoma pomiędzy służbą i kazał mu niezwłocznie wyruszyć w drogę. Nie był bynajmniej niezadowolony, pozbywając się tej zakazanej gęby, zbyt rzucającej się w oczy w subtelnej Italii. Następnie, dokumentując z Novarą astronomiczne obserwacje z poprzedniej nocy, zapomniał o bożym świecie, o bracie, o misji w Rzymie. Pogrążył się w lekturze Epitoma in Almagestum Ptolemei, w którym Peurbach i Regiomontanus udostępnili Europie pierwsze krytyczne streszczenie ptolemejskiej astronomii, wykazując niedociągnięcia tego systemu. Biblioteka Novary była przebogata. Mikołaj odkrył w niej zwłaszcza prace arabskich i perskich astronomów świeżo przetłumaczonych na grekę i łacinę przez podróżujących do Persji zachodnich uczonych. Zdziwiły go one ogromnie. Ten arabski książe, którego nazwisko al-Battani

zostało zlatynizowane na „Albategnius”, określił w swoich Tablicach sabejskich położenie orbity słonecznej lepiej niż Ptolemeusz. Albo Ibn al-Haytham, alias Alhazen, który w swych Wątpliwościach na temat Ptolemeusza ośmielił się poddać krytyce użycie ekwantu. Lub jeszcze Ibn al-Shatir z Damaszku, który skonstruował całkowicie koncentryczną teorię księżycową i planetarną, mechanicznie do zaakceptowania, pozbawioną kłopotliwej maszynierii ekwantu i innych epicykli. Im bardziej Kopernik zagłębiał się w temat, tym mocniej, w głębi duszy wzbierało w nim uczucie dziwne, potężne i straszliwe zarazem. Czuł, że czegoś w tej budowlu brakuje, czegoś, czego język nie jest w stanie wyrazić.

Andrzej pojawił się kilka dni później odmieniony, młodzieńczy i czarujący jak nigdy. Zapisał się na prawo kanoniczne i retorykę z członkami nacji niemieckiej, wśród których zdobył już sobie paru przyjaciół i dzielił z nimi mieszkanie oraz stół. Potem zniknął. Przez cały następny semestr bracia widzieli się ledwie parę razy na korytarzach kolegium albo podczas wykładu, w którym młodszy zdawał się uczestniczyć dużo mniej gorliwie niż starszy. Mikołaj, stwierdziwszy, że studenci, z którymi Andrzej przestawał, mają olej w głowie, nie chciał wiedzieć na ich temat nic więcej; odrzucił też zaproszenie na ucztę z okazji zakończenia roku, zadowolając się wysłaniem do wuja normalną drogą pocieszającego listu. Na tym poprzestał, poświęcając się odtąd całkowicie astronomii.

Bez najmniejszych trudności otrzymał Mikołaj dyplom w zakresie sztuk. Kapituła we Fromborku jednak poczeka jeszcze trochę na przyjęcie nowego członka: wuj znowu uzyskał dla niego trzyletni urlop oddalający konieczność podjęcia obowiązków kanonika!

Już od września roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego dziewiątego Novara i Kopernik przygotowywali swój pobyt w Rzymie w przyszłym, jubileuszowym roku, przewidując napływ pielgrzymów z całego świata chrześcijańskiego, którzy ściągają do świętego miasta. Mistrz, który z wybitnego ucznia uczynił Mikołaja swym asystentem, pragnął zatrzymać się na czas jakiś we Florencji, by - jak mówił - wprowadzić młodzieńca między największe umysły mijającego wieku. W dodatku musiał tam dostarczyć z polecenia uniwersytetu kilka almanachów astrologicznych stanowiących

rodzaj kalendarza prezentującego fazy Księżyca oraz listę dni dobrych i złych.

Przybyli do Florencji pod koniec września. Łagodny klimat Toskanii, aromatyczna lekkość jesiennego powietrza sprawiły, że Mikołaj poprzysiągł sobie nigdy nie wracać do Prus ani Polski. Tam musiały spaść już pierwsze śniegi. Czuł się Włochem, dziwił się jednak, że nie odczuwa żadnej tęsknoty za rodzinnym krajem ani za tymi, którzy być może na niego czekali.

Bogate miasto uspokoiło się już po zamieszkach wywołanych przez gmin, a mnich Savonarola został spalony na stosie w ubiegłym roku. Dawni władcy tej okolicy, Medyceusze, uwożąc ze sobą olbrzymią fortunę, musieli szukać schronienia raz przy królu Francji, raz u papieża Borgii, zachwyconego tą nową manną spuszczaną obficie na jego państwo, a zwłaszcza na licznych krewniaków. Artyści i poeci, filozofowie i geometryści pozbawieni opiekunów przeżyli moment niepewności, jednakże szybko się pocieszyli: możliwe florenckie rody tłamszone do tej pory przez Medyceuszy były w stanie ich utrzymać. Albowiem uznany malarz czy inżynier w tych błogosławionych czasach miał we Włoszech nieomal taką wartość, jak cała armia albo skarby Indii. Ponieważ nowi mecenasowie nie posiadali bystrości i umiłowania piękna jakie miał Wawrzyniec Wspaniały, wyznaczyli spośród siebie burmistrza, udzielając mu wszelkiej władzy i pełnomocnictw w sprawach politycznych. Za główną zasługę poczytywano mianowanemu przez nich człowiekowi postawienie u swego boku trzydziestoletniego sekretarza, subtelny i wyrafinowany myśliciel, który w sprawach publicznych był tym, czym Erazm z Rotterdamu w dziedzinie jednostki: Niccoló Machiavellego, tego samego, który, mając na myśli Savonarolę, wynalazł straszliwe słowo „fanatyk” i który umożliwił Republice zachowanie liberta, tak drogiej florentczykom i licznyim akademiom.

To właśnie ku jednej z nich, Akademii Lincei, Novara poprowadził Kopernika. Wielce obiecująco brzmiało to imię bohaterskiego Argonauty, którego przenikliwy wzrok sięgał aż za gwiazdziste sklepienie, pod ziemię i w głąb morskich otchłani.

Był to skromnie wyglądający budynek. Na fasadzie zamkniętego westybulu widniała

płaskorzeźba z symbolem Pitagorasa i Hermesa Trismegistusa: krzyż podtrzymujący cyrkiel umieszczony pośrodku piramidy. Po obu stronach, jakby czuwające nad herbem, wyrzeźbiono dwa rysie profile. Poniżej - inskrypcje w języku greckim, te same, co przy wejściu do antycznej Akademii Platońskiej: „Niech tu nie wchodzi, kto nie jest geometrą!”.

Novara po trzykroć zastukał ciężką kołatką w kształcie głowy rysia, odczekał moment, po czym dwukrotnie powtórzył całą operację. W końcu judasz otworzył się i ukazała się w nim głowa. Wtedy astronom wyszeptał, tym razem po łacinie:

- Niech tu nie wchodzi, kto nie jest geometrą!

Brama otwarła się na oścież, wpuszczając do środka obu mężczyzn prowadzących konie za uzdę, a następnie służącego ciągnącego za sobą obładowanego muła. Podczas gdy pod sklepieniem westybulu ich wierzchowce oraz giermek skierowali się na prawo, ku stajniom, dwaj podróżnicy poszli za starym, prawie garbatym odźwiernym i wydostali się na zalany światłem dziedziniec. Pośrodku niego z kuli ziemskiej podtrzymywanej przez Atlasa tryskał wesoły strumień wody rozszczepiający się na wszystkie strony jak srebrzysty kwiat. Przeszli wzdłuż perystylu wytyczonego posągami szesnastu Argonautów wymienionych przez Apolloniosa z Rodos, na tle których odcinał się, większy nawet niż Herkules, posąg Linkeusa trzymającego w jednej dłoni sferę armilarną, a w drugiej astrolabium.

- Ależ Domenico - rzucił wesoło Kopernik do Novary, gdy wspinali się po schodach prowadzących do ich kwater. - Nie do akademii mnie wprowadzasz, ale do pogańskiej świątyni! Czy to wypada, żeby pobożny kanonik z Fromborka przebywał w takim miejscu? Chcesz skazać moją nieśmiertelną duszę na wieczne potępienie?

W czasie podróży dwaj mężczyźni za obopólną zgodą postanowili zwracać się do siebie po imieniu i używać języka tokańskiego. W ten sposób nie byli już mistrzem i uczniem, ale po prostu przyjaciółmi.

- Niepoprawny polski wieśniak - odpowiedział Domenico w tym samym tonie. - Kiedy cię poprowadzę, trzęsącego portkami ze strachu, na sobotnie spotkanie, nie przestaniesz się modlić do swojego świętego Stanisława i innych świętych obrazów.

Akademia Lincei była wyludniona, choć Novara utrzymywał, że zawitali do niej w dniu normalnych zajęć. Odźwierny nie potrafił czy też nie chciał im wytłumaczyć, jaka była tego przyczyna.

Nazajutrz mistrz czuł się zbyt zmęczony, by oprowadzić swego towarzysza po mieście, które tak dobrze znał. Kopernik zdecydował więc wyruszyć w miasto i powłóczyć się bez żadnego konkretnego celu. Nie zawiódł się: w ten właśnie sposób należało odkrywać Florencję, tak jak przypadkowa wędrownica ukazuje człowiekowi, czym jest prawdziwa wolność.

Wracając z lekkim sercem, znalazł się przed akademią. Ujrzał drzwi pootwierane; na wirydarzu było czarno od ludzi. Niektórzy siedzieli nawet na murawie znajdującego się pośrodku kwadratowego trawnika jak osoby zażywające świeżego powietrza. Mikołaj szukał w tym ponad czterdziestoosobowym tłumie Novary i w końcu dostrzegł go, pogrążonego w dyskusji z kilkoma ludźmi ubranymi w płócienne barwy podług najnowszej mody mimo białych bród i czcigodnego, uczonego wyglądu. Przed nim przesunął się mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, wysoki i szczupły, który wydawał się obserwować całe zgromadzenie ze zdradzającym rozbawienie dystansem. Coś w jego powierzchowności nadawało mu wygląd studenta.

Mikołaj zauważył, że we Florencji nieznajomi zaczepiali się bez żadnych ceremonii. Wzmacniając swój pruski akcent, aby z góry usprawiedliwić niezręczność, przedstawił się temu człowiekowi jako asystent Novary i zapytał po łacinie o powód tego zgromadzenia. Tamten delikatnie się uśmiechnął i odparł:

- Oto więc bratanek słynnego biskupa Warmii. Novara mówił mi o panu ledwie przed

chwilą. Och, niechże się pan nie miesza, pocieszę pana. Powiedział mi: „Wasza Eminencjo...”

- Wasza Eminencjo?

- Ach, proszę mi wybaczyć! Nie przedstawiłem się: Aleksander Farnese...

Kardynał! I to z jednego z najznamienitszych rodów rzymskich! Kopernik odruchowo pochylił się, sięgając po jego dłoń, by ucałować pierścień. Farnese powstrzymał go jednym gestem.

- Niechże pan da spokój, panie Kopernik! Jestem tutaj tylko towarzyszem Pitagorasa przybyłym, jak pozostali, uczcić pamięć wielkiego Ficina.

- Marsilio Ficino zmarł?

- Zaledwie przedwczoraj, o dwie staje stąd, w willi ofiarowanej mu przez Wawrzyńca Medycejskiego. Jego pogrzeb odbył się dzisiaj, kiedy pan przemierzał ulice, sprawdzając, czy powiedzenie, że florentynki są najpiękniejszymi kobietami świata, jest prawdą. Ze swej strony twierdzą, że to bujda, panie Kopernik. Wspomni pan moje słowa, gdy zawita pan do mego rodzinnego miasta. Rzymianki, mój drogi... Chyba że zadowoli się pan swoimi północnymi Wenus. Mój ojciec mawiał o Polkach: „Kiedy prosisz je, żeby usiadły, one się kładą!”. Prawdać to?

- Mój wuj, Jego Wielbność biskup Warmii, to samo mówił mi o Włoszkach, Wasza Eminencjo - odciął się Mikołaj.

- Zostawmy już te eminencje, drogi panie. I podążmy raczej za naszymi przyjaciółmi do sali spotkań, gdzie oddamy hołd temu, który wskrzesił Platona i Hermesa Trismegistusa.

Kardynał Aleksander Farnese poufale wziął Kopernika pod ramię i poprowadził go. Ów gest mile połechtał próżność Mikołaja, czuł, jak spoczywa na nim sporo zazdrosnych spojrzeń. Jednocześnie myślał o Ficinie. Novara obiecał, że zaprowadzi go do willi Careggi, w której Kosma Medyceusz odtworzył dla filozofa antyczną Akademię Platońską. Czy tylko zwykłym zbiegiem okoliczności było jego przybycie do Florencji w czasie, gdy umarł ten wielki człowiek? Jakby zapisano w gwiazdach, że nie mają się spotkać, jakby przeznaczeniem jego, Mikołaja Kopernika, było zostać jego następcą, a także następcą Novary i Perugia, którego portrety Sokratesa, Pitagorasa i innych pogańskich mędrców sąsiadowały z wizerunkami Noego, Mojżesza, Proroków i Pawła, wyeksponowane na ścianach wielkiej sali zebrań, do której właśnie wkroczyli. Farnese puścił jego ramię i Kopernik zrozumiał, że musi zająć miejsce z tyłu, podczas gdy kardynał zasiadł w pierwszym rzędzie tuż przed podwyższeniem.

Mówcy kolejno wchodzili na trybunę, jednako wynosząc pod niebiosa wielkość zmarłego i rozwijając następnie, na podstawie jego dzieł, wybrane przez siebie tematy. Krok po kroku Ficino przeistaczał się w ich ustach w następcę tych, których wskazał jako powierników prawdziwej mądrości: Mojżesza, Atlasa, Prometeusza, Zaratusztry, Hermesa Trismegistusa, Orfeusza, Pitagorasa, Platona, Plotyna, Proclusa...

Kopernik był nieco zdziwiony, że Novara także przemawiał. Mistrz pokazał mu wprawdzie listy, jakie wymienił ze słynnym filozofem, w których Ficino zarzucał mu, iż zbyt interesuje się niebiańskim makrokosmosem, zamiast szukać powiązań z mikrokosmosem ludzkim, dla którego Wszechświat został stworzony, oraz że zajmuje się jedynie mechaniką, podobnie jak Archimedes czy Euklides. Astronom odpowiedział mu dosyć sucho, że za mało ma wyrozumienia, by rzucać się w podniosłe spekulacje na temat duszy ludzkiej, i że jego skromne poszukiwania zmierzające do odnalezienia mądrości starożytnych zadowolą się rozbiciem zamkniętego ptolemejskiego świata, skomplikowanego i pozbawionego harmonii, i dołożeniem w ten sposób kolejnej cegiełki do odradzającej się budowli wtajemniczonych.

Wchodząc na scenę, Novara zrobił swą przewrotną minę, dobrze znaną Mikołajowi,

którą zwykł przybierać, gdy zamierzał stanąć okoniem wobec ogólnie przyjętych poglądów. Astronom postanowił rozprawić o Trzech księgach życia zmarłego. Długo podkreślał rolę trzech niebieskich postaci, które Ficino wskazał jako przewodników człowieka: Merkurego, Febusa i Wenus.

Siedzący w głębi sali Mikołaj nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tam, gdzie Ficino mówił jako lekarz o ciele i o duszy, twierdząc, że w tych trzech antycznych bóstwach kryje się tajemnica pełni i indywidualnego rozwoju, Novara widział dwie planety i Słońce. Jego wypowiedź przerodziła się szybko w prelekcję astronoma broniącego harmonii makrokosmosu przed zamkniętym więzieniem o zbyt skomplikowanym mechanizmie, w którym zamknęli go Arystoteles i Ptolemeusz. Następnie wyznał, że pomimo życia spędzonego na poszukiwaniach, nie potrafi zaproponować nic prostszego, a więc piękniejszego, co zjednoczyłoby w końcu człowieka z kosmosem, gdzie przeznaczenia nie szukano by już w błędnych ognikach czy bijących w drzewo piorunach, lecz w górze, w regularnej podróży wędrownych ciał niebieskich i gwiazd stałych tworzących zodiak.

Na te słowa rozległ się w sali pomruk, trudno powiedzieć - rozbawienia czy dezaprobaty. Prawdę mówiąc, zmarły, wielki umysł, pokładał niekiedy wiarę w ludowych przesądach. Jeszcze niedawno twierdził, że dostrzegł a posteriori znak upadku Medyceuszy w gwałtownej burzy, jaka krótko przedtem przetoczyła się nad Florencją.

Pewien człowiek, który przybył spóźniony i stał, opierając się o drzwi, skorzystał z lekkiego rozgwaru i głośno powiedział:

- Wybacz, że się wtrączę, Domenico, ale przybywam prosto z Mediolanu. Francuzi zdobyli miasto. Książę Ludwik musiał uciekać. Ja także byłem niepokojony i mogłem skończyć pod mieczem żołdaka jak Archimedes, gdyby nie interwencja mego przyjaciela Charlesa d'Amboise, który zaproponował mi wstąpienie do służby króla Francji. Poprosiłem go, by odłożył na potem tę propozycję, mówiąc mu, że muszę udać się na pogrzeb Ficina. Ale przybywam przede wszystkim, by was ostrzec: wojska francuskie



maszerują już na Genuę. Celem ich jest ponowne podbicie Królestwa Neapolu. A droga ich prowadzić będzie przez Florencję.

- Leonardo! Nie poznałem cię z tą długą brodą! - zakrzyknął Novara.

Na to imię wszyscy ruszyli w stronę tego okazałego mężczyzny, którego długa czarna broda i opadające na ramiona włosy, przeciwnie do mody owego czasu, nadawały mu wygląd proroka lub greckiego filozofa. Kopernik stwierdził, że była w tym pewna poza. I podczas gdy kardynał Farnese ścisnął dłonie nowo przybyłego, jakby witał powracającego z długiej podróży brata, zaś pozostali otoczyli kręgiem najslawniejszego człowieka w świecie chrześcijańskim, słynniejszego nawet od Ficina, Kopernik, ten Polak, ten barbarzyńca, poczuł się z tego wszystkiego wyłączony. Jego upokorzenie było tym większe, że od początku spotkania w Akademii Lincei miał uczucie, że oto wkracza do tajemnego kręgu świątłych uczniów Pitagorasa i Hermesa Trismegistusa. Leonardo da Vinci właśnie go z niego wykluczył.

W rzeczywistości to armia Ludwika XII wygnała Mikołaja z Florencji. Większość członków Akademii Lincei wolała przyłączyć się do solidnej eskorty kardynała Farnese, by jak najszybciej znaleźć się w Rzymie, gdzie powinni być bezpieczni. Kopernik czuł się coraz bardziej obco - toporny Niemiec pośród tych elokwentnych, subtelnych ludzi, śmiejących się z rzeczy, które jemu wydawały się błahe. Przez nikogo niezauważany skromny asystent pozostawał w cieniu Novary. Oczywiście na początku wszyscy rozpytywali o jego kraj, studia, za wyjątkiem kardynała Farnese, który, odkąd przywdział kardynalską purpurę, zdawał się nawet nie poznawać nieznajomego, z którym obszedł się tak poufale na spotkaniu w akademii. Za lekceważenie wziął Kopernik to, co było tylko konwenansem. Zaprzagnął wówczas znaleźć się domu, nareszcie sam, jako kanonik katedry we Fromborku, oddany studiom, chroniony przez biskupa Łukasza na podobieństwo Marsilia Ficina, kanonika katedry we Florencji, o którego troszczył się Kosma Medyceusz, nazywając go drugim ojcem. Takie były wszelkie przesłanki. Takie będzie jego przeznaczenie.

To nie było Wieczne Miasto, to był plac budowy. Wszędzie rusztowania, rumowiska kamieni, na wpół wyburzone budowle. Pokonawszy Tybr, orszak kardynała Farnese wkroczył do pałacu, również w trakcie przebudowy.

Ponury Kopernik podążył za Novarą do parku, aż do parterowego pawilonu z tarasowatym dachem. Pół tuzina służby zakrzętnęło się, aby ich ulokować. Mikołaj znalazł się w przystrojonym wspaniałymi gobelinami pokoju. Zalotna pokojówka w bardzo opiętej sukni rozpakowała jego kufer, nie przestając słać mu znaczących spojrzeń, które w jednej chwili zdolne były rozpalić do czerwoności najcnotliwszego z fromborskich kanoników. Mimo chęci, jaka go brała, odesłał dziewczkę. Potrzebował zostać sam. Na niskim stoliku ułożono piramidę kolorowych owoców, kunsztownie obranych i pociętych na kawałki. Udało mu się zidentyfikować tylko jeden: pomarańczę. Obok - srebrny półmisek wypełniony pasztecikami i cieniutkimi plasterkami szynki w kolorze kardynalskiej purpury. Ale wolał ich nie dotykać, tak jak karafki pełnej rubinowego wina: mówiono mu, że trucizna była w Rzymie bardzo modna. Ale ktoś mógłby chcieć zabić nic nieznaczącego pruskiego kanonika, nawet nie doktora nauk prawnych?

„Cóż... - pomyślał - ale nie byle jakiego kanonika... Bratanka biskupa Warmii pozostającego w konflikcie z polskim królem i zakonem krzyżackim”. Rozejrzał się za łyżką do butów, chcąc zzuć obuwie. Nie znalazł jej. Już chwycił za dzwonek, aby wezwać pokojówkę. Powstrzymał się jednak. Jeśli wierzyć szyfrowanym listom wuja, rzymianki były niemal gorsze od trucizny. Żadna kurtyzana na świecie nie dorównywała im w zdolności wyciągania z mężczyzny podczas miłego tete-a-tete najtajniejszych sekretów. A wuj z humorem opowiadał, jak to sam dał się okpić pewnej dziewczce z oberży, która w dodatku była za wysoka i za szczupła, zupełnie nie w typie biskupa, preferującego niewysokie, pulchne kobiety.

Bogaty w wujowskie rady i zalecenia Mikołaj zgiał się wpół i sam zaczął zdejmować buty. Wtem drzwi się otworzyły i bez zaproszenia wszedł do pokoju mężczyzna ubrany w strój kanonika.

- Nie wydaje mi się, abym powiedział „proszę wejść” - rzucił sucho Kopernik.

- Cóż to, Mikołaju, nie poznajesz mnie? - odpowiedział po polsku gość. - Czyżbym aż tak się postarzał przez te dwadzieścia lat? Bernard Sculteti...

Na twarzy Kopernika pojawił się grymas wyrażający, że nazwisko nic mu nie mówi.

- Po polsku Sołtysik - sprecyzował rozmówca. - Czy nie wystarczająco dokładnie przetłumaczone na łacinę? Twój dawny nauczyciel, nicponiu!

- Mistrz Bernard! Proszę mi wybaczyć! Zupełnie nie mam pamięci do twarzy. A poza tym nosił pan kiedyś brodę.

- Musiałem ją poświęcić dla mojej funkcji. Jego Świątobliwość Aleksander VI nie toleruje niczego, co chodzi z zarośniętą twarzą.

Nie chodziło tylko o bujny zarost. Wychudzony, niemal przymierający głodem preceptor z dawnych lat zrobił się tłusty i rumiany, istna karykatura kanonika z wyobrażeń ciemnego ludu.

- Jakiej funkcji? - zainteresował się uprzejmie Kopernik, wiedząc przy tym doskonale, co za chwilę usłyszy.

- Reprezentuję przy papieżu biskupstwo Warmii. Jestem legatem Jego Wielebności. Twój wuj nic ci o tym nie powiedział?

- Nigdy nie pisze w swoich listach o sprawach związanych z polityką, sądząc, że ciągle jeszcze jestem bezmózgim młokosem.

Nie była to prawda, ale czy w końcu Łukasz nie powtarzał mu do znudzenia, by nie

ufać niczemu i nikomu? Zresztą Sculteti nie był naiwny, bo, płynnie przechodząc od poufałości do formy grzecznościowej, wymijająco odpowiedział:

- Trzeba więc, abym pana o tym poinstruował. Po łacinie i gramatyce oto zostałem preceptorem z polityki! Aby przełamać pańską nieufność, Jego Wielbność Łukasz kazał mi przekazać panu ten oto list.

Przez grzeczność Mikołaj odłożył na potem lekturę wiadomości i zaprosił Scultetiego, by usiadł, wyrażając swoje zdziwienie:

- Wieści szybko się rozchodzą w tym kraju. Zaledwie miałem czas, by postawić na ziemi mój bagaż, a pan już zjawia się jak duch...

- Rozchodzą się nawet zbyt szybko. Zaledwie minął pan Orvieto, cały Rzym znał nazwiska i stanowiska osób towarzyszących Aleksandrowi Farnese. Szczególnie polskiego astrologa, na którego punkcie miałby oszaleć kardynał... Nazywa pan siebie miernym politykiem, tymczasem wykonał pan mistrzowskie posunięcie!

- Oszaleć? Astrolog? Co to za brednie? Nie było z mojej strony żadnego wyrachowania, niech mi pan uwierzy - zaoponował Kopernik - i wszystko to najzupełniej przez przypadek...

Sculteti przerwał mu machnięciem ręki. Nie był to już zahukany przez biskupich bratanków młody preceptor i Mikołaj zrozumiał, że od tej chwili ma przed sobą swojego zwierzchnika. Kanonik ambasador Warmii przy papieżu podjął znowu:

- Nieważne, zręczność czy prostoduszność z pańskiej strony, rezultat jest widoczny. Znajduje się pan w świetnym położeniu, które umożliwia panu zbliżenie się do Ojca Świętego. Czas nagli, a co do mnie, nie jestem najlepiej widziany na dworze, odkąd przed pięciu laty postawiłem na łaski kardynała Jana Medyceusza. Ale... Obawiam się, że pomęcę pana jakąś godzinkę. Szczęśliwie, mamy się czym pokrzepić. Proszę

skosztować tego: ulubiony owoc Ferdynanda Aragońskiego przywieziony mu z Nowego Świata - ananas. Jego cierpki smak przepysznie komponuje się z ich czerwonymi winami o świetnym bukacie. Pozwoli pan?

I objadając się, jakby nie miał nic w ustach od tygodnia, legat rozpoczął opis życia w Rzymie za pontyfikatu Aleksandra VI. Wzgórze watykańskie stało się wilczym gniazdem, do którego Mikołaj musiał wkroczyć. Ale zadziałało szczęśliwe zrządzenie losu, umożliwiając to nieprzewidziane spotkanie z Aleksandrem Farnese. Nie aż tak może zresztą nieprzewidziane, gdyż kościelny dostojnik regularnie radził się Novary, co na temat jego przeznaczenia mówią gwiazdy. Farnese bardzo drogo zapłacił za kardynalską purpurę. Do okrągłej sumy dorzucił swoją siostrę Giulię, rzucając ją w ramiona papieża Borgii. Farnese, bogatszy jeszcze niż Medyceusze, przeznaczony był do znacznie większych rzeczy i Novara niewiele ryzykował, wyczytując mu z gwiazd rychłe objęcie tronu świętego Piotra.

Po tym wykładzie Sculteti wymknął się równie niepostrzeżenie, jak się pojawił, nie zapominając przyrzec Mikołajowi, iż uprzedzi go natychmiast i bez pośredników o najmniejszym niebezpieczeństwie. Zostawszy sam przed karafką i półmiskami opróżnionymi przez gościa, Kopernik odczuł silne podekscytowanie spowodowane wejściem w to nowe życie czynu i niebezpieczeństw, puszczając w niepamięć postanowienia pilnego ukończenia studiów i powrotu do kraju, by zostać Ficinem Bałtyku.

Spiesznie ruszył do sąsiedniego pokoju, gdzie w łóżku leżał złożony chorobą Novara, zlany potem i trzęsący się od gorączki, otoczony opieką osobistego lekarza Aleksandra Farnese. Chory wręczył mu przepustkę od kardynała umożliwiającą wejście do biblioteki watykańskiej, a potem poprosił, by pozostawiono go samego. Kopernik poszedł sobie, zlorzeczając wszystkim ludziom o słabym zdrowiu. On sam, tak jak wuj, nie wiedział, co to choroba.

Spędził pełen niecierpliwości tydzień, chodząc po Rzymie samotnie, pomimo

posiadanych pozwoleń nie ośmielając się wkroczyć na teren Watykanu z obawy, by nie znaleźć się w niezręcznym położeniu, gdyby zaczęła go jakaś kompromitująca postać. W dodatku czuł się śledzony. Ograniczył więc wyprawy poza miasto i do antycznych ruin, których szkice sporządzał. Niedługo później, kiedy Novara stanął na nogi, wszystko rozwiązało się samo, bez konieczności jakichkolwiek działań ze strony Mikołaja.

Oto w gronie dziesięciu osób zasiadł Mikołaj przy stole swego gospodarza, kardynała Farnese, do kameralnej - biorąc pod uwagę zamiłowanie księcia do przepychu - kolacji. Aby przedstawić gościa, którego poza Novarą biesiadnicy nie znali, Farnese opowiedział naiwnym i trochę ceremonialnym stylem, jak to Mikołaj zagadał go we Florencji. Zrobił to z wystarczającą werwą, by rozbawić towarzystwo, lecz na tyle był delikatny, by nie wprawić w zakłopotanie swojej „ofiary”. Która zresztą zgadzała się na owo przedstawienie, na równi z wszystkimi śmiała się ze swego niezręcznego zachowania i gdy tylko gospodarz skończył opowieść, stała się, podobnie jak kraj, z którego pochodziła, przedmiotem powszechnej ciekawości. Oczywiście było, że ci do granic wyrafinowani ludzie wyobrażali sobie północne krainy jako posępne bagniska, na których w drewnianych chałupach żyli biedni nieszczęśnicy ubierający się w zwierzęce skóry i jedzący korzonki. Naturalnie nie dawali tego po sobie poznać, ale Kopernik szybko dostrzegł w ich pytaniach pobłażliwość, jaką ludzie cywilizowani żywią dla barbarzyńcy. Zręcznie utwierdził ich w tym mniemaniu, oszczędzając wszakże Kraków i podkreślając, że jego uroki są dziełem artystów włoskich, wychwalając handlową prosperity Gdańska i możliwości biskupstwa Warmii mogącego stać się kiedyś - użył wystarczającej ironii, by uszło to za dowcip - nadbałtycką Wenecją. Doszedłszy do tego punktu, uświadomił sobie nagle, że misja, z jaką wyprawił go wuj, właśnie się zaczyna. Przerwał więc, by przeprosić za czczą gadaninę nadwiślańskiego kupca.

- Kontynuuj, przyjacielu, kontynuuj - poprosił kardynał. - Znajduję zawsze wielką przyjemność w słuchaniu, jak cudzoziemcy opowiadają o rodzinnym kraju; moje obowiązki nie pozwalają mi na przyjemność podróżowania poza Italię. Jednakże nic pan nie wspomniał o tych dziwakach nie z tego świata, mnichach wojownikach, kawalerach czy sam nie wiem co... Gdybym był, uchowaj Boże, królem Polski, poszedłbym w ślady

Filipa Pięknego, który spalił templariuszy, żeby przejąć ich majątek, za zgodą papieża oczywiście.

Kopernik poczuł spływającą mu po plecach nieprzyjemną strużkę potu. Ewidentnie Aleksander go sprawdzał. Przeklinając wuja, ruszył do boju. Odchrząknął i zaczął:

- Całe szczęście te czasy już na nami. Poza tym Krzyżacy nie są wystarczająco bogaci, by król pożądał ich dóbr. A w końcu, chwała Bogu, papież żyje dziś wolny w swoim kraju, a nie w Awinionie pod kuratelą francuskich monarchów.

Ta mała powtórka z historii mogłaby zostać odczytana jako bezczelne nudziarstwo, gdyby wyszła z ust ciemnego pruskiego studenta. Nie brzmiała tak jednak w ustach przedstawiciela biskupstwa Warmii, w którego od tej pory musiał wcielić się Kopernik. Kardynał skinął głową, zapraszając go, by ciągnął dalej.

- Między zakonem templariuszy a zakonem krzyżackim jest jeszcze inna poważna różnica: pierwsi podjęli się misji walczenia w Ziemi Świętej, drudzy zwalczania pogaństwa szalejącego od Prus po Moskwę. Teraz, gdy rycerze, czy też kawalerowie zakonu krzyżackiego, jak mówi Wasza Wysokość, wykorzenili już rzeczony pogaństwo, trudno zrozumieć, czemu wciąż stacjonują w tych północnych krainach, zamiast stawać do walki z bizantyjskim kościołem Wielkiego Księcia Moskiewskiego Iwana. Nie wydaje się to stosowne umysłom o wiele bardziej oświeconym niż mój.

Poza Novarą, którego w małe oszołomienie wprowadziła metamorfoza młodego asystenta w stratega, cały stół uśmiechnął na jego słowa:

- Krzyżacy - ciągnął rozochocony Kopernik - zamiast zostać rozwiązani, lepiej służyliby sprawie, wojując przeciw tureckiemu sułtanowi i członkom sekty Mahometa, niż łupiąc biednych polskich wieśniaków czy rujnując handel.

Na to płomienne przemówienie kardynał Farnese zaklaskał czubkami palców, być

może nieco ironicznie, i powiedział:

- Jedyne Jego Świątobliwość Aleksander VI może ich wezwać do krucjaty przeciwko sektom Awerroesa i Awicenny. Rok Święty zda mu się, jak sędzę, piękną po temu okazją. Uzyskam dla pana audiencję, święty Mikołaju z Krakowa!

Wszyscy biesiadnicy wybuchnęli śmiechem. Kopernik poczerwieniał, wbijając paznokcie w obrus z delikatnej koronki. Szybko, jakakolwiek reakcja! Wysiłił się, by także parsknąć śmiechem, zanim z komiczną miną, podkreślając swój pruski akcent, nie poprawił:

- Nie z Krakowa, Wasza Eminencjo, święty Mikołaj z Fromborka po polsku, Frauenburga po niemiecku, którego jestem kanonikiem; bardzo to wielki ciężar na mych wątłych barkach, którym jedynie w małej części jest w stanie ulżyć mych piętnastu konfratrów.

- Bardzo dobrze! - rzucił jeden z towarzyszy biesiady, który aż do Rzymu jechał w orszaku kardynała, a był sekretarzem do spraw zagranicznych kancelarii we Florencji.

Mikołaj w duchu odetchnął z ulgą. Bezceremonialnie zagrywając cynizmem ryzykował utratę wszystkiego. Wygrał wszystko: audiencję u papieża. I był wdzięczny mistrzowi Novarze, że w tym momencie wtrącił lekkim tonem z oczywistą intencją zmiany toku konwersacji:

- Uważam, że jest pan trochę niesprawiedliwy, Wasza Eminencjo, sugerując, że pan Kopernik do jednego garnka wrzuca Mahometa, Awerroesa i Awicennę. Bez dwóch ostatnich nie nastąpiłoby wskrzeszenie sztuk i literatury. Mimo wszystko to ciekawe, że ci wielcy matematycy rozwinęli swoją myśl w krajach funkcjonujących według roku księżycowego.

- Wiem, dokąd zmierzacie, drogi mistrzu - odpowiedział kardynał. - Do sławnej



reformy kalendarza, o przeprowadzenie której błagacie w codziennym pacierzu. Z tego, co wiem na ten temat, Jego Świątobliwość skorzysta z roku jubileuszowego, by zainaugurować to wielkie przedsięwzięcie. Według tego, co mi mówiono, panie Kopernik, dysponuje pan w tej dziedzinie większą wiedzą niż w sprawach państwowych. Będziemy jeszcze mieli okazję o tym porozmawiać, bo widzę, że nudzimy niektórych naszych przyjaciół. Na przykład pan Machiavelli ma łzy w oczach, tak bardzo próbuje powstrzymać ziewanie.

Rozmawiali o tym, i to wiele razy podczas na poły sekretnych spotkań Akademii Lincei, pod egidą Pitagorasa i Hermesa Trismegistusa.

Kilka miesięcy czekał Kopernik, zanim otrzymał audiencję u Jego Świątobliwości Aleksandra VI. Trzeba było przedtem, by Sculteti został oficjalnie zwolniony ze stanowiska przedstawiciela biskupstwa warmińskiego i by Łukasz mianował jego następcę, własnego bratanka, co oznaczało wymianę tajnej korespondencji przy użyciu mnóstwa różnych wybiegów. Sculteti, któremu skończyły się powody do dalszego pobytu w Rzymie, przezornie wolał udać się do swoich dawnych protektorów Jana i Piotra Medyceuszy przebywających przy królu Francji. Przedtem przyrzekł Mikołajowi, że pojedzie przez Bolonię, by zasięgnąć informacji o losie Andrzeja, od którego ani wuj, ani brat nie mieli żadnych wiadomości.

Prawdę mówiąc, to oczekiwanie na audiencję bardzo Mikołajowi odpowiadało. W jubileuszowym roku wszystko, co świat zaliczał do wielkich umysłów, pielgrzymowało do Rzymu, a w programie odwiedzin miało obowiązkową wizytę w pałacu kardynała Farnese. Akademia Lincei odbywała spotkania każdego tygodnia. Ściągały na nie tłumy, co z pewnością stanowiło odmianę dla ludzi, którzy na wzór Pitagorasa i jego uczniów głosili pochwałę tajemnicy, zastrzegając wiedzę i prawdę tylko dla wtajemniczonych. Ale w tym roku, tysiąc pięćsetnym, królował optymizm, a może także poczucie ulgi, bo śmiano się, trochę zbyt głośno, z przepowiedni szalonego Savonaroli wieszczącego na ten rok koniec świata z królem Francji w roli Bożego wysłańca. Nie, koniec czasów był już za nimi i wszyscy mieli świadomość, że oto są świadkami renesansu cywilizacji.

Tak więc nikt nie przeraził się zapowiedzią listopadowego zaćmienia Księżyca, które następnego dnia opisze Jego Świątobliwości Aleksandrowi VI pruski astronom Nicolaus Copernicus. Nasz bohater stał się znany po tym, jak zgłosił sprzeciw wobec słów swego mistrza Novary w czasie jego wykładu na temat konieczności reformy kalendarza. Dwaj wspólnicy ustalili oczywiście wcześniej, że jeden odegra rolę nazbyt ostrożnego mistrza, drugi zaś zapalczego i niecierpliwego ucznia. Mikołaj bez najmniejszego wysiłku przytoczył daty ustalone dla równonocy wiosennej i jesiennej, jak również letniego i zimowego przesilenia, które zgola nie odpowiadały rzeczywistości. Podsumował, stwierdzając, że początkiem dobrej reformy kalendarza powinno być dostosowanie się do praw natury.

Tkwiał w tych słowach zwykły zdrowy rozsądek, ale dotyczyły one problemu religijnego: pierwsi chrześcijańscy reformatorzy kalendarza juliańskiego z pełną świadomością zafałszowali te daty: gdy wyznaczano przesilenie zimowe na dwudziestego piątego grudnia, starano się wykorzenić pogańskie święto, pokrywając jego datę z dniem narodzin Chrystusa. Potem Kopernik zmienił temat, domagając się, aby żeglarze pływający na antypody i ci, którzy przekroczyli najdalsze krańce Afryki, przywozili nowe obserwacje dotyczące ruchów sfer niebieskich, bo mogą one zmienić oblicze ziemi i objawić piękno dzieła stworzonego przez Wielkiego Artystę, dzieła zniekształconego przez zbyt wielu fałszywych mędrców.

- Zastąpić system ptolemejski! - wykrzyknął Novara fałszywie oburzonym tonem. - Ale czym? I może to pan podejmie się tej pracy?

- Kimże ja jestem, bym mógł to uczynić, mój mistrzu? - odparł Kopernik z tak fałszywą skromnością, że niejednen uśmiech pojawił się na twarzach zebranych osób. - Pozwól, że schowam się za plecami największego filozofa naszych czasów, przedwcześnie zgasłego Marsilia Ficina. Oczywiście znacie wszyscy jego Teologię platońską: „Czym jest Bóg?”, pisze. „Duchowym okręgiem, którego środek jest wszędzie, a obwód nigdzie. Ale jeśli to boskie centrum posiada w jakiejś części świata

imaginacyjną lub widzialną siedzibę dla swoich dzieł, to raczej króluje On w centrum, jak król pośrodku miasta, serce w środku ciała, Słońce pośrodku planet”.

Zamilkł. Słońce pośrodku planet... Zaraz po tym, jak zakwestionował system ptolemejski! Na moment niepewność ogarnęła zgromadzenie, tak, jakby bało się zrozumieć. Pozdrowiwszy publiczność usiadł. Pitagorejską regułą było powstrzymanie się od oklasków; dopiero gest Novary, nieukrywającego dłużej satysfakcji z błyskotliwego wystąpienia ucznia, dał zebrany do zrozumienia, że oto pokaz zakończony. Czyjaś ręka spoczęła na ramieniu Kopernika i cichy głos wyszeptał mu do ucha:

- Wielu myśli tak jak wy, drogi panie i mój imienniku. Trzeba by to jeszcze udowodnić. I to udowodnić księciu na tyle mądrymu, by nie wysłał pana na stos...

Mikołaj odwrócił się. Stał za nim osobisty sekretarz burmistrza Florencji, reprezentujący Republikę w Rzymie, Niccolò Machiavelli.

Kopernik został przyjęty przez papieża Aleksandra VI siódmego listopada roku tysiąc pięćsetnego po zaobserwowaniu poprzedniego wieczora częściowego zaćmienia Księżyca. Przez ponad rok pobytu w Wiecznym Mieście nauczył się postępować jak wszyscy dookoła, czyli nie ufać niczemu, nie wchodzić w zbyt ciasne uliczki, badać zapach wina przed jego wypiciem, rzucać leżącemu u stóp psu kęs z każdego dania, jakim go raczono.

Wczesnie rano znalazł się pod murami Watykanu, gdzie szwajcarski gwardzista przeszukał go od stóp do głów, a następnie pod eskortą, niby jakiś więzień, wspinał się szeroką aleją, po której kursowały wozy pełne gruzu: niszczone znajdującą się powyżej Bazylikę Świętego Piotra. Potem były korytarze o ścianach pokrytych freskami o tematyce religijnej, ogród lub raczej park, kolejne korytarze. Kazano mu wejść do przedsionka, nie omieszkać przeszukać po raz wtóry. Długo czekał pod czujnym okiem Szwajcara. W końcu drzwi otwarły się i odźwierny dał mu znak, by wszedł do środka, jednocześnie go anonsując:

- Doktor Mikołaj Kopernik z Torunia, kanonik fromborski.

Nie była to wielka sala audiencyjna, jakiej się spodziewał, ale dość skromnych rozmiarów salon muzyczny. Pięć osób rozsiadłych wokół niskiego stolika zwróciło ku niemu głowy, jakby przeszkodził im w poufnej rozmowie. Zanim złożył niski ukłon, z ulgą rozpoznał szczupłą sylwetkę swojego opiekuna, kardynała Farnese. Uklęknął, by ucałować pierścień, który podał mu papież. Ten, nie podnosząc się z fotela, chwycił go pod ramię nakłaniając, by powstał i jednocześnie zwracając się do niego niepokojąco miękki głosem:

- Niechże pan siądzie przy mnie, w ten sposób będzie mógł pan swobodnie podziwiać te oto damy; o wiele bardziej czarujący widok niż nasze stare pomarszczone twarze. A

jeśli preferencje kierują pańską uwagę gdzie indziej, niestety, będzie się pan musiał zadowolić obliczem księcia Walencji.

Księżę Walencji! Inaczej mówiąc, syn papieża, straszliwy Cesar Borgia! Zanim udał się na audiencję, Kopernik długo rozmawiał z Machiavellim, którego darzył sympatią: dwaj imiennicy byli niemal w tym samym wieku, różnica wynosiła zaledwie trzy lata. Florentczyk miał jeszcze jedną zaletę: bez wstydu wyznawał, przeciwnie niż jego rodacy, swoją kompletną ignorancję w dziedzinie matematyki i astronomii. Był to zwarty i czysty umysł, przenikliwy do granic możliwości. Kopernik natomiast, posługując się przypisywaną mu naiwną ociężałością Niemca, wyznał, że niuanse polityki są mu całkowicie obce. W ten sposób ci dwaj mężczyźni, obdarzywszy się wzajem zaufaniem, bardzo dobrze się dogadywali. A portret Borgiów nakreślony mu przez Machiavellego wydał mu się równie bezlitosny i prawdziwy, jak portrety śpiącego pijaka, które Dürer szkicował na stole w gospodzie - z tą różnicą, że sekretarz florenckiego burmistrza nie przedstawił ich twarzy, tylko dusze.

Borgiowie byli piękni, urodą niekwestionowaną, pewną podbicia serca każdego, kto znalazł się w towarzystwie jej posiadaczy. Cezar uderzająco przypominał ojca: te same karminowe usta o olśniewającym uśmiechu, to samo spojrzenie czarnych oczu, wysoki wzrost, spokojna siła. Gdzież pomiędzy regularnymi rysami wyczytać rozpustę, kazirodztwo i zbrodnię? Księżca Walencji otaczały dwie kobiety. W młodszej Kopernik rozpoznał Giulię Farnese, siostrę kardynała i papieską konkubinę. Druga pod woalką z delikatnej czarnej koronki wydawała się tak krucha, że nachodziło człowieka nieodparte pragnienie, by wziąć ją w ramiona i wyrwać z bijącego od niej niewysłowionego smutku. Jednak z pewnością to nie utrata męża, Alfonsa Aragońskiego, zamordowanego przez Cezara była przyczyną żałoby Lukrecji.

„To nie papieska audiencja, ale rodzinne spotkanie - pomyślał Kopernik. - Brakuje tylko bękartów Jego Eminencji Aleksandra Farnese...”

- No dobrze, panie Kopernik, z kim mam do czynienia? - zapytał papież z wesołą

miną. - Z ambasadorem czy astrologiem?

- Jak się spodoba Waszej Świątobliwości - odparł mocno zakłopotany przedstawiciel rodu Koperników, bo nie czuł się ani jednym, ani drugim. A może dwoma na raz?

- Pozbądźmy się więc poselstwa. Jak pan niewątpliwie wie, w tym Roku Świętym ogłosiłem krucjatę przeciwko Turkom. Odpowiedziała Francja, by udowodnić, jak gorliwie mnie chroni, nie mam jednak co do niej żadnych złudzeń. Ani jeden francuski żołnierz nie zostanie odwołany poza wielkie księstwo Mediolanu, ani jeden okręt nie opuści nabrzeża Genui. Wenecja, Węgry i Czechy także zadeklarowały udział w krucjacie. Ale czy nie są chętne od zawsze, pierwsza, by chronić swój handel, pozostałe - swoje granice? I w końcu odpowiedziała na moje wezwanie pańska kochana Polska. Jagiellończyk Jan Olbracht, pański suzeren, to żarliwy chrześcijanin, który, jeśli akurat mnie nie obraża, to marzy o walce z niewiernymi. Jego ambasador, baron Glimski, którego powinien pan znać, zapewnił mnie, że wasz król weźmie na siebie przekonanie wielkiego mistrza krzyżackiego, by się do niego przyłączył. Piękny sposób pokazania mi, że mój wpływ na ten zakon jest żaden. Ale jeśli odmówią udziału w krucjacie, niech mi pan wierzy, rozwiążę tych żołnierzy nie z tej epoki. Jak pan widzi, pańskie poselstwo straciło rację bytu... A więc co zwiastuje to zaćmienie? Krucjatę czy rozwiązanie Krzyżaków?

Oszołomiony Mikołaj miał właśnie odpowiedzieć, że nie posiada zdolności czytania w gwiazdach losów państw, kiedy odźwierny, który go wprowadzał, wesołkowaty i czerwony na twarzy ojczulek, zbliżył się do papieża, przekazując mu szeptem jakąś wiadomość. Aleksander VI zaklął szpetnie po kastylijsku i wstał.

- Bardzo mi przykro, moje dzieci, ale muszę was opuścić. Zupełnie zapomniałem, że mamy dzisiaj święto... czegoś tam i że wierni wzywają mnie, bym odegrał dla nich małego papieża...

Uzupełnił zdanie, kreśląc dwoma palcami ubranej w rękawiczkę i zdobnej w

pierścienie dłoni znak krzyża. Potem dorzucił:

- Idzie pan, Farnese? Nigdy za wcześnie, by poznać obowiązki pańskiego przyszłego zawodu. Ale niech się pan zbytnio nie spieszy z zajęciem mojego miejsca.

I Aleksander VI Borgia wyszedł, za nim podążył kardynał.

- Ja także muszę was opuścić - powiedział Cezar. - Prawdę mówiąc, siedziałem tu tylko po to, by przypodobać się Jego Świątobliwości. Jestem jedynie żołnierzem i kwestie filozofii... Idziesz, Lukrecjo?

Kopernik poczuł się jak w pułapce. Znajdzie się sam na sam z siostrą swojego opiekuna, kochanką papieża. Czy była to z góry zaplanowana gra? Po tym wszystkim, co mówił mu Machiavelli... I córka Borgiów, która jakby dla czystej przyjemności zwlekała z odpowiedzią. W końcu, głosem, który można było uznać za należący do anioła, powiedziała:

- Nadto dobrze wiesz, bracie, jak bardzo pasjonują mnie sztuki, a twoje rozrywki nie są stosowne dla mego wdowiego stanu. Idź beze mnie.

Kopernik mógłby przysiąc, że oblicze Cezara sposepniało. Czyżby Machiavelli miał rację? Te plotki o kazirodczym związku brata i siostry... Wydało mu się, że drzwi zatrzasnęły się za księciem trochę za głośno. Lukrecja natychmiast uniosła woalkę i Mikołaj poczuł, jak krew napływa mu do twarzy: promieniała kobiecością. Znikła z niej wszelka oznaka melancholii. Radośnie powiedziała, strojąc miny jak mała dziewczynka, co przypomniało Mikołajowi jego siostry z czasów dzieciństwa:

- No tak, musi się panu wydawać, że w Italii tylko kobiety interesują się astronomią. Po prawdzie od grzechu Ewy Księżyc jest u nas kobietą... Czy tak samo jest w pańskim kraju?

Och, to załamane głosu na słowie „kobieta”! Kopernik z trudem powstrzymał nieodpartą chęć rzucenia się do jej stóp i ukrycia głowy w długiej sukni z czarnego jedwabiu.

- Niestety, pani - odparł, starając się, by zabrzmiało to śmiało i po męsku - mój kraj to tylko mgła. Mężczyźni i kobiety pochylają się nad ziemią i nigdy nie unoszą głowy ku niewidocznym gwiazdom.

- Jakież z pana poeta, panie geometro! To lubię. Niechże więc nam pan wyśpiewa zaćmienie z wczorajszego wieczora. I proszę nam powiedzieć, dlaczego jedne zaćmienia sprawiają, że księżyc czerwienieje, zaś inne powodują, że pokrywa się czernią. Tej nocy posprzeczałyśmy się o to z Giulią.

- Owszem, i założyłyśmy się o wysoką stawkę, chcemy więc się dowiedzieć, która z nas miała rację - dodała kpiarsko Giulia Farnese.

Giulia, Lukrecja? „To nie we Włoszkach jestem zakochany - pomyślał Mikołaj i poczuł się jak słynny uwodziciel - ale w Italii”.

- A jaka jest stawka owego zakładu? - zapytał, czując, jak coraz milej łechtana jest jego męska próżność.

- Pewien uroczy pruski pitagorejczyk o czarnych oczach - odpowiedziała Giulia, rzucając mu gorące spojrzenie.

Wybuchły perlistym śmiechem. To było czarujące. Aby ukryć zmieszanie, spuścił wzrok i przybrał fałszywie skromny ton, wręcz ociekający próżnością:

- Mizerna to stawka, drogie panie, która na pewno by was rozczarowała.

Wprawiony w świetny nastrój podniósł się i używając swych długich, silnych rąk



wytłumaczył, gestem i słowem, zjawisko księżycowego zaćmienia. Kiedy skończył swoją prezentację, Lukrecja uniosła w górę palec, prosząc o słowo jak mała grzeczna dziewczynka:

- Proszę mi wybaczyć, panie Koperniku, ale nie wiem, czy dobrze zrozumiałam: pańska zaciśnięta lewa dłoń uosabia Księżyc, otwarta prawa ręka - Ziemię, a pańska twarz, bardzo zresztą promienna, Słońce? Jednak mówił nam pan, że cień rzucany na Księżyc przez Ziemię wytworzył się, kiedy ta przesuwała się przed tarczą słoneczną. Jeśli wierzyć pańskim słowom, poruszałby się nasz świat, nie zaś gwiazda dnia.

Nie zauważył tego! Szybko, znaleźć jakąś odpowiedź, jakąś ciętą, zabawną ripostę i wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji!

- Chodzi o to... Widzicie, panie... Gdyby moja głowa posłużyła za nieruchomą Ziemię, a prawa dłoń za Słońce, musiałbym wyczyniać przed wami żałosne wygibasy godne jarmarcznego akrobaty.

Po twarzach obu kobiet przemknął powątpiewający grymas, na który nie zwrócił uwagi, bo uczył, jak wzbiera w nim wrząca burza chaotycznych idei, pękających w jego umyśle jak bańki. Czyżby Giulia i Lukrecja, które motłoch uważał za wiedźmy, rzuciły na niego urok? Miał ochotę uciec, zamknąć się w swojej izdebce... Ten moment wzburzenia zdał mu się wiecznością; w rzeczywistości trwał mgnienie oka. Pozbierał się i rozpoczął długi wywód, specjalnie nudny, na temat sposobu, w jaki można było przewidzieć już wiele wieków temu zaćmienia Słońca i Księżyca. Lukrecja lekko ziewnęła, przysłaniając usta dwoma bardzo długimi, bardzo smukłymi i bardzo białymi palcami. Teraz mógł, nie uchybiając etykietce... ulotnić się.

Wrócił spieszonym krokiem do pałacu Farnese i wpadł do bogatej w zbiory biblioteki, którą kardynał oddał do jego dyspozycji. Gdzie to przeczytał? U Cyncerona... Rozprawy akademickie... To jest to, Rozprawy akademickie, rozdział drugi, wiersz sto dwudziesty trzeci... Co za niezwykła rzecz, ta pamięć... Przeczytał na głos, nieomal krzycząc...

„Według Teofrasta, Hiketas z Syrakuz uważa, że niebo, Słońce, Księżyc, gwiazdy, krótko mówiąc - wszystkie ciała niebieskie są stałe i żadna rzecz nie przemieszcza się we Wszechświecie poza Ziemią. Wskutek jej obrotów i rotacji wokół własnej osi z bardzo dużą prędkością powstaje, jak sądzi, ten sam efekt, jaki płynąłby z obracania się nieba dookoła nieruchomej Ziemi. I według niektórych mówi o tym także Platon w swoim Timajosie, jednak w bardziej niejasny sposób”.

Absurdalne! Tylko Ziemia się porusza... Równie niedorzeczne jak założenie, że jedynie Ziemia jest nieruchoma. U Plutarcha, być może. Tak, u Plutarcha. Przeklął wszystkich pitagorejczyków za to, że nigdy nic nie napisali i nie zwierzyli jemu, Kopernikowi, i tylko jemu, swoich tajemnic. Dlaczego teraz musi szukać ich u Cycerona, Plutarcha czy Archimedes? Wyszedł z biblioteki, podtrzymując ramieniem stos książek; nie chciał pomocy przydzielonego mu na czas pobytu u kardynała służącego. Pokonał ogrody, wtaszczył wszystko do siebie, rozkazawszy wcześniej, by posiłek podano mu do pokoju. I czytał. Potem pisał, łamiąc na papierze dziesięć piór, tak jak posłaniec zajeżdża pod sobą dziesięć koni. Czas przestał istnieć. Czasem, przepisując ten czy inny fragment, czuł, jakby wpadał w trans, w ekstazę, niczym kochanek osiągający szczyt rozkoszy.

Wkrótce wybiła północ. Ktoś zaskrobał w drzwi.

- Prosiłem, aby mi nie przeszkadzać! - rzucił.

Drapanie się wzmogło. Podniósłszy się, otworzył drzwi. To była Giulia Farnese. Z uśmiechem zmierzyła go wzrokiem, ubranego tylko w rozchełstaną nocną koszulę odsłaniającą bujnie owłosiony tors. Zdumiony, wybełkotał:

- Pani... jest sama?

- Cóż - odpowiedziała. - Lukrecja nie mogła się ruszyć z pałacu. Musi pan zadowolić się mną. Wydaje się pan bardzo zachłanny jak na pierwsze spotkanie, panie astronomie.

I nie czekając na zaproszenie, wsunęła się do środka, muskając go w przelocie koniuszkami piersi.

W czasie następnych czterech miesięcy, nieświadom czyhających na niego niebezpieczeństw, Mikołaj przeżywał najpiękniejsze momenty swojego życia - tak sądził. Kochał. Kochał z pasją siostrę swojego opiekuna, papieską kochankę. Giulia nauczyła go, że spotkanie dwojga ludzi było czymś więcej niż szybką schadzka łączącą w akcie seksualnym osobnika płci męskiej i żeńskiej, jak wcześniej doświadczył z krakowską dziwką i panią Schilling.

Gdy nadeszła godzina powrotu do Bolonii, gdzie uniwersytet znowu otwierał bramy dla swoich studentów, zakomunikował Novarze, że dołączy do niego później i zaproponował, że go zastąpi, dając kilka wykładów w Akademii Lincei.

Pewnej zimowej nocy, zaraz po wyjściu Giulii, ktoś zastukał do jego drzwi. Sądząc, że to piękność czegoś zapomniała, pospieszył otworzyć. Ujrzał wślizgującą się do jego pokoju bez zaproszenia postać w ociekającym deszczem kapturze. Rozczarowany, a zarazem zdumiony, rozpoznał w nowo przybyłym kanonika Scultetiego, byłego przedstawiciela kapituły fromborskiej przy papieżu.

- Niech pan dobrze zamknie drzwi - odezwał się szeptem grubas i zdejmując płaszcz, rzucił się na fotel. - Miałem sporo trudności, by pana znaleźć. Myślałem, że wyjechał pan do Bolonii... Spotkałem się tam z pańskim bratem. Zrobił straszne głupstwo. Odmówił zapłacenia pańskiego i własnego chesnego, grożąc w rektoracie, że zaoferuje pańskie usługi w Rzymie.

- W Rzymie? Nie rozumiem.

- Próbował manipulować rosnącą reputacją pana i pańskich opiekunów. Ale niech się pan nie martwi, załatwiłem całą sprawę i wypłaciłem mu sto dukatów.

- Natychmiast je panu zwrócę - odparł Kopernik, uważając nachodzenie kogoś w środku nocy w tak przykłej sprawie za dość zuchwały pomysł.

- Nie trzeba, nie ma pośpiechu. Są ważniejsze sprawy. Król nie żyje.

- Król, jaki król? Jest ich paru na tym świecie.

- Bardzo proszę, niech pan nie żartuje. Chodzi o Jana Olbrachta, króla Polski i Litwy. Jego Wysokość zmarł nagle, w tajemniczych okolicznościach. A przede wszystkim wyzionął ducha w Toruniu, w pałacu biskupim, kiedy prowadził rozmowy z Ligą Pruską, której głową jest pański wuj, i z wielkim mistrzem krzyżackim. Król przybył do pańskiego rodzinnego miasta, chcąc przekonać obie strony, by przyłączyły się do nowej zbrojnej wyprawy przeciwko Turkom w Mołdawii. Plotki, jakoby król miał zostać otruty, krążą w najlepsze. Krzyżacy rzucają podejrzenia na Jego Wielbność Łukasza, i vice versa. Co do mnie, widzę w tym rękę tego zdrajcy, tego sodomity barona Glimskiego. Dosłownie oczarował Wielkiego Księcia Litwy, to znaczy naszego nowego monarchę Aleksandra Jagiellończyka, którego słabość i gnuśność znają chyba wszyscy. To Glimski rządzi teraz Polską.

- Sądziłem, że jest w Rzymie.

- Zdecydowanie jest pan kiepskim dyplomatą, mój drogi. Wrócił z pośpiechem, gdy tylko wypełnił swoją misję.

- Ale... sądziłem, że baron był sojusznikiem Ligi Pruskiej.

- Mój biedny przyjacielu, sam pan wie, jak to jest z sojuszami... Tuż przed śmiercią króla, zaledwie wjechał do Torunia, wśród swoich różnych posunięć nie omieszkał Glimski rozpowszechnić wszelkich plotek na pański temat, na temat pańskich... niebezpiecznych związków, które mogą okryć wielebnego Łukasza niesławą.

Kopernik zbladł. Jak Glimski mógł się dowiedzieć? Byli z Giulią tacy ostrożni!

- Trzeba mi więc wracać - powiedział w końcu. - Wuj jest w niebezpieczeństwie. Muszę przy nim być.

- Tylko nie to! Biskup jest bezpieczny w swojej twierdzy w Lidzbarku. Liga jest w stanie wojny. Burmistrz Braniewa, dzielny Filip Teschner, będzie potrafił powstrzymać krzyżackie zakusy.

Filip! Kochany Filip! Dowódcą armii! Po raz pierwszy od początku pobytu w Italii serce Mikołaja ścisnęło się z tęsknoty za rodzinnym krajem.

- Co zatem robić? - zapytał. - Mam zostać w Rzymie? Wrócić do Bolonii?

- Ani jedno, ani drugie. W Rzymie grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo. Niemożliwe zbliżyć się do Borgiów, nie opalając sobie skrzydeł. Na Warmii nie będzie pan zgoła użyteczny dla Jego Eminencji Łukasza: przypominam panu, że wciąż jest pan zaledwie magistrem sztuk zapatrzonym tylko w matematykę i astronomię, co jest pięknie i dobre tutaj, we Włoszech, ale nie wydaje się biskupowi odpowiednie pod pochmurnym pruskim niebem.

Kopernika ogarnęło okrutne poczucie winy. Przez blisko sześć lat bez reszty pochłonięty własnym szczęściem, zatopiony w urokach sztuki i filozofii natury, zaniedbał całą resztę, coraz głębiej utwierdzając się w przekonaniu, że jego przyszłość była tutaj, a nie w cieniu fromborskiej katedry. Westchnął i spytał:

- Co zatem wuj każe mi teraz robić?

- Zanim odwiedziłem pańskiego brata w Bolonii, przejechałem się do Padwy, gdzie zapisałem pana na medycynę, na uniwersytet Serenissima...

- Ja - lekarzem? Wszyscy uważają mnie za kanonika!

- Jego Wielbność Łukasz sądzi, że to dla pana najlepsza ochrona, naturalnie pod warunkiem, że nie odda się pan alchemii albo magii. Kiedy okoliczności pozwolą panu bez ryzyka wrócić do Prus, kapituła oddeleguje pana do biskupa w charakterze osobistego medyka. Kanonik zaś, jakim się pan mieni, bez problemu obroni dyplom z prawa w Krakowie albo w Ferrarze jak pański brat Andrzej.

- Jak to, Andrzej jest w Ferrarze?

- Tak, ma ukończyć tam jak najszybciej swoje studia. Rodzina d'Este stara się przyciągnąć do swego miasta studentów uciekających od zbyt wymagających studiów w Bolonii i Padwie. Ich uniwersytet jest dużo mniej renomowany, ale cóż! Doktorat to doktorat, nieprawdaż? Będzie pan musiał unikać spotkań z bratem. W Padwie proszę starać się nie rzucać w oczy. Niech się pan stanie niewidzialny! Szczególnie dla Borgiów i Farnese... Wenecja i Padwa kochają filozofów, uczonych i artystów, ale nie studentów mieszkających się w sprawy książąt i papieży.

Po tych słowach Sculteti wymknął się z pokoju równie niepostrzeżenie, jak się w nim zjawiał, co mocno dziwiło w przypadku człowieka tak okazałej postury.

Tydzień po tej wizycie Mikołaj Kopernik opuścił Rzym na swej mulicy, odziany w czerń jak skromny ksiądz albo prosty bakałarz, jakich wielu widywano na włoskich drogach. Większa część jego kufrów miała mu zostać przesłana później, pewnymi drogami.

Polubił skromność swojego ekwipażu i zajazdów, w których się zatrzymywał po wczesnowiosennym zachodzie słońca. Przyjmowano go w nich serdecznie, regularnie zmuszając, by wymiatał do ostatniego kęsa podany mu pożywny posiłek. Nocą spał na sienniku jak dziecko, o wiele lepiej niż w łożu z jedwabną pościelą w pałacu Farnese,

gdzie zawsze snuły się, wypierając poczucie bezpieczeństwa, zmysłowe perfumy pięknej Giulii. Każdego dnia podróżował w rytm powolnego stąpania swojego „wierzchowca”, z którego zsiadał, kiedy droga wznosiła się zbyt stromo. Każdy gaj oliwny, każda aleja cyprysów, każdy skrawek winnicy był nowym zachwytem. Wszystko było tu łagodne, wszystko było obłaskawione.

Jego umysł przechodził płynnie od najbardziej ulotnych marzeń do jasnych, precyzyjnych wywodów. Myślał na przykład o rycinie z biblioteki pałacu Farnese przedstawiającej z lotu ptaka idealne miasto. Było doskonale okrągłe; wszystkie ulice zbiegały się w centrum, na okrągłym placu, gdzie wznosiła się świątynia i gmach, w którym obradowali senatorowie. Przypomnił sobie także nowy rzymski kościół, w którym ołtarz znajdował się pośrodku, a nie w głębi nawy... Na środku, w centrum... A potem Pica della Mirandolę i Ficina, którego fragmentami znał na pamięć i recytował na pustkowiach, a który powtarzał w nieskończoność, że mieszkanie Boga znajduje się w centrum świata, i że emanuje z niego światło.

- Rozumiesz, Filomeno - przemawiał do swej mulicy, która strzygła swymi wielkimi uszami spragniona pocieszającego głosu swojego pana - istnieje geografia religijna i geografia naturalna. Pierwsza mówi nam, że Jeruzalem znajduje się w centralnym punkcie Ziemi. Ale wiemy już, że nie leży nawet na linii równika. Druga twierdzi, że nasza Ziemia jest kulista, a więc nie może mieć środka. Z jednej strony mamy więc do czynienia z parabolą, która niesie swą własną prawdę, a z drugiej z rzeczywistością. Jak je ożenić?

Wydawało mu się, że kos ukryty gdzieś w gałęziach przydrożnego dębu naśladuje w pięciu melodyjnych i ironicznych dźwiękach jego ostatnie słowa. Wyrwany z zamyślenia Kopernik zaczął radośnie pogwizdywać. Przez całą drogę rzeka Reno, wezbrana przez odwilż, zdawała się towarzyszyć mu swoim głuchym pomrukiem. Z lekkim sercem wjechał Mikołaj do Bolonii, żeby uściskać Domenica Novarę. Jego mistrz i przyjaciel obwieścił mu dobrą nowinę: Herkules I d'Este, książę Ferrary, wzywał go do siebie, proponując posadę profesora sztuk wyzwolonych. W ten sposób Novara powracał do

rodzinnego miasta, z dala od Bolonii, w której dusił się, nauczając greki w pustych salach.

- Jeśli poczekaś dwa dni, będziemy mogli pojechać razem.

- Tylko że... Chcę uniknąć wizyty w Ferrarze, nie mogę się spotkać z moim bratem Andrzejem...

- To absurdalne. Będziesz musiał znacznie nadłożyć drogi.

Wtedy Mikołaj opowiedział, w jaki sposób znalazł się w sercu intrygi, w którą wplątani byli papież, królowie Polski i Francji, pruskie biskupstwa, rycerze krzyżacy... I pęczniąc z dumy, dołączył opis, jak to uległ wdziękowi konkubiny Aleksandra VI, siostry ich gospodarza. Spodziewał się, że te rewelacje przybiją Novarę. Tymczasem ten szczerze się ubawił całą opowieścią. Pogładził długą brodę, którą zapuścił po tym, jak da Vinci zapoczątkował nową modę:

- Jakże słabo znasz Italię, drogi Mikołaju! Borgiowie, Medyceusze, Sforzowie, Farnese dbają o Prusy i Polskę, a nawet o Francję i Hiszpanię jak o zeszłoroczny śnieg. Jesteście dla nich tylko barbarzyńcami, których każdy próbuje wykorzystać do własnych celów, niczym Juliusz Cezar posługujący się jednym galijskim plemieniem przeciwko drugiemu. Wyobraź więc sobie, ile dla nich znaczy spotkanie dwóch braci z Torunia czy Krakowa, tych miast o nazwach nie do wymówienia. Ale w gruncie rzeczy ten gruby Sculteti miał rację, każąc ci opuścić Rzym. Wystarczyłoby, żebyś zirytował jedną z tych wielkich postaci i adieu, mały Polaczku! Ale przejdźmy dalej: by trochę opatrzeć twoją zranioną miłość własną, uroczyście oświadczam ci, że nikt nie wepchnął do twojego łóżka boskiej Giulii Farnese, jeśli nie boska Giulia Farnese we własnej osobie. Moje skromne doświadczenie w tej kwestii pozwala ci to zagwarantować.

- Czy naprawdę tak skromne, o mój cnotliwy i skromny mistrzu?



- Dwa dni wspólnej podróży do Ferrary wystarczą, by ci opowiedzieć moje rzadkie uchybienia cnocie, o mały, prostacki, dopiero co uświadomiony polski kanoniku!

Podróż przez żyzne i bogate równiny między Bolonią a Ferrarą nie należała do melancholijnych. Ale nie była też poświęcona wyłącznie pikantnym lub sentymentalnym wspomnieniom, często bardzo przesadzonym, jak to zwykle bywa w męskich rozmowach. Mikołaj zaczął przypominać sobie płataninę idei, które zaświtały mu w głowie w wielkim pomieszaniu, gdy medytował, jadąc na swym mule z Rzymu do Bolonii.

- Wybacz mi ten trywialny obrazek, Domenico, ale te splątane myśli, które ci przed chwilą wyłuszczyłem i które, kolejno wymieniane, wydają mi się mieć sens, przypominają mi nieodparcie młodzieńcze lata w Toruniu, kiedy spędzałem całe dnie na machaniu siekierą i rąbaniu drzewa. Kiedy w końcu wyczerpany, ale zadowolony podziwiałem moje dzieło, miałem przed sobą tylko chaos szczap, które zostawiłem ogrodnikowi, by poukładał je w niemal doskonały prostokątny równoległoscian. I wracałem zmordowany do domu, odczuwając jednak w głębi duszy niejasną gorycz - nie dokończyłem swej pracy. Tak samo rzecz się ma z tymi wszystkimi pomysłami i hipotezami, które pękają w mojej nieszczęsnej mózgowicy jak drwa pod ciosami siekiery. Są to dla mnie chwile poruszeń, ale gdy próbuję je uporządkować, to znaczy przenieść na papier, narasta we mnie bezbrzeżne znużenie, przytłaczający niesmak.

- Oto właśnie, mój drogi - odparł, śmiejąc się, Novara - odkryłeś sekret pitagorejczyków: jeśli wzbraniali się pisać, zadowalając się ustnym przekazem swoich odkryć, czynili to przez czyste lenistwo! Lenistwo, oto wróg!

- Kiedyż w końcu wy, Włosi, przestaniecie stroić sobie ze wszystkiego żarty?! - wściekł się Kopernik, waląc pięścią w łęk siodła. - Proszę, żebyś udzielił mi rady, a nie naśmiewał się ze mnie.

- A kiedyż w końcu przestaniesz ty, poważny Prusaku - sparodiował go Novara,

uderzając w kark swojego muła - brać wszystko bez dystansu, jaki daje uśmiech? Można by uwierzyć, że nigdy nie czytałeś Platona, nigdy nie zauważyłeś, iż Sokrates, by pobudzić ludzi do myślenia, używał ironii jako najlepszego z narzędzi. Pomyśl także o Lucjanie z Samosaty. Ironia, Mikołaju, to konstruktywne zwątpienie. To siła twórcza, siła refleksji wobec pewnych stwierdzeń, prorocत्व i aksjomatów wbijanych ludziom do głów przez tych, którzy uważają, że wiedzą, choć nigdy niczego się nie nauczyli. Jest w tobie coś wielkiego, gigantycznego nawet, co tylko czeka, by się uzewnętrznić. Ale najpierw musisz wyzbyć się wszelkich uprzedzeń. Spójrz na otaczającą nas równinę, która ciągnie się aż po horyzont. Popatrz tam, na tych wieśniaków pochylonych nad skibą. Kiedy unoszą głowę, jak postrzegają świat, o ile kiedykolwiek ta znojna praca daje im czas, by cokolwiek postrzegać? Dla nich ziemia jest płaska. O świcie mówią: „Słońce wstaje”. O zmierzchu: „Słońce zachodzi”. Skarżą się na niedole „tego padołu” i kierują swoje modlitwy ku niebu, „na wysokości”, aby Bóg im zaradził. Świat horyzontalny, świat wertykalny, świat płaski, bez objętości. Gnomon. Takie są pozory. Ale kiedy wędrują ze swojej wioski do kościoła, gdzie jakiś zubożały uczeń Uccello namalował fresk, czy sądzisz, że ci biedni nieboracy długo dadzą się nabierać przez perspektywę obrazu? Może przez moment, jak kociak, przed którym umieścić lustro. Ale bardzo szybko nasz wieśniak zda sobie sprawę, że fresk jest płaski, pozbawiony głębi. Perspektywa to tylko iluzja, ale pozwala zachować pozory. Oddaje rzeczywistość w jej harmonii i pięknie. System Ptolemeusza także zachowuje pozory rzeczywistości, tylko w brzydocie i dysharmonii.

Perspektywa! To słowo rozbłysło jak nagle światło w umyśle Kopernika.

- Perspektywa! Oczywiście! Dziękuję, mistrzu! Czuję się jak Archimedes w kąpielni!

- Bardzo to miło z twojej strony porównywać mnie do wanny!

- Przenosząc orbitę Słońca pomiędzy ruchome planety, za Księżyc, Wenus i Merkurego, Ptolemeusz czyni poważny błąd perspektywy albo przynajmniej każe go popełnić najwyższemu artyście, Stwórcy. Nasuwa mi to na myśl te stare obrazy, których

autor, aby przedstawić króla lub Chrystusa większym niż pozostałe postaci, ostatecznie umieszcza go nie w centrum, ale po jednej ze stron. Pewnie, pozory, zaćmienia pokazują nam, że gwiazda dnia znajduje się za Księżycem, Wenus i Merkurem. Za albo ponad, co za różnica! Ale jaki absurd, jaki niedorzeczny poślizg pędzla Wielkiego Artysty sprawiłby, że umieściłby On to ogromne źródło światła i życia, Jego tabernakulum, przed albo poniżej, jak kto woli, trzech pozostałych ruchomych planet, jakimi są Mars, Jupiter i Saturn?

- Odłóż siekierę, dzielny drwalu, i poukładaj twoje drewno. Praca ta jest na pewno mniej wzniosła, o wiele bardziej podła. Ale owego dnia, gdyśmy obserwowali okultację, sam mi mówiłeś o tablicach astronomicznych. Zbierz zatem wszystkie obserwacje, wszystkie tablice podające położenie gwiazd twoich jońskich i aleksandryjskich poprzedników, nie pomijając oczywiście Ptolemeusza ani Arabów; Tablice Alfonsyńskie sporządzone na rozkaz mądrego kastylijskiego króla Alfonsa X i tak dalej, aż do naszych czasów, Regiomontanusa, Waltherusa i mnie, jeśli ci się spodoba! Zbierz je, uporządkuj, zestaw. Zapomnij o wszelkim poszukiwaniu harmonii, zapomnij o całej metafizyce, zapomnij o samym Bogu. Stań się czystą cyfrą, stań się liczbami, figurami, samą geometrią. Wtedy, po ukończeniu tej mrówczej pracy, być może ośmielisz się wyrazić w końcu to, co nosisz w głębi duszy i co zdaje ci się tak ciężkim brzemieniem. Powiedziałem „być może”...

Mikołaj miał na końcu języka jedno palące pytanie, ale nie był w stanie go zadać, bo wydawało mu się zabójcze jak ostrze sztyletu: „Dlaczego ja, Mikołaj Kopernik, a nie ty, Domenico Novara?”. Stary astronom bez wątpienia także je sobie stawiał. Jechali w milczeniu aż do bram Ferrary.

Zaledwie rozgościł się w oberży - odmówiwszy gościny mistrza, by dać do zrozumienia, że jest tu tylko przejazdem - Kopernik udał się za mury uczelni, do budynku, w którym zbierał się „naród niemiecki”. Przybył tu, by spotkać się z Andrzejem, naruszając tym samym oficjalne zalecenia wuja przekazane mu przez Bernarda Scultetiego. Wskazano mu izbę Prusaków i Polaków. Otworzył drzwi sypialni i

cofnął się uderzony bijącym stamtąd odorem nóg, potu i gotowanej kapusty. Dwóch studentów zbliżyło się do niego ze skwapliwością, która bardziej go zaskoczyła niż mile polectała. Twarz starszego z nich wydawała mu się znajoma. Dopiero gdy tamten przedstawił się jako Mikołaj Schönberg, Kopernik przypomniał sobie, że należał on do sławetnej grupy birbantów w Krakowie i towarzyszył im w feralnej karnawałowej eskapadzie. Wspomnienie nie należało do najprzyjemniejszych i sporo trudu kosztowało go zamaskowanie rezerwy wobec tego świadka przeszłości, z której bynajmniej nie czuł się dumny.

Tymczasem młodszy z dwójki zaczął krzyczeć do pozostałych:

- Hej, chłopcy, chodźcie wszyscy! To Mikołaj Kopernik! Ficino z Torunia, polski Pico della Mirandola, pruski da Vinci!

Kopernik zmarszczył brwi. Co to za maskarada? Schönberg, rozumiejąc jego reakcję, rzucił do młodszego współucznia:

- Giese, proszę cię i przypominam, byś był trochę bardziej dyskretny. A reszta niech wróci na swoje miejsca, nasz rodak nie będzie głosił wam wykładów, dopiero co przyjechał.

Studenci, z których niektórzy, chcąc podejść do nowo przybyłego, zdążyli już pozłazić z łóżek albo powstawać od stołu, przy którym pracowali, posłuchali bez szemrania. Schönberg z pełną powagi poufałością wziął Kopernika pod ramię i zaprowadził poza sypialnię, do małej izdebki mieszczącej jedynie stół i dwa stołki, o ścianach pokrytych sentencjami, przysłowiami i rysunkami przedstawiającymi pejzaże lub portrety. Pośród nich Kopernik ze zdziwieniem rozpoznał swój autoportret, który dla zabawy naszkicował podczas pobytu w Bolonii.

- Widzę, że ogląda pan swój portret - powiedział Schönberg. - To pański brat Andrzej ofiarował go naszej małej grupce. Nie przestaje wynosić pana pod niebiosa. Dzięki niemu

znamy treść wykładów, jakie wygłosił pan w Rzymie przed areopagiem wielkich osobistości i znamienitych uczonych. Czytał nam nawet bruliony z tych debat. Rozumie pan teraz, dlaczego nasz młody i porywczy rodak Tiedemann Giese odegrał przed chwilą rolę pańskiego herolda. Proszę mu wybaczyć, stał się pan naszym wzorem i naszą dumą.

Kopernik o mało nie zaryczał z wściekłości. Zacisnął pięści i warknął:

- Gdzie jest Andrzej?

Schönberg zrobił zakłopotaną minę:

- W ubiegłym tygodniu wyjechał do Rzymu. Jego choroba się nasilała. Dowiedział się, że tamtejsi lekarze znaleźli jakieś skuteczne leczenie, przez rtęć. Mercurio kontra... Venere, rozumie pan.

Kopernik stał niewzruszony. Pobyt w Rzymie nauczył go ukrywać emocje.

- Andrzej jest mocnej konstrukcji - uciął. - Wyjdzie z tego. Muszę jak najszybciej wyruszyć do Padwy. Ale nie wyjadę bez podziękowania moim rodakom za takie przyjęcie. Ilu was jest?

- Dwunastu. Dwunastu pańskich apostołów, panie Kopernik.

Mikołaj powstrzymał komentarz, że razem z jego bratem byłoby ich trzynastu: Byłbyż Andrzej Judaszem?

- A więc, jeśli zechcecie, zapraszam was dziś wieczór do podzielenia się chlebem i winem w najlepszej gospodzie w mieście.

Rzucił to zaproszenie spontanicznie, nie kalkulując; nie wiedział, że ćwierć wieku temu jego wuj postąpił tak samo, przejeżdżając przez Ferrarę podczas podróży z Bolonii

do Padwy. Zapewnił sobie w ten sposób grono wiernych zwolenników, którzy po powrocie do kraju uczynili go niekwestionowanym zwierzchnikiem Ligi Pruskiej i odegrali niebagatelną rolę, gdy król Polski musiał wybrać nowego biskupa Warmii.

Już nazajutrz wyruszył Mikołaj do Padwy. Znowu zapisał się do nacji niemieckiej, ale na później odłożył spotkanie z polskimi i pruskimi rodakami. Sculteti zostawił mu adres, gdzie mógł znaleźć kwaterę. Okazało się, że była to padewska ekspozytura banku Medyceuszy, co zupełnie nie dziwiło, albowiem kanonik dyplomata przyłączył się do otoczenia kardynała Jana, drugiego syna Wawrzyńca Wspaniałego. O wiele bardziej zaskoczyło go to, że w mieszkaniu, które dla niego przygotowano na poddaszu, ujrzał zwalistego Radoma, który przed sześcioma laty towarzyszył mu jako służący i eskorta w podróży z Polski do Italii. Próbował dowiedzieć się o powody jego obecności, ale tamten raczył odrzec tylko tyle, że jest posłuszny rozkazom biskupa Warmii. Wiadomość od wuja Łukasza, którą przywiózł kolos, niewiele więcej mu powiedziała poza tym, że w każdej chwili ma być gotowy do wyjazdu do Polski, gdzie szykowały się wielkie wydarzenia. Ponadto biskup usilnie prosił bratanka, by jak najszybciej uzyskał swój doktorat z prawa kanonicznego, bez którego niemożliwe będzie podjęcie jakichkolwiek dalszych kroków.

Myśląc o tym ostatnim punkcie Kopernik odczuwał pewne zawstydzenie: w Rzymie zaniebtał zapisania się na uniwersytet, gdzie bez najmniejszego trudu mógł zdobyć tych kilka brakujących stopni. W Padwie nie będzie już tak łatwo: w dziedzinie prawa kanonicznego Wenecja wymagała jak największej dyscypliny i prowadziła bezwzględną selekcję, chcąc uniknąć ekskomunikowania swojego padewskiego uniwersytetu przez papieża. Z powodu swej dezynwoltury i braku zainteresowania będzie tu uchodził za nieuka. Ponieważ słyszał, że chcąc przyciągnąć studentów, Ferrara była o wiele mniej zachowawcza, postanowił napisać do swego rodaka i wielbiciela, niejakiego Mikołaja Schönberga i spytać go o radę. Dołączył do listu weksel opiewający na kwotę znacznie przekraczającą koszt wpisowego. Schönberg wspomagany przez młodszego współucznia Tiedemanna Giesego doskonale zrozumiał, o co prosi ich „wielki człowiek” i posunął się nawet do sfalszowania jego podpisu, by uniwersytet w Ferrarze uwierzył w obecność

tego studenta-widma.

Od tej chwili był wolny. Miał trzydzieści lat, doktorat ze sztuk wyzwolonych, a wkrótce z prawa kanonicznego. Brakowało jeszcze tylko medycyny, aby mógł triumfalnie powrócić do kraju. Od Prus po Warmię, od Małopolski po Wielkopolskę otwierały się przed nim wielkie możliwości. Jego wiedza będzie najlepszym orężem w drodze do władzy.

W każdym razie w ten sposób widział sprawy jego wuj. A on, co on o tym sądził? Czy widział się już arcybiskupem, kardynałem, panem Warmii, Medyceuszem Bałtyku?

Gdy pierwszy raz udał się na wykład profesora Pomponazziego z medycyny, przeżył szok, kiedy po wstępie do Hipokratesa mistrz osobiście podszedł do niego i uściśnął dłoń, gratulując rzymskich konferencji, których treść znał z przekazów. To samo miało miejsce z profesorem anatomii Achillinim. Scena powtórzyła się z malarzem Gentile Bellinim, który, wychodząc ze swojej pracowni po godnym uwagi wykładzie na temat perspektywy, zaprosił go na najbliższe spotkanie gromadzącej się raz w tygodniu tutejszej Akademii Lincei. Kopernik został jednym z jej najbardziej gorliwych członków. W przeciwieństwie do Rzymu czy Florencji, do jej grona nie należał żaden z wielkich tamtych czasów. Bywali tam wyłącznie filozofowie przyrody, artyści, lekarze, geometryści, astronomowie, i najczęściej wszyscy naraz. Dyskutowano tam z pełną swobodą, gdyż dobrze wiedziano, że prowadzone rozmowy nigdy nie dotrą do uszu tych, których Mikołaj nazwie później trutniami i obłudnikami. Wymiana zdań bywała tak gwałtowna, iż w pierwszym okresie wydawało mu się momentami, że przeciwnicy wezmą się za rozstrzygnięcie sporu przy pomocy pięści albo w pojedynku. Nic takiego nigdy nie miało miejsca, a dyskusje kończyły się zawsze nagłą zmianą zdania, celnym słówkiem, dowcipnym komentarzem jednego z adwersarzy albo przewodniczącego zebrania, wywołującym śmiech całego zgromadzenia. Starożytnych i współczesnych sprowadzano na złą drogę, ciągnięto za brodę Arystotelesa, dawano na przeczyszczenie Galenowi, przesiewano dogmaty przez sito wątpliwości, a zwłaszcza domagano się całkowitego rozdzielenia studiów nad naturą i studiów biblijnych, fizyki i metafizyki,

rozumu i wiary. Tego właśnie Kopernik potrzebował, aby ukazać czarno na białym to, co nazywał już na własne potrzeby swym „nowym Almagestem”. Oczywiście idea krążyła w jego myślach od dawna, ale ani on, ani Novara nie ośmielili się jej sformułować: musiał przestać prowadzić jałowe dyskusje na temat motywów Stwórcy i zająć się wyłącznie rzeczywistością Jego stworzenia, skończyć z „Dlaczego?” i zająć się „Jak?”. Czego nie mogli uczynić Platon ani Pitagoras, ani Ficino, zrobił mahometański lekarz Awerroes: Kopernik znalazł swoją metodę.

Czas nabrał dla niego niesłychanej wartości - w każdej chwili mógł nadejść rozkaz spakowania bagaży i powrotu do kraju. Liczył go jak skąpiec swoje skarby. Studiował medycynę i anatomię z pośpiechem, nie dając sobie momentu wytchnienia. Często widywano go także w bibliotece padewskiego uniwersytetu, bogatszej jeszcze niż watykańska i mającej tę dodatkową zaletę, że do nawet najbardziej bezbożnych dzieł dostęp był swobodny. Ale to nie było to, czego szukał. Całą swoją energię poświęcił na gromadzenie tablic astronomicznych z dawnych epok, babilońskich, hebrajskich, greckich, perskich, arabskich, koniecznie manuskryptów w oryginalnych językach z obawy, że tłumacze łacińscy i współcześni mogli przy przepisywaniu popełnić jakiś błąd.

Kolejnego dnia swoich poszukiwań przypadkowo natrafił na bizantyjski manuskrypt pewnego neopitagorejskiego historiografa z siódmego wieku Teofilakta Symokatty. To małe dzieło składało się z wierszowanych listów o tematyce moralnej, sielskiej i miłosnej. Były na przemian lekkie i radosne, poważne i głębokie. Nie zatrzymując się na nich dłużej, zabrał się za wyciąganie ze skrzynki pozostałych pergaminowych zwojów. Jednak „Listy” ciągle chodziły mu po głowie. Zszedł z drabinki, by zajrzeć do spisu. Otóż to: napisane po grecku dzieło Teofilakta Symokatty nie posiadało łacińskiego tłumaczenia. Rzadkie zjawisko w czasach, w których panowało przekonanie, że Ficino, Pico della Mirandola i ich rywale wszystko zebrali, wszystko odkryli, wszystko przetłumaczyli. Zatem on, kanonik z Fromborka, właśnie znalazł perłę rzadkiej urody. Nie było to oczywiście arcydzieło, czego był doskonale świadom, żaden nieznaną wolumin Platona czy Archimedesesa, ale mimo wszystko, sporządzając jego łacińską wersję, wniesie swój własny wkład w odrodzenie myśli antycznej. A zwłaszcza nie



powróci do kraju z pustymi rękami. We Florencji lub Rzymie to odkrycie przeszłoby niezauważone; w Polsce albo Prusach stanie się narzędziem, które posłuży do podniesienia jego prestiżu. Tłumaczenie zajęło mu nie więcej niż tydzień.

Niedługo potem, pod koniec stycznia tysiąc pięćset trzeciego roku, musiał udać się do Ferrary, by w ciągu dwóch miesięcy przygotować obronę doktoratu. Schönberg i Giese przygotowali grunt, udostępniając mu sporą część własnych studiów i wygrzebując w archiwach zapomniane doktoraty, które wystarczyło trochę przerobić i obrona stawała się czystą formalnością. Nadto Novara zatrudnił się jako członek komisji, w której miał kilku przyjaciół, jak on pitagorejczyków. To były dwa okropnie męczące miesiące, podczas których Kopernik był zmuszony nadskakiwać upartym i skostniałym profesorom teologii. Do zajmujących ich kwestii należało między innymi to, czy Bóg może zatrzeć pamięć o wydarzeniach, czyniąc z prostytutki nieskalaną dziewicę, albo dlaczego Adam zjadł w Raju jabłko, a nie gruszkę. Jedyną pociechę stanowiły regularne wizyty u mistrza Novary, na które zabierał swoich dwóch wielbicieli Mikołaja Schönberga i Tiedemanna Giesego. W końcu wszyscy trzej w tym samym tygodniu obronili doktoraty, a następnie wyruszyli do Padwy, gdzie towarzysze Kopernika zapisali się na kurs sztuk wyzwolonych.

Nagła i podejrzana śmierć papieża Aleksandra VI na moment zaniepokoiła Kopernika, a potem napełniła nadzieją, kiedy jego słabowity następca zmarł po niespełna miesięcznym pontyfikacie: Aleksander Farnese był jednym z faworytów konklawe. Rozczarował się, albowiem na tron świętego Piotra wstąpił potomek innej wielkiej włoskiej rodziny Juliusz II, zdecydowany skończyć z Borgiami i ich zwolennikami. Od tej chwili Mikołaj starał się być niewidzialny i mimo wielkiego żalu nie pojawił się następnego roku w Ferrarze na uroczystościach pogrzebowych swojego przyjaciela i mistrza Domenica Novary. A gdyby nawet chciał pojechać, Radom byłby mu w tym przeszkodził: jego ochroniarz miał swoje rozkazy.

Mikołaj poczuł się we Włoszech osamotniony. Zbliżył się do silnej w Padwie grupy niemieckich studentów, ku wielkiej radości Schönberga i Giesego. Był teraz pewien, że

pewnego dnia przyjdzie mu powrócić do kraju i chyba nawet zaczynał mieć na to ochotę. Był stałym gościem licznych przyjęć na cześć tego czy innego świętego, takiego czy innego dyplomu, tego czy innego rodaka wyruszającego po ukończeniu studiów do ojczyzny. Jedną z tych agap, na początku tysiąc pięćset szóstego roku, zorganizowano pod pretekstem wyboru nowego przewodniczącego niemieckiej braci studenckiej. Kopernik trzymał się na uboczu. Tym bardziej nieprzyjemna spotkała go niespodzianka, gdy pod koniec uczyty Schönberg podniósł się i wygłosiwszy mowę pochwalną, wysunął kandydaturę Mikołaja Kopernika na tego, który rządzi i broni przed rektorami setki niemieckich studentów. Próbował odmówić, ale było za późno. Wybrano go przez aklamację. Musiał wygłosić improwizowaną, wyrażającą wdzięczność przemowę, co, czując się przymuszonym, uczynił bez wdzięku.

Na koniec uczyty człowiek w nieokreślonym wieku, o ciężkich, sinych powiekach i pobrużdżonej skórze, którą starał się ukryć pod rzadką brodą przetykaną siwymi pasmami, owinięty w ciężki płaszcz mimo upału królującego w mieście pod koniec sierpnia, dał mu z daleka znak, że chce z nim mówić. Nieufnie, z nieświadomioną odrazą Kopernik zbliżył się do nieznanego, którego dopiero co dostrzegł. Ten ochryplym głosem powiedział do niego po polsku:

- Cóż to, Mikołaju, nie przywitasz się z bratem?

Andrzej! Spostrzegając, że współbiednicy, którzy odeszli na bok, obserwują to niespodziewane spotkanie kątem oka, ukrył odrazę najlepiej jak potrafił i energicznie uściskał brata. Następnie Andrzej, przybierając nieznośny ton wyższości, jakiego używał, chcąc przypomnieć młodszemu bratu, kto jest głową rodziny, wyznaczył mu spotkanie na jutro w południe, w gospodzie, w której zwykł bywać. I starszy z Koperników zniknął jak spiskowiec, z podniesionym kołnierzem płaszcza i nasuniętej na oczy czapce.

Świętowanie trwało do późna w nocy. Nazajutrz, w podłym humorze i z okropnym bólem głowy udał się Mikołaj na umówione spotkanie. Gospoda znajdowała się u bram miasta, z dala od uniwersyteckiej dzielnicy i żaden student jej nie odwiedzał. Przy stołach

siedziały podejrzone indywidua, jakie zazwyczaj kręcą się nieopodal uniwersytetów, korzystając z rozgardiaszu albo bójki między nacjami, by oddać się plądrowaniu i grabieży. Andrzeja zauważył w pomieszczeniu obok wspólnej sali, pogrążonego w konwersacji z grubym kanonikiem Bernardem Scultetim. U ich boku Radom popijał czerwone wino z wielkiego cynowego kubka.

Ze swą zniekształconą twarzą, wciąż na poły zamaskowany za podniesionym kołnierzem, w rękawiczkach, Andrzej nie wysilił się na żadną powitalną formułę; dawniej, w Toruniu lub Krakowie zawsze okazywał młodszemu bratu szorstką czułość. Suchym, nieznoszącym sprzeciwu tonem oznajmił, że jak najszybciej muszą wyruszyć na Warmię.

- Teraz, gdy obaj uzyskaliśmy doktoraty, nie mamy już nic do roboty w tym kraju.

Mikołaj postawił się:

- Czy wuj o tym wie? - zapytał, spoglądając na Scultetiego, który skinął głową, podczas gdy Andrzej mówił:

- Wuj nam to nakazuje. I jeśli nie ufasz mnie - ciągnął, sięgając ręką do kieszeni - przeczytaj list, który dostałem od niego w zeszłym tygodniu, w Ferrarze.

Zdecydowanym gestem Mikołaj odmówił. Powstrzymał się od zadania cisnącego mu się na usta pytania: dlaczego Łukasz zwrócił się do Andrzeja, nie do niego? Jakby rozumiejąc, Andrzej kontynuował z nutą arogancji:

- To chyba normalne, że nasz opiekun uznaje w końcu moje prawo starszeństwa w tak ważnych decyzjach. Zresztą, od czasu twoich dzikich nocy z dziwką Orgii, wuj Łukasz...

- Zrozumiałem, dziękuję, nie jestem aż takim durniem - sucho przerwał Mikołaj i

ostentacyjnie odwrócił się do Scultetiego, pytając go:

- Skąd ten nagły pośpiech?

Ten odpowiedział, bardzo podekscytowany, gestykulując swoimi małymi pulchnymi dłońmi:

- Tym razem to już to, nastąpiła godzina Warmii. Po czterech latach sprawowania rządów pod kuratelą nikczemnika Glimskiego, król Aleksander właśnie zmarł w Wilnie. Sejm zbiera się, by wybrać nowego monarchę. Jego Ekszelencja Łukasz, który wchodzi w skład sejmu, jest absolutnie pewien, że królem zostanie piąty syn Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunt. Z takim monarchą możliwe będzie spełnienie wszystkich naszych nadziei.

Mikołaj przypomniał sobie wyniosłego i ambitnego młodego człowieka, który dawno temu, w Krakowie, spiskował z Łukaszem.

- Jego Wielbności - podsumował Sculteti - bardzo zależy, by jego dwaj bratankowie byli obecni na ceremonii koronacyjnej.

„Czy nadal będzie mu tak zależało po tym, jak zobaczy twarz Andrzeja?”, pomyślał złośliwie Kopernik. Potem znowu zwrócił się tylko do Scultetiego:

- Nie dyskutuję z rozkazami biskupa, ale... w przyszłym roku mam otrzymać doktorat z medycyny i wydaje mi się...

- Nauczyłeś się już wystarczająco dużo, by mnie leczyć - zaśmiał się drwiąco Andrzej.

Powrót do Warmii zajął dużo mniej czasu niż podróż do Italii; upływał w ponurej atmosferze... Bracia bez przerwy dokuczali sobie zjadliwymi docinkami. Mikołaj, świeżo

upieczony lekarz, deliberował nad chorobą Andrzeja, przywołując opinię współstudenta z Padwy, Fracastora, twierdzącego, że ten rodzaj trądu pojawił się wraz z francuskimi żołnierzami, którzy roznieśli jego miazmaty po całych Włoszech. Kopernik sądził jednak, że to, co tamten nazywał francuską chorobą, w rzeczywistości zostało przywiezione przez Hiszpanów z Nowego Świata. I nazwał to chorobą indyjską. Poniekąd słusznie Andrzej odpowiedział, że zamiast szukać przyczyn choroby, lepiej znaleźć na nią lekarstwo. Niemal doszło do rękoczynów.

Podczas postoju w Norymberdze Mikołaj udał się do Dürera. Żona malarza, Agnes, powiedziała mu, że jej małżonek wyjechał do Włoch. W swoim ostatnim liście oznajmiał jej, że zamierza spędzić jakiś czas w Wenecji. Rozminęli się więc z Mikołajem ledwie o parę dni. Zaś Martin Behaim zmarł miesiąc wcześniej. Ruszając w drogę, Kopernik czuł, że pozostawia za sobą młodość. Komu się zwierzyć? Przed kim wylać swój smutek? Nie przed Andrzejem w każdym razie. Jego prawdziwi bracia: Novara i Behaim umarli, albo - jak Dürer i Machiavelli - żyli, ale odtąd tak daleko...

## VI

Przyjęcie, jakie zgotował biskup Warmii swoim bratankom, było równie dyskretne, co chłodne. Jak bardzo wuj Łukasz wydawał się nieokrzesany w porównaniu z pełnym finezji kardynałem Farnese! A biskupia rezydencja w Lidzbarku Warmińskim, ciężka i szara barbarzyńska budowla w zestawieniu z pałacowym wykwintem w kolorze cynobru i ochry, pośród którego Mikołaj zaznał w Rzymie tylu rozkoszy...

Koronacja piątego syna Jagiellończyka, Zygmunta I, miała odbyć się za dziesięć dni. Wobec stanu fizycznego i moralnego wyniszczenia, w jakim znajdował się starszy z bratanków, Łukasz zadecydował zwołać rodzinną naradę. Nie wchodziło w grę zabranie do Krakowa „trędowatego”. Ale co w takim razie z nim począć? W obecności szlochającego Andrzeja biskup obwieścił, że bratanek zostanie zamknięty w znajdującym się nieopodal klasztorze cystersów. Zdjęty litością Mikołaj wstawił się, by odesłano pariasa do Padwy, gdzie profesorowie medycyny poszukiwali nowych metod leczenia tej choroby, „która niesłusznie mylona jest z trędem”, jak z naciskiem podsumował. Andrzej wyszedł na te słowa z odrętwienia; gestykulując i pryskając śliną na wszystkie strony począł obrzucać brata wyzwiskami, oskarżając, że chce go zabić, wydając w ręce szarlatanów.

Wuj Łukasz, na co dzień tak niewzruszony, nie był już w stanie ukryć paniki: tak bardzo pragnął oprzeć się na swych dwóch bratankach, starszym w roli sekretarza, a młodszym - lekarza. Tymczasem to Filip, kochany Filip, jego ulubiony bastard, dumny i wojowniczy w szamerowanym mundurze głównodowodzącego Ligi Pruskiej uspokoił atmosferę i znalazł rozwiązanie. Mijało już dziesięć lat, odkąd kapituła katedralna we Fromborku pozbawiona była trzech spośród szesnastu kanoników: Scultetiego - przedstawiciela biskupstwa przy papieżu, i dwóch braci Koperników. Nad Zalewem Wiślanym szemrano już z powodu tych trzech bezustannie odnawianych pod naciskiem Łukasza dyspens, co mocno sugerowało nadużycie władzy. Zatem wyślą tam Andrzeja i będzie święty spokój! Znajdą się dzięki temu w korzystnym położeniu i będą mogli

uzyskać kolejną dyspensę dla Mikołaja, aby ten pełnił przy wuju funkcję lekarza i sekretarza.

Łukasz zaaprobował tę mądrą propozycję; Mikołaj wzruszył ramionami, pokazując, że ten temat już go nie dotyczy. Andrzej natomiast zaśmiał się drwiąco, pokazując pojedyncze, poczerńnięte zęby:

- Doprawdy, piękny prezent sprawiacie w ten sposób kanonikom z Fromborka. Jestem pewny, że go docenią.

Rozchylając kołnierz i zdejmując beret, odsłonił owrzodzoną twarz i głowę, na której uchoowało się ledwie kilka siwych kosmyków. Łukasz obwieścił, że Filip i Mikołaj wyruszą z nim jutro do Krakowa. Potem poszedł do siebie. Niektórzy utrzymują, że długo płakał.

Mikołaj wspiął się na zamkowe mury pełen goryczy: utracił brata. Na schodach odsunął się, by przepuścić młodą kobietę, która lekko się ukloniła. Machinalnie zdjął kapelusz, pozdrawiając ją, i ruszył dalej. Wyszędłszy na ganek, oparł łokcie na wilgotnych kamieniach. Przed nim równiny, lasy i bagna ciągnęły się w nieskończoność pod szarym, ledwie zaróżowionym zachodem słońca, niebem. Gdzież były zielone pagórki i ochra Toskanii, w którą malowniczo wcinały się winnice i gaje oliwne, delikatne pociągnięcia alabastru, strzaskana kolumna starożytnej świątyni ku czci Wenus lub Merkurego?

- Cóż to, kuzynie, jest pan na mnie zły?

Młoda kobieta, którą mijał przed chwilą, podnosiła ku niemu zuchwałą, drobną twarzyczkę.

- Nie poznaje mnie pan? - ciągnęła przekornym tonem. - Prawda, że trochę się przez te dziesięć lat zmieniłam. Pan zresztą także, z tą piękną brodą... Anna... Córka pani

Schilling.

Teraz Mikołaj sobie przypominał... Statek płynący w dół rzeki... Anna, nieślubne dziecko biskupa. A więc jego kuzynka... Bardzo przypominała swoją matkę, ale rysy miała dużo delikatniejsze, otoczone bujnymi blond włosami. Z jej żywych niebieskich oczu były figlarność i inteligencja. Zmieszany, nie wiedząc jak się zachować, wymruczał tonem, jakim zwraca się do dziecka:

- Mała Ania! To ile ty masz teraz lat?

- Dwadzieścia. Ale to niezbyt uprzejme pytać kobietę o wiek. Czego pana nauczono w tej Italii?

Zadzwoniono na kolację. Cały smutek i tęsknota rozproszyły się, Mikołaj wziął młodą kobietę pod ramię i poprowadził na schody. Tak wkroczyli do jadalni. Gdyby miejsce Andrzeja nie było puste, rodzina biskupa byłaby w komplecie, gdyż u jego boku, naprzeciwko Filipa zasiadała matka Anny.

- I co, kapelanie - rzucił Łukasz do starego księdza siedzącego u końca stołu - toż to całkiem dobrana para!

- Bez wątplenia - odparł ksiądz - ale jakie kłopoty w przyszłości, gdy pan Kopernik zapragnie kardynalskiej purpury.

- Widziało się gorsze rzeczy na tronie świętego Piotra - odparował Mikołaj, podsuwając krzesło Annie i zasiadając obok niej.

Biesiadnicy wybuchnęli gromkim śmiechem, który urwał się jak nożem uciął, gdy do sali wszedł Andrzej.

Nazajutrz biskup Warmii i jego świta, w tym nowy medyk i sekretarz Mikołaj



Kopernik, wyruszyli do Krakowa, by asystować przy koronacji Zygmunta I. Medyk nie miał wielu powodów do zmartwienia. W wieku pięćdziesięciu trzech lat Łukasz miał żelazne zdrowie i czas zdawał się nie mieć nad nim władzy. Na postojach wyzywał Mikołaja do szermierczych zmagañ. Systematycznie go rozbrajał, tak że Mikołaj w końcu odmówił dalszych konfrontacji, on, który brał lekcje u najlepszych włoskich mistrzów. Wtedy, ku wielkiej uciesze żołnierzy, biskup począł walczyć ze swym synem Filipem, dowodzącym eskortą, i zawsze powalał go na ziemię. Kopernik podejrzewał jednak, że kuzyn nie walczy zbyt zacięcie.

O ile funkcja lekarza była bierna, sekretarz nie próżnował. Wstąpienie na tron Zygmunta I miało wiele zmienić w Polsce i podporządkowanych jej krainach.

- Trzeba ci wiedzieć - tłumaczył Łukasz Mikołajowi, gdy tak jechali ramię w ramię - że nasz nowy król jest człowiekiem, który na wszystko patrzy przez pryzmat Italii i nowych idei. Marzy, by uczynić ze swojego królestwa drugą Francję, kraj sztuki i filozofii, przyciągający największych artystów i największych filozofów. Powinieneś mu się spodobać, bratanku. Jako pierwsze trofeum ułożyć w pokocie Polaka wartego tyle, co Pico della Mirandola! Będzie zachwycony.

- Do licha! Jak ty to robisz, wuju? Nie jestem przecież nawet doktorem medycyny i nic jeszcze nie opublikowałem.

- Oszczędź mi tej pokory wiejskiego proboszcza, mój chłopcze. Wiem, ile jesteś wart, i ty wiesz to także. Nie masz w zanadrzu jakiejś przyjemnej książeczki filozoficznej, którą mógłbyś mu zadedykować, czegoś absolutnie nowego i absolutnie przepięknego?

Mikołaj wystarczająco dobrze znał wuja, by wiedzieć, że za tą udawaną prostodusznością kryje się wszechstronna wiedza. Postanowił podjąć rękawicę, wczuwając się w rolę erudyty przemawiającego do ignoranta.

- Przypuszczam, że miał wuj okazję czytać kiedyś Almagest? - spytał z komicznie

pedantyczną miną. - No tak. Ja w każdym razie od prawie piętnastu lat rozkładam go na czynniki pierwsze, obracam na wszystkie strony wersję grecką, łacińską, a nawet niemiecką, i ciągle zbija mnie z tropu posunięta do granic możliwości zawilść niebiańskiej mechaniki, którą Ptolemeusz i jego następcy narzucają nam od tyłu wieków.

- Z tego, co wiem, nie jesteś pierwszym, który to mówi, bratanku. Obalanie starego to czasem dobra rzecz. Ale co zaproponować w zamian?

- Prostotę, wuju, prostotę. Natura nie tworzy nic w nadmiarze, nic zbędnego; potrafi wyprowadzić liczne skutki z jednej przyczyny. Tymczasem, co tworzyli astronomowie od momentu powstania Almagestu swoimi transkrypcjami, parafrazami, komentarzami? Recepturę! Złożony wytwór ich eksperymentów, dziesiątki kryształowych sfer połączonych między sobą absurdalnymi przekładniami. Porównałbym ich dzieło z człowiekiem, który, poznosiwszy z różnych stron ręce, nogi, głowę i inne członki - bardzo piękne same w sobie, ale w ogóle nieprzystosowane, by tworzyć jedno ciało, i zupełnie do siebie niepasujące - połączyłby je, tworząc potwora, nie człowieka. Nie! W miejsce tego dziwaczego kościoła, który nie rozsypuje się wyłącznie dzięki tysiącu różnych przypór i arkatur, wzniosę antyczną świątynię, dach, prosty dach podtrzymywany przez delikatne kolumny. A w centrum - tabernakulum. Jeśli Bóg jest, w co wierzę, największym z architektów, zbudował swój dom nie jak anonimowy świadek ciemnych wieków, ale jak Brunelleschi.

- Streszczaj się, chłopcze, i przestań mówić ogródkami. Ktoś by pomyślał, że boisz się tego, co chcesz mi powiedzieć. Nie jestem twoim profesorem, a tym bardziej uczniem, lecz wujem. A więc?

- A więc niech się wuj mocno chwyci łęku swojego siodła i sprawdzi, czy nogi dobrze tkwią w strzemionach. Bo nawet tak sprawny jeździec może spaść na ziemię, gdy usłyszy to, co za chwilę wujowi powiem. Owszem, boję się. Tak jak w Rzymie, gdzie przed największymi osobistościami i najlepszymi uczonymi naszego czasu, nawet przed moim mistrzem Domenikiem Novarą nie ośmieliłem się dojść do końca moich rozważań,

nie mogłem sformułować wniosków, jakie się nasuwały. To samo działo się z moim audytorium. Jakbyśmy znaleźli się przed niewidzialnym murem, uniemożliwiającym pójście dalej, ku prawdzie.

Łukasz patrzył na bratanka, jakby odkrywał go po raz pierwszy. Mikołaj porzucił swój lekki, pedantyczny ton, popadając w niezwykłą jak na niego egzaltację, od której drżał mu na co dzień tak poważny, wyważony głos. Także i biskup wystraszył się nagle tego, co miał usłyszeć i co, jak mu się zdawało, mgliście przeczuwał.

- Przez długie lata - ciągnął Mikołaj - zbierałem wszystkie obserwacje poczynione w ciągu wieków. Przeczytałem, potem jeszcze raz, wszystkich filozofów, którzy pisali na ten temat. I dziś, o ile mą duszę zaprzęta jeszcze niepokój, to rozum jest pewny, że dotknął prawdy. To się wyda trudne albo nawet nieprawdopodobne, ale z Bożą pomocą uczynię to jasnym jak Słońce, przynajmniej dla tych, którym nieobca jest matematyka.

Złapał oddech, głęboko wdychając orzeźwiające powietrze. W dali, na horyzoncie, na wawelskim wzgórzu rysowały się wieże i dzwonnice zamku. Za godzinę dojadą do Krakowa.

- Rozum mi podpowiada, że Słońce znajduje się pośrodku wszystkiego, w centrum Wszechświata; że Ziemia krąży wokół niego jak Merkury i Wenus przed nią, jak Mars, Jowisz i Saturn za nią; że Ziemia obraca się także wokół własnej osi, co daje złudzenie ruchomego Słońca i przemieszczania się gwiazd stałych. Wuju, nigdy nie uda mi się odwdziżyć tobie za to, że wysłałeś mnie do Włoch. Bo tam zrozumiałem, że Ziemia odgrywa dla świata rolę tavoletta użytej przez Brunelleschiego, kiedy odkrył prawa perspektywy. Chodzi wszakże o okno ruchome. Ruchomy punkt widzenia wyjaśnia pozorne ruchy planet! Tymczasem dusza podszeptuje: „Kimże jesteś, mały Koperniku, by przebudowywać w ten sposób Wszechświat i sprzeciwiać się wszelkim oznakom, uczonym, a nawet Biblii?”.

Następnie, oceniając swoją wypowiedź jako zbyt podniosłą, zaśmiał się krótko i

dorzucił:

- Uff! Już mi lepiej. Jakbym właśnie wyszedł z konfesjonału Waszej Wielbności!

- Na miłość boską, mój chłopcze, czuję się jakbym dostał obuchem w głowę!

Napisałeś już coś na ten temat?

- W Padwie przymierzałem się, by to uczynić, a następnie dać do wydrukowania w Wenecji z piękną dedykacją dla kardynała Farnese, kiedy...

- Ejże, Miko! Zdaje się, że wyczuwam w twoim głosie jakby cień wyrzutu. Jeśli poprosiłem cię o powrót, to dlatego, że potrzebowałem ciebie w tej trudnej rozgrywce, jaka się zapowiada. Ale, na Belzebuba, nie spodziewałem się spotkania z żonglerem planet, anty-Ptolemeuszem, nowym Atlasem! To za wielkie, to przechodzi wszelkie pojęcie! I jeszcze nie nadszedł właściwy moment, by zostało ogłoszone. Spisz więc wszystko, ale przedstaw tylko ludziom, których jesteś pewny. Nie sądzę, by nowy król Polski mógł wziąć obecnie taką sprawę na swoje barki. Nie masz czegoś bardziej niewinnego, mniej... na czym widniałoby twoje imię?

- Mam dokładnie to, czego wujowi potrzeba - odparł radośnie Mikołaj i wydobyl z juków plik papierów przewiązany czerwoną taśmą.

Był to rękopis jego łacińskiego tłumaczenia Listów Teofilakta Symokatty. Zaplótłszy lejce na końskiej szyi Łukasz zaczął go kartkować, czasem kiwając głową, czasem śmiejąc się przy co zabawniejszym ustępie.

- Doskonałe! - wykrzyknął w końcu. - Trzeba to opublikować. Zadedykuj to tylko naszemu królowi Zygmuntowi.

- Nie, wuju. Po raz pierwszy w życiu nie będę ci posłuszny. Bo tobie i tylko tobie chcę tę książkę ofiarować.

- Mój Boże, dlaczegoż by nie? Zważywszy wszystkie za i przeciw, nie byłoby to złe posunięcie. A twoja historia o Ziemi obracającej się dookoła Słońca?

- Myślę nad nią, wuju, myślę nad nią. Daj mi czas. Albowiem czas, wuju, czas nam sprzyja.

Ceremonie koronacyjne dostarczyły Kopernikowi sposobności do odnowienia niektórych włoskich znajomości, i to nie byle jakich, ponieważ papieża Juliusza II reprezentował na uroczystościach sam kardynał Aleksander Farnese. Mikołaj otrzymał od wuja polecenie, by jak najmniej rzucał się w oczy, skrył się w jego cieniu i słuchał, przede wszystkim słuchał. Spotkanie biskupa Warmii i florenckiego kardynała było bardzo serdeczne. Łączył ich duchowny strój i upodobanie do szpady; doskonale zrozumieli się na niejednej płaszczyźnie i Aleksander chętnie przyjął propozycję Łukasza, gdy ten zaoferował mu usługi Mikołaja jako tłumacza języków polskiego i niemieckiego na czas piętnastodniowego pobytu kardynała w Krakowie. W ten oto sposób astronom obecny był na wszystkich spotkaniach, poufnych rozmowach między wielkimi tego świata lub ich ambasadorami. Nikt nie zwracał uwagi na niepozornego kanonika tłumaczącego najczęściej z góry ustalone wypowiedzi rozmówców papieskiego legata, którzy i tak przeważnie posługiwali się łaciną i obywali bez jego pomocy. Zupełnie to Mikołajowi nie przeszkadzało, po prostu tam był i każdego wieczoru zdawał wujowi sprawę z treści prowadzonych rozmów.

Ta zabawa w szpiega o mało się źle nie skończyła, kiedy w ostatnich dniach wizyty w Polsce Aleksander Farnese przyjmował wielkiego mistrza krzyżackiego odzianego w swój długi biały płaszcz ozdobiony czarnym krzyżem. Towarzyszył mu bratanek, młody kanonik z Kolonii, łudząco podobny do dawnego współucznia Mikołaja, którego kiedyś znaleziono martwego w Wiśle, Achillesa Ottona Hohenzollerna. Mikołaj próbował stać się jeszcze bardziej niewidzialny niż zwykle, ale w głębi ducha czuł satysfakcję, tłumacząc błagania mówiącego po niemiecku wielkiego mistrza starającego się uzyskać u papieża zwolnienie z lennej zależności od Polski.

Nagle drzwi, od których Kopernik odwrócony był tyłem, otwały się i znajomy głos przeprosił za spóźnienie. Zaskoczony Mikołaj rozpoznał barona Glimskiego. Ten przez moment taksował go wzrokiem, a potem wykrzyknął po polsku:

- Panowie, panowie, nie zdajecie sobie sprawy, w czyjej obecności rozmawiacie? Oto bratanek biskupa Warmii, szpieg tego diabła Łukasza Watzenrodego, podejrzewanego o otrucie Jego Wysokości Jana Olbrachta, przez całe swoje haniebne życie dążącego do zguby świętego zakonu krzyżackiego!

Mikołaj rzucił się w stronę Glimskiego i chwycił go za kołnierz:

- Baronie, wepchnę ci twoje obelgi z powrotem do gardła!

- Co się dzieje, panowie? - zapytał Aleksander Farnese. - Przypominam wam, że znajdujecie się w obecności papieskiego legata.

Z kolei wielki mistrz zakonu krzyżackiego podniósł się z miejsca i krzyknął:

- To hańba! To zdrada! Powiadomię o tym samego papieża!

I wyszedł, a za nim bratanek i Glimski, z impetem zatrzaskując za sobą drzwi. Zajście wywołało sporo zamieszania. Król wezwał do siebie obie strony i upomniał, dosyć pobłaźliwie, bo, prawdę mówiąc, bawił go sposób, w jaki biskup Warmii posłużył się swoim bratankiem jako szpiegiem. Dowiedziawszy się od Łukasza o prośbie, z jaką wielki mistrz krzyżacki zwrócił się do papieża, postąpił z tym ostatnim dużo bardziej surowo i zażądał, by on i jego ludzie powrócili do swojej siedziby w Królewcu zaraz po odnowieniu przed ustanowionym korpusem wiernopoddańczej przysięgi, przeproszeniu legata papieskiego i szczerym pojednaniu z biskupem Warmii. Co do barona Glimskiego, Zygmunt I tylko czekał podobnej okazji, by wsadzić do więzienia faworyta swego zmarłego brata i pozbyć się w ten sposób intryganta, który zdradził go już dwa razy.

Ostatnie dni uroczystości koronacyjnych były niekończącym się pasmem uczt i zabaw. Polska wkraczała do grona najbardziej liczących się krajów z Francją, Kastylią, Aragonią i Portugalią na czele. Papieski legat Aleksander Farnese ostentacyjnie demonstrował swoją przyjaźń z biskupem Warmii i jego bratankiem. Często widywano ich, jak spacerowali po dziedzińcach królewskiego zamku; idący w środku kardynał poufale trzymał pod ramię towarzyszących mu obu mężczyzn.

- Jego Świątobliwość - mówił Farnese - coraz częściej myśli o reformie kalendarza, by uzgodnić nasz rok z tym, co obserwujemy. Wydaje mi się, drogi Mikołaju, że pańska wspaniała hipoteza mogłaby przyczynić się do tego dzieła. Niechże pan więc wraca ze mną do Italii, aby współtworzyć je w gronie największych uczonych naszych czasów. W końcu pański rodak Bernard Sculteti pozostaje do usług Jana Medycejskiego. Dlaczego Mikołaj Kopernik nie miałby służyć Aleksandrowi Farnese?

Kopernik zerknął ponad prawym ramieniem kardynała i zauważył, jak twarz wuja skurczyła się nerwowo. Będzie musiał odrzucić tę nieoczekiwaną ofertę. Odpowiedział:

- W innych okolicznościach w dowód wdzięczności rzuciłbym się do stóp Waszej Eminencji. Ale, jak Wasza Wielbność sama mogła stwierdzić, opuścić w tym momencie biskupa Warmii byłoby jak zdrada, której nigdy bym sobie nie wybaczył. Krzyżacy nie spoczną na laurach i mój kraj potrzebować będzie wszelkiej pomocy, nawet najskromniejszej.

Wypowiadając te słowa, miał wielką nadzieję, że wuj udzieli mu swojego błogosławieństwa i zezwoli na wyjazd; jednak Łukasz nie wyrzekł ani słowa. To był koniec. Jutro trzeba będzie wrócić tam, do Lidzbarka Warmińskiego, być może na zawsze.

Przez następnych sześć lat Liga Pruska prowadzona żelazną ręką biskupa warmińskiego stawiała czoło zakonowi krzyżackiemu, którego nowym wielkim mistrzem

został niespełna dwudziestoletni młodzieniec Albrecht von Brandenburg, dawny kanonik w Kolonii. Starcia były rzadkie, jakieś animozje na granicach, które król Polski starał się uspokajać, posyłając swoich emisariuszy. Jednak spór podsyciała odąd zażarta nienawiść: nie toczył się on już między czterema biskupstwami i pięcioma komandoriami, ale dwiema rodzinami: Watzenrode - Kopernik z jednej strony, von Brandenburg - Hohenzollern z drugiej.

Zachowywano wszakże pozory pokoju. Podczas jednego ze spotkań rozjemczych, które tym razem odbyło się w Gdańsku, Mikołaj dowiedział się, iż ulubiony doradca młodego wielkiego mistrza ciężko zaniemógł. Lekarz i sekretarz biskupa Łukasza zaproponował swoje usługi. Rzecz była niebezpieczna: gdyby na nieszczęście drogi Albrechtowi jak rodzony ojciec człowiek nie przeżył pod jego opieką, Kopernika z miejsca oskarżono by, że dopomógł w jego zejściu.

Na szczęście było to tylko zwykły ropień ucha, z którego dawny padewski student wyleczył pacjenta w mgnieniu oka. Albrecht von Brandenburg z udawaną wdzięcznością podziękował Kopernikowi za troskliwe dogłądanie chorego. Wymienili kilka banałów na temat Włoch, gdzie Albrecht towarzyszył cesarzowi Maksymilianowi w próbie odbicia Mediolanu z rąk Francuzów. Następnie młody człowiek pochwalił tłumaczenie Listów wydrukowanych rok wcześniej w Krakowie, twierdząc, że znalazł to dzieło „ciekawym i zabawnym”. Na koniec zaczął dopytywać, czy bratanek jego wroga pracuje nad jakimś innym uczonym dziełem. Kopernik odpowiedział mu, że zakończył wprawdzie redakcję małego fascykułu na temat ruchów planet, nie publikował go jednak, gdyż jego treść zrozumiała była jedynie dla matematyków i wprawionych geometrów. Na to von Brandenburg zapewnił, że pasjonuje się zjawiskami niebieskimi i pragnąłby dostać jego kopię. Mikołaj obiecał przesłać mu ją i z ulgą oddalił się: jedno niezręczne słowo mogło spowodować katastrofę.

Po koronacji, mniej więcej cztery lata wcześniej, Mikołaj wprowadził się do pałacu biskupiego w Lidzbarku Warmińskim; praca osobistego sekretarza biskupa zapewniała sporo wolnego czasu. Wuj i bratanek, każdy motywowany swoim długim pobytom we



Włoszech w odstępie trzydziestu lat, nosili się z tym samym ambitnym zamiarem: uczynić z Warmii „Wenecję Północy”. I podczas gdy biskup mnożył dyplomatyczne podróże do księstw i dominiów, chcąc zdobyć jak najwięcej sojuszników i zmusić króla Polski, by wysłał „tę krzyżacką zarazę” na wojnę przeciwko Turkom, Kopernik poświęcił się całemu wielkiemu projektowi otwarcia uniwersytetu w Elblągu, bogatym warmińskim mieście, które z powodzeniem mogło stać się Padwą Fromborka. Nie brakowało środków, Hanza i gildie kupieckie gotowe były zadbać, by ich nie zabrakło. Nie nadchodziła jedynie zgoda papieża.

Prawdą jest, że w owym czasie dobiegający siedemdziesiątki Juliusz II wojował niczym młody kondotier z Cezarem Borgią, potem z Wenecją, a później z Bolonią, po czym zwrócił się przeciwko królowi Francji. Trzeba było czekać, aż zezwolenia udzieli jego następcy - Medyceusz albo Farnese. Najtrudniej będzie ściągnąć profesorów, których nie zniechęci ani surowy klimat, ani niema groźba ze strony Krzyżaków. Kopernik utrzymał kontakty z wieloma uczonymi krakowskiego uniwersytetu, gdzie zgłębianie sztuk wyzwolonych wciąż było widziane nie najlepiej. Ktokolwiek domagał się możliwości studiowania lub nauczania greki, podejrzewany był o herezję. Chodziło więc o to, by skusić ich, poza korzyściami materialnymi, większą swobodą w nauczaniu, podobnie jak uczyniła swego czasu Padwa, pozbawiając Bolonię najlepszych profesorów. Ale w sytuacji, gdy bulla papieska ustanawiająca ten nowy uniwersytet nie istniała, niepotrzebne byłoby nagłaśnianie tego pomysłu.

Rozumiał Kopernik, że przede wszystkim nie należało szczeniść wysiłków, podjąć ryzyko i zamiast powoływać uniwersytet z niczego, sprowadzić do siebie, na Warmię, akademię uczonych na wzór tych, które poznał we Włoszech. Akademia ta posłużyłaby za fundament wielkiego uniwersyteckiego projektu. Ale to nie tłumaczenie Listów zapewni mu potrzebny do tego prestiż ani wyblakłe już wspomnienie jego rzymskich konferencji. Trzeba było uderzyć mocno, poruszyć, olśnić, wstrząsnąć. Wiedział już, jak to zrobić.

Streszczenie. Wystarczy streszczenie. Na tym pierwszym etapie nie trzeba

udostępniać im obliczeń, których zresztą nie był jeszcze do końca pewien. Już pojawiały się pierwsze komplikacje w tym systemie, który zamierzył jako przejrzysty i nieskomplikowany. Ale - powiedział sobie - gdy nadejdzie godzina, z pomocą przyszłych czytelników uda mu się zrealizować swój pierwotny zamiar.

Zabrał się do pracy. Zanim zaczął, obawiał się, że pisanie będzie szło jak po grudzie, że z trudem będzie wykuwał potrzebne słowa; wypływały one jednak spod pióra z zadziwiającą łatwością, uniesieniem przypominającym mu niekiedy cielesną rozkosz, jakiej dotąd zaznał tylko z Giulią Farnese.

Zaczął od tego, że sposób, w jaki starożytni pojmowali bieg ciał niebieskich nie był zadowalający, gdyż każda planeta miała poruszać się według nich po doskonałych okręgach i z tą samą prędkością. Potem postawił siedem hipotez w siedmiu krótkich rozdziałach: w pierwszym twierdził, że nie istnieje jeden środek, wokół którego przemieszczają się wszystkie ciała niebieskie. W drugim, iż Ziemia nie jest centrum Wszechświata, lecz jedynie orbity Księżyca. W trzecim, że Słońce jest centrum Wszechświata. W czwartym, co przyprawiało go o zawrót głowy, że ostatnia, nieruchoma sfera gwiazd stałych, ostatnia sfera, jest znacznie bardziej oddalona, niż sądził Ptolemeusz. Napisał słowo „nieskończona” i wymazał je. W piątym, że Ziemia wiruje wokół własnej osi, co tworzy złudzenie dobowego ruchu Słońca, planet i gwiazd stałych. W ten sposób niebo się nie obraca, ale ponieważ porusza się Ziemia, wszystkie gwiazdy umykają, uciekając do tyłu. W szóstym, że Ziemia obraca się w ciągu roku dookoła Słońca, zachowując stałą oś, co tłumaczy roczny cykl gwiazdy dnia w zodiaku. W siódmym w końcu, że jeśli planety zdają się czasem zatrzymywać albo cofać, to dlatego, że one także się obracają, z tą samą prędkością co Ziemia, dookoła solarnego tabernakulum.

Przeczytał swój tekst raz, dwa, trzy razy, potem znowu, przekreślając jedno słowo, dopisując inne, niczym artysta malarz, który oddala się od swego obrazu, a potem zbliża, by dorzucić jeszcze jedno muśnięcie pędzla, które będzie widział tylko on. Oczywiście niczego nie udowadniał. Wysuwał jedynie twierdzenia. Ale czy artysta ma obowiązek

uzasadniać swoje dzieło? Na końcu krótkiego traktatu nie mógł powstrzymać się od wyrażenia swego zachwytu: „Wystarczą więc w sumie trzydzieści cztery koła dla wytłumaczenia całej budowy świata i całego korowodu planet” . Odezwały się w nim jednak skrupuły i w podsumowaniu napisał, że podanie matematycznych dowodów swoich siedmiu twierdzeń odkłada na później. Na później, czyli do czasu redakcji „wielkiego dzieła”. Wielkiego dzieła... W języku łacińskim to sformułowanie brzmiało banalnie. Lecz gdyby przetłumaczyć je na arabski, spod pióra wyszłoby słowo „Almagest”.

Sporządził następnie listę osób, którym zamierzał wysłać swój Komentarzyk o hipotezach ruchów ciał niebieskich. Następnie poszedł zasięgnąć rady wuja co do reszty nazwisk.

- Niewdzięczniku! - wykrzyknął, śmiejąc się, biskup. - Zapomniałeś o swoim dawnym nauczycielu.

- Jak to, Sculteti, ten gru...

Mikołaj ugryzł się w język: o mało co nie powiedział „ten gruby kanonik”.

- Mylisz się co do niego. Posiada w tej dziedzinie doskonałe kwalifikacje. To przecież on zaszczepił ci bakcyła matematyki, nieprawda? A poza tym jest bardzo blisko z Medyceuszami. Może nie aż tak blisko, jak ty byłeś swego czasu z pewną Farnese, ale mimo wszystko...

- Planuję wysłać to także do jednego z towarzyszy studiów w Ferrarze, Mikołaja Schönberga, który pozostał w mieście w służbie księcia Alfonsa d'Este.

- I jego małżonki Lukrecji Borgii? Do diabła! Studenci nacji niemieckiej sięją większe spustoszenie wśród płci niewieściej niż w moich czasach! W dodatku w przeciągu roku, jeśli rokowania się powiodą, Jego Wysokość Zygmunt I poślubi Sforzę.

Wyślij więc swoje opus do narzeczonej jako dowód przyszłej lojalnej służby. Ale... uważaj, dobrze?

- Wuju, dajmy spokój, nie mam już dwudziestu lat. Czy mógłbyś mi wypożyczyć jednego z twoich kopistów? Moja ręka nie wytrzyma sporządzenia dwudziestu kopii.

- Nie ma mowy o żadnym mnichu! Mógłby wszcząć larum, że to herezja. Weź do pomocy moją córkę Annę. Ma bardzo ładne pismo. Łacinę zna wystarczająco, by nie popełniać błędów, ale nie na tyle, żeby zrozumieć treść twojego wywodu. Ale... uważaj, dobrze?

- W tej sprawie, wuju, niczego nie obiecuję.

- Czy chciałem, żebyś cokolwiek obiecywał? Szanowany kanonik powinien mieć gospodynię, czyż nie?

Przez osiem dni Mikołaj i Anna pracowali ramię przy ramieniu. Młodej kobiety nie zadowalało samo kopiowanie, czasem prosiła o wyjaśnienia, zaprzeczając w ten sposób nieco mizoginicznym przepowiedniom biskupa. Zachwycony Mikołaj, używając swego talentu rysowniczego, stopniowo przeistoczył się w najlepszego nauczyciela. Gdy zaczęła go wypytywać, co oznaczają zatrzymanie i ruch wsteczny planet, astronom szybko narysował małą pętlę, jaką pozorna droga Marsa kreśli na stałym tle gwiazd ekliptyki:

- Widzisz, Anno, planeta, która normalnie towarzyszy przemieszczającemu się Słońcu, porusza się czasem w przeciwnym kierunku. Najpierw zatrzymuje się, cofa, a potem znowu rusza do przodu, jak pies, który zamarudził w tyle i goni za swoim panem. Trzeba było to wyjaśnić.

- „Tym” nazywa pan „zachowanie pozorów”?

- Dokładnie. Właśnie to pchało greckich filozofów, w końcu także Ptolemeusza, do

wymyślania coraz bardziej skomplikowanej maszynerii uwłaczającej pięknu Stworzenia. Najpierw, Anno, załóż, że planeta „P” porusza się po doskonałym okręgu z Ziemią jako środkiem, jak tutaj.

I Mikołaj zrobił nowy szkic:

- Ta figura jest doskonale harmonijna - ciągnął - ale nie oddaje tego, co obserwujemy: nie tłumaczy pętli. Trzeba więc założyć, że planeta „P” przemieszcza się po małym okręgu, epicyklu, którego środek „C” obraca się po obwodzie wielkiego okręgu. Ten będziemy nazywać odtąd deferentem; pozostaje on skoncentrowany na Ziemi, w ten oto sposób:

- Ach, jakie to ładne - powiedziała naiwnie Anna. - I musi cudownie funkcjonować!

- Wcale nie, bo zjawiska pozorne nie zawsze udaje się uzasadnić. Kolejny etap polega na oderwaniu Ziemi od centrum „O” deferentu, który staje się w ten sposób „mimośrodem”. Patrz:

- Ojej, to się robi skomplikowane. Ale w takim razie Ziemia nie znajduje się w centrum Wszechświata, jak naucza Arystoteles?

- Gdyby starać się przede wszystkim o zachowanie pozorów, to nie! Trzeba, jak tylko się da, dostosować możliwie najprostsze teorie do ruchów sfer niebieskich; ale jeśli te okazują się niewystarczające, należy znaleźć inne, które lepiej rzecz wytłumaczą. Powiedział to sam Ptolemeusz! Ale poczekaj, jest coś jeszcze gorszego!

- Cóż znowu?

- Otóż pomimo swojej złożoności, ekscentryczne deferenty i epicykle nie respektują prawa jednakowej prędkości planet. I to właśnie tutaj Ptolemeusz wprowadził tę szkaradę, to okropne oszustwo, to znaczy ekwant - „E” - jakby unoszący się w próżni.

Jednak w stosunku do niego ruch okręgu „C”, epicyklu, jest jednostajny, jak widać tutaj:

- Zauważysz - perorował uczenie Mikołaj - że teraz mamy trzy różne środki: środek geometryczny „O”, ośrodek ruchu „E” i miejsce położenia Ziemi.

- Okropna kakofonia, jak mi pewnego dnia powiedziałeś, Mikołaju!

- Właśnie. Ale dobrowolnie chylę czoło przed wielkim geniuszem matematycznym Ptolemeusza, bo mimo wszystko jego system „zachowuje pozory”: bardzo dobrze tłumaczy małą pętlę planetarną, jaką ci narysowałem! Popatrz, zestawiając wszystkie schematy, można zobaczyć, że widziana z Ziemi planeta „P” tocząca się po swych wszystkich okrągłych przekładniach pomiędzy pozycją „P1” i „P2” wydaje się posiadać fazę zatrzymania i przemieszczania do tyłu:

- Rzeczywiście, to bardzo pomysłowe - powiedziała Anna, która powoli przestawała nadażać za objaśnieniami. - Ale w takim razie, Mikołaju - podjęła z uroczą naiwnością - jak ci się udało wynaleźć coś lepszego? To się wydaje niemożliwe!

- Na pewno znalazłem coś prostszego, i wydaje mi się, że bardziej odpowiadającego zamysłowi Boga, najdoskonalszego i najoszczędniejszego z artystów - oznajmił nieco zarozumiale Mikołaj.

Wziął czystą kartkę, pióro, linijkę i przez ponad dziesięć minut kreślił wielce elegancką grafikę, którą następnie pokazał osłupiałej Annie:

- Jak widzisz, jeżeli to Słońce znajduje się w centrum Wszechświata, i jeżeli Ziemia obraca się wokół niego w tym samym kierunku, co inne planety, ale z inną prędkością, wszystkie te postoje i ruchy wsteczne wytłumaczyć można zwykłym efektem perspektywy. W rzeczywistości Ziemia zbliża się do punktu 1 jakiejś planety zewnętrznej, dajmy na to Marsa, i mija go w punkcie 7, ponieważ porusza się szybciej; następnie oddala się od niego aż do punktu 13, i tak dalej. Wtedy stwierdzasz, że rzucony

na nieruchome tło gwiazdnego firmamentu, w ekliptyce, pozorny ruch Marsa rysuje naszą słynną spłaszczoną pętlę...

- Ależ to wspaniałe, to cudowne, Mikołaju! - wyjąkała Anna ze łzami w oczach.

Zdawało się, że w ciągu paru minut i przy pomocy kilku szkiców ulotniło się piętnaście wieków astronomii, robiąc miejsce dla rozkwitającego kwiatu o szlachetnej piękności, osadzonego na strzelistej łodydze i zwróconego prosto w niebo.

W ciągu godzin i dni, które nastąpiły, ich oddechy mieszały się coraz częściej, ich nogi ocierały się o siebie coraz mniej ukradkowo. Pod koniec pierwszego tygodnia, kiedy w końcu ukończyli olbrzymią pracę weryfikacji i przepisywania, Mikołaj podniósł się, rozłożył szeroko ramiona i zawołał jak student do współtowarzysza, z którym pracował nad trudną naukową rozprawą:

- Uściśnijmy się, przyjacielu!

Przytulili się do siebie o wiele czulej niż dwójka żaków.

Komentarzyk - Commentariolus - został rozesłany tu i ówdzie po całej Europie, do liczących się ludzi: mecenasów, uczonych i filozofów. Wkrótce napłynęły entuzjastyczne odpowiedzi; proszono w nich o zgodę na jego skopiowanie dla wybranych osób. Dokładnie o to chodziło Kopernikowi: postąpić na wzór Pitagorasa i jego uczniów, którzy przekazywali sobie z ręki do ręki doktrynalne książki, nie ryzykując tym samym wywołania protestów gminu. Pragnął, by jego dzieło zostało rozpowszechnione wyłącznie wśród przyjaciół lub wtajemniczonych miłujących to, co słuszne i prawdziwe.

W ten sposób, od Londynu po Neapol, od Szwecji po Andaluzję, zaczęła szerzyć się pogłoska, iż gdzieś w Polsce niejaki Nicolaus Copernicus ośmielił się umieścić Słońce w centrum Wszechświata i sprowadzić Ziemię do rangi zwykłej planety. Niektórzy spośród nich myśleli o tym już wcześniej. Nikt jednak nie miał odwagi, by to powiedzieć. Od tej

pory w surowych gabinetach uczonych lub pod złotymi sklepieniami włoskich pałaców czekano na jego „anty-Almagest”.

Rok tysiąc pięćset dwunasty zaczął się pod najlepszymi auspicjami: listem samego Erazma z Rotterdamu, który gratulował Kopernikowi jego Commentariolusa oraz listów, a także zachęcał go do rozbudowania pierwszego z dzieł. Sculteti napisał z Florencji, że Medyceusze odzyskali władzę i że na Lateranie otwierano wielki sobór. Z dumą oznajmiał, że może sprowadzić do Rzymu swego dawnego ucznia, by uczestniczył w reformie kalendarza. Kardynalską purpurę miał niemal zapewnioną. W lipcu natomiast, w Krakowie, miały w końcu miejsce zaślubiny króla Zygmunta z Boną Sforzą, której starszy brat właśnie objął swoją dziedzinę w Mediolanie. Wszystkie światła Italii świeciły nad Polską, a astronom Mikołaj Kopernik mógł być tego głównym beneficjentem.

Nigdy jeszcze odźwierni anonsujący biskupa Warmii Watzenrodego przy wejściu do sali audiencyjnej królewskiego zamku nie widzieli Łukasza tak promiennym i radosnym. Zazwyczaj publicznie obnosił surową minę i wojowniczy, trochę groźny wygląd. Cały miesiąc był nieprzerwanym ciągiem bali i świętowania. Łukasz miał wszelkie powody do zadowolenia. Spodobał się młodej królowej dzięki doskonałej znajomości włoskiego. Szczególnie jego postawa człowieka Kościoła, a zarazem męża wprawnego w wojaczce przypominała Bonie Sforzy licznych krewniaków. W dodatku zakon krzyżacki zdawał się Mediolance barbarzyństwem rodem z innej epoki, a to, że biskupstwo rządziło się jak republika, wydawało się jej całkiem normalne.

Jako sekretarz biskupa Mikołaj był obecny przy wszystkich audiencjach, wszystkich poufnych rozmowach. Nie zapominał wszakże o własnych interesach i czynił zabiegi wobec każdego, kto nosił kapelusz i togę lekarza albo profesora. Nie były mu potrzebne i mógł zauważyć, nie bez pewnej dumy, że w Krakowie, ale i także w zagranicznych poselstwach jego renoma była już znaczna.

Równała się jednakże sławie osobistego sekretarza króla Jana Flachsbindera, który,



będąc rodem z Gdańska, przybrał łacińskie imię Dantiscus. Dwanaście lat młodszy od Kopernika, ten syn piwowara wiele podróżował: po studiach w Krakowie i kilku wyprawach przeciw Turkom i Tatarom udał się do Grecji, a potem do Ziemi Świętej. I do Włoch oczywiście, jak również do Hiszpanii. Ten zapamiętały uwodziciel wszędzie kolekcjonował kochanki i bękarty. Nadto mienił się poetą i ułożył kilka uroczych neolacińskich elegii, które obiegały całą Europę. Gdy powracał ze swej wyprawy, Zygmunt I powierzył mu misję dyplomatyczną przy cesarzu Maksymilianie. Potrafił przypodobać się i jemu, i jego następcy Karolowi V. To właśnie Dantiscus sfinalizował negocjacje umożliwiające małżeństwo króla Polski z Boną Sforzą.

W innych czasach, w innych okolicznościach Copernicus i Dantiscus, w Polsce zwany Dantyskiem, mogliby zostać najlepszymi przyjaciółmi. Znienawidzili się jednak. Byli rywalami. Astronom stał się bardziej uroczyście i poważny niż zazwyczaj, poeta zaś bardziej gadatliwy i wesołkowaty, niż pozwalałaby oczekiwać jego funkcja królewskiego sekretarza. Pierwszy znajdował drugiego powierzchownym i zarozumiałym, drugi pierwszego nudnym i pyszałkowatym, skoro ot tak sobie chce podważać system ptolemejski.

Pewnego dnia, pod koniec obchodów, na jednym z wawelskich dziedzińców Kopernik wdał się w poważną astronomiczną dyskusję z pewnym kanonikiem z Warszawy pytającym go, czy jego system nie spłodzi przypadkiem nowych epicykli i nowych kół mimośrodkowych, które mogłyby znacznie skomplikować rzecz zamiast ją uprościć. Kopernik odrzekł, że to się okaże w praktyce, gdy poczyni nowe obserwacje i zestawi z tymi, których dokonali starożytni. Ta kwestia mocno go zaprzętała i jak dotąd nie ośmielił się dojść do końca w swoich obliczeniach; trafność spostrzeżeń rozmowy irytowała go, lecz niczego po sobie nie pokazywał. Rozmowa toczyła się w najlepsze, gdy ktoś uderzył go lekko w ramię. Odwrócił się gwałtownie, odczuwając klepięcie jak zniewagę. To był baron Glimski. Warszawski kanonik dyskretnie się wycofał.

- Baronie! Sądziłem, że jest pan...

- Z okazji swego ślubu Jego Wysokość wielkodusznie zechciał ułaskawić niektórych swoich więźniów.

Człowiek, który za poprzedniego króla praktycznie rządził Polską, i to wyłącznie dla własnych wielkich korzyści, był nie do poznania. Jego spojrzenie, niegdyś świdrujące rozmówcę zza w półprzymkniętych powiek, przygasło. Pod wysoko sklepiionymi kośćmi policzkowymi dumny wąs, opadający poniżej podbródka, stracił fason i zaczął siwieć. Głos nie posiadał już tej spokojnej siły niebezpiecznego intryganta; stał się drżący, służalczy. Głos spiskowca.

- Wielebny Koperniku - szepnął. - Muszę pana ostrzec o wielkim niebezpieczeństwie. Zaprzysiężono zgubę biskupowi Łukaszowi Watzenrodemu.

- To nic nowego - odparł Mikołaj, czując nieopisaną wzdargę. - Zdaje się, że od trzydziestu lat Krzyżacy modlą się w dzień i w noc, żeby diabeł wtrącił go do piekła. Znowu zaczyna pan potajemnie knuć? Sześć lat więzienia niczego pana nie nauczyło?

- Błagam pana, niech mi pan uwierzy. Życie pańskiego wuja jest w wielkim niebezpieczeństwie. Nie powinien pozostać w Krakowie ani dnia dłużej. Jeśli zgodzi się pan ze mną pójść, udowodnię panu, że to prawda.

Mikołaj pozwolił poprowadzić się długim, ciemnym i krętym korytarzem kończącym się małymi drzwiami. Czuł u pasa pocieszającą obecność sztyletu, z którym nigdy się nie rozstawał. Usłyszał za drzwiami rozmowę toczącą się między większą liczbą osób. Rozpoznał charakterystyczny niemiecki akcent Albrechta von Brandenbura, wielkiego mistrza krzyżackiego. Mówił on:

- Jeżeli jesteś pewny tych wieści, trzeba z tym skończyć dziś wieczór przy kolacji. Ale nie chcę, żeby cokolwiek podejrzewano. Król nie ma o mnie dobrego mniemania i skorzystałby z okazji, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: dołączyć Warmię do dziedzin królewskich i skonfiskować nasze dobra.

- Wiem o tym, wielki mistrzu - odparł jeden z rozmówców. - Tego wieczora ten diabeł Łukasz będzie jadł sam, bez swego bękartego pomiotu, który pójdzie włóczyć się po gospodach, i bez szarlatana bratanka, który spotka się w mieście z paroma czarownikami i alchemikami jego pokroju.

- Skąd on to wszystko wie? - szepnął Kopernik.

- Cicho! Niech pan słucha!

Po drugiej stronie drzwi człowiek, w którym Mikołaj rozpoznał starego doradcę krzyżackiego mistrza, swojego dawnego pacjenta, ciągnął:

- Ręczę za tego człowieka i jego cudowne lekarstwo. Sporo za to zapłaciłem. Potwór padnie trupem na miejscu. Ponieważ jest cholerycznego temperamentu, nikt nie będzie zdziwiony tą nagłą śmiercią. W wieku ponad sześćdziesięciu pięciu lat... A jeśli z tego czy innego powodu dzisiaj się nie uda, jutro zaczniemy od nowa, gdzie indziej. Ale przede wszystkim niech nie opuszcza Krakowa.

- Król nie pozwoli, żeby wyjechał przed końcem ceremonii - włączył się trzeci głos, który mocno kogoś Kopernikowi przypominał.

- Teraz wie pan już wystarczająco - wymruczał Glimski Kopernikowi do ucha. - Uciekajmy stąd, zanim nas zaskoczą.

Byli już na zewnątrz i Mikołaj zaczął biec, chcąc uprzedzić wuja, kiedy Glimski przytrzymał go za rękaw:

- Niech pan ratuje biskupa. Proszę mu kazać opuścić miasto i wrócić do siebie. Tylko w Toruniu będzie bezpieczny, wśród swych przyjaciół z Ligii Pruskiej. Tam pana znajdę.

- Żeby odebrać zapłatę?

- Zapłatą, jak pan to ujął, będzie powrót do łask pańskiego wuja i pańskich. Mogę się wam przydać w waszych wielkich zamierzeniach. Ale teraz muszę do nich wracać, żeby nie zaczęli nic podejrzewać.

- Kim są ci „oni”?

- Albert i jego wspólnicy, oczywiście. Jak pan sądzi, skąd wiedziałem o tym spotkaniu? Jestem członkiem spisku, rzecz jasna.

Kiedy Mikołaj skończył opowiadać o wszystkim Łukaszowi, ten dłuższą chwilę trwał w zamyśleniu. Potem powiedział:

- Coś mi nie pasuje w tej historii. Dlaczego Glimski chce nam teraz pomóc? Wierzy w nasz sukces? Ostatecznie to możliwe, ale... Cóż za dziwny zbieg okoliczności! To, że umożliwiał ci podsłuchanie Albrechta właśnie w momencie, kiedy ten kończy ostatnie przygotowania, wydaje mi się trochę naciągane.

- Tak czy inaczej, wuju, nie możesz tutaj zostać. Jeśli ta historia o truciźnie jest prawdziwa, w każdej chwili i gdziekolwiek się znajdziesz, grozi ci śmierć. Nie uda nam się dowiedzieć w tak krótkim czasie, kto spośród pięćdziesięciosobowej służby jest twoim zabójcą. Pewnie obrzydło wujowi to jeżdżenie tam i z powrotem, ale jeśli rzeczywiście mamy do czynienia ze spiskiem, to przecież ja zostanę tutaj, w Krakowie, i postaram się go udaremnić. Mam tu wystarczająco dużo przyjaciół, aby uzyskać potrzebne informacje. A któż będzie się obawiał skromnego kanonika czy lekarza, któremu głowę zaprzętą gwiazdy?

- Niewątpliwie masz rację, Mikołaju. Zdecydowanie więcej nauczyłeś się przy twym przyjacielu Machiavellim niż u najlepszych bolońskich profesorów prawa kanonicznego. Pójdę poprosić Jego Wysokość o pozwolenie na wyjazd, wymyślę jakiś problem w

kapitulę fromborskiej. I oddam do jego usług mego osobistego sekretarza, który tak dobrze będzie potrafił opowiadać mu o Księżycu i Słońcu.

Godzinę później liczny orszak biskupa Warmii opuszczał Kraków; w tym czasie Mikołaj Kopernik zmierzał do swego dawnego kolegium, by wygłosić w nim wykład na temat astronomii.

W ciągu następných dziesięciu dni wielokrotnie przemawiał przed królową, królem, ambasadorami, duchownymi wysokiej rangi i kwiatem polskiej arystokracji. Większość niewiele wiedziała na temat astronomii, więc mówił do nich bardziej jak poeta niż jak filozof przyrody.

- Nie wstydząc się, wyznaję - mówił często we wstępie - że orbita Księżyca i środek Ziemi obiegają Słońce w ciągu roku, poruszając się po wielkiej orbicie, której Słońce jest środkiem. Słońce jest nieruchome, a wszystkie zjawiska pozorne można wytłumaczyć ruchem Ziemi...

Czasami pytano go, dlaczego, jeżeli Ziemia krąży wokół własnej osi, lasy, góry, morze i istoty żywe nie zostały zmiecione jak ziarenka piasku z obracającego się bąka. Odpowiadał wtedy, że prędkość obrotu Ziemi, jak i prędkość obiegu dookoła Słońca są tak harmonijne i zostały tak dobrze obliczone przez wielkiego Architekta, iż nie jest to możliwe. A dla bardziej oświeconych, których nie zadowalała ta niejasna odpowiedź, precyzował:

- Lecz gdyby, jak uważa Ptolemeusz, to sfera gwiazd obracała się w ciągu dwudziestu czterech godzin dookoła Ziemi, to czy rozproszenie powierzchni, którego tak się obawiacie w przypadku naszej planety, nie zagrażałoby także odległym gwiazdom, których ruch byłby nieskończenie szybszy? W tym wypadku im większy byłby promień, tym szybszy stawałby się ruch, jak na ogromnej karuzeli, promień i prędkość wzrastałyby proporcjonalnie w nieskończoność. Niebo nie miałoby granic. Otóż to, co jest nieskończone, nie może ani przemijać, ani się poruszać: a więc niebo jest nieruchome!

Inni, którzy przypominali sobie, że za młodu podczas studiów czytali niejakiego Sacrobosco lub jakieś inne uproszczone komentarze Ptolemeusza, posługiwali się przykładem kamienia, który rzucony ze szczytu wieży spadał przecież pionowo, a nie w kierunku zachodnim, jak można by oczekiwać, gdyby Ziemia krążyła ze wschodu na zachód.

- Klasyczny argument Arystotelesa - odpowiadał pewny siebie Kopernik. - Ale on, podobnie jak wy, nie brał pod uwagę, że kamień, tak jak powietrze, w którym spada, uczestniczy w obrotowym ruchu Ziemi...

Pewnego dnia jakiś biskup, który posiadał pewną wiedzę z dziedziny astronomii, poczynił spostrzeżenie, że jeśli Kopernik ma rację, jeśli wszyscy jesteśmy tak niesieni równocześnie dookoła Słońca, przez czysty efekt perspektywy powinniśmy obserwować ruch gwiazd stałych w miarę, jak Ziemia się przemieszcza. Zachwycony tak wnikliwym pytaniem Kopernik odparł:

- Niekoniecznie, Wasza Wielbność, albowiem promień ziemskiej orbity, obojętnie jak duży, jest niczym w porównaniu z odległością gwiazd stałych. Zatem, gdy powóz jedzie drogą okoloną drzewami lub gdy statek płynie unoszony wodą, dzięki zjawisku perspektywy widzimy, jak położenie drzew zmienia się, gdyż znajdują się one blisko. Ale góry widniejące na horyzoncie nie poruszają się, bo są zbyt oddalone, aby zmiana perspektywy była zauważalna. W ten sposób dzieje się z każdym znakiem, każdym wbitym w firmament złotym gwoździem.

Innym razem jeszcze podejrzliwi księża stwierdzili, że teoria ta jest sprzeczna z Pismem Świętym: w jaki sposób Jozue mógł zatrzymać bieg Słońca, skoro miałyby ono tkwić nieruchomo pośrodku wszystkiego? Niebezpieczne pytanie, od odpowiedzi na które Kopernik, nagrodzony aplauzem większości obecnych, dowcipnie się wymigał, usprawiedliwiając się, iż kiepski z niego egzegeta, lecz że bez wątpienia należałoby się w tym doszukiwać głębokiej refleksji na temat boskiej omnipotencji.

Słuchając go, audytorium zadawało sobie pytanie, w jakim czasie i w jakiej epoce przyszło mu żyć. Gdy chciało znać powód i zasadność takich zmian, Kopernik, który nie nabył jeszcze ostrożnego dystansu, jaki cechował go w późniejszych latach, wspominając niedawny przewrót w geografii spowodowany przez Kolumba i innych Vespuccich, dumnie odpowiadał:

- Jakiego powodu, jakiego uzasadnienia oczekujecie? Niech nikt się nie zdumiewa, że w nowym wieku zmienia się oblicze świata!

Krótko mówiąc, Mikołaj Kopernik był w modzie i to go zachwycało.

Przedstawiciele zakonu krzyżackiego dyskretnie opuścili stolicę krótko po wyjeździe biskupa Łukasza. Po Glimskim natomiast słuch zginął. Czyżby wspólnicy odkryli jego zdradę? Martwiło to Mikołaja. Wuj był być może w niebezpieczeństwie, a on tu w najlepsze peroruje przed publiką nadobnych pań i panów. Potem zapomniał o tym, mówiąc sobie, że przecież spisek został udaremniony - dzięki niemu.

Ten rok tysiąc pięćset dwunasty, który miał być najpomyślniejszym w jego życiu, okazał się najmroczniejszy. Pewnej nocy, którą jak zwykle spędzał w rezydencji swego wuja, służący zastukał do drzwi, by go obudzić. Ubrał się, starając się nie zakłócić snu spoczywającej u jego boku Anny. W salonie z przygnębioną miną czekał Sculteti. Jako legat Warmii przy Republice Florenckiej obecny był na uroczystościach, a następnie odjechał w orszaku biskupa Łukasza. Mikołaj, na podstawie rozmów, jakie miał okazję odbyć z grubym kanonikiem, skłaniał się ku wujowskiej opinii: cechowała go dużo większa subtelność i erudycja, niż sugerował jego jowialny wygląd. I w ten sposób, trochę lekceważony dawny preceptor, stał się jego przyjacielem. Kiedy Mikołaj wszedł do sali, Sculteti podniósł się, a potem padł na swój fotel; z twarzą ukrytą w dłoniach zaczął szlochać. Kopernik zrozumiał. Zaciśnął szczęki. Łukasz by nie płakał. Mikołaj będzie silny - jak on.

- Jak to się stało? - spytał trochę zbyt twardo.

Pytanie zostało postawione tak kategorycznym tonem, że zapłakany kanonik podskoczył: wydało mu się, że słyszy biskupa we własnej osobie. Pociągnął nosem i zaczął opowiadać:

- Dojechaliśmy do bram Torunia. Panował piekielny upał. Jak zwykle ceremonia przekazania kluczy wlokła się bez końca, a burmistrz plątał się w przemowie. Zawsze to samo, sam pan wie...

Obaj mężczyźni nie mogli się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć.

- I jak zawsze Jego Wielebność się niecierpliwił. Jak zawsze poprosił o kielich mocno schłodzonego tokaju zmieszanego z małmazją. Wkrótce po tym, jak wychylił go jednym haustem, tak, jak tylko on potrafi...

Sculteti zrobił gest człowieka, który wlewa w siebie napój bez dotykania ustami naczynia. Na to wspomnienie znowu zapłakał. Wspomnienie pijącego tamto wino Łukasza było przeszywające.

- Kontynuuj, Bernardzie - rzekł ojcowskim tonem Kopernik.

- Krótco potem wzięły go straszliwe bóle brzucha.

- Ten napój, kto mu go podał?

- Jego nowy aptekarz. Bardzo szczegółowo przesłuchaliśmy tego osobnika - bez najmniejszych oporów wyjawiał, że to on wlał do kielicha truciznę. Ta kanalia jest Włochem z orszaku królowej...

- Królowej Polski? Bony Sforzy? Kto go zatrudnił?



- Jak zwykle w takich wypadkach zarządca z rekomendacji kapelana wielebnego Łukasza. I oto dochodzimy do sedna: to Glimski przedstawił kapelanowi aptekarza.

- Dureń!

- Kto, Glimski?

- Nie, kapelan! I ja, jestem skończonym osłem! Jestem gorszy niż ten idiota. To było moje zadanie sekretarza i lekarza, by nad tym czuwać! Jestem zbrodniarzem! Zabiłem mojego wuja!

I nie mogąc dłużej nad sobą zapanować, z kolei Mikołaj załamał się i zawołał, wybuchając płaczem:

- Jestem zabójcą, bezmózgim zabójcą!

Sculteti położył małe, grube dłonie na szerokich ramionach swego dawnego ucznia i cichym głosem powiedział:

- Mikołaju, przyjacielu, to nieprawda, w niczym pan nie zawinił. Niech pan przestanie się tym zadręczać, to pana zabije. Zresztą ostatnie słowa biskupa, zanim po chrześcijańsku oddał duszę Bogu, były przeznaczone dla pana. Żaden ojciec nie mówił z taką czułością o swoim synu. Powiedział mi: „Sculteti, wierny towarzyszu, wyrusz niezwłocznie do Krakowa. Pędź co koń wyskoczy. Jak najszybciej przywieź mojego bratanka do Fromborka, jeśli trzeba, użyj siły. Przede wszystkim zabroń mu dochodzić sprawiedliwości przed królem. To by go zgubiło. Bo być może, że w moją śmierć wplątana jest królowa. Mój zgon nie ma znaczenia, ale jego, Sculteti, jego byłby klęską dla świata, dla przyszłości, dla ludzkości. Czy zdajesz sobie sprawę, kogo nauczałeś łaciny i algebry, Sculteti? Największego geniusza tej epoki! A ja, ach, niech będę przeklęty, tępy junkier, wciągnąłem go w moje niskie intrygi, w moje śmieszne kłótnie

zamiast pozwolić, by rozkwitł ten najpiękniejszy kwiat nowych czasów, jedyny kwiat prawdy. Ratuj go, Sculteti, i wynieś go na panteon wieku, postaw w pełnym świetle. Teraz ruszaj i powiedz temu nicponiowi, że był mi najdroższy na świecie, że był moją jedyną dumą”.

„Temu nicponiowi...”. Nawet w agonii Łukasz nie potrafił traktować swego prawie czterdziestoletniego bratanka inaczej jak małego chłopca. Mikołaj nie wiedział, czy go to rozczula, czy też doprowadza do szewskiej pasji - już po raz ostatni. Nagle pewna myśl jak błyskawica przeszła jego umysł: ten głos! Trzeci głos, obok Albrechta i jego starego doradcy, należał do sekretarza Zygmunta I Jana Flachsbindera, nazywanego Dantyskiem, teraz był tego pewien. Król i nowa królowa Polski byli współnikami zabójstwa!

- Mikołaju, niech pan będzie posłuszny ostatniej woli pańskiego wuja, proszę. Wyruszmy już teraz. Panienska Anna dołączy do nas we Fromborku, gdzie czeka siedziba należna panu jako kanonikowi. Dzielny Radom stoi za drzwiami. Mimo całego uwielbienia, jakim darzy pańską osobę, jest gotów pana ogłuszyć i spętanego powieźć na grzbiecie własnego konia.

- Niech no tylko spróbuje, zobaczymy, kto kogo powali - odparł Mikołaj z przechwałką w głosie. - Ale będę posłuszny. Dajcie mi trzy godziny. Mam ważne spotkanie, którego nie zamierzam przekładać.

- Jakie spotkanie?

Kopernik podszedł do okna i otworzył je. Zawołał:

- Wejdz, stary Radomie, musimy porozmawiać.

Olbrzym, który niegdyś służył mu za ochronę, wszedł, schylając machinalnie głowę, choć drzwi były wystarczająco wysokie, by mógł wejść, nie waląc w futrynę swą łysą jak

kolano czaszką.

- Radomie, choć raz na coś mi się przydasz. Chcesz pomścić biskupa, prawda?

- Tak, panie. Gdy tylko spotkam tę kanalię Glimskiego, zgmiotę go jak robaka, o tak.

I Radom uderzył jedną czerwoną ogromną dłonią o drugą. Po raz pierwszy Kopernik usłyszał tyle słów na raz wydobywających się zza opadających wąsów olbrzyma.

- W takim razie wyobraź sobie, mój stary Radomie, że wiem, gdzie się zdrajca ukrywa. Powiedziano mi, że przebywa w pewnej oberży w dolnym mieście, do której w dawnych czasach parę razy z bratem zajrzeliśmy.

- Pójdę sam. Nie powinniście w żaden sposób ryzykować, panie. Tak kazał biskup.

- Biskup nie żyje i od tej pory ja tu rozkazuję.

Radom skinął głową na znak zgody.

- W takim razie ja też w to wchodzę - zawołał Sculteti. - Nie myślicie chyba, że będę tu na was czekał z założonymi rękami?

Kopernik zerknął z zakłopotaniem na pokaźne brzuszysko sekretarza Jana Medycejskiego. Ten poczerwieniał ze złości jak indyk i obwieścił, klepiąc się po brzuchu:

- No co, to nie balon przecież! To są mięśnie! I wierzcie mi, że w wieku pięćdziesięciu lat potrafię jeszcze władać tym sztyłem lepiej niż niejeden młodziak. Dostałem go od ojca.

Pięćdziesiąt lat! Mikołaj zrobił szybki obrachunek: Sculteti miał więc zaledwie

dwadzieścia lat, kiedy wuj wziął go na preceptora swoich bratanków. Kto uwierzy, że Andrzej i on, piętnastoletni „nicponie”, uważali go za starca! Andrzej... Gdzie przebywał? Pewnie w Rzymie, po tym, jak otrzymał zezwolenie na wyjazd, by się leczyć. „Teraz naprawdę zostałem sierotą - przemknęła mu myśl. - W moim wieku to brzmi śmiesznie”.

Trzech jeźdźców zjechało ku rzece. Ponad nimi czyste niebo jak kuglarz żonglowało spadającymi gwiazdami. Strażnicy przy budkach wartowniczych zagradzających most na Wiśle nie czynili żadnych przeszkód: w tych radosnych dniach panowie z zamku też potrzebowali trochę prostej rozrywki... Poza tym sakiewka ciśnięta im przez Kopernika wydawała się dosyć ciężka. Gdy w końcu znaleźli się w dolnej części miasta, Radom podał Mikołajowi bukłak:

- Proszę to wypić, panie, w takich sprawach to lepsze niż wszystkie wasze lekarstwa.

„Ten chłopak zdecydowanie staje się zbyt rozmowny - pomyślał Kopernik, przełykając palącą wódkę, od której świeczki stanęły mu w oczach. - We Fromborku trzeba będzie doprowadzić to wszystko do porządku”.

„Bukiet Fiołków”, dawny dom schadzek, zmienił szyld. Teraz, ku czci nowej królowej Polski, nazywał się „Mediolańska Gołąbka”. Ale nad drzwiami, jak w dawnych czasach, migotała ta sama czerwona latarnia. Policzki paliły Mikołaja, gdy zsiadł z konia. Odkrył, że wódka nie była jedynym powodem jego ekscytacji. Z dwójką towarzyszy za plecami energicznie zastukał kołatką. Judasz otworzył się, ukazując bladą twarz:

- Mamy komplet - warknął odzwierny.

I małe drzwiczki zamknęły się z trzaskiem. Radom delikatnie odsunął swojego pana. Jego imponujące pięści zaczęły walić w zawarte odrzwia. Okienko ponownie się otwarło, ale zanim człowieczek zdążył wymówić choćby jedno słowo, Radom zwinnym ruchem uchwycił jego nos między dwa palce. „Patrzcie państwo, jest mańkutem”, przemknęło

przez głowę Kopernikowi.

- Otwierasz, ścierwo, albo ci zedrę tę maskę!

Zgrzytnęły zasuwę. Jednym ciosem ręki Radom pchnął drzwi, które przygwoździły odźwiernego do ściany. Trzech mężczyzn wkroczyło do środka. We wspólnej sali znajdowało się tylko czterech klientów swawolących z dziewczętami, których udawane okrzyki zadowolenia nagle ucichły na widok nieznajomych, zmieniając się w przeraźliwy pisk. Zaś w głębi baron Glimski podniósł się z fotela, brutalnie odpychając młodego służącego, którego obściskiwał. Dziewczeta i chłopak schowali się z krzykiem pod stoły. Zaświeciła wydobywana z pochew broń. Jeden Radom nie musiał dobywać broni: spokojnym krokiem zbliżył się ku dwóm środkowym żołnierzom, wziął w ręce ostrza mieczy i wyrwał im je tak, jak kucharka pozbawia piór kurczaka. Następnie chwycił ich za głowy i trzykrotnie uderzył jedna w drugą. Dwaj mężczyźni osunęli się bez zmysłów. Sculteti natomiast zupełnie zapomniał o swoim słynnym sztylcie, do którego tak bardzo był podobno przywiązany i jak ogromny pocisk wystrzelony z bombardy, godny miana Adamastora, rzucił się na przeciwnika przypominającego zaszuszonego, nerwowego szczura uzbrojonego w szablę i długi nóż. Skoczyli na siebie. Sculteti zmiażdżył go swoją masą, poddusił, a następnie podniósł się z wdziękiem słonia i zatopił sztylet w jego sercu.

Tymczasem Kopernik fechtował się z czwartym strażnikiem Glimskiego, wychudzonym, włóchatym dryblasem przypominającym mu jego mistrza szermierki, jednego z najsłynniejszych w Bolonii. Tamten bronił się byle jak przed szkolnym, nieco ciężkim, lecz starannie prowadzonym atakiem. Parada, unik, tercja, kwarta. Ostrza splotły się, szpada drągała wystrzeliła w górę i wbiła się w pokryty grubą warstwą tłuszczu, popękany strop. Zbir rzucił się na kolana, prosząc o łaskę. Jak nakazywały reguły walki, zwycięzca dotknął jego piersi końcem swojej szpady. Byłby go nawet pozdrowił, gdyby Radom nie stanął między nimi i nie podciął nieszczęśnikowi gardła jednym prostym ruchem wieśniaka odcinającego sierpakiem główkę kapusty. Krew trysnęła fontanną, spryskując buty astronoma.

Pozostał już tylko Glimski. Z założonymi rękami stał wyprostowany w głębi sali. Jego dziwna twarz nieodparcie przypominała Mikołajowi Wielkiemu Chana, takiego, jakim wyobrażał go sobie, gdy jako dziecko czytał Opisanie świata Marco Polo.

- Czekam, panowie, dokończcie waszego dzieła - rzekł głosem, który nie drżał.

Kopernik i Sculteti spojrzeli po sobie zakłopotani. Co należało zrobić? W tym momencie podniósł się grzmiący, straszny głos Radoma:

- Wy dwaj, wyjdźcie, panowie. Teraz to już moja robota, nie wasza.

Zdjęci paniką, Mikołaj i Bernard uciekli z burdelu, nieomal biegnąc. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, czekali. Nagle uszu ich dobiegł potworny krzyk, potem jeszcze jeden, następnie trzeci, jeszcze straszniejszy. Cisza, jaka nastąpiła, zdawała się wlec w nieskończoność. W górze spadająca gwiazda rozdarła niebo. W końcu Radom się pojawił; starannie, z jakąś uroczystą powagą, zamknął za sobą drzwi gestem najbardziej oddanego służącego.

- Już po wszystkim - powiedział spokojnie. - Najwyższy czas stąd odjechać. Oczywiście nie chcę wielmożnym panom rozkazywać.

## VII

Już bardzo dawno kapituła szesnastu kanoników z Fromborka nie gromadziła się w swojej katedrze w komplecie. Na mszę żałobną w intencji biskupa Łukasza Watzenrodego wezwany został nawet Andrzej Kopernik, po czterech latach spędzonych w Rzymie na - jak mówił - leczeniu. Niejeden miał nadzieję, że już stamtąd nie wróci. Ale Mikołaj spełnił obowiązek powiadomienia go o śmierci wuja, wysyłając długi list na adres niemieckiego przyjaciela, z którym starszy brat mieszkał w Italii.

Przybyły do Fromborka w dwa miesiące po swoim bracie Andrzej nie zadał sobie trudu, by złożyć mu wizytę, zaszywając się w dworku, do którego prawo dawała mu pełniona funkcja. Tym razem jednak nie uda mu się uniknąć konfrontacji: kapituła zbierała się w celu sporządzenia listy trzech nazwisk, które zostaną zaproponowane królowi Polski i spośród których wybierze następcę biskupa Warmii. Tymczasem Andrzej spóźnił się, jego miejsce świeciło pustką...

Narada nie trwała długo. Wszystko było od dawna przygotowane. Nazwisko Mikołaja Kopernika zostało umieszczone na początku, za nim figurował były rycerz krzyżacki, który z hukiem opuścił zakon i żył spokojnie na swoich włościach. Doskonale zdawano sobie sprawę, że tę kandydaturę król odrzuci. Trzeci był Tiedemann Giese, najmłodszy z fromborskich kanoników. Mikołaj poznał go w Ferrarze. To on przyjął go tam z takim entuzjazmem. I kiedy ukończywszy studia powrócił do rodzinnego Gdańska, Mikołaj doradził Łukaszowi, by go mianował kanonikiem.

Kapituła miała zatwierdzić listę i wysłać z poselstwem Bernarda Scultetiego, który słynął z talentu mediatorskiego, do Krakowa, do króla. W tym momencie drzwi gwałtownie się otwały i jakiś wsparty na lasce, zgięty wpół człowiek z zasłoniętą dolną częścią twarzy pojawił się na progu i zaczął krzyczeć drżącym głosem:

- Wuj wam nie wystarczył? Teraz wysyłacie na śmierć bratanka?

Dopiero w tym momencie Mikołaj rozpoznał Andrzeja. Już się podnosił, by ruszyć w jego stronę, jednak siedzący obok Sculteti przytrzymał go za rękaw:

- W żadnym wypadku się nie ruszaj. To nie ty masz interweniować tylko prepozyt. I rób dokładnie to, co ci powiem.

Kanonik prepozyt, jedyny, który miał prawo celebrować mszę, wstał i wymierzając swój długi kościsty palec w intruza, huknął donośnym głosem:

- Uprzedzaliśmy cię wiele razy Andrzej Koperniku, że jeżeli znowu zaczniesz źle się prowadzić i wywoływać skandale, będziemy zmuszeni się ciebie pozbyć. Jedynie ze względu na Jego Ekscelencję zgodziliśmy się na twój kolejny pobyt we Włoszech, byś mógł się leczyć.

- Teraz, kiedy nie żyje - zaśmiał się szyderczo Andrzej - możecie swobodnie, możni panowie, pozbyć się jego rodziny, hę?

Kanonik zaczął wrzeszczeć piskliwym głosem:

- Precz stąd, trędowaty! Do lazaretu!

Mikołaj podniósł się, gotowy zmyć krwią zniewagę, jakiej doznała jego rodzina. Sculteti znów osadził go na miejscu i szepnął mu na ucho:

- Opowiem ci wszystko później. Choroba Wenus wypaliła jego umysł. A wielebny Łukasz musiał postawić na szali cały swój autorytet, by twój brat nie został haniebnie wygnany. Ale w jednym Andrzej ma rację: teraz, kiedy wasz wuj nie żyje, nic ich nie powstrzyma.

- Gdy pasterz znika, owce przestają słuchać psów - zaśmiał się gorzko Kopernik.



- Właśnie. A więc, jeśli pragniesz biskupstwa, trzeba będzie poświęcić twojego brata.

Podniósł się inny kanonik, wyniosły fircyk, żądając, by proces Andrzeja odbył się natychmiast, niech skończą się czasy rozpusty.

- Kim jest ten pyszałek? - spytał Kopernik Scultetiego.

- Aleksander Sculteti. Niestety, nie tylko ty posiadasz brata. Twój jest zdeprawowany, mój to imbecyl.

Nagle Andrzej osunął się na ziemię. Legł krzyżem, z rozpostartymi ramionami. Zapadła cisza. Sculteti szepnął pośpiesznie do Kopernika:

- Wyprowadź go stąd. Ukryj gdzieś. Pozostali nie zrozumieliby, gdybyś nic nie zrobił.

Mikołaj ruszył w stronę brata, pochylił się nad nim, wymruczał coś w rodzaju „chodźmy, wstań, czas wracać do domu” jak wtedy, gdy byli dziećmi, w Toruniu, kiedy on był tym ułożonym, a starszy brat - szalonym. Andrzej z trudem uklęknął. Mikołaj ujął jego straszliwie wychudzoną dłoń, pomógł mu się podnieść i otoczywszy ramionami wyprowadził z katedry. Na zewnątrz kazał swojemu stangretowi zawieźć chorego do domu i przekazać w ręce pani Anny Schilling, jego gospodyni. Potem wrócił do dużej i ciemnej sali kapitułarnej, gdzie czternastu pozostałych kanoników prowadziło niezwykle ożywioną dyskusję, która urwała się, gdy wszedł, ustępując miejsca pełnej zakłopotania ciszy. Mimo błagalnego wzroku Scultetiego postanowił ją przerwać:

- Dzięki waszej życzliwości zbyt długo ociągałem się z zajęciem mego miejsca pośród was. Jednak przez cały ten czas, który spędziłem przy Jego Ekscelencji biskupie Warmii, nie przestawałem bronić na dworze polskim interesów fromborskiej kapituły, tak jak nasz współbrat Sculteti bronił ich w Rzymie. Mimo to rozbrzmiewa teraz w mojej

duży straszliwy głos mówiący „Kainie, cóżeś uczynił ze swym bratem”?

- Amen - wyrzekło chórem czternastu kanoników.

- Podzielam wasze cierpienie i zakłopotanie. Biorę wszystko na siebie. Przrzekam wam, że nasz nieszczęsny Andrzej nie pojawi się już więcej ani w kapitule, ani w mieście.

- To byłoby zbyt proste - wtrącił kanonik pełniący funkcję skarbnika. - Andrzej Kopernik nadal korzystałby ze swojego beneficjum, mebli i budynków, nie zdając z tego sprawy? Poza tym przed wyjazdem do Rzymu powierzyliśmy mu sumę tysiąca dwustu złotych florenów. Co z nimi zrobił?

- Przekazał je mnie i tłumaczyłem już kapitule, na jaki cel zostały przeznaczone - odparł Sculteti.

Mikołaj z trudem powstrzymał uśmiech. Papież Juliusz II był umierający, a opiekun Scultetiego, Jan Medyceusz, potrzebował wielu sojuszników w kurii, by móc zostać jego następcą. Tysiąc dwieście złotych florenów - to kwota nie do pogardzenia.

- Pozostaje jeszcze to - zabrał głos brat Scultetiego - że trędowaty nadal będzie trzymał rękę na swych prebendach i beneficjach.

- Przypominam panu, że ich zawieszenie pozostaje wyłącznie w gestii Stolicy Apostolskiej - odparł Tiedemann Giese, którego dyplom z prawa kanonicznego był dużo świeższej daty niż w przypadku reszty kapituły.

- Właśnie, i nasz przyszły biskup będzie wchodzić w jej skład.

Aluzja była oczywista: przyszłym biskupem, o którym była mowa, mógł zostać brat „trędowatego”. Trzeba było rozważyć to rozegrać:

- W takim razie proszę o wycofanie mojego imienia z listy - powiedział Kopernik z miną bigota. - Wielebny Aleksander Sołtysik będzie z pewnością w stanie lepiej niż ja bronić Warmii przed krzyżackimi zakusami.

Trafił w dziesiątkę. Kilka drwiących uśmiezków pokazało, że osoba brata rzymskiego przedstawiciela kapituły nie była zbyt poważana. Prepozyt uciął sprawę: Andrzej nie będzie już mógł dysponować swoim beneficjum ani domem w mieście, ani probostwem, ani jednym z dwóch wiejskich dworców. Pozostawi mu się jednak drugi dworek i przydzieloną przez kapitułę służbę: dwóch lokajów i trzy konie. W celu ich utrzymania wypłacana mu będzie pensja równa dziesiątej części tego, czym dysponował do tej pory, a była to kwota znaczna. O jego losie rozstrzygnie ostatecznie Stolica Apostolska, jak tylko w jej skład wejdzie nowy biskup Warmii.

- No dobrze! - powiedział Kopernik Scultetiemu, gdy ostentacyjnie szli pod ramię główną ulicą Fromborka. - Moim pierwszym wystąpieniem na kapitule pozyskałem sobie samych przyjaciół.

- Przyjaciół na pewno nie. Przyjaźń nie jest tutaj częstym uczuciem. Ale udało ci się ich obłaskawić. Sfora płaszczących się psów znalazła nowego pana. Co się zaś tyczy mojego brata Aleksandra, nie przejmuj się nim. Szczeka, ale ugryźć nie może, ponieważ ma na swoim koncie i nadal popełnia sporo głupstw. Jego parafianie znają go słabiej niż portowe dziwki. Wyjeżdżam pokrzepiony na duchu, drogi przyjacielu. Sporo czasu upłynie, zanim znów się zobaczymy, bo zaraz po mianowaniu przez króla nowego biskupa - w tej sprawie nie mogę ci niczego obiecać i nie spodziewaj się zbyt wiele - wyjeżdżam do Rzymu. Po podjęciu decyzji przez Zygmunta I wyślę do ciebie gońca, byś był poinformowany przed innymi.

Jedna z wiejskich posiadłości znajdowała się o pół dnia drogi konno od Fromborka, na wzgórzu górującym ponad ufortyfikowanym miasteczkiem Pieniężno, znajdującym się pod jurysdykcją kanonika Mikołaja Kopernika. Gdy pokonał most zwodzony swojej

siedziby, zobaczył zgromadzoną na dziedzińcu służbę i chłopów. Stali jednak odwróceniem tyłem. Gdy zsiadał z konia, podbiegła do niego Anna, cała we łzach, i rzuciła mu się w ramiona.

- Mikołaju, Mikołaju, to potworne!

Wyrwał się bez ogródek z tego uścisku, niestosownego pod tyloma wścibskimi spojrzeniami.

- Co tu się dzieje?

Wskazała mu palcem szczyt baszty. U góry wisiało na sznurze drgające jeszcze ciało. Andrzej właśnie się powiesił.

Mikołaj Kopernik nigdy nie został biskupem Warmii. Król Zygmunt I zdecydował inaczej. Wbrew panującemu zwyczajowi nie wziął pod uwagę trzech nazwisk zaproponowanych przez kapitułę, lecz wybrał osobę spoza listy, z grona swoich bliskich, kwiatu polskiej szlachty. Zaznaczył również, że biskupstwo warmińskie nie będzie już posiadać owego niejasnego i budzącego wątpliwości statusu, w którym łączyły się interesy Kościoła i Ligi Pruskiej, zmierzając do coraz radykalniejszego oddzielenia od Korony, aż do powstania - o czym niezbiecie świadczą fakty - rodzaju republiki z biskupem Łukaszem jako dożą. Co do Krzyżaków, zachowywali oni nadzwyczajny spokój. Trzeba powiedzieć, że zakon mocno zubożał: wolni chłopci, przytłoczeni zbyt wysokimi podatkami, uciekali z terenów otaczających ich komandorie na żyźniejsze ziemie, które hojnie oferowały im cztery pruskie biskupstwa. W dodatku od dawna już kupieckie statki nie przybijały do ich jedyne go portu, Królewca, przedkładając nad to miasto Gdańsk lub Frombork, o wiele bardziej gościnne. Król Polski czekał więc, aż Krzyżacy sami się wykruszą. Poza tym być może będą mogli mu się przydać w sytuacji zagrożenia ze strony księstwa moskiewskiego. Mikołaj Kopernik rozumiał to wszystko doskonale. Machiavelli, mistrz polityki, dał mu kiedyś dobrą szkołę. I sam, jako wytrawny gracz, wyznał przed nowym biskupem Warmii, że gdyby był Zygmuntem I,

postąpiłby dokładnie tak samo.

Tak oto dobiegł końca ten straszliwy rok tysiąc pięćset dwunasty. Kopernik wkroczył w podeszły wiek: wkrótce miał skończyć czterdzieści lat. Odzyskawszy znajdujące się jeszcze w pałacu biskupim książki i instrumenty, osiedlił się we Fromborku. Jego siedziba przylegała do murów górujących nad Zalewem Wiślanym. Tam, na górze, z nastaniem wiosny zagospodarował królującą nad miastem dwupiętrową wieżę, z której mógł dostrzec za wodami zatoki ginące za horyzontem morze i oczywiście wszechobecną mgłę. Mógł się tam wprowadzić na początku jesieni razem ze swymi przyrządami astronomicznymi i biblioteką.

Czuł się jak ranny niedźwiedź, zaszywający się w swojej norze na długi zimowy sen z nadzieją, że z nastaniem wiosny jego rany będą zasklepione. Nie chciały się jednak goić. Andrzej wciąż był obecny w jego pamięci, w snach, na schodach prowadzących na wieżę, w kominku, gdzie buzował wielki ogień, podczas gdy Anna, wyszywając, półgłosem podśpiewywała. W ciągu pierwszych tygodni po samobójstwie brata odczuwał wyłącznie obrzydliwą ulgę. Następnie, po otrzymaniu listu od Scultetiego z wiadomością, że nie będzie biskupem Warmii, duch Andrzeja-wisielca brutalnie wniknął w niego i towarzyszył mu jak cień. Mikołaj stał się drażliwy. Z powodu błahostek wpadał w straszną furję, przez co bywał niesprawiedliwy w osądach.

- Anno, skończysz wreszcie z tym zawodzeniem? Powiedziałyby kto, że miauczy stado kotów. Nie masz nic lepszego do roboty niż wyszywanie poduszek? Przejdź się lepiej do kuchni i zobacz, co oni tam majstrują. Nie jesteś księżniczką, do kroćset, jesteś moją gospodynią! I jako taka powinnaś bardziej zadbać o mój dom!

Stał się podejrzliwy i wmówił sobie, że wielki mistrz krzyżacki Albrecht von Brandenburg prześladowuje go oskarżeniami. Pierwszą jego prośbą wobec nowego biskupa było, aby ten dał mu Radoma, którego dostojnik zachował w swej służbie. W ten sposób olbrzym został „degustatorem” kanonika. Mikołaj nie zgadzał się przełknąć choćby kropli wina, najmniejszej okruszyny chleba, zanim nie wziął ich do ust jego służący.

Okolo sierpnia roku tysiac piecset trzynastego otrzymał triumfalny list od Bernarda Scultetiego: jego opiekun Jan Medyceusz właśnie zasiadł na tronie świętego Piotra pod imieniem Leona X i wziął go na kapelana i sekretarza. Wszystkie dzwony Warmii zabiły na tę nowinę. Dawny preceptor młodych Koperników stał się dumą kraju. Jego brat Aleksander Sculteti paradował po mieście niczym jego udzielny władca, we wszystkim go naśladowując.

Wydarzenia te pozostawiły Kopernika niewzruszonym. Wysłał miły liścik gratulacyjny nowemu papieskiemu kapelanowi i więcej nie zaprzętał sobie tym wszystkim głowy. Postanowił całkowicie poświęcić się swojej funkcji kanonika. Mógłby traktować ją tak, jak większość współbraci: jako synekurę i dzielić czas między polowania, przyjęcia, uczyty i przyjemne podróże do Krakowa albo do innych miejsc. Jak inni mógł widzieć w niej najlepszy sposób na zaspokojenie własnych ambicji: biskupstwa, dobrej posady w stolicy przy królu, a nawet kapelana Jego Świątobliwości. Zamiłowania do rozrywek w sobie nie zabił, daleki był od tego; ambicji posiadał więcej niż ktokolwiek inny. Ale, podobnie jak wuj, miał za twarde kark, by go ugiąć, był zbyt świadomy swojego geniuszu, by zniżyć się do gnuśności i słabości charakteru, korzyć się przed tym czy innym możliwym tego świata.

Przez moment chciał poświęcić się wyłącznie swemu przyszłemu Almagestowi, swemu wielkiemu dziełu zapowiedzianemu w Komentarzyku. Wspiął się więc na swą wieżę, gdzie jeszcze czuć było zaprawę i świeżą farbę. Sam, z pomocą jednej Anny, starannie poukładał w podpisanych skrzynkach wszystkie tablice astronomiczne skopiiowane od starożytnych i swoje własne obserwacje, rysunki oraz wykresy sporządzane najpierw z pomocą Novary, a potem samodzielnie. Od czego zacząć?

Pies, który nigdy go nie odstępował, rzucił mu zażawione spojrzenie, pytające: jaką to nową grę wynalazł dla niego pan? Mikołaj rozwarł okiennice dużego okna, które kazał wstawić. Na zewnątrz ustał deszcz i nad Zalewem Wiślanym pojawiła się tęcza. Machinalnie odwrócił klepsydrę, wziął do ręki kompas, który otworzył i zaraz zamknął. Usiadł na wydrążonej w murze kamiennej ławce, oparł głowę na pięści. Jego wzrok

błądził po linii horyzontu. Pies rozdzierająco westchnął, położył się, zwinął w kłębek i zasnął. Kopernik, przygnębiony, długie godziny trwał nieruchomo w tym pełnym goryczy zamyśleniu. Nawet nie zauważył, że zapadła noc; nie czuł też zimna. Anna przyszła zawołać go na kolację. Ujęła go za rękę, podniosła, chusteczką osuszyła wielką łzę, która nie zdążyła wyschnąć na jego zarośniętym policzku.

Przez długi czas nie zaglądał do swojego obserwatorium. To miejsce go przerażało. W nieskończoność odwlekał moment rozpoczęcia redakcji swojego wielkiego dzieła. Głównym pretekstem było to, że, jak mówił, potrzebował asystenta, któremu mógłby powierzyć najbardziej żmudne obliczenia. Ale gdzie takiego znaleźć na tym końcu świata? Nie uczynił wszakże w tym kierunku nic, odrzucając zaproszenia pozostałych kanoników do udziału w spotkaniach aspirujących do miana uczonych. Prowadzone podczas nich rozmowy wydawały mu się okropnie mdłe i głupie, gdy porównywał je z pełnymi wigoru debatami włoskich akademii.

Zadecydował więc potraktować swoją misję kanonika nadzwyczaj poważnie. Przy odrobinie dobrej woli kanonia w Warmii mogła stać się pasjonującym zajęciem, wypełniającym każdy moment dnia. Kapituła mianowała na prepozyta i proboszcza katedralnego człeka w mocno podeszłym wieku, który poprzestawał jedynie na sprawowaniu mszy. Nawet gdyby miał na to ochotę, niemający święceń kapłańskich Kopernik nie mógł zostać jego następcą. Inną ważną osobistością był administrator dóbr kapitulnych wyznaczany na okres roku z możliwością wyboru na kolejne lata. Obecnym odpowiedzialnym za to kluczowe stanowisko był nikt inny jak Aleksander Sculteti, brat Bernarda. Niestety, poza wrodzonym lenistwem, miał on także tendencję do mylenia własnych interesów z interesami kapituły. Od czasu śmierci Andrzeja, którą przypisano oczywiście jego chorobie, Sculteti, podobnie jak pozostali kanonicy oraz biskup, okazywali Kopernikowi troskę i współczucie, z jakimi podchodzi się do „człowieka po przejściach”.

Tak więc Aleksander z otwartymi ramionami przyjął zaproponowaną przez Mikołaja pomoc, stwierdzając, że „dostarczy mu to rozrywki”. Uczynił to tym chętniej, że dzięki

temu mógł zostać zwolniony z zajęcia, które postrzegał jako podrzędną robotę nieprzystającą bratu papieskiego kapelana. Być stale w rozjazdach i wizytować należące do kapituły liczne posiadłości i dzierżawy, rozmawiać z chłopstwem, kupcami i żeglarzami fałszującymi swoje dochody, by się wymigać od płacenia podatków - wszystkie te rzeczy niegodne były człowieka, który widział się już kardynałem.

Kopernik natomiast odzyskał przy tym zajęciu dawną energię. Najczęściej widywano go teraz na koniu, z dyndającą u boku szpadą, i z Radomem przy boku oraz podążającą za nimi eskortą. Na widok takiej załogi Krzyżacy, szukający łatwego łupu wśród rolnych gospodarstw, umknęliby czym prędzej do swoich gniazd. Ale ostatnio siedzieli cicho trzymanymi żelazną ręką Albrechta von Brandenburga. Nie było po nich śladu; najmniejszego tumanu kurzu wzbijanego przez ich oddziały w głębi rozległych równin falujących żytem i pszenicą, przetykanych brzezunami i świerkowymi zagajnikami albo zgniłozielonymi mokradłami.

Łukasz swego czasu zniósł pańszczyznę wszędzie, gdzie sięgała jego władza. Nakłonił także swoich chłopów, by osiedlili się w grupach, w umocnionych fortyfikacjach osadach. W zamian za to wymagał od nich wyższego podatku wspólnego. Naturalnie narzekano, opierano się, było też trochę szachrajstwa, ale koniec końców przystawano na to rozwiązanie. Na prośbę króla Zygmunta, w celu pozyskania sobie drobnej miejscowej szlachty, nowy biskup Fabian von Lussainen starał się stopniowo przywrócić jej dawne przywileje.

Lussainen ukrywał niby jakąś ułomność swoje prawdziwe polskie nazwisko - Luzjański, podczas gdy Mikołaj brawurowo afiszował się ze swoją godnością. Dlatego wieśniacy, widząc zbliżający się orszak kanonika, gotowali mu gorące przyjęcie. Stawał się coraz bardziej podobny do wuja: ta sama czarna broda, te same surowe oczy pod długimi zmarszczonymi brwiami tworzącymi na jego czole głębokie bruzdy; nawet ten długi, garbaty nos - czyjaś pięść złamała go podczas studenckiej bójki kiedyś, w Krakowie, pewnej nocy, gdy rywalizująca z nimi banda domagała się zwrotu karcianego długu Andrzeja. Był dla prostego ludu drugim wcieleniem Łukasza, budzącego lęk, lecz



sprawiedliwego i hojnego. Niewątpliwie kierowany własnym interesem, ale również dlatego, że lubił to, co robił, nie wahał się dzielić z biednymi swoimi lekarskimi umiejętnościami.

- Ano, pani Szymanowic, jak ma się skręcona stopa syna? - zapytał, zeskakując z konia na podwórzu gospodarstwa i wpadając prosto w grząskie błocko.

- Harcuje jak źrebak, panie, od kiedy zrobił pan „trzask prask” w tej jego nodze. Ale niepokoi mnie moja mała Rozalka. Od tygodnia nie przestaje kaszleć. Pewnie złapała chorobę bagienną.

- Dobrze, obejrzymy ją - powiedział, wchodząc do wspólnej izby, gdzie gdakały kury i chrząkała maciora karmiąca czworo małych.

Pies przywiązany do pala, pokazując kły, groźnie szczekał, chcąc odstraszyć intruza. Uciszył się dopiero, gdy gospodarz wymierzył mu solidnego kopniaka. Twarz Rozalki, dziewczyny najwyżej czternastoletniej, była szlachetnie piękna. Doskonały owal, niewinność... Jej przepastne oczy obrysowały sine cienie. Zielone oczy. Kopernika ogarnęła bezbrzeżna litość, gdy dotykał palcem tej rozpalonej buzi, słuchając serca bijącego pod drobnymi piersiami rysującymi się pod rozchyłoną koszulą, w tym rozgorączkowanym ciele, które nigdy nie zazna miłości. Za trzy dni będzie martwa. Nie mógł nic zrobić. Przygotował miksturę z armeńskiej gąbki, cynobru, drzewa cedrowego, dyptamu, sandałowca, wiórków kości słoniowej, krokusa i szafranu, którą miała wdychać, rozdzielając między rodzinę wszystko, co miał w torbie i mówiąc, że odtąd wszystko będzie dobrze. Och, ta matka całująca mu stopy! Ojciec przypominający tura, który z płaczem błagał go, aby nie pozwolił przyjść śmierci! Odmówił przyjęcia wychudzonego królika, którego dawali mu jako zapłatę, i umknął niczym złodziej.

Szczególnie lubił wizytować fortyfikacje warmińskich miast i miasteczek. Stawał się wtedy architektem, błyskawicznie szkicował węglem na oczach zdumionych oficerów plan reduty, kaponiery czy barbakanu, nakazywał ich wzniesienie, a następnie dokonywał

przeгляdu milicji obywatelskiej, której także wydawało się, że oto stoi przed nią drugie wcielenie biskupa Łukasza.

Niewielkich rozmiarów miasto Frombork ulokowane było na pozbawionym wody pagórku. Mieszkańcy musieli wędrować pół mili, by czerpać wodę z rzeki Baudy. Kopernik sporządził rysunek, a następnie kazał skonstruować urządzenie mające doprowadzić wodę z rzeki w górę miasta. Śluza posłużyła do poprowadzenia wód rzeki do stóp wzgórza. Tam umieścił zmyślny mechanizm, który, poruszany siłą prądu, dostarczał wodę aż do wieży kościelnej. Od tej pory mieszkańcy Fromborka nie musieli już schodzić po wodę do rzeki. W dowód wdzięczności za wyświadczoną im przysługę umieścili u stóp maszyny pamiątkowy kamień, na którym znalazło się wyryte nazwisko dobroczyńcy.

Chętnie udawał się do Braniewa, nie tyle dlatego, że była to ostatnia marchia przed krzyżackim dominium, ale ponieważ burmistrzem twierdzy był nikt inny, jak jego kuzyn Filip Teschner. Po komenderowaniu manewrami oddziałów dwaj mężczyźni spędzali noc na gawędach przy winie. Po kilku butelkach zawsze mieli wrażenie, że Łukasz z Andrzejem są tam i piją razem z nimi.

Częstym gościem był także w portowym urzędzie celnym, gdzie dokonywał inspekcji przewożonych ładunków. Na początku próbował nawiązać stosunki z kapitanami, aby któryś poczynił dla niego na duńskich lub szwedzkich wybrzeżach obserwacje astronomiczne. Pamiętał, że we Włoszech odczytywano podczas spotkań Akademii Lincei listy słynnego florenckiego żeglarza Ameriga Vespucciego, który nazwał własnym imieniem Nowy Świat. Były bardzo barwne, lecz pozbawione jakichkolwiek danych matematycznych mogących zainteresować astronoma, nawet jeśli jeden z nich opisywał cztery mocno świecące gwiazdy ułożone w kształt krzyża nieopodal południowego bieguna niebieskiego. Jeszcze bardziej rozczarowali Kopernika marynarze żeglujący po Bałtyku. Poruszali się po jego niebezpiecznych wodach na wyczucie, nie posługując się ani busolą, ani laską Jakuba. Prowadzili swoje statki jak powożący wozy po miejskich ulicach furmani.

Mimo rozlicznych zajęć Mikołaj trwał pogrążony w głębokiej melancholii, z której niekiedy wyrywała go jedynie Anna ze swoją czułością i wiernym oddaniem. Rok po wyborze papieża Leona X Sculteti napisał do niego, oznajmiając, że w końcu otworzono obrady nowego soboru. Jego Świątobliwość pragnął, by tak renomowany astronom i matematyk jak Kopernik uczestniczył, podobnie jak najlepsi uczeni tamtych czasów, w pełnej reformie kalendarza. Znowu zobaczyć Italię! Propozycja była wielce kusząca. Jednak wahał się, mimo radosnych nalegań mającej nadzieję na wzięcie udziału w podróży Anny. Wizja ponownego znalezienia się pod rozkazami dawnego preceptora trochę obrażała jego dumę. W dodatku perspektywa tak dalekiej wyprawy przytłaczała go, czuł się na to za stary. Sculteti popełnił niezręczność, prosząc Tiedemanna Gieseego, by przekonał Kopernika do wyjazdu i wyjścia z ponurego stanu, w jakim nurzał się już blisko trzy lata. Podejrzewając, że za naleganiami jego dawnego współucznia z Ferrary kryje się jakiś spisek, Mikołaj kategorycznie odmówił, twierdząc, zresztą zgodnie z prawdą, że dopóki nie obliczy się precyzyjniej czasu trwania roku słonecznego, żadna gruntowna przeróbka kalendarza nie będzie możliwa.

- A gdybyś ty obliczył ten rok słoneczny? Pomogę ci, choć kiepski ze mnie matematyk.

Mimo upływu czasu Tiedemann Giese nadal żywił ten sam podziw dla Mikołaja, co niegdyś. I kiedy obejmował kanonię we Fromborku, z góry cieszył się na otwarcie warmińskiej akademii, o której kiedyś rozmawiali. Lecz po śmierci brata Kopernik zabarykadował się w swojej wieży, potem szaleńczo rzucił się w obowiązki kanonika, odmawiając towarzystwa Gieseego lub jakiegokolwiek innego kanonika.

Tym razem wszakże przyjął jego propozycję. W końcu, gdy tak wzdragał się przed spisaniem swego dzieła, czy nie używał pretekstu, że brakuje mu asystenta? Giese nadał się w sam raz.

Tak więc, kiedy akurat nie przebywali z misją w którymś z zakątków Warmii,

Mikołaj i Tiedemann spotykali się w górującej nad murami obronnymi wieży. Musieli najpierw przejrzeć i od nowa ułożyć setki grubych plików kart pokrytych cyframi, figurami i wykresami sporządzonymi lub zaczerpniętymi przez Kopernika z innych źródeł w ciągu prawie dwudziestu lat, od czasu pobytu w Bolonii. Giese posiadał żywy umysł i solidną oraz wszechstronną wiedzę, jednak nieprawdopodobna matematyczna sprawność przyjaciela pozostawiała go zawsze daleko w tyle. Mikołaj zaś niecierpliwił się, zmuszony spowalniać potok idei, „opuszczać żagle” niczym lotny okręt na próżno ścigany przez mały stateczek. Bez wątplenia Kopernik byłby bardzo kiepskim nauczycielem, podczas gdy Giese okazał się pilnym i sumiennym uczniem. Uwielbiał brać do ręki astrolabium i oglądać nocne niebo, ale Mikołaj sucho mawiał, że wszystko to jest ledwie grą, że obserwacje są generalnie niepotrzebne i że nic nie jest w stanie zastąpić zgromadzonych od zarania dziejów tablic astronomicznych.

Jednak powolutku dziki zwierz pozwalał się oswoić, obłaskawiany okazywaną mu przez Annę i Tiedemanna łagodnością i uczuciem, traktujących go jak ozdowieńca. Szkielet, jaki stanowił Komentarzyk rósł, nabierał ciała. Giese doskonale czuł, że to on najbardziej hamuje postęp prac swego przyjaciela. Wobec tego postanowił zostać propagatorem jego idei lub raczej ożywić ich wspomnienie u tych, którzy dziewięć lat temu otrzymali ich pierwszy opis. Zaproponował Kopernikowi powiększenie grona czytelników i zasugerował druk dzieła w nowej gdańskiej drukarni. Mikołaj bez wyjaśnienia odmówił. W zamian za to zgodził się na rozpowszechnienie pozostałych odręcznych kopii Komentarzyka, oczywiście pod warunkiem, że pozna nazwiska adresatów. Giese opracował więc nową listę.

Podczas gdy korespondenci Kopernika byli najczęściej oświeconymi przedstawicielami Kościoła, głównie Włochami, i ważnymi osobistościami świata polityki albo nosili słynne imiona, jak Paracelsus, Erazm z Rotterdamu, Leonardo da Vinci, Machiavelli, wybrańcami Tiedemanna byli w większości nauczyciele matematyki lub języków starożytnych z uniwersytetów w Heidelbergu, Tybindze, Wittenberdze lub Krakowie, w wielu przypadkach dawni współstudenci narodu niemieckiego w Ferrarze i Padwie. Z tej listy Kopernik wykreślił jedynie tych, którzy działali w skromnym

kolegium w Królewcu pod władzą wielkiego mistrza Albrechta von Brandenbura, który, jak się zdawało, postawił sobie za cel przekształcenie tej krzyżackiej twierdzy w siedzibę sztuki i nauki, starając się przyciągnąć do niej pozbawionych posad nauczycieli.

Dzięki obfitej korespondencji Giesego renoma Kopernika przeżyła gwałtowny renesans. Dawni sympatycy niecierpliwie wyglądali obiecane dzieła, nowi radzili się go w takiej czy innej matematycznej zawłości, pytali o zdanie na temat zdobytych ksiązek. W ten sposób pewien krakowski kanonik, którego niegdyś poznał, przedłożył mu traktat astronomiczny starego i niestrudzonego Johanna Wenera, pośmiertnego ucznia Regiomontanusa, który z wiecznym wahaniem prezentował w swoim Ruchu ósmej sfery odkrycia mistrza, jednocześnie na swój sposób je zafałszowując. Przy tej lekturze Mikołaj dostał jednego ze swych częstych napadów złości. Czarno na białym Werner poddawał w wątpliwość wiarygodność obserwacji starożytnych, Ptolemeusza i Hipparcha w szczególności, oraz proponował - w celu dokonania poprawek - uzgodnienie ich z ważnymi wydarzeniami historii antycznej albo Biblii: upadkiem cesarstwa, potopem, siedmioma plagami egipskimi czy zniszczeniem Sodomy i Gomory.

- Uch, co za nudziarz! - zagrział Kopernik, chodząc w kółko po bibliotece i wymachując rękami. - Wszyscy wiedzą, to przecież oczywiste, że prawdopodobieństwo błędu jest duże, bo na przestrzeni wieków powstało mnóstwo kopii Almagestu po grecku, łacinie, arabsku... Ale to jest wszystko, co mamy. Za kogo on się uważa, ten szcurzy pomiot, ten Werner, że ośmiela się twierdzić, iż Ptolemeusz, mocarz, najwybitniejszy z matematyków, albo Hipparch o niebywalej przenikliwości mieliby świadomie zafałszować obliczenia, aby skuteczniej podeprzeć swoje teorie? Rozumiesz teraz lepiej, Tiedemannie, dlaczego wzbraniam się przed wydrukowaniem czegokolwiek, zanim nie będę pewny swego? Z powodu najmniejszej aproksymacji te trutnie zlecą się, by zniszczyć mój ciężką pracą wzniesiony ul.

Giese skinał głową. Był szczęśliwy, widząc przyjaciela zzymającego się ze słusznych powodów, a nie pominiętej przez służącego drobiny kurzu na kominku albo kartki papieru, która tajemniczo zmieniła miejsce na jego stole. Nie był jednak naiwny: to także

trochę na samego siebie pomstował Kopernik. Im dalej posuwał się w swojej pracy, tym bardziej komplikowała się harmonijna prostota systemu, który odkrył. Pewnie, planety, w tym Ziemia, krążyły teraz wokół Słońca, znajdującego się dokładnie pośrodku; dzięki temu wszystkie ekwanty unoszące się gdzieś w próżni zniknęły. Lecz aby pogodzić ze sobą gigantyczną hipotezę i pozory, to znaczy wykazy starożytnych, musi odwołać się do prawie wszystkich metod, „kuchennych przepisów”, jak czasem mawiał, używanych przez Hipparcha i Ptolemeusza. Trzeba mu więc przyjąć deferenty i epicykle, a nawet pomnożyć ich liczbę dla niektórych planet do tego stopnia, że wkrótce będzie ich jeszcze więcej niż u Ptolemeusza. Z ogromnym wstydem ten, który chciał uczynić ze Wszechświata najpiękniejszy z pałaców ze Słońcem w samym centrum, musiał przyjąć, iż środek orbity ziemskiej, wspólny środek wszystkich deferentów, nie zgadza się do końca z miejscem położenia Słońca... Taką cenę trzeba było zapłacić, by „uratować” te przeklęte pozory. Czasem pocieszał się myślą, że aby wznieść nową budowlę, nieuchronnie trzeba zapożyczyć stary materiał z zabytków przeszłości...

Myśl biegnie szybciej niż armia na otwartym polu, nie napotyka na żadne przeszkody. Jak lot dzikich gęsi tworzy na niebie równoramienny klucz i kieruje się dokąd trzeba, tak, jak nakazują jej pory roku. Myśl tę, która niespodziewanie zawładnęła całym europejskim niebem, długo wysiadywano w gniazdach ukrytych w sercu monasteru, uniwersytetu, gabinecie uczonego, tu i ówdzie w całym świecie chrześcijańskim.

Wittenberga, gdy patrzeć z lotu ptaka lub raczej biegu idei, znajduje się zupełnie blisko Fromborka. Wittenberga, w której pewien profesor teologii, Marcin Luter, wydrukował pod koniec tysiąc pięćset siedemnastego roku swoje Dziewięćdziesiąt pięć tez... Trzy miesiące później cała fromborska kapituła była z nimi zapoznana i gorąco o nich dyskutowała. Było skandalem zbudowanie nowej Bazyliki Świętego Piotra za zastępującą żal za grzechy brzęczącą monetę czy też nie?

Kopernik powstrzymał się od udziału w dyspucie - jedyne jego oparcie znajdowało się w Rzymie i tylko jedno się dla niego liczyło: aby Kościół nie potępił jego anty-

Almagestu, gdy wreszcie go ukończy. A nawet go zatwierdził - przecież do pewnego stopnia zgadzał się z Ptolemeuszem i Arystotelesem. Ten ostatni wysunął przecież teorię Pierwszej Przyczyny, rodzaju mistycznej siły ukrytej za gwiazdami stałymi, powodującej ruchy obrotowe. Teologowie pospieszyli z interpretacją, że to robota aniołów kręcących korbą i od góry wprawiających w obrotowy ruch sfery niebieskie. W ten sposób wiedzano, gdzie znajduje się niebo: nie za daleko, dokładnie ponad gwiazdami stałymi...

Tymczasem polemika między Lutrem a Rzymem szybko się nasilała. Kopernik, ze wzrokiem utkwionym wysoko w gwiazdach, nie zwracał uwagi na nic więcej poza własnym interesem. Stronił od debat, które inicjował na kapitule biskup uważający, że w luteranckim projekcie reformy Kościoła znajdowały się całkiem słuszne postulaty, które sobór laterański powinien wziąć pod uwagę. Zdanie naszego kanonika bardzo się liczyło we wspólnocie kanoników, dobrze o tym wiedział. Kiedy zadawano mu pytania dotyczące tego tematu poprzestawał na odpowiedzi, że Luter nie będzie w stanie długo opierać się potędze Rzymu, nawet popierany przez elektora Saksonii. Dzisiaj można uśmiechnąć się na tę przepowiednię, ale wielu ludzi w owym czasie było tego samego zdania.

Kapituła z Fromborka nie zdążyła nacieszyć się przyjemnością rozwodzenia się nad tym zagadnieniem, gdy w tym tysiąc pięćset dwudziestym pierwszym roku Luter został wezwany przed sejm w Wormacji, gdzie miał odwołać swoje tezy pod groźbą ekskomuniki. Wielki mistrz Krzyżaków, zapalczywy Albrecht von Brandenburg stwierdził, iż nadszedł czas, by odbić Warmię. Wykorzystując burzę, jaka rozpętała się nad światem chrześcijańskim i za nic mając wasalny związek z Polską, zawarł bezwstydną sojusz z księciem moskiewskim, który wojował przy granicach przeciw Zygmuntowi I Jagiellończykowi. Dlaczego ci bojownicy rzymskiego, apostołskiego Kościoła zwąchali się z bizantyjskimi schizmatykami, ich naturalnym wrogiem?

W każdym razie, stanowiąc jedno ze swymi potężnymi francuskimi rumakami, które tak bardzo przeraziły Włochów pod Marignano, a które życzliwie ofiarował im król Franciszek I, chcąc zakpić sobie ze swego kuzyna Karola V, zakuci w żelazo, uzbrojeni

w stal, cali w bieli za wyjątkiem nakreślonego na plecach czarnego krzyża rozlali się po Warmii. Kanonicy fromborscy i ich zwierzchnik rozlecieli się jak stado wróbli po bezpiecznych twierdzach w Toruniu i Gdańsku. Biskup zaś, utrzymując, iż jedzie szukać pomocy, wolał schronić się w Krakowie pod skrzydłami króla Polski. Na miejscu pozostali jedynie Giese, Kopernik i Sculteti; wszyscy dobrowolnie zgłosili się na obrońców interesów kapituły.

Nieposiadający przywódcy z prawdziwego zdarzenia Krzyżacy zadowalali się najazdami na równiny, rabując i paląc osady oraz samotne gospodarstwa. Kwaterowali w nich lub wycofywali się na drugi brzeg Pregoły, granicznej rzeki między Prusami Krzyżackimi a Warmią. W ten sposób w końcu otoczyli całą krainę.

Najbardziej zagrożonym, bo wysuniętym najdalej na południe Warmii miastem był Olsztyn. Kopernik wyznaczył siebie na jego administratora. Widząc, że nadjeżdża bratanek siejącego strach we wrogich zastępach Łukasza, straże miejskie przyjęły go jak wybawcę i mianowały komendantem. Potem, po ogłoszeniu stanu oblężenia, czekali, aż Krzyżacy w końcu się pokażą. Tymczasem we Fromborku Giese gromadził flotę, która miała popłynąć w górę Zalewu Wiślanego, a potem Pregoły, aż do stóp królewieckiej cytadeli. Sculteti natomiast organizował obronę biskupiego miasta, Lidzbarka Warmińskiego.

To z Braniewa, miasta pod komendą dzielnego Filipa Teschnera nadeszły wieści o trzech równoczesnych ofensywach. Był pierwszy stycznia tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego roku. Inwazja Krzyżaków zaczęła się dokładnie rok wcześniej. Żywiący pogardę dla oddziałów mieszczan i chłopów najeźdźcy nie spodziewali się, że ci piesi wojacy zaatakują ich w samym środku zimy. Albrecht von Brandenburg umieścił swoje hufce w opuszczonym dworze, o jedną milę na południe od Olsztyna. W ten sposób znaleźli się z Kopernikiem twarzą w twarz.

Bardzo wczesnym rankiem, gdy całą równinę pokrywał śnieg i wszystko jeszcze spało, wielki mistrz, grzejąc się przed kominkiem, spożywał śniadanie w postaci zupy z



chlebem i szklanicy wina. U jego stóp odpoczywały dwa charty. Już za chwilę każe przemaszerować swoim oddziałom pod murami Olsztyna, aby przypomnieć o swojej obecności tym trzęsącym portkami w swoich norach chamom. Lubił garnizonowe życie tak samo jak długie dyskusje z filozofami w Królewcu albo lekturę listów Erazma z Rotterdamu. Czasem nawet żałował, że Mikołaj Kopernik jest jego śmiertelnym wrogiem, domniemanym zabójcą jego wuja Achillesa - którego nie znał, ponieważ kiedy ten rzekomo utopił się w Wiśle, on był jeszcze oseskiem. O tak, bardzo chętnie porozmawiałby z tym kanonikiem astronomem o rękopisie, który przeszedł przez jego ręce i który twierdził, że Ziemia, będąc planetą, kręci się dookoła Słońca. Był gotów w to uwierzyć, zaspokajało to jego pragnienie piękna i harmonii. Dlaczego musiało się zdarzyć, że ludziom tak wielkiego formatu jak oni dwaj przyszło znaleźć się po przeciwnych stronach barykady, podczas gdy mógł stać się dla tego pruskiego Marsilia Ficina drugim Wawrzyńcem Wspaniałym? Tak sobie właśnie rozmyślał, kiedy strażnik wpadł do izby i krzyknął:

- Panie, atakują! Są ledwie ćwierć mili stąd i niedługo tu dotrą!

Albrecht von Brandenburg wybiegł w nocnej koszuli na zewnątrz i wspiął się na wieżę. Tam zobaczył, jak po śnieżnym bezkresie zaróżowionym przez wstające słońce szybko przesuwa się wielobarwna gromada. Wielki mistrz oszacował ją na około pięciuset ludzi w większości piechurów uzbrojonych w kosy i kije, ale także w łuki i kusze. Poprzedzała ich trzydziestka jeźdźców i Albrecht nie musiał czekać, aż się przybliżą, by zgadnąć, że na ich czele, całe spowite w czerń i czerwień, jechało wcielenie Łukasza Watzenrodego. Ten przeklęty kanonik, uważający się za Ptolemeusza i Juliusza Cezara jednocześnie: Mikołaj Kopernik! Na dole, na dziedzińcu dworu, rycerze krzyżacy miotali się na wszystkie strony, podczas gdy służący z lepszym lub gorszym skutkiem próbowali odziać ich w pancerze, a stajenni wyprowadzali ze stajni nieosiodłane jeszcze konie. Za murem najemnicy zwinęli już swoje namioty i biegli schronić się w sąsiednim lesie. Oni już zrozumieli, że bitwa była przegrana. Albrecht von Brandenburg złapał się na tym, że przeklina tych sprzedawczyków nierespektujących prastarych zasad prawa wojennego. Z zimna dzwonił zębami. Jeśli trzeba mu będzie

umrzeć w walce, to na pewno nie w nocnej koszuli. Zszedł na dół. I podczas gdy giermek nakładał mu zbroję, przeszły go myśli, że to już koniec zakonu krzyżackiego. Wiedział o tym od tak dawna, od czasu, gdy jego brat uczynił go wielkim mistrzem tego zgromadzenia, zanim jeszcze ukończył dwadzieścia lat. I najemnicy swoją ucieczką właśnie mu o tym przypomnieli. Nie było już czego ratować, nawet honoru. Niczego poza jego rodziną, dynastią, Hohenzollernami. Czas się wycofać.

To była długa i straszna przeprawa. Podniósł się wiatr, przynosząc czarne chmury plujące tumanami śniegu. Z iglastych lasów i brzeziny wyrzucały się niekiedy hordy wychudzonych włóczędów w łachmanach, które zrzuciły z konia marudzących w tyle rycerzy, podrzynały im gardła, odzierały ze zbroi i pozostawiały nagich na pastwę wygłodzonych wilków. Kiedy w końcu dotarli do Królewca ujrzeli, że do połowy skutą lodem rzekę aż po mury pokrywało mrowie statków. Przed głównym wejściem stacjonowała armia nędzarzy. Z białą flagą zatknietą za siodło Albrecht von Brandenburg odłączył się od tego, co pozostało z jego oddziałów. Z wrogiego obozu wyszedł mu naprzeciw inny rycerz, którego natychmiast rozpoznał i musiał siłą się powstrzymać, by nie przebić go mieczem: Filip Teschner, bękart biskupa Watzenrodego. Rodzina Koperników zatriumfowała nad Hohenzollernami.

Przez cały rok wielki mistrz siedział zabarykadowany w swojej królewieckiej fortecy, podczas gdy jego rycerze uciekali z Prus, szukając schronienia w innych komandoriach na terenie Węgier lub Bawarii.

Tymczasem na Warmii pewien kanonik miał zgoła inne problemy na głowie niż głoszenie kazań w języku narodowym. Kraj był spustoszony wojną. Trzeba było rozpocząć odbudowę, pomóc wieśniakom ponownie osiedlić się w swoich gospodarstwach. A on, Mikołaj Kopernik, doktor sztuk i prawa kanonicznego, lekarz, mieszczanin z urodzenia, szlachcic z urzędu czuł się swobodnie pośród tych prostych ludzi i pełen był współczucia dla ich nędzy. Rozmawiając z nimi, szybko spostrzegł, że nie sama wojna stanowiła przyczynę ich straszliwego ubóstwa. Rozmyślał już o tym w latach młodości, ale dopiero teraz czuł się na tyle silny, by zlecić i przedsięwziąć reformę

systemu monetarnego.

Monety odlewane ze stopu srebra i miedzi były wybijane tak w Prusach, jak i Polsce przez różne, trudne do kontroli, warsztaty. W ten sposób zawartość srebra w stopie bez przerwy się zmniejszała. Ci, którzy mieli za zadanie nadzorować warsztaty, kanonicy warmińscy na przykład, byli hojnie opłacani za przymykanie oczu na ten proceder. Gdańscy złotnicy bawiący przejazdem we Fromborku po prostu przetapiali monety, które przeistaczały się w widniejącą na ich straganach biżuterię. Tylko prości ludzie, nie pojmujący tej malwersacji, nadal płacili za zakupy starymi pieniędzmi. W miarę jak słaby pieniądz wypierał dobry, biedni ubożeli jeszcze bardziej, a zamożni bogacili się, zaś ciężki kryzys monetarny nieuchronnie się zbliżał. Reformę, którą proponował Kopernik w swoim Traktacie o monetach, wyraz czystego zdrowego rozsądku, wdrożyło już wiele innych królestw. Chodziło o utworzenie jednego warsztatu mennicznego podlegającego bezpośredniej kontroli sejmu pruskiego, a więc króla Polski, zakaz obrotu dawną monetą i zastąpienie jej nową, o mniejszej wartości, ale która przynajmniej byłaby stabilna. Określił nawet dokładną proporcję srebra i miedzi każdej monety. W końcu proponował, by wartość jednej marki pruskiej równała się dokładnie jednemu złotemu polskiemu.

Otrzymał od kapituły gwarancję poparcia Traktatu... przed sejmem Prus, który gromadził się dwudziestego pierwszego marca tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego roku w biskupim pałacu w Lidzbarku Warmińskim. Stawił się i Albrecht Hohenzollern, który dopiero co opuścił zamknięcie w królewieckim zamku, i był w drodze do Saksonii, gdzie chciał spotkać się z Marcinem Lutrem. U jego boku zasiadł sekretarz polskiego króla, Jan Flachs binder alias Dantyszek, który miał mu towarzyszyć w podróży do Wittenbergi. Ewidentnie, pozostając w konflikcie z Karolem V, król Zygmunt ciążył w stronę Lutra; na tej podstawie można było sądzić, że Polska skłania się w stronę obozu reformowanych. Na sejmie poruszano zresztą kwestię chłopskich buntów, które wybuchały tu i tam na terenie Niemiec przeciwko osiadłemu od niedawna w Madrycie cesarzowi.

Kopernika nie interesowała dyskusja. Cała jego uwaga skupiała się na siedzących

naprzeciw niego dwóch mężczyznach, którzy zlecili zabójstwo jego wuja: Albrechcie von Brandenburgu i Dantyszku. Kiedy przyszła kolej na zabranie głosu przez kanonika, wielki mistrz krzyżacki ostentacyjnie pogрузił się w modlitwie, czysty świętoszek, chcąc niby odgrodzić się od brudnej kwestii pieniędzy. Natomiast nadzwyczajny ambasador króla Polski gorliwie przytakiwał, komentując wystąpienie Kopernika wykrzyknikami „Bardzo dobrze!”, „Słusznie!”. Ponieważ Dantyszek okazał się tak gorącym zwolennikiem całej sprawy, mowę fromborskiego kanonika uczczono owacją na stojąco.

Naturalnie jego projekt reformy pozostał martwy. Wszyscy, którzy go słuchali, którzy go oklaskiwali, jego wróg Albrecht Hohenzollern, a i bez wątpienia jego przyjaciel Giese czerpali zyski z każdej marki, każdej złotówki, które przechodziły przez ich ręce, pozbawiając je srebra, przetapiając na sztabki albo ozdoby: pierścienie, naszyjniki, korony albo gardę paradnej szabli.

Cóż sobie myślałeś, Mikołaju Koperniku? Że wszystkich cechuje twoja wielka uczciwość? W jakie sprawy się wtrącałeś, zamiast na szczycie wieży dalej cierpliwie wykuwać swoje dzieło, próbować choć raz dostrzec Merkurego poprzez mgły ciągnące znad Wisły, albo z nosem w tablicach astronomicznych poprawiać ten czy inny błąd kopisty Hipparcha? Czy miałeś nadzieję, że zasłużysz na wdzięczność króla, by w końcu móc przywdziać biskupią mitrę? Jak bardzo się pomyliłeś! Bo kiedy w następnym roku zmarł następca Łukasza, nie ty go zastąpiłeś. I kiedy inne biskupie siedziby Prus będą się po kolei zwalniały, to inni zostaną na nie powołani, ty - przenigdy. Nie dlatego do śmierci pozostaniesz kanonikiem, że kazałeś Ziemi obracać się wokół własnej osi i dookoła Słońca, lecz dlatego, że ośmieliłeś się ujawnić wobec samych fałszerzy tę zbrodniczą praktykę, która jeszcze bogatszymi czyniła bogaczy, a uboższymi - biedaków. Jakże byłeś naiwny, Mikołaju Koperniku!

## VIII

Następca Łukasza na tronie warmińskiego biskupstwa Fabian Luzjański zmarł w tysiąc pięćset dwudziestym trzecim roku. Z uwagą śledził los też Marcina Lutra, jak zresztą wielu ludzi na terenie Prus i Polski z kościelnych i uniwersyteckich środowisk uważających za Erazmem z Rotterdamu, że wielu refleksji mnicha z Wittenbergi Kościół nie powinien odrzucać. Nowy biskup Warmii Maurycy Ferber był dużo mniej wyrozumiały. W swoim pierwszym oświadczeniu ogłosił nałożenie ekskomuniki na każdego, kto się przyłączy do reformacji. Tego samego roku, niewiele sobie robiąc z pogrózek, wielki mistrz krzyżacki Albrecht Hohenzollern oznajmił, że sekularyzuje zakon i określił granice Księstwa Pruskiego od Królewca na wschodzie po Brandenburgię na zachodzie, uznając jednocześnie, poprzez podpisanie pokoju w Krakowie, lenną zwierzchność króla Polski w polityce, zaś w sferze religii - Marcina Lutra.

Dantyszek, delegat Zygmunta I w obozie protestanckim, wygłaszał peany na cześć Melanchtona, podług krążących opinii człeka mądrego i uczonego, który w wielu punktach wydawał się nie zgadzać z Lutrem. Z kolei ten ostatni wydał mu się zbyt prostacki i choleryczny, by długo opierać się Rzymowi. Zdarza się niekiedy, że nawet najsubtelniejsi dyplomaci się mylą... przez nadmiar wyrafinowania!

Nie bez przyjemności Dantyszek opisał także swym licznym korespondentom, że podczas spotkania poruszyli temat teorii tego polskiego kanonika, podług której Ziemia miałaby kręcić się dookoła Słońca. Luter jakoby zakrzyknął, że człowiek ten musi być szaleńcem lub idiotą, przeciwstawiając się w ten sposób Pismu Świętemu. Melanchton natomiast, bądź co bądź profesor matematyki na uniwersytecie w Wittenberdze, powstrzymał się od komentarzy.

Po powrocie swojego ambasadora Zygmunt I zdecydował się potępić reformację. Jego sojusze się zmieniły: ciążył w stronę Karola V, dowiedziawszy się, że król Francji

Franciszek I prowadzi pertraktacje z Sulejmanem Wspaniałym, coraz bardziej zagrażającym granicom państwa polskiego od strony Węgier i Czech. Aby to sobie powetować, nie protestował, gdy jego groźny wasal Albert pruski ogłosił swoje przystąpienie do doktryny Lutra. W ten sposób król chwycił dwie sroki za ogon, a co więcej, odczuwał niekłamaną ulgę, widząc jak zakon krzyżacki rozpływa się w niebycie.

Ile warta była odtąd Warmia okrażona przez nowe księstwo? Już niewiele... Zsekularyzowana własność Zygmunta I, który jeszcze powiększył swoje ziemie, dziedzicząc, niby nadwiślański cesarz, pozbawione dziedzica Wielkie Księstwo Mazowieckie wraz z jego potężnym miastem Warszawą. Skończyły się czasy biskupa żołnierza i wielkiego pana Łukasza Watzenrodego. Jego następcą Maurycy Ferber, zaciekły wróg luteranów, niewątpliwie powołany został na to stanowisko na rozkaz tego, dla którego był jedynie ministrem: króla Polski.

Co do fromborskiego kanonika Mikołaja Kopernika, ten przestał się liczyć w wirze tych wielkich przemian. Mimo to pewnego dnia dotarł do niego list od dawnego, zwyciężonego wroga, obecnie wielkiego księcia Prus Albrechta, w którym proszono go o przetłumaczenie na język niemiecki Traktatu o monetach oraz mapy rzek, miast i wybrzeży wszystkich pruskich krain. Dawny wielki mistrz wyznał także, że jego pragnieniem jest, gdy w końcu otworzy uniwersytet w Królewcu, mieć najwybitniejszego filozofa w kraju. Przepraszał za niedyskrecję, gdyż przekazał kopię Komentarzyka profesorowi greki i matematyki na uniwersytecie w Wittenberdze Filipowi Melanchtonowi.

Z wiekiem i w miarę, jak przybywało w jego życiu trudnych doświadczeń, Kopernik stał się nieufny. Niejasno zobowiązał się rozpocząć sporządzanie kompletnego wyciągu z geografii pruskiej, zaznaczając, że będzie to długotrwała praca i jego liczne obowiązki kanonika nie pozostawiają mu zbyt wiele wolnego czasu. Podejrzewał, że Albrecht próbuje go skompromitować prośbą o powierzenie mu tych strategicznie ważnych informacji. Co zaś do tego Melanchtona, Kopernik świetnie wiedział, że jest on najbliższym przyjacielem Lutra. Jeśli nazbyt ostentacyjnie będzie popierał jego teorię,

utraci wsparcie i zachęty, jakie ciągle słał w jego stronę Rzym. Natomiast zgodził się chętnie na przetłumaczenie swojego traktatu o monetach. Był dumny z tego pisma, może nawet bardziej niż ze swoich astronomicznych opracowań; dawało mu ono poczucie przyczynienia się do poprawy ludzkiego losu.

Najzagorzalsi zwolennicy reformacji rekrutowali się spośród gdańskich kupców, których miasto stało się najbogatszym polskim portem. Król Zygmunt przyzwalał na to - byli mu zbyt potrzebni. Poza tym ów gród od zawsze zazdrośnie strzegł swoich swobód, wyrwanych najpierw Krzyżakom, a potem od Krakowa. Sytuacja stała się jednak delikatna, gdy zwierzchnik tej diecezji nakazał swoim księżom, by głosili kazania i chrzcili w języku narodowym. Monarcha zdecydował się nie interweniować osobiście, a do boju rzucił zagorzałego papistę Ferbera. Pierwszym posunięciem biskupa Warmii było użycie siły i wysłanie na miejsce „oddziału”, czyli grupy fanatycznych mnichów, którzy pociągnęli za sobą motłoch z wsi i przedmieść. Tych kilka dni było prawdziwym koszmarem, którego ofiarami padły głównie kobiety, dzieci i starcy. Po odparciu hordy miejskie straże ścigały ją, masakrując. Całym Prusom oraz Polsce groziło, że wkrótce spłyną krwią i ogniem. Bardzo roztropnie Zygmunt I przywołał Ferbera do porządku, nakazał mu nie oddalać się więcej ze swego pałacu w Lidzbarku, a następnie polecił kapitule we Fromborku zatrzeć ślady błędów popełnionych przez ich biskupa.

Powołując się na doświadczenie dawnej służby dyplomatycznej przy swoim wuju, Kopernik zaoferował się do poprowadzenia negocjacji. Prepozyt kapituły uznał za świetny pomysł to, by jeden z jego kanoników, którego sława wybitnego uczonego odbijała się szerokim echem po całej diecezji, dał się poznać także od tej strony. Wtedy właśnie, niespodziewanie, Bernard Sculteti, który przybył z Rzymu w związku z tą sprawą, wtrącił:

- Nie chodzi o pertraktacje między ambasadorami. Chodzi o przywrócenie gdańskiego biskupa na łono Kościoła. Zatem nie dyplomaty, nawet tak zręcznego jak przewielebny Mikołaj, potrzebujemy, ale jednego albo i kilku teologów. Przynajmniej w tej dziedzinie nasz dostojny przyjaciel nas nie prześcignął...

Na twarzach zebranych pojawiło się kilka uśmiechów. Wybrano Tiedemanna Giese, Mikołaj zaś poczuł się zdradzony przez dwóch swoich najlepszych przyjaciół; towarzyszyło mu głębokie przeświadczenie, że próbowano zepchnąć go na margines dokonującej się właśnie Historii, że chciano uwięzić go w jego rachunkach, przywiązać do astrolabium. Niechże się bawi w żonglowanie planetami i nie zajmuje więcej poważnymi rzeczami, do jakich należą wiara, wojny i ludzkie życie!

Bernard Sculteti, po śmierci Leona X i przejściowym, mniej więcej dwudziestomiesięcznym pontyfikacie narzuconego przez Karola V papieża Holendra Hadriana VI, ponownie objął funkcję kapelana przy jego następcy; zmienił pracodawcę, ale nie rodzinę: Klemens VII bowiem także był Medyceuszem.

- Zrozum mnie dobrze, Mikołaju - tłumaczył obrażonemu Kopernikowi - nie powinieneś się teraz narażać. Doskonale wiem, że Giese i ty należycie do tych ludzi, którzy, jak Erazm z Rotterdamu, sądzą, iż możliwy jest jeszcze kompromis między Lutrem i Rzymem. Ale jest za późno, mój drogi. Rozłączenie już się dokonało. Mnich z Wittenbergi został postawiony pod pręgierzem świata chrześcijańskiego. Zresztą Erazm doskonale to rozumie i zdaje się łączyć w tej sprawie z opinią Kościoła. To koniec. Przeżywamy schizmę, doświadczamy największej herezji naszych czasów. Jeśli po Saksonii i Brandenburgii podda się jej z kolei Polska, nikt nie będzie mógł przewidzieć, co się wydarzy. Ale ty, Mikołaju, bądź ostrożny. Twój odwieczny wróg Albrecht Hohenzollern próbował skojarzyć cię z luteranami za pośrednictwem twoich różnych prac. Twoja wymijająca odpowiedź jedynie wzmogła jego niechęć do ciebie. Jeśli nie będziesz trzymał się z boku w tej sprawie, nie ręczę za twoje życie.

Sculteti chętnie przyjął zaproszenie Kopernika, by zatrzymał się u niego podczas pobytu we Fromborku. Po spotkaniu kapituły związanym z biskupem Gdańskim on, Mikołaj i Tiedemann Giese spotkali się w bibliotece na baszcie przylepionej do murów obronnych, gdzie Anna podała im kolację. Kopernik rozchmurzył się po wyjaśnieniach starego wspólnika „włoskiej kampanii”, jak mówili w żartach. Jednak nadal czuł się



nieprzyjemnie, będąc tak odsuniętym na bok, on, ponad wszystko przedkładający czyn.

- Czyli - zagderał - na moim miejscu kategorycznie odrzuciłbyś propozycję pruskiego księcia. Nawet prośbę o to nieszczęsne tłumaczenie mojego Traktatu o monetach?

Tiedemann Giese zabrał głos. Jego zdanie bardzo się liczyło, albowiem zawsze okazywał się rozsądniejszy i bardziej wyważony niż jego dwaj starsi, lecz porywczy towarzysz.

- Nie robię ci żadnych wyrzutów, Mikołaju, ale wzmiankowany traktat zbytnio ci leży na sercu. Radziłem ci wysłać Jego Wysokości bardzo grzeczną odpowiedź, ale dającą do zrozumienia, że kanonik warmiński, gorliwy katolik, nie może sobie pozwolić, chyba że zdradzi swoje stanowisko i przełożonych, na oddanie się w służbę księciu zaangażowanemu w reformację. Akceptując jedno i odrzucając drugie, nie tylko go rozgniewałeś, ale dodatkowo diecezja podejrzewa, że odnosisz się z sympatią do luteranów.

- I oto rozważny Tiedemann wyrzuca mi, że załatwiłem sprawę tak, by i wilk był syty, i owca cała! Mogliśmy go zabrać ze sobą, gdy kiedyś zawitaliśmy pod „Bukiet Fiołków”, prawda, Bernardzie?

Giese, którego denerwowała ta tajemniczość i aluzje, z których nic nie rozumiał, wzruszył ramionami. Sculteti przytaknął słowom młodszego towarzysza i uzupełnił:

- Nie omieszkało, Mikołaju, donieść o tej wymianie listów aż do Rzymu. To tam jeden z twych znamienitych wielbicieli zapytał mnie nawet, czy aby nie zastanawiasz się nad przejściem na stronę schizmatyków. Od tej pory chodzi o wojnę, a nie o dyskusję między nami a luteranami. I nikt nie może pozostać neutralny: trzeba opowiedzieć się po którejś ze stron.

- Ale ja odmawiam walki - rzekł z naciskiem Kopernik. - I wierz mi, wielu jest wśród

filozofów i artystów takich, którzy odmawiają. Korespondencja, jaką z nimi utrzymuję, świadczy o tym. A jeśli nie chcecie słuchać naszego głosu, głosu rozumu, bijcie się między sobą, rozszarpujcie się jak dzikie bestie. Gorzej... Dzikie bestie zagryzają się wzajem tylko po to, aby jeść.

Giese pokiwał głową na znak aprobaty. Natomiast na twarzy Scultetiego zagościł grymas wyrażający powątpiewanie: w Rzymie nie podchodzono do problemu w ten sposób, co we Fromborku. Stamtąd widziano, jak reformacja rozlewa się po całej Europie niczym plama oleju, podczas gdy Turcy z Sulejmanem Wspaniałym na czele korzystali z tego, by wgryzać się coraz dalej w terytoria chrześcijańskie. Stąd spoglądano niewiele dalej niż do pruskich granic, zaś jedynym dążeniem było sprowadzić ciemnego biskupa Gdańska na łono Kościoła. Dla kapelana Klemensa VII Kopernik miał do odegrania swoją własną, skromną rolę w tej gigantycznej rozgrywce: ponieważ luteranie dążyli do powrotu do pierwotnego Kościoła, co nie wchodziło w rachubę, papież zdecydował, by także wdrożyć reformy, lecz miałyby to być działania skierowane ku przyszłości w tym świecie wstrząsanym mnóstwem odkryć i nowości. Najtrudniej było przekonać fromborskiego kanonika, którego kark niełatwo dawało się ugiąć. Sculteti znał to z autopsji; odkaszlnąwszy, pociągnął dalej:

- Widzisz, aby upewnić się co do twoich poglądów, wiele ważnych osobistości Rzymu, w tym kardynałowie Farnese i Schönberg...

- Schönberg? Kardynałem?

- Tak, kardynałem Kapui. Nie wiedziały o tym? Nie jest więc twoim korespondentem? Mam nadzieję, że przynajmniej się z nim nie pokłóciłeś, bo wynosi cię pod niebiosa. W dodatku jest teraz w Rzymie jedną z czołowych postaci.

Na tę replikę Mikołaj tylko przygryzł wargi. Ktoś inny, nie jego dawny preceptor będzie musiał znieść gwałtowny wybuch złości, jeden z tych, które go nachodziły kiedy go na czymś przyłapano. Rzeczywiście, od kilku lat, nie zdając sobie z tego sprawy -

przez zaniedbanie albo pychę, odciął się od świata. Świadom, że dobrze trafił, Sculteti kontynuował:

- Schönberg niepokoił się, bo nie wiedział, czy przypadkiem nie skłaniasz się ku poglądom Lutra. Aby go pocieszyć, mówiłem jemu i Farnese, że wkrótce powinieneś ukończyć twe wielkie dzieło z astronomii, oddać je do druku i zadedykować je im obu.

- Na razie to niemożliwe. Zmagam się teraz z epicyklami Marsa i... Za długo by tłumaczyć.

- Mógłbyś przynajmniej wysłać im uzupełnioną wersję twojego Komentarzyka - zasugerował Giese.

Kopernik wzruszył ramionami: poprzestanie na takim zbiorze notatek byłoby tak niezobowiązujące dla odbiorców, jak niezadowolające dla niego. Wobec tego Sculteti zaproponował:

- Pozwól mi więc wyłożyć osobiście twoją teorię, kiedy będę już w Rzymie.

Kopernik zjechał się jeszcze bardziej i rzucił drwiąco:

- Co ty wiesz o astronomii?

- Na tyle dużo, że niegdyś udało mi się wbić ci do mózgowicy parę pojęć z algebry i geometrii, jak mi się zdaje - odciął się stary nauczyciel Mikołaja i Andrzeja

Tym razem Kopernik musiał skapitulować. Do diaska, niech robią, co im się żywnie podoba! Cóż go to w końcu obchodzi?

Sculteti wyruszył z powrotem do Italii. Jednak kapelan papieża nie miał okazji przedstawić przed swoim panem i wybraną publiką kardynałów teorii swego przyjaciela.

Lancknechci Karola V sprzymierzeni z Kolonami, rywalami Medyceuszy, zawładnęli Wiecznym Miastem i splądrowali je. Okupacja trwała dwa lata, po jednych grabieżach następowały kolejne, Klemens VII wraz ze swoim otoczeniem, w tym Scultetim i Schönbergiem, zamknął się w Zamku Świętego Anioła. W godzinie, w której jedni chrześcijańscy książęta wzajemnie się rozszarpywali, w której inni, jak Ludwik Węgierski, padali z ręki Sulejmana Wspaniałego, w której dokonano się odłączenie reformacji od Kościoła rzymskiego, w której reszta świata ciągle odkrywała nowe bogactwa, nowe istoty ludzkie żyjące i wierzące inaczej, Kopernik nie uzurpował sobie prawa, by wprowadzać jeszcze większy zamęt w niespokojne dusze swoich współczesnych. Po cóż dolewać oliwy do ognia, oznajmiając im, że są zaledwie mrówkami biegającymi w różnych kierunkach na małej, zawieszanej w pustce i krążącej dookoła wielkiego Słońca kuli?

Jego zadaniem, tak jak kilku innych ludzi dobrej woli, było coś zgoła przeciwnego: postarać się wylać trochę wody na ten pożar. Gdański biskup, pomimo wysiłków Giesego, ostatecznie przyłączył się do reformacji i został ekskomunikowany. A teraz idee Lutra siały zamęt w łonie fromborskiej kapituły. Jeden z kanoników Feliks Reich długo występował o możliwość odprawiania mszy w ojczystym języku, a przede wszystkim przeciwko bezceństwu papieża. Mógł sobie na to pozwolić: wraz z Giesem był tym, który prowadził się najbardziej nienagannie spośród szesnastu kanoników, ostentacyjnie się z tym jednak obnosząc, w przeciwieństwie do przyjaciela Kopernika, pełnego wyrozumiałości dla ludzkich przywar. Reich zakończył swoją mowę gwałtownym potępieniem grzesznego życia pozostałych piętnastu kanoników, tym samym wskazując - bez wymieniając żadnych nazwisk - na Kopernika żyjącego w stałym konkubinacie z Anną Schilling i Aleksandra Scultetiego, brata papieskiego sekretarza, którego miłosne przygody i bękartów dawno przestano liczyć. Przypominał, że słabość ciała to fakt, i że Marcin Luter przynajmniej nie chowa się za maską hipokryzji, by to ukrywać, albowiem w ubiegłym roku zawarł małżeństwo przed Bogiem.

Kopernik pomyślał sobie, że Reich się nie myli. Od bez mała dwudziestu pięciu lat żyli z Anną na oczach wszystkich, nie afiszując się z tym wszakże. Byli jak małżonkowie

przed Bogiem, ale nie przed Kościołem. Nosił ciągle w głębi duszy jakby mglisty niepokój, kpiąc sobie w ten sposób ze ślubu czystości, który składał. Czy to dlatego nigdy nie chciał mieć z Anną dziecka, którego ona tak bardzo przecież pragnęła?

Niemniej Reich nigdy mu się nie podobał: za bardzo przypominał mu tego florenckiego mnicha, Savonarolę, którego portret odmalował mu niegdyś Machiavelli. Ta sama gorączka, ta sama satysfakcja z biczowania siebie, co innych. Debata ciągnęła się długo. Kopernik odmówił zabrania głosu pomimo wielu nalegań. Nie tyle z chęci pozostania neutralnym, ile uważał to wszystko za równie daremne, co nudne. Giese zamęczał się, by znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia, było jednak za późno. Przepaść ziała między nimi zbyt szeroka, by ktokolwiek mógł przerzucić nad nią kładkę. Nadto Aleksander Sołtysik uczynił się jeszcze zagorzalszym zwolennikiem Rzymu, co resztę kapituły stawiało w niezręcznej sytuacji. Atmosfera spotkania wrzała do tego stopnia, że Reich wolał opuścić zebranych i schronić się w swojej prebendzie w Olsztynie. Tam napisał i stamtąd rozpowszechnił pismo wzywające polski i pruski kler do włączenia się w reformację. W ten sposób schizma wybuchła w kapitule warmińskiej. Ponieważ biskup Ferber trwał nieugięcie przy swoim radykalnym propapieskim stanowisku i naśladowała go w tym połowa kapituły z Aleksandrem Scultetim na czele, broniącym zwłaszcza swoich nieczystych i... rodzinnych interesów, sprawa musiała się zaognić.

Obóz umiarkowanych z Kopernikiem i Giesem w roli przywódców poczuł się bardzo odosobniony. Postanowili wystosować apel do samego króla Polski, gdyż Zygmunt I pochwalał pewną wolność kultu dla luteranów, wszakże z wieloma ograniczeniami i zastrzeżeniami. Monarcha oddelegował więc do dwóch kanoników swego przedstawiciela. Kopernik przeżył niemiłą niespodziankę, widząc, jak pod jego dom zajężdża ten, którego niesprawiedliwie nazywał „Glimskim Zygmunta” i którego podejrzewał o użyczenie Albrechtowi Hohenzollernowi aptekarza truciciela, mordercę wuja Łukasza: rycerza Jana Flachsbindera alias Dantyszka.

Obaj mężowie ze sporym trudem nadali rozmowie uprzejmy ton. Na szczęście

nadjechał Giese i mógł posłużyć za bosak czy odbijacz, by potężny okręt Dantiscusa nie otał się zbyt mocno o falochron Copernicusa. Ten ostatni oprowadził swego gościa po obserwatorium; przybyły pochwalił się pewną wiedzą z zakresu astronomii i zaproponował przesłać gospodarzowi sferę armilarną i zegar, które ofiarował mu niegdyś cesarz Maksymilian. Za całą odpowiedź Kopernik przypomniał sobie nagle, że jego funkcja kanonika wzywa go pilnie do Elbląga, gdzie musi rozstrzygnąć w sprawie o podział gruntów. Musi wyjechać już jutro o świcie, tak więc może lepiej już teraz przedyskutować temat, który sprowadzał do Fromborka królewskiego emisariusza.

Giese, który nic nie wiedział o sporze między pozostałymi dwoma, już miał powiedzieć do przyjaciela, że mógłby odroczyć przewodniczenie elbląskiemu trybunałowi, ale nagle doszło do niego, że ostry sposób, w jaki Mikołaj zmienił tok konwersacji, miał pokazać, że nie chce mieć z Dantyszkiem nic do czynienia. Trzej mężczyźni zdecydowali więc sporządzić pismo do kanonika Reicha, który byłby ogólnym wezwaniem do tolerancji i pojednania. List zostałby wydrukowany w Krakowie, nie w Gdańsku.

- Sam go podpiszę - powiedział Giese, przypomniawszy sobie słowa Scultetiego. - Geniusz wielbego Kopernika wzbudza zbyt wiele zazdrości i nienawiści. Nie byłoby dobrze dla jego osobistego bezpieczeństwa i prac, by się w ten sposób narażał...

- To bardzo przewidujące z twojej strony, Tiedemannie, ale zupełnie nie potrzebuję ochrony. Podpiszemy list razem.

- Ale Albrecht pruski...

- Jego Wysokość książę - wtrącił Dantyszek - w pełni popiera ten projekt, zmierzający w kierunku pokoju i ogólnego dobrobytu. Ale to prawda, że nazwisko Kopernik może obudzić w nim jakieś niemiłe wspomnienia. Jednakże nazwisko to cieszy się w Polsce i poza jej granicami takim uznaniem dla jego mądrości, że zaważy na sprawie swoim autorytetem.

Giese, który aż nazbyt dobrze znał przyjaciela i jego upór, zaproponował rozwiązanie pośrednie: podpisze pismo sam, ale na końcu jasno zaznaczy, że za drukiem listu stoi Mikołaj Kopernik. Co też zostało uczynione. Tekst, napisany na cztery ręce przez dwójkę przyjaciół, był prawdziwym hymnem na cześć tolerancji i wzajemnego zrozumienia. Wszyscy, którzy w Polsce uważali się za filozofów i ludzi dobrej woli, dosłownie wrywali go sobie z rąk. „Odmawiam walki” - głosił on na samym początku. I kanonik Feliks Reich, do którego list był zaadresowany, odpowiedział, że nie walki zbrojnej pragnął, lecz starcia idei, pokojowej konfrontacji za pośrednictwem słów. Wydawało się, że na Warmii uciszyło się, a cała Polska dokonała wyboru: ani Luter, ani Rzym, tylko Erazm z Rotterdamu.

Otóż rotterdamski mędrzec właśnie ogłosił drukiem *De libero arbitrio diatribe*, gdzie zalecał, by ponad obłudne dysputy teologiczne przedłożyć powrót do prostej moralności chrześcijańskiej. Kopernik i Giese czytali to dzieło i inspirowali się nim; nie zapoznali się jednak z ciętą odpowiedzią *Lutra De servo arbitrio*. Biorąc pod uwagę znaczne osłabienie władzy papieskiej w czasie, gdy jego najgroźniejszy przeciwnik Karol V wszedł w konflikt z francuskim królem Franciszkiem, mnich z Wittenbergi postanowił określić relacje z tymi, którzy niedawno zaakceptowali część jego idei i próbowali znaleźć kompromis pozwalający uniknąć wojny. Wtrącił więc Erazma i tych, co dzielili jego poglądy, do obozu wroga - wśród nich Mikołaja Kopernika - określając ich mianem sceptyków, a nawet ateistów.

Swoim kwiecistym i świadomie potocznym stylem głosił w kazaniach, że polski astrolog chce dowieść, jakoby Ziemia znajdowała się w ruchu i obracała dookoła własnej osi, nie zaś firmament, Słońce i Księżyc, występując w ten sposób przeciw wszystkim świętym księgom. I głośno się zapytywał, używając narzędzia prostackiej ironii, czy Kopernik to wysłannik szatana, czy po prostu głupek, skłaniając się przez miłosierdzie ku tej drugiej możliwości. Następnie, zdając sobie sprawę z własnej ignorancji w tych dziedzinach, wolał rzucić przeciwko kanonikowi z Fromborka swego pierwszego zastępcę, profesora greki i matematyki Filipa Melanchtona, mającego za zadanie

wchodzić w dialog z wszystkimi europejskimi uczonymi, nauczycielami, artystami i filozofami, i jednocześnie podejmować prawdziwą reformę uniwersytetów oddanych poglądom Lutra, z dobrodziejstw której korzystamy do dzisiaj.

Melanchton postanowił zatem osobiście dawać wykłady z astronomii, w których, błyszcząc swą wielką erudycją, bronił teorii Ptolemeusza. Wbrew temu, czego można oczekiwać od osoby, której przypisywano łagodność, mądrość i umiarkowanie, Melanchton na koniec każdego kursu szybko wykladał tezy Kopernika i wyśmiewał je, „tak, jakby ktoś w jadącym powozie lub na płynącym statku wierzył, że pozostaje nieruchomy i w stanie spoczynku, i że to Ziemia porusza się oraz drzewa. Takie są czasy, w których żyjemy: ten, kto chce zabłysnąć, stawia sobie za zadanie wymyślić coś oryginalnego i uwierzyć, że to wynalazek wszech czasów”. Albo jeszcze gorzej: na zakończenie wzywał z całej siły jakiegoś na tyle chrześcijańskiego księcia, by powiesił tego astronoma, który ośmielił się sprzeciwić Pismu Świętemu.

Przeciwnie do tego, co mówiono i powtarzano, to nie był efekt pewnej manieri, dowcip, „rozmowa przy stole” w stylu Lutra. To była realna groźba śmierci, klątwa. A wzmiankowanym księciem - co wszyscy bez trudu odgadli - mógł być tylko książę Prus i Brandenburgii Albrecht. Tiedemann Giese wystraszył się tej groźby. Błagał przyjaciela, by natychmiast zaprzestał obserwacji gwiazd, przestał rzucać się w oczy, stał się nikomu niewadzącym kanonikiem. Naturalnie Mikołaj podjął wyzwanie i stwierdził, że najlepszą obroną jest atak, parafrazując w ten sposób swego florenckiego przyjaciela Machiavellego. Nie zadowolił się więc wznowieniem prac nad swoim anty-Almagestem, który bardzo zaniedbał ostatnimi czasy, ale, ogarnięty szaleństwem korespondencji, obwieścił rychłe ukończenie swojego dzieła profesorom matematyki z wszystkich uniwersytetów w Niemczech i Polsce, luterańskim i nieluterańskim, oczywiście prowokacyjnie nie zapominając o Melanchtonie. Tym, którzy jeszcze go nie otrzymali, przesyłał w załączeniu swój Komentarzyk, a do wszystkich listów dołączył uzupełnione tablice astronomiczne. Nie zapomniał o Włochach, a w szczególności o Scultetim, którego upoważnił do przedstawiania komu tylko zechce swojej wizji świata. Sculteti odpowiedział mu, że zabierze się za to, jak tylko pozwolą okoliczności: oddziały



cesarskie nadal okupowały miasto.

Jakie to miało znaczenie! Kontratak Kopernika wobec ofensywy luteranów powiódł się! Z Norymbergi Albrecht Dürer poinformował go, że z pomocą nowego profesora matematyki w mieście Johanna Schönera udało mu się przekonać Melanchtona, by przyjął bardziej umiarkowaną postawę. Ten wołał po prostu zaprzestać wykładów z astronomii. Wynalazł inną broń, równie groźną jak nawoływanie do zbrodni: ośmieszenie.

Pewnego pięknego czerwcowego dnia, gdy zamknięty w swojej wieży Kopernik przeglądał i z niezmiernym uporem nanosił poprawki w dziele, któremu nadał tytuł O obrotach sfer niebieskich, Anna w towarzystwie młodzieńczej służącej i robiącego wrażenie Radoma z koszami pełnymi sprawunków wracała z fromborskiego targu, który odbywał się co tydzień za portem. Przechodzili właśnie nieopodal sceny, przed którą rozbawiony tłum gapiów zbił się w gromadę, by widzieć komediantów.

- Proszę pani, proszę pani - poprosiła młoda służąca - zatrzymajmy się na chwilę! Ludzie wyglądają, jakby świetnie się bawili.

Anna chętnie ustąpiła; od pewnego czasu Mikołaj koncentrował się wyłącznie na pracy, nie dając jej zgoła żadnych sygnałów czulej uwagi kochanka czy pelego wsparcia ojcowskiego uczucia. Szybko jednak przeżyła rozczarowanie. Farsa opowiadała historię pewnego grubego kanonika siedzącego na worze złota i śniadającego z diabłem. Jak dotąd sam banał; ludzie lubili, jak obśmiewano w ten sposób tych, którzy pobierali podatki. Jednak kanonik z komedii nosił imię Glabin od nazwy maleńkiej wioski znajdującej się nieopodal niedużego miasteczka Koppernigk. Ubrany był cały na czerwono, z turecką szablą u boku i usianym gwiazdkami spiczastym kapeluszem medyka na czubku głowy oraz ogromnymi okularami. Każdy fromborski prostaczek mógł pojąć, o kogo chodziło.

- Pański apetyt jest nienasycony, kanoniku Glabinie - mówił diabeł. - Pochłonąć jedną

po drugiej wszystkie gwiazdy z nieba, upieczone w ogniu mego słońka: oto prawdziwy żarłok.

- To dlatego, wielki Lucyferze, że moja miła Dziewka jest nienasycona, nie ma nocy, żeby pozostawiła mnie w spokoju. Jak tylko próbuję odgadnąć przyszłość świata, zadziera do góry nogi, tam, w moim gołębniku, a nie pod swoją halką.

- Pożycz mi ją więc, tę twoją dziewczkę, w zamian za to pozwolę ci odszukać na dziennej gwieździe całe złoto, jakie się tam kryje.

- Na wszystkich świętych, bynajmniej nie odmawiam! Tyle pieniędzy wydarłem mym owieczkom, że nie mają złamanego grosza, by mi go oddać. Dziewko, biskupi pomiecie, chodźże tutaj, poprobujesz trochę szabelki Belzebuba. Moja już więcej nie może.

Na te słowa wszedł na scenę aktor ubrany jak kobieta lekkich obyczajów, przesadnie wymalowany, i krzyknął ordynarnym głosem:

- Cóż to ja widzę, Głabinie, niedobry mnichu? Chcesz upiec na słońcu swój wielki tyłek? Toć już twój brat, ten trędowaty papieski kundel, zdechł, bo za dużo podróżował w okolice Wenus!

Radom położył swą ogromną rękę na ramieniu zeszywniałej z przerażenia i upokorzenia Anny:

- Opuśćmy to miejsce, pani, zanim ktoś nas zobaczy.

Wrócili w pośpiechu do domu. Anna wbiegła po schodach na basztę. W bibliotece Kopernik, Giese i jeden z ich współbraci pogrążeni byli w rozmowie. Rzuciła się do stóp swego kochanka, ukryła twarz między jego kolanami i rozszlochała się. Łagodnie gładził jej włosy, prosząc, by opanowała się na tyle, by móc zwierzyć mu powód swego smutku.

Kiedy skończyła mówić, poderwał się z fotela, o mało nie przewracając Anny, i z zaciśniętymi pięściami zaczął krążyć po pokoju, wykrzykując:

- Żmije, padalce! Tchórze! Nie mogli zniszczyć mnie, więc zabrali się za to, co mam najdroższego, pamięć moich bliskich i kobietę, którą kocham! Co za bagno! Zniszczę ich! Natychmiast wysłę strażę i wtrącę tych komedianków do lochu...

- Wszystko, tylko nie to, Mikołaju - wtrącił Giese. - Wystawiłbyś się na pośmiewisko całych Prus. Osobiście podpisałem tej trupie zezwolenie na wystawienie ich spektaklu. Mówili mi, że jest to baśń o doktorze Fauście. Prawdę mówiąc, skłamałem jedynie połowicznie...

- Co? Co ty opowiadasz?

- To żart, Mikołaju. Czy wiesz, skąd przybyli ci komedianci? Z Królewca, przyjacielu. Dają regularne przedstawienia na dworze księcia Albrechta. Księcia, który para się literaturą i popełnił kilka sztuk teatralnych. Teraz lepiej rozumiesz? Pewnie, sposób obrzucania błotem twojego otoczenia jest niegodny. Ale nie powinno się odpowiadać na śmiech gniewem i przemocą. Trzeba też odpowiedzieć śmiechem.

- Co ty mi sugerujesz? Mam napisać jarmarczną farsę? To idiotyczne!

- Wyobraź sobie, że w czasach szalonej młodości popełniłem małe dziełko na temat Krzyżaków. Odegraliśmy je w Krakowie. Teraz, gdy sobie o tym myślę, wydaje mi się, że poszło całkiem nieźle.

I Giese ruszył po pokoju pełnym fanfaronady zwałistym krokiem, z ostentacją ukazując obecnym minę kompletnego bufona, co rozbawiło tonącą dotąd we łzach Annę. Następnie, przybierając ciężki niemiecki akcent, dowcipny kanonik mówił dalej:

- Kapitanie Koppernigk, nikt na Warmii nie zapomniał, jak to niegdyś rozbił pan w

Olsztynie nasze wojska. Lud wielce jest panu za to wdzięczny. Nie zapomina także hojnego lekarza ubogich.

Giese usiadł i podjął normalnym już głosem:

- Dostosuję moje wybitne dzieło do naszej rzeczywistości. Czuję wielki entuzjazm na myśl, by przytrzeć nosa Albrechtowi. I nie będziesz musiał zbyt wiele wydać, żeby ci albo inni kuglarze odpowiedzieli śmiechem na tę błazenadę.

Tak też uczyniono. Straszliwa historia kanonika Głabina, pożeracza gwiazd zniknęła z warmińskich scen. W jej miejsce pojawiła się sztuka Skruszony Krzyżak.

W październiku roku tysiąc pięćset trzydziestego pierwszego Mikołaj Kopernik nareszcie ukończył dzieło noszące tytuł O obrotach sfer niebieskich. Kazał sporządzić dziesięć kopii, które wysłał do swych najserdeczniejszych i najbardziej uczonych przyjaciół. Nie omieszkał przesłać jednej Melanchtonowi. Ten odpisał mu uprzejmie, lecz lakonicznie; nie ponowił jednak swoich ataków. Uznał się za zwyciężonego. Co do Lutra, ten zadowolił się powtórzeniem w swoich Rozmowach przy stole słów, które wcześniej padały z ambony na temat „tego szaleńca, który chce całkowicie obalić sztukę astronomii”. Sprawa była więc zamknięta. Natomiast w Rzymie Sculteti dał za pośrednictwem papieskiego sekretarza - pasjonata matematyki wykład na temat systemu kopernikańskiego przed Klemensem VII i gronem kardynałów, w tym Aleksandrem Farnese. Kilka miesięcy później papież zmarł. I to Farnese zastąpił go pod imieniem Pawła III. Odtąd, pod skrzydłami dawnego opiekuna z czasów pobytu we Włoszech, Kopernik nie musiał niczego już się obawiać ze strony katolików. Natomiast wiele mógł się spodziewać. Purpury kardynalskiej na przykład...

Minęło wiele lat. Od tamtej pory wszystkie europejskie uniwersytety z wyjątkiem Hiszpanii zwracały się do Kopernika o radę nawet w najmniejszych zagadnieniach dotyczących astronomii. Astronomowi zaś ukończenie dzieła przywróciło spokój. Choć zdarzało mu się jeszcze często, w poczuciu nieusatisfakcjonowania, podejmować znowu

obliczenia. Kiedy chciał udowodnić, że jego system jest prostszy niż Ptolemeusza, został zmuszony - w celu „zachowania pozorów” - do pomnożenia liczby epicykli. Jednak jakiegokolwiek wątpliwości zniknęły: był absolutnie pewien swoich racji. Zlikwidował ekwant w sposób niedopuszczalny zakłócający kolisty, jednostajny ruch.

Chciałby, żeby któryś z korespondentów sprzeciwił mu się albo zasugerował coś, co zmusiłoby go, by pójść dalej, a nawet wnieść poprawki do swojej teorii. Jednak uderzył zbyt mocno. Wspiął się za wysoko. O obrotach zdawało się teraz najznamienitszym astronomom pozbawioną słabych punktów fortecą, a jej autor najwybitniejszym astronomem wszech czasów. Proszono go więc o radę, ale nie w tym, czego by pragnął. Tam, gdzie zależało mu na trzymaniu się czystej matematyki, jego korespondenci oddawali się wszelkim możliwym spekulacjom astrologicznym. A przecież ta zdolność astrologii do przenikania ciemnej zasłony ludzkiego przeznaczenia była najzupełniej obca myśli Kopernika, który wzbraniał się przed podejmowaniem się tego, czego nie dało się oprzeć na obliczeniach. To właśnie oznajmiał tym, którzy chcieli znać jego opinię na temat możliwego związku między tym czy innym zjawiskiem astronomicznym mającym miejsce w odległej przeszłości a upadkiem jednego cesarstwa czy narodzinami innego. Miał nadzieję, że im się to znudzi, ale nadzieja ta okazała się jednak próżna. Jego pesymizm co do ludzkiej natury znacznie się wzmógł.

W tysiąc pięćset trzydziestym siódmym roku zmarł biskup Ferber. Przeciwnie do panującego zwyczaju to król Polski przesłał kapitule listę kandydatów na jego następcę. Wśród nich znajdował się jego dawny sekretarz, biskup Chełmna Dantyszek i tonący w długach, notorycznie oddający się rozpuście fromborski kanonik. Giese przedsięwziął więc podróż do Krakowa w towarzystwie innego kanonika Dietricha von Rhedena, chcąc ubłagać króla, by zamiast ostatniego kandydata umieścić na liście nazwisko Kopernika, za którym przemawiał niedawny wykład przed papieżem. Zygmunt I chętnie się zgodził: był zdecydowany nominować swojego ulubieńca Dantyszka. Kopernik posłużył za kamuflaż. W ten oto sposób niegdysiejszy współsprawca śmierci Łukasza został głową episkopatu Warmii. Zaś król nie mógł się powstrzymać przed popełnieniem dodatkowego perfidnego postępu: Dantyszka zastąpił w Chełmnie Tiedemannem Giese. Audiencja,

której udzielił temu ostatniemu, mogła świetnie uchodzić za pertraktacje, z których Kopernik wyjdzie jako jedyny przegrany. Nowy biskup Chełmna pospieszył do przyjaciela, chcąc mu wytłumaczyć, że nie ma w tej sprawie żadnego udziału.

Za całą odpowiedź Kopernik serdecznie mu pogratulował, mówiąc, że to godziwe wynagrodzenie jego pięknego listu do Reicha. Giese nie dostrzegł w tych słowach cienia złośliwości: kompletnie zapomniał, że to Mikołaj napisał praktycznie całe dzieło, które on tylko podpisał!

- Przedstawienie skończone, drogi Tiedemannie, moja kościelna kariera skończyła się dwadzieścia lat temu u wrót kapituły we Fromborku. I wrogowie, i przyjaciele są w tym punkcie zgodni. Jedni, po upływie dwóch dziesięcioleci, trzęsą się jeszcze ze strachu na wspomnienie wielkiego cienia Łukasza Watzenrodego. Inni, jak ty lub von Rheden, chcą, bym był wyłącznie astronomem z nosem utkwionym w swoich gwiazdach, czystym umysłem zamkniętym w swojej wieży, przeżuwającym ciągle od nowa dziwne i niezrozumiałe obliczenia, ikoną, której chwała spłynie także na was. Nie, nie, nie zaprzeczaj! Przeczytaj lepiej ten list, który właśnie mi przesłał z Rzymu nasz drogi Schönberg... Przepraszam! Jego Eminencja kardynał Kapui.

Giese przeczytał na głos list dawnego współpracownika z Ferrary, wydając krótkie okrzyki radości. Pismo nosiło datę pierwszego listopada tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku: „Dowiedziałem się, że nie tylko wspaniale znasz odkrycia starożytnych matematyków, ale że nawet opracowałeś nową teorię świata, podług której Ziemia porusza się, podczas gdy Słońce zajmuje pozycję najniższą i w konsekwencji najbardziej pośrodku we Wszechświecie; ósme niebo jest stałe i wiecznie nieruchome; że dla całego tego systemu astronomicznego ułożyłeś Commentariolus i, poddawszy obliczeniom ruchy ciał wędrownych, ułożyłeś tablice, wzbudzając ogromny, powszechny podziw. Właśnie dlatego, wszechstronny umyśle, proszę cię, chcąc bez zwłoki zakomunikować uczonym to twoje odkrycie, byś przesłał mi najszybciej, jak to tylko możliwe, owoce twoich nocnych medytacji nad sferą świata z tablicami i wszystkim, co jeszcze byś posiadał na ten temat. Powierzyłem von Rhedenowi zadanie skopiowania tego

wszystkiego i przesłania mi na mój koszt. Jeżeli zechcesz postąpić zgodnie z moim pragnieniem przekonasz się, że masz do czynienia z człowiekiem, który ma twoje imię w wielkim poważaniu i którego przepelnia pragnienie oddania sprawiedliwości twojemu geniuszowi. Bywaj zdrów”.

Tiedemann podniósł oczy znad kartki i spytał:

- Nie wysłałeś mu więc O obrotach...?

- Zapomniałem. Lub raczej nie doceniłem jego znajomości astronomii, sądząc, że nic z niej nie pojmuje. Jak widać, myliłem się. Czy to von Rheden, którego wymienia, albo ty wygadaliście się przed nim?

- Obaj, mój drogi, obaj. Sprzysięgliśmy się, by przyczynić ci sławy tak samo, a może i bardziej niż Albrecht, Dantyszek i Melanchton spiskują na twoją zgubę. Inaczej kto by to zrobił? Nie ty, stary niedźwiedziu, nie ty! Chwalisz się, że byłeś za młodu zręcznym dyplomatą. Zdaje się, że twoje dary z wiekiem wyparowały. Zrozumiałeś przynajmniej, co oznacza ostatnie zdanie Schönberga: „Przekonasz się, że masz do czynienia z człowiekiem, który ma twoje imię w wielkim poważaniu i którego przepelnia pragnienie oddania sprawiedliwości twojemu geniuszowi”?

- Oczywiście! Macha mi przed oczami kardynalską purpurą jak marchewką na kiju przed oślim pyskiem. Ja kardynałem? Marzyłem o tym dziesięć lat temu. Dziś, na wzór Erazma, odmówiłbym. Z tych samych powodów co on: nikt nie zmusi mnie do stanięcia po stronie katolików albo luteranów. Jak ten, którego zwą „najmędrszym z ludzi”, jestem poza tym po stronie wolności.

- Mimo wszystko - zaproponował Giese - ta wiadomość od Schönberga cholernie przypomina papieskie imprimatur. Lub przynajmniej obietnicę jego otrzymania. Trzeba to wydać, Mikołaju, trzeba wydać O obrotach...

- Wydać... Dostarczyć trutniom i oszczercom kolejnej okazji, by mnie pokąsali...  
Powszechnie wiadomo, że nie ma lekarstwa na ich jad. Pamiętasz list Lizysa do Hipparcha, który kiedyś przetłumaczyłem?

- Znam go na pamięć: „Nie wypada rozgłaszać całemu światu tego, czego dowiedzieliśmy się z tak wielkim wysiłkiem, tak samo, jak nie można dopuszczać zwykłych ludzi do świętych tajemnic bogiń z Eleusis”. Ale czasy się zmieniły, Mikołaju. Świat zmienił się w targowisko i Pitagoras nie może dłużej milczeć.

Kopernik zagwizdał ni to z podziwem, ni to z ironią:

- Brawo, panie Giese. Oto jak mitra biskupia zmienia człowieka! Tylko że ja myślałem o innym fragmencie. Nie posiadam twojej cudownej pamięci, ale brzmiało to mniej więcej tak: odkryć prawdę nierozważnie i byle komu, to jakby - o, już sobie przypomniałem - „jakby przelewać czystą wodę do naczynia pełnego nieczystości: wzburzy się tylko zalegające na dnie nieczystości i popsuje wodę”. Nie, Tiedemannie, bardzo chcę „zreformować” astronomię, ale nie będę drugim Lutrem! Nie przybiję swoich tez na bramie mego obserwatorium. Skąd możemy wiedzieć, czy głośno krzycząc, że Ziemia kręci się dookoła Słońca i wokół własnej osi, nie sprowokujemy takiej nienawiści i przelewu krwi, co tłumaczenie Biblii na lingua vulgaris?

Giese nie ośmielił się skomentować, że spór między uczonymi i filozofami rzadko prowadzi do pozbawienia kogoś życia. Potem pomyślał o Sokratesie, Abelardzie czy Georgio, bracie Domenica Novary, spalonym w Bolonii w tysiąc pięćsetnym roku, dawnym towarzyszem padewskich studiów, lekarzu Georgu Iserinie, który podzielił ten sam los w Austrii osiem lat temu... Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie powiedzieć tonem przyszłego biskupa Chelмна grzmiącego z ambony przeciwko grzesznikom:

- Nie myśl, że tak łatwo się z tego wywiniesz, Mikołaju! Pewnego dnia nie posłucham cię, wyrwę ci z rąk twoje Obroty i, jeśli będzie trzeba, sam stanę przy drukarskiej maszynie, z której wyjdzie twoje wielkie dzieło!



Następnie jednym haustem wychylił kielich frascati, białego wina z Lacjum o łagodnym, miękkim smaku, które Jego Eminencja Mikołaj Schönberg, kardynał Kapui, dołączył do listu do swych dawnych współtowarzyszy narodu niemieckiego.

Przywdziewając mitrę biskupa Warmii, przyjazny i dowcipny dyplomata Dantyszek, którego kochanek rozsianych po wszystkich zakamarkach chrześcijańskiego świata nie sposób było zliczyć, przeistoczył się w surowego, bezkompromisowego duchownego. Czy to nawrócenie było szczere, czy dokonało się na rozkaz jego pana Zygmunta I? Któż poza jego spowiednikiem mógł to wiedzieć? W każdym razie, podczas gdy reszta Polski obu wyznań żyła jeśli nie w przyjacielskich stosunkach, to przynajmniej wzajemnie się tolerując, na Warmii i tylko na Warmii, której nazwę w oficjalnych dokumentach spolszczono, książki i broszury pochodzące z krajów ogarniętych reformacją zaczynały płonąć na stosach od pochodni namiestników.

Lecz nim zabrał się za, jak je nazywał, „miejsca zatrute herezją”, dawny przyjaciel Melanchtona postanowił zaprowadzić porządek we własnym domu, czyli we fromborskiej katedrze. Jego kanonicy całkiem dobrze administrowali biskupstwem, stojąc murem za Kopernikiem i nie sprzeniewierzając ani jednej złotówki z podatków, które inkasowali. Wyjazd Giesego do sąsiedniego Chełmna nie osłabił ich; przeciwnie: stał się on ich głównym oparciem. Sprzymierzeni z mieszczańską Ligą Pruską, straszliwie przywiązana do swoich swobód, mogli skutecznie stawić czoło nowemu biskupowi, tak jak niegdyś potrafili to zrobić w stosunku do Krzyżaków. Nawet jeśli wielu z nich miało krótki staż, nawyki nabyte pod ciężką ręką biskupa Łukasza stały się jak gdyby ich drugą naturą.

Kapituła posiadała jednak jedno słabe ogniwo: Aleksandra Sołtysika alias Scultetiego, brata papieskiego kapelana. Lecz pomimo sprzeciwów, jakie wysuwał w stosunku do Mikołaja podczas ostatniej wojny z Krzyżakami, przyłączył się do niego. I ustatkował się. On, który niegdyś prowadził rozwiązłe życie, zwyczajnie zamieszkał pod swoim dachem z jedną kobietą, o której mówiono, że kiedyś była karczemną dziewczką

albo i jeszcze gorzej, ale która przeistoczyła się, jak to często bywa, w nieposzlakowaną matkę rodziny. Jednakże kanonik zanadto się afiszował z nią i swoimi dziećmi niczym jakiś prowincjalny rządcą. Giese z Kopernikiem na próżno napominali go, by był bardziej dyskretny. Nic sobie z tego nie robił, przekonany, nie bez pewnej racji, że jego brat kapelan papieża osłoni go przed wszelką krytyką.

Lecz stało się, że Bernard Sculteti umarł, może z urazy: chcąc zerwać z Medyceuszami, Paweł III pozbywał się stopniowo otoczenia swoich poprzedników Leona X i Klemensa VII. Przyszedł czas i na Scultetiego. Nie był w stanie tego znieść i jego serce przestało bić. Kopernik bardzo przeżył tę stratę: dawny preceptor, który stał mu się najlepszym przyjacielem, a w szczególności najżarliwszym wsparciem, którego został pozbawiony, pozostawiony na pastwę biskupa Warmii Dantyszka. Wyrzucał sobie też brak zainteresowania dla tego, co działo się w Watykanie. Być może byłby w stanie zapewnić Scultetiemu przychylną postawę papieża, jego dawnego opiekuna Aleksandra Farnese.

Dantyszek był doskonale świadom więzi łączącej nowego papieża z kanonikiem. Podjął próbę zbliżenia się do astronoma; posunął się nawet do tego, że ofiarował mu globusy, najnowsze instrumenty miernicze, mapy, w tym Nowego Świata, które przysłał mu konkwistador Cortés, a zwłaszcza wspaniałe mapy nieba, które Albrecht Dürer, wspomagany przez astronomów Stabiusa i Heinfogela, wygrawerował w tysiąc pięćset piętnastym roku na dworze cesarza Maksymiliana.

Kopernik podziękował za nie, jednak w sposób ściśle protokolarny. Potem biskup zapraszał go wiele razy do Lidzbarka na kolację; za każdym razem otrzymywał odmowną odpowiedź, zawierającą wyrazy szacunku i wymieniającą trudy pracy kanonika - która mogłaby wywołać uśmiech, gdyby nie oczywiste przesłanie: „Zostawcie mnie w spokoju w mojej wieży”.

Dantyszek, dyplomata zaprawiony w bojach, lecz doszukujący się w każdym czynie i każdym słowie ukrytych intencji, nie był w stanie wyobrazić sobie, że astronom był

szczerzy i porzucił wszelkie ambicje wykraczające poza zajmujące go badania. Także Tiedemann Giese, nowy biskup Chełmna, przypominał o tym swojemu warmińskiemu odpowiednikowi przy okazji każdego z ich częstych spotkań. Pierwszy wielbiciel astronoma powtarzał to chyba nawet zbyt często, co jeszcze wzmogło podejrzliwość Dantyszka: Kopernik na pewno knuł coś przeciwko niemu, a tym „czymś” mogło być tylko zdobycie kardynalskiej purpury i skompromitowanie go w oczach papieża. To byłoby bardzo proste: mimo wielu różnic, łączyła go z Melanchtonem serdeczna przyjaźń. Zaś prawa ręka Lutra, być może z wyrachowania, przy każdej nadarzającej się sposobności wynosił pod niebiosa wielkie zalety biskupa Warmii, co wprawiało króla Zygmunta w spore zakłopotanie, a przysparzało uciechy księciu Albrechtowi, jego sąsiadowi.

Dlatego Dantyszek, człowiek nawykły do wzniosłych dzieł, postanowił zaatakować Kopernika w niski sposób. Sam papież dostarczył mu po temu okazji. Paweł III nadal prowadził wystawne życie księcia kochającego świętowanie, polowania i sztukę; czy nie ofiarował niedawno Michelangelowi Buonarrotiemu środków potrzebnych do ukończenia wielkiego fresku Sąd Ostateczny na ścianie za ołtarzem Kaplicy Sykstyńskiej? Obsypując beneficjami swoich trzech bękartów i wydając córkę za mąż za najhojniejszego z kandydatów, jednocześnie nawoływał kler do cnotliwszego życia, aby nie dawali Lutrowi i Melanchtonowi więcej powodów do szyderstwa. Papieska deklaracja miała raczej służyć zachowaniu pozorów, lecz Dantyszek uznał za zabawne użyć jej jako przyczyny listu. Najpierw przypuścił atak na Aleksandra Scultetiego, jasno nakazując mu odesłanie do Gdańska swojej pseudogospodyni i czwórki dzieci, które z nią miał, a następnie zatrudnienie służby bardziej odpowiadającej jego wiekowi i sprawowanej funkcji.

Od czasu śmierci brata Aleksander nabrał śmiałości. Wyniośle odmówił, oznajmiając, że jeśli biskup będzie nalegał, bez wahania zostanie zagorzałym zwolennikiem Lutra, który przynajmniej potrafił połączyć bez hipokryzji miłość do małżonki z miłością Boga.

Kopernik natychmiast pojął, że cios nie był wymierzony w Aleksandra, lecz w niego. A więc i w Annę. Zaalarmował Giesego, nie ośmielając się jednak z obawy przed

ośmieszeniem powiadomić o sprawie dawnego opiekuna Pawła III. Wziął Aleksandra Scultetiego na rozmowę w cztery oczy, prosząc go, by po prostu ukrył swą liczną rodzinę w jednej z wiejskich posiadłości, radząc mu raczej użyć wszelkich wybiegów, kłamstw i zatajenia prawdy, niż żeby miało dojść do otwartej konfrontacji. Sam był gotów tak uczynić, gdyby Dantyszek wziął się z kolei za niego i Annę. Bo tego właśnie pragnął biskup: zepchnąć Kopernika do obozu reformacji z tak błahego powodu jak celibat księży i w ten sposób ostatecznie go zdyskredytować wobec Rzymu. Poza tym, zniesławiając w ten sposób dwóch jej członków, w dodatku niepoślednich, zamierzał w końcu poskromić buntowniczą kapitułę, która zawsze okazywała wielką niezależność wobec króla Polski. Już teraz, korzystając z wakatów pozostawionych przez zmarłego Bernarda Scultetiego, Giesego i jego samego, ponieważ przez pewien czas sam był fromborskim kanonikiem, umieścił w kapitule swoich ludzi, wiernych koronie.

Kopernik i Sculteti znali się kiepsko. Praktycznie aż do wspomnianych wydarzeń unikali się wzajemnie. Mikołaj, choć nigdy tego głośno nie powiedział, widział w Aleksandrze jedną z osób odpowiedzialnych za samobójstwo Andrzeja; co zaś do Aleksandra, ten zawsze zazdrościł przyjaźni i wzajemnego zrozumienia, które łączyły jego starszego brata, nieżyjącego już papieskiego kanonika, z astronomem. Jednak w czasie rozmowy ten głuchy spór wokół ich zmarłych braci wygasł. Wszelako Aleksander zdziwił się, że Mikołaj zaleca ucieczkę, kapitulację przed natarciem Dantyszka:

- Co? Pan, pogromca Krzyżaków, bratanek wielkiego Łukasza, towarzysz broni mego brata, gigant, który umieścił Słońce w centrum Wszechświata, pan każe mi ugiąć się przed tym poronionym płodem Dantyszkiem? Nie mogę w to uwierzyć!

Kopernik uświadomił sobie, że Sculteti już mu nie zazdrości, lecz go podziwia. Granica między zazdrością a podziwem jest bardzo wąska. Ryzykując, że go do siebie zniechęci, błagał niemal współbrata o większą dyskrecję i ukrycie rodziny w pewnym miejscu, by w ten sposób wytrącić biskupowi broń z ręki. Aleksander nie wziął sobie do serca tych pełnych ostrożności rad. Zmęczony zbyt długim przebywaniem w cieniu brata, a przeto i Kopernika, rzucił się jak oszalały w walkę. Walkę z góry przegraną, bo

samotną... Pozostali kanonicy, którzy mogliby go wesprzeć w obronie przywilejów fromborskiej kapituły, byli już zbyt starzy, by stawić czoło „przybocznej straży” Dantyszka. Ten, który powinien stanąć na ich czele, Mikołaj Kopernik, siedział zamknięty w swojej baszcie, skrupulatnie, niewzruszenie, niemal pedantycznie wypełniając swoje obowiązki administratora dóbr kapituły. Co do Ligi Pruskiej, od kiedy zniknęło krzyżackie zagrożenie, była ona pozbawionym treści tworem; jej żołnierze zadowalali się paradowaniem w świątecznych pochodach, zaś dowództwo podzieliło się, przechodząc na stronę księcia Albrechta i luteranów albo, co uczyniła większość, na stronę katolickiego króla Polski.

Tymczasem Dantyszek mnożył rozporządzenia, coraz bardziej stanowcze i groźne, by wymóc na Scultetim odesłanie gospodyni. Lecz krnąbrny kanonik opierał się. Pewnego dnia biskup przybył ze swego pałacu w Lidzbarku Warmińskim na comiesięczne spotkanie z fromborską kapitułą. Zgodnie ze zwyczajem mieszkańcy miasta oblegli główną ulicę prowadzącą do katedry, by ujrzeć przejazd przepysznego orszaku. Nagle ostry kobiecy głos wzniósł się ponad kordonem żołnierzy powstrzymujących napór tłumu:

- Spójrzcie na tego człowieka, na tą złotą mitrę, tego biskupa, który mieni się chrześcijaninem! Chce wyrzucić na bruk, wtrącić w nędzę matkę z czwórką dzieci, a sam wydaje srebro, które mu oddajemy, na pałace w Hiszpanii, które funduje swoim licznym bękartom!

Kobietę szybko schwytano. Była to gospodyni kanonika Aleksandra Scultetiego. Okazja nadarzała się doskonała. Zaraz po odprawieniu mszy i kazaniu, w którym ogłosił rozwiązałe obyczaje części kleru, Dantyszek powołał sąd w postaci całej kapituły. Na ławie oskarżonych zasiadł brat dawnego papieskiego kapelana. Kopernik, choć sam w niebezpieczeństwie, mógł zrobić tylko jedno: zgłosić się na obrońcę brata swojego przyjaciela. Sprawa była z góry przegrana, wzięwszy pod uwagę publiczny skandal wywołany przez towarzyszkę życia oskarżonego, o którym wieść szerzyła się już po całej diecezji. Mikołaj próbował domagać się, by przyznano Scultetiemu niedużą rentę.

Odmówiono mu jej. Winny został usunięty z kapituły, w oczekiwaniu na papieską ekskomunikę wszystkie dobra, do których dawała mu prawo pełniona funkcja poddano konfiskacie i wstrzymano wypłacanie przychodów z prebendy. To oznaczało, że został bez grosza przy duszy z czwórką dzieci na utrzymaniu, bo nie zanosilo się na to, że jego gospodyni rychło opuści więzienie.

Natychmiast po ogłoszeniu wyroku Dantyszek wezwał do swojej rezydencji administratora dóbr kapituły, by skonsultować z nim kapitułarne rejestry. W zapadającym zmierzchu Kopernik czekał upokorzony w lodowatym przedsionku biskupstwa z ciężkimi, oprawionymi w tekturę zeszytami; upływające minuty wlokły się w nieskończoność. Tłumiąc wściekłość przygotowywał się do odegrania przed swym zwierzchnikiem najpokorniejszego z kanoników - a także najbardziej posępnego, bo świadomego, że na szali waży się teraz spokojne życie w towarzystwie ujmującej kobiety i kilku uważnych przyjaciół, które z takim trudem sobie ułożył, życie przede wszystkim poświęcone nauce.

Dantyszek wyszedł po niego osobiście. Zszedł na dół i kurtuazyjnie przeprosił za spóźnienie, potem rozkazał sekretarzowi wziąć od gościa ciężkie rejestry, odmówił, gdy Kopernik chciał ucałować jego pierścień, wziął go pod ramię i zaprowadził do małego salonu, w którym podano kolację. Następnie biskup zaczął rozprawiać o błahostkach, nie czyniąc najdrobniejszej aluzji do zakończzonego przed chwilą procesu. Przyjęcie, jakie mu zgotowano, było tak serdeczne, że Kopernik w pierwszej chwili wpadł w panikę, zapytując się, z której strony padnie pierwszy cios.

- Czy wie pan, że niegdyś, w Padwie, miałem okazję uczestniczyć w jednym z pańskich wykładów? Olśniewający!

- Nie wiedziałem, że Wasza Wielbność tam studiował...

- Byłem wtedy bardzo młody, zaś pańska renoma była już tak wielka, że nic nieznaczący student jak ja nigdy nie ośmieliłby się pana zaczepić. Później, podczas

uroczystości zaślubin Jego Wysokości, za żadne skarby nie byłbym się zgodził opuścić któregoś z pańskich pogadanek. Ile właściwie miał pan wtedy lat?

- Jakieś trzydzieści... Dziś mam już prawie sześćdziesiąt cztery i...

- Mam więc dwanaście lat mniej od pana. Czy wie pan, że w ubiegłym roku, na moje półwiecze, postanowiłem zerwać ze wszystkimi szaleństwami młodości? Nie ma nic bardziej żalosego niż starzec uparcie udający młodzika.

Aluzja była oczywista, ale atak przedwczesny. Zbierając całą dumę, na jaką było go stać, kanonik swobodnie odparował cios:

- Doskonale się zgadzam z Waszą Wielbnością. Sam już dawno temu pojednałem moją duszę z Bogiem, a życie przyporządkowałem mojej funkcji. Cały czas poświęcam wielbieniu piękna Stworzenia i polepszaniu losu pańskich owieczek, co biskupi sekretarz będzie mógł potwierdzić, sprawdzając moje rejestry.

Dantyszek postanowił zaatakować mocniej. Tego właśnie spodziewał się Kopernik.

- Mówiono mi, że pańska kanonia jest doskonale utrzymana. Czy pańska gospodyni nie jest przypadkiem pana daleką krewną?

- Któż nie jest bliżej czy dalej spokrewniony na naszej małej Warmii? - spytał Kopernik, używając dotychczasowej, niemieckiej nazwy: Ermland.

- Warmii, wielebny - sucho poprawił na polski odpowiednik Dantyszek, czując, jak przeciwnik mu się wymyka. - Na naszej Warmii, która bynajmniej nie jest taka mała.

W tym momencie - jakby przez nieuwagę - Kopernik złośliwie przeszedł z niemieckiego na język polski, wiedząc, że biskup raczej słabo władał oficjalnym językiem episkopatu.

- Na Warmii, dokładnie. Proszę wybaczyć mi ten grubiański błąd i nienaumyślne uchybienie nowym dekretem biskupstwa. Stare przyzwyczajenia mego podeszłego wieku są tego jedynym usprawiedliwieniem. Natomiast powracając do mojej gospodyni, prawdę powiedziawszy pani Anna Schilling nie jest mą daleką krewną. To moja kuzynka, jedno z nieślubnych dzieci mego wuja, świętej pamięci biskupa Łukasza. Zdaje się, że rzeńskie powietrze Erml... przepraszam, Warmii w szczególny sposób zaostrza temperament ludzi Kościoła... Dama ta jest wszakże wysoko urodzona i doskonale wykształcona. Jestem z niej ogromnie zadowolony. Ale przypuszczam, że Wasza Wielbność nie wezwał mnie po to, bym mu opowiadał o swoich sprawach administracyjnych.

Riposta była na granicy bezczelności. Dantyszek wahał się przez moment, czy nie wpaść w gniew i nakazać, by gospodyni będąca przedmiotem dyskusji natychmiast opuściła kuchnię i łóżko kanonika. Jednak ten wyrafinowany dyplomata ponad wszystko lękał się ośmieszenia. Wolał zatem uznać się chwilowo za zwyciężonego przed tym starym wyjadaczem, o którym sądził, że będzie mniej twardym przeciwnikiem. Ponownie przechodząc na niemiecki odpowiedział z najbardziej ujmującym uśmiechem:

- Ma pan rację, drogi przyjacielu. Jeżeli użyłem tego niskiego zabiegu, jakim jest oficjalne wezwanie, to po to, aby nie próbował się pan znowu wymigać od mego zaproszenia. Albowiem w końcu uwierzyłem, że żywi pan do mnie urazę, ponieważ Jego Wysokość wybrał mnie, a nie pana, by poprowadzić sprawy Warmii.

- Wręcz przeciwnie, Wasza Wielbność... O to nie mam do pana żadnego żalu. Mój przyjaciel, biskup Chełmna Tiedemann Giese wierzył, że działa dla mego dobra, proponując mą kandydaturę, ale to stanowisko byłoby zbyt wielkim brzemieniem dla mych starych ramion.

Mocno zaakcentował słowa „o to”, czyniąc je bardzo aluzyjnymi. Biskup lekko zbladł, pewien już, że Kopernik jakoś dowiedział się o jego związku z nagłą śmiercią Łukasza Watzenrodego przed dwudziestoma pięcioma laty.



- Zasiądźmy do kolacji - powiedział, podnosząc się z fotela. I dorzucił zartobliwym tonem: - Teraz, kiedy mam pana tutaj, tak łatwo go nie wypuszczę. Opowie mi pan o pańskich O obrotach sfer niebieskich, o które cała Polska suszy mi głowę. I rozkazuję, niech mnie pan dobrze usłyszysz, rozkazuję panu, panie kanoniku przesłać mi kopii waszego dzieła!

Kopernik wyszedł z kolacji zachwycony, przekonany, że pozostawi w spokoju jego osobiste życie. Przedwcześnie świętował zwycięstwo. Popęłnił nieostrożność, dołączając do Obrotów... prośbę o przyznanie niedużej pensji dla Scultetiego, który schronił się poza murami miasta, a także o uwolnienie kobiety pozbawionego urzędu kanonika. Odpowiedź Dantyszka była sucha i groźna: nie będzie wracał do sprawy, która jest zamknięta, i żąda, by miast zajmować zbłąkanymi owieczkami, astronom zaprowadził porządek we własnej zagrodzie, odsyłając gospodynię rzucającą złe światło na człowieka o wielkiej zresztą i światowej renomie uczonego i filozofa. Jeśli nie zostaną przedsięwzięte odpowiednie środki, fromborski kanonik podzieli los swego ekskonfratra.

Mikołaj Kopernik był już starym człowiekiem. Jego żywy umysł i głód wiedzy pozostały niezmiennione. Zachował wiele z dawnej energii i wciąż chętnie oddawał się polowaniu i szermierce. Jednak osiągnął wiek, w którym niczego nie pragnie się bardziej, niż statecznego, a nawet do pewnego stopnia pełnego rutyny życia, gdzie każda chwila dnia ma swoje przeznaczenie, swój rytuał. Jeśli po wstaniu z łóżka w jadalni zupa była za gorąca lub za zimna albo zapodziała się gdzieś łyżka, myśli, które układały się w jego głowie rozpraszając senne opary, ulatniały się w jednej chwili; jeśli wchodząc do biblioteki, stwierdzał, że służący, chcąc odkurzyć biurko, przemieścił o parę cali kałamarz i piórniki, narastała w nim dziecinna złość, która po jakimś czasie wybuchła pod najłżejszym pretekstem. Ale te manie, te dni poukładane jak w zegarku były mu niezbędne do wznowienia prac i nanoszenia poprawek na jego tablice astronomiczne, do których dorzucał owoce swoich rzadkich obserwacji na szczycie baszty albo doniesienia korespondentów.

Oto więc chłoszczący list biskupa Dantyszka wprawił go w okropne pomieszenie. On, który niegdyś w mgnieniu oka podejmował słuszne decyzje, nie wiedział, co robić. Przez dumę nie ośmielił się poradzić Giesego ani zaalarmować kardynała Schönberga w Rzymie o zawziętości biskupa Warmii przeciwko niemu. Kopernik postanowił zatem nie podejmować żadnej decyzji. Nie wchodziło dla niego w grę wygnanie Anny, nie tylko dlatego, że doskonale prowadziła mu dom, ubiegając wszelkie troski, jakie mogłyby go oderwać od pracy, ale także, i przede wszystkim, ponieważ była ona ostatnią częścią czułości i wdzięku pośród zamknięcia, w jakim przebywał. Bez niej uschnąłby jak drzewo niewydające owoców. Tak więc trzeba mu użyć wszelkich wybiegów, przyrzekać wszystko i nic w nadziei, że pewnego dnia Dantyszek w końcu się zniechęci. Ponieważ jego biskup zatracił się w tak odrażających kłótniach, niechże mu będzie: Kopernik zniży się do jego poziomu.

Jego odpowiedź była prawdziwą karykaturą stylu starego kanonika, pełnego skrupułów i bojaźliwego wobec zwierzchnika, płaszcącego się, patetycznego, unizonego, trzęsącego się ze strachu, że ktoś odbierze mu jego prebendy i przywileje. Z własnej woli rozwlekał się nad szczegółami życia domowego, oznajmiając, że umieści swą gospodynię u siostry, przełożonej klasztoru w Gdańsku, ale że prosi o przedłużenie terminu do świąt Bożego Narodzenia zanim ją odeśle, bo przecież tak trudno w naszych czasach o odpowiedni personel... Unizając się w ten sposób, w rzeczywistości poniżał swego rozmówcę. Na koniec nie potrafił powstrzymać się od małego przytyku, miejsce nadania listu pisząc w greckim tłumaczeniu tej niemieckiej nazwy: Gynopolis - Kobietogród! I tym gorzej dla Dantyszka, jeśli nie rozumie języka Homera.

Potem czekał. Co tydzień wychodził poza miasto i udawał się do nędznego domku Scultetiego. Jedno z dzieci byłego kanonika było chore, a dawny lekarz Łukasza cały swój kunszt włożył w jego leczenie. Nie tylko odmawiał jakiegokolwiek zapłaty, ale starał się często „zapominać” sakiewki, pozostawiając ją na stole. Postrzegał tę pomoc i regularne wizyty jako obowiązek wobec brata zmarłego przyjaciela.

Miesiąc przed Bożym Narodzeniem otrzymał kolejny, wyrażający zniecierpliwienie i

bardziej jednoznaczną groźbę list od Dantyszka. Biskup nakazywał mu także nie odwiedzać więcej banity Scultetiego, gdyż szkodziło to reputacji całej diecezji. Kopernik znowu przyrzekł, zapewnił, że wszystko zostanie wypełnione w najmniejszych szczegółach. Ale dowiedział się także, że Dantyszek kazał go śledzić, bez wątpienia jednemu z kanoników przyjętych do kapituły na jego wniosek. Jak długo biskup będzie się zniżał do działań mających go zniszczyć? Zaledwie przesłał odpowiedź przez posłańca, kiedy Radom zaanonsował wizytę wielbnego Giesego, biskupa Chełmna.

Tiedemann wkroczył do sali i ujął dłonie Kopernika z pełnym niepokojem zatroskaniem.

- Przyjacielu, przyjacielu, postawiłeś się w bardzo złym położeniu. Kilka dni temu spotkałem Dantyszka. Ten zazwyczaj tak kulturalny człowiek kipiał z wściekłości na ciebie. Powiedział mi, że odmawiasz podporządkowania się jego autorytetowi, że jesteś zuchwały, opierający się wszelkiej hierarchii, że nadajesz Fromborkowi nazwę burdelu. Co się dzieje? Czy jeszcze żywisz do niego żal, że został twym zwierzchnikiem? Biskupstwo, mój drogi, nie jest dziedzicznym przywilejem...

Kopernik wzruszył ramionami, poprosił Radoma, by podał im kolację, a potem dał opis starego sporu, jaki podzielił go z Dantyszkiem, poczynając od zabójstwa Łukasza. Kiedy skończył, Giese długo milczał, zamyślony. Przyjaciel zanurzył go w rzeczywistości, która zawsze była mu obca. W końcu oderwał dłoń od ust i powiedział, jakby do samego siebie:

- Nie, to nie z powodu tej starej historii Dantyszek tak się zawziął na ciebie i naszą drogą Annę. Nie dlatego się ciebie obawia. Boi się astronoma - przyjaciela papieża, nie Łukaszowego bratanka. Twoja sława przyćmiewa jego, Mikołaju. A zwłaszcza... Wyobraź sobie przez moment, że w moim chełmińskim biskupstwie jeden z podwładnych nazywa się Michał Anioł, Erazm lub... Kopernik. Byłbym wtedy w straszliwej rozterce. Zwłaszcza gdybym sam parał się filozofią, sztuką czy poezją i posiadał w tych dziedzinach własne, skromne zasługi. Jedynym wyjściem, by narzucić

mu swój autorytet, byłoby wymóc na nim, by wyznaczył jasną granicę między swoim geniuszem a funkcją kanonika. Bądź najmniejszym z kanoników, słuchaj go we wszystkim i - uwierz mi - pozwól on, by geniusz rozbłysnął jeszcze jaśniej. Na tym polu nie ośmieli się stawić ci czoła.

- Nigdy nie rozstanę się z Anną!

- W takim razie przynajmniej zachowaj pozory, pójdź na jakieś ustępstwa. Wyczułem, że jest gotów pójść na pewną ugodę. Ten dawny ambasador przy największych książętach świata nie wydał mi się zbyt dumny z zaangażowania się z tobą w tak niską kłótnię. Chce, abyś się ugiął, kanoniku Kopernik. Ugnij się więc, aby tym bardziej urosnąć, Mikołaju, nowy Ptolemeuszu. Oto, co ci proponuję...

Nazajutrz część osobistych rzeczy Anny została wysłana do klasztoru w Gdańsku, co zwróciło uwagę kanonika-szpiega Dantyszka. Gospodyni natomiast poprzedniej nocy dyskretnie opuściła Frombork i udała się do wiejskiego dworku, gdzie niegdyś powiesił się Andrzej i który Mikołaj odkupił od kapituły, chcąc uczcić pamięć brata, ale i po to, by mieć gdzie się schronić na wypadek, gdyby pozbawiono go prebendy i stanowiska. Towarzyszył jej Sculteti i jego dzieci. Dworek ten, położony niedaleko od ziem i warownego miasteczka znajdującego się pod pieczęcią kanonika Kopernika, znajdował się ledwie o pół dnia drogi konno od Fromborka.

Dantyszek nie wiedział o tym wybiegu, czy też przymknął na niego oko zadowolony, że w końcu uporał się ze swym kłopotliwym podwładnym? W każdym razie Pieniężno nigdy, jak daleko sięgali pamięcią jego mieszkańcy, nie miało kanonika tak gorliwie rozsądającego ich spory o miedzę.

## IX

Tego poranka szóstego lutego tysiąc pięćset dwudziestego ósmego roku powietrze było tak lodowate, że miejscami zdawało się ścinać. Mimo to na rynku w Feldkirch było czarno od ludzi. Wszyscy parafianie tego austriackiego miasta, powstrzymywani przez żołnierzy, tłoczyli się wokół stosu wzniesionego poprzedniego dnia na placu u stóp katedry.

Nagle podniósł się wrzask:

- Niech cię piekło pochłonie, czarowniku, demonie, brudny Żydzie!

Wóz wiozący skazanego torował sobie drogę w tłumie. Zszedł z niego mężczyzna, brutalnie popychany przez strażników. Musiał mieć około czterdziestu lat. Oblicze bosego, ubranego jedynie w długą szkarłatną koszulę i zatknięty na głowę spiczasty żółty kapelusz mężczyzny promieniowało ogromną godnością. Przed nim mnich z twarzą ukrytą pod kapturem, wymachujący długim krucyfiksem, chwiejnie wdrapywał się po byle jak zbitej drabinie prowadzącej do słupa umieszczonego na szczycie stosu, obok którego czekał kat.

- Tato!

Na ten krzyk skazaniec, stawiający właśnie stopę na pierwszym szczeblu prowadzącym na miejsce kaźni szybko odwrócił głowę. Poniżej, przed kordonem żołnierzy, stał wyprostowany czternastoletni chłopiec z dumnie uniesioną głową, przyciskający do piersi szlochającą matkę. Tę nieszczęśliwą parę otaczało dwóch dominikańskich mnichów. Skazany wykrzyknął mocnym głosem do dziecka:

- Joachimie, mój synu, nie zapomnij, czego cię nauczyłem!

Zdażył powiedzieć tylko tyle; pomocnik kata popchnął go, skazaniec, zachwiał się, a następnie kontynuował wspinaczkę, aż do pala, do którego go przywiązano. Kiedy mnich podał mu krucyfiks, odwrócił się, nie chcąc go pocałować. Tłum zaczął go znieważać, potem cofnął się: mężczyźni dzierżący zapalone pochodnie obstąpili teraz kata. Jakiś podróżny, bez wątpienia bogaty kupiec, będący świadkiem tego krótkiego pożegnania ojca z synem, spytał swego sąsiada, kowala ubranego w skórzany fartuch:

- Cóż uczynił ten nieszczęśnik, że zasłużył na taką karę?

- To doktor Georg Iserin. Piekielnie dobry lekarz, wierz mi pan, cudzoziemcze. Mój dzieciak wie o tym co nieco. Za całą zapłatę za jego uzdrowienie Iserin poprosił, bym mu wykuł dziwaczny instrument, wierz mi pan, diabelstwo. Bo ten bezbożnik, odstępeca, jak powiedzieli sędziowie, próbował wyprodukować złoto z żelaza. W dodatku zdaje się, że czyta w gwiazdach przyszłość, którą zgotował nam dobry Bóg. Niechybnie jest Żydem. Nie przeszkadza mu to handlować z Zwinglim i jego kumotrami w Zurychu, po drugiej stronie granicy, wierz mi pan.

- Wierzę wam, zacny człowieku, ale to sporo jak na jednego człowieka! - odparł kupiec pół żartem, pół serio. - A jego żona i syn, jaki czeka ich los?

- Zostaną wygnani! Niech idą do diabła albo do Zwinglego, co w zasadzie wychodzi na jedno, wierz mi pan...

- Świetny pomysł! Jestem pewien, że Luter i jego przyjaciele znajdą w tym młodym chłopcu groźnego przeciwnika.

Zostało to powiedziane z taką ironią, że kowal spojrział podejrzliwie na swego rozmówcę. Biskup Mikołaj Schönberg wolał się ulotnić. Nie mógł dopuścić do skompromitowania przez jakieś głupie zajście delikatnej misji, z jaką wysłał go papież do arcyksięcia Ferdynanda austriackiego i katolickiego związku w Feldkirch. Płomienie wystrzeliły w górę, nad nimi uniósł się ciężki, czarny dym. Ale Georg Iserin nie wydał

najmniejszego krzyku ku wielkiemu rozczarowaniu swoich dawnych pacjentów.

Po tym, jak zostali zmuszeni do bycia świadkami egzekucji, młody Joachim wraz z matką zostali wygnani z bardzo katolickiego Vorarlbergu i odprowadzeni pod zbrojną eskortą aż do granicy z kantonem Zurychu przejętym przez obóz reformacji i energicznie rządzonym przez tego, którego zaczęto już nazywać prorokiem Szwajcarii: Ulricha Zwinglego. W swym wielkim chrześcijańskim miłosierdziu kościelny trybunał miasta Feldkirch pozwolił wdowie i sierocie zatrzymać przy sobie starego służącego, jak również osiołka i trochę rzeczy, tak że banici nieodparcie przypominali pasterzom obserwującym ich przejazd witraże przedstawiające ucieczkę do Egiptu Marii, Józefa i Jezusa. Wszystkie dobra lekarza zostały skonfiskowane, a jego przebogata biblioteka zginęła razem z nim w płomieniach - w każdym razie książki, które biskup odpowiedzialny za wytoczony lekarzowi proces o czarnoksiężstwo posiadał już w swoich zbiorach...

Podróż była długa i potwornie męcząca. Litując się nad matką i dzieckiem, wieśniacy ofiarowywali im chleb, zupę, a wieczorem siano w swoich stodołach, na którym zapadali, śmiertelnie zmęczeni, w sen niezakłócany przez śpiące pod nimi krowy. Dotarli w końcu do pięknego, zasobnego miasta Zurych, którego wysokie, białe i szare domy okalały jezioro o spokojnej toni. Joachim popadł w zachwyt. Jakiż kontrast z zimnym Feldkirch przycupniętym w głębi doliny przy swoim zamku i katedrze!

Bez najmniejszego trudu znaleźli siedzibę doktora Gassera, astrologa i alchemika, towarzysza Georga Iserina ze szkolnej ławy. Zmarły zdążył powiadomić tę wielką osobistość o swoim skazaniu i prosił przyjaciela, by przyjął do siebie jego małżonkę i syna. Prośba była zbyteczna, gdyż ta prosta protestancka rodzina zgotowała wdowie i sierocie przyjęcie godne najbliższych krewniaków. Dodatkowo jakiś czas temu skazany z Feldkirch zapobiegawczo powierzył szwajcarskiemu lekarzowi pewną sumę, którą ten zręcznie pomnożył. Dzięki temu Joachim mógł wzrastać w zarówno pobożnej, jak i wypełnionej pracą oraz miłością atmosferze.

Najstarsze z dzieci szlachetnego doktora bardzo szybko odkryło talenty, jakimi natura obdarzyła młodzieńca. Ten, nazywany Achillesem Pirminem, dwudziestotrzyletni fircyk, właśnie ukończył cykl studiów w Wittenberdze z Filipem Melanchtonem jako profesorem prowadzącym. Za parę miesięcy miał wyjechać na słynny francuski uniwersytet w Montpellier, by tam kontynuować studia medyczne - w Padwie, jak i na innych włoskich uczelniach wszystko, co choćby obrobinę zalatywało luteranizmem, było niepożądane.

Od chwili, kiedy ujrzał młodego Joachima, Achilles zachwycony był anielską urodą młodzieńca, jego długimi, kręconymi blond włosami, błękitnymi jak czyste niebo oczami i bladą twarzą o czerwonych jak jagody ustach, zawieszoną jeszcze pomiędzy kobiecością i męskością. Badał go delikatnie i łagodnie; zaskoczony odkrył, że Joachim jest wybitnie uzdolniony w dziedzinie matematyki. Oczywiście piękny Antinous ze skromnością objaśnił mu, że to ojciec wpajał mu sztukę liczb praktycznie od kołyski, jednak Achilles stwierdził, że giętkość tego niczym nieskażonego umysłu znacznie wykracza poza nabytą wiedzę. Poza tym tak wielką przyjemność sprawiało mu słuchanie wpływających spomiędzy tych pulchnych warg ciągów cyfr i twierdzeń, wypowiedzianych głosem, który nie do końca jeszcze zmutował... Zaczął nazywać go „Patroklesem” albo „Alcybiadesem”; Joachim przyjmował te przydomki z miłym uczuciem, pod pełnym rozczuleniem wzrokiem wdowy Iserin i miotanymi spod zmarszczonych brwi spojrzeniami doktora Gassera.

Ten młody mężczyzna coraz bardziej zastępował chłopcu starszego brata, którego nigdy nie miał, i ojca, którego śmierć w płomieniach oglądał. W noc poprzedzającą wyjazd Achilles przyszedł do jego pokoju, by pożegnać swojego Patroklesa. W końcu mógł pogłodzić złote loki i te dziewczęce policzki, a potem pocałował usta o smaku czereśni.

Dzięki zleconym przez Melanchtona reformom na luterskich uniwersytetach Joachim, pomimo bardzo młodego wieku, dostał się na wydział w Zurychu, podczas gdy jego opiekun, doktor Gasser, uczył go sztuki czytania w gwiazdach tajemnic ludzkiej



historii. Jego droga jasno się przed nim słała: będzie lekarzem jak ojciec. I wyruszy do Montpellier, gdzie dołączy do Achillesa. Tymczasem osiągał kolejne stopnie z przerażającą łatwością, jakby niechcący.

Pewnego dnia, niczym trąba powietrzna, przetoczył się przez uczelnię pewien profesor medycyny, który nauczał po trochu w całej Europie i - jak mówiono - nawet w Indiach. Szwajcarscy studenci pchali się drzwiami i oknami na dwa czy trzy wykłady, które dał, korzystając z nieobecności Zwinglego, walczącego właśnie na czele swych wojsk z opierającymi się reformacji pięcioma kantonami Konfederacji Szwajcarskiej. Phillippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim zwany Paracelsusem nie rozczarował ich: wygłosił lekcję po niemiecku, potem wyszedł na wirydarz, gdzie spalił wobec wszystkich księgi Galiena i Awicenny, których przyniósł całkiem sporo. Następnie wykrzyknął swym grzmiącym głosem:

- Powiadam wam, włosy opadające na mój kark mądrzejsze są niż wszyscy wasi pisarze, sznurowadła w moich butach wiedzą więcej aniżeli wasz Galien i wasz Awicenna razem wzięci, a moja broda ma więcej doświadczenia niż wszystkie wasze wielkie szkoły. Nie chciałbym przegapić godziny, w której świnie wdepczą was w błoto. Każdy bez wyjątku, choćby ukryty w najciemniejszym kątku, zostanie oblany przez psy moczem.

To posunięcie i diatryba wprawiły Joachima w zachwyt. Koniecznie musi spotkać się z tym człowiekiem sam na sam.

Nikt nie był w stanie oprzeć się jego urokowi, olśniewającej piękności jego siedemnastu lat, pasji, jaka rozpaliała lazururowe oczy i drzeniu melodyjnego kontraltu, niemal głosu kastrata, który mógłby odśpiewać swoją partię pod sklepieniem Bazyliki Świętego Piotra w Rzymie. Porywczy i ekscentryczny Paracelsus także mu uległ po chwili wahania: rozmiłowany w fizjonomice nie ufał ludziom, których nazywał „anielskimi gębami”. Sam nie grzeszył urodą: był mały, tęgi i rudy jak wiewiórka. Nikt nie obejrzałby się za nim na ulicy, gdyby nie to palące spojrzenie pod ciężkimi

powiekami, te wydatne wargi wyrażające odwieczną pogardę dla bliźnich, a zwłaszcza gdyby nie ciągnął za sobą podskakującej na bruku gigantycznej szabli, którą odziedziczył po pewnym kacie; o gałce znajdującej się na rękojeści mawiał, że mieści w sobie kamień mędrców.

Nawet Paracelsus nie potrafił ukryć zdziwienia, kiedy piękny młodzieniec recytował mu całe ustępy jego dzieł. To niehamowane uwielbienie łatwo przełamało jego opory i poświęcił efebowi sześć ostatnich dni i sześć ostatnich nocy swego pobytu w Zurychu. Na koniec, w momencie pożegnania, zalatujący herezją uzdrowiciel udzielił mu paru rad:

- Zapomnij o medycynie, mój miły, zostaw ją dla szarlatanów, którzy tak źle uczą jej i ją praktykują. Wyrusz na podbój sekretów natury, wniknij w serca kamieni, w pędy roślin, we wnętrzości zwierząt i zmarłych, i pofruń do gwiazd. Albowiem kamień filozoficzny znajduje się wszędzie, w ogniu, w powietrzu, w wodzie, w ziemi, a zwłaszcza tu... i tu.

Jego krótki, serdelkowaty palec porosły dwiema rudymi kępkami dotknął muskularnej piersi Joachima tam, gdzie biło jego serce, a później wysokiego i szerokiego białego czoła.

- Podróżuj, piękny chłopcze, podróżuj, jedź na spotkanie wielkich ludzi naszych czasów! Słuchaj ich, jak słuchałeś mnie!

Joachim rzucił się Paracelsusowi do nóg, uściskał ręce, które obficie skropił łzami, i wyszlochał: „dziękuję, dziękuję”. Zakłopotany uczony wyswobodził się z uścisku i wymruczał:

- No, już dobrze... Och... Cóż was wszystkich napadło, że bierzecie mnie za nowego Mesjasza? A propos, mój miły izraelski kochanku, może powinieneś zmienić nazwisko. Ani Luter, ani Zwingli niezbyt lubią Żydów od kiedy twoi rabinowie odrzucili ich awanse.

- Żydem jestem tylko ze strony ojca, mistrzu. To znaczy, że dla współwyznawców w ogóle nim nie jestem. Moja matka nazywa się z domu von Lauchen, jest ostatnią potomkinią zubożałej rodziny ziemiańskiej z mego rodzinnego kraju. To zresztą pod tym nazwiskiem figurujemy tutaj, w Zurychu.

- No tak! Wierz mi, że to nie robi różnicy w naszych spokojnych krainach tysiąca i jednej religii. Luter i papież to dwie ladacznice, które dzielą między siebie jedną koszulę. Dla nich koszerne jesteś i koszerne pozostaniesz. Tak czy inaczej musisz zmienić nazwisko, aniołku. Wybierz sobie jakiś ładny łaciński przydomek, jak my wszyscy, bo to imię zapewnia człowiekowi pozycję.

- W moim wieku? To byłoby pretensjonalne!

- Przeciwnie, wręcz przeciwnie! Głupie niemieckie nazwisko może sprawić, że nikt cię nie dostrzeże. Natomiast jeśli kończyć się będzie na „us”, w końcu poświęcą ci trochę uwagi. Gdzie się urodziłeś, moja łanio?

- W Feldkirch, w Vorarlbergu, ale...

- Felkirchus... Nie, zbyt skomplikowane... Poczekaj chwilę... Feldkirch, polny kościółek... Agerotemplum... Nie, to też nie to. Za długie... Trzeba czegoś bardziej neutralnego... Spróbujmy z innej strony... O ile pamięć mnie nie zawodzi, twoje góry zostały kiedyś podbite przez cesarza Augusta, który nadał tej nowej rzymskiej prowincji nazwę „Rhetia”. He? Rheticus! To brzmi dobrze. Zarazem wojownik i uczonec! Oto ochrzciłem cię, moja słodka dziewczeczko! Postanowione: Rheticus. Niezwłocznie napiszę parę słów do mego wesołego kompana Melanchtona, by mu cię polecić. Natychmiast pojedziesz do Wittenbergi i zapiszesz się na uniwersytet. Matematyka, astronomia, teologia w sosie luterańskim - to będzie dobra mieszanka dla twojej wolności i bezpieczeństwa. Z ładnym tytułem rycerza, który zamaskuje cię jeszcze lepiej. Musisz opuścić Zurych. Zwingli to fanatyk. Czy wygra, czy przegra z tymi pięcioma kantonami,

w końcu zwróci się przeciwko ludziom takim jak ja lub ty.

- Ale nie mogę opuścić matki...

- Głuptasie! Zabierz ją ze sobą! W Wittenberdze nikogo bardziej nie kochają od wdów po męczennikach papistów. Z łatwością znajdziesz dla niej jakiegoś starego kupca, bogatego i samotnego, dogorywającego na górze złota. Chodźmy, trzeba mi wyruszyć w drogę. Rozkoszny to moment, w którym pozostawia się za sobą tylko zwyciężonych wrogów i złamane serca. Być może pewnego dnia znowu się spotkamy, jeśli pozwoli na to boski przypadek. Adieu, Rheticusie!

I Paracelsus dosiadł konia, prawie tak rudego jak jego właściciel. „Kochany stary diabeł!”, wymruczał Joachim, patrząc, jak szeroką, prostą aleją, w tumanach mokrego śniegu oddala się na swym kościstym wierzchowcu pulchna sylwetka.

Diabeł - owszem - i kto wie, czy podobnie, jak w opowieści o doktorze Fauście, Rheticus nie zaprzedał mu właśnie swojej duszy...

Tego dnia, jedenastego października tysiąc pięćset trzydziestego pierwszego roku, szwajcarski prorok reformacji Ulrich Zwingli zginął, zabity przez katolickie wojska w bitwie pod Kappel. Mikołaj Kopernik rozesał pocztowym dylizansem dwadzieścia kopii swojego dzieła O obrotach sfer niebieskich, które rozpowszechniło się we wszystkich środowiskach uczonych i filozofów, w bibliotekach spadkobierców Hermesa Trismegistusa i Pitagorasa.

Joachim Rheticus - alias Retyk - miał osiemnaście lat, kiedy osiedlił się w Wittenberdze, by uczestniczyć w wykładach na jej renomowanym uniwersytecie. Teraz, kiedy reformacja zagościła w Saksonii na dobre, prawdziwy zwierzchnik uczelni Filip Melanchton uznał, że czas najwyższy powrócić do naturalnych skłonności, które pchały go bardziej w stronę Erazma niż Lutra. Zezwolił więc, by nauczanie, zdecydowanie lżejsze bez średniowiecznego balastu i w końcu uwolnione od retoryki, scholastyki i

innych bezużytecznych materii, otworzyło się na wszelkie nowe idee. Oczywiście poza kwestiami dotyczącymi religii, na polu której miał miejsce odwrotny proces: po paru próbach ułożenia się z Rzymem zaczął konstruować, jak fortecę, nowy dogmat.

Pośród tych nowych idei znalazła się myśl Kopernika. W ten sposób Melanchton dał do zrozumienia Albrechtowi Hohenzollernowi, że jego apel o skazanie na śmierć polskiego astronoma był czystą figurą retoryczną, której nie należało brać dosłownie. Pozostał jednak wierny poglądom Ptolemeusza, starając się ugasić tłący się lont tej beczki prochu, do jakiej ciągle podobny był heliocentryzm, twierdząc, iż teoria fromborskiego kanonika nigdy nie była niczym więcej, niż nową metodą przewidywania pozycji kątovej planet. Upoważnił jednak swego dawnego ucznia Erazma Reinholda, którego niedawno mianował profesorem matematyki elementarnej, do nauczania kopernikańskiej teorii, pod warunkiem jednak, że będzie poddawana dyskusji.

Duch tolerancji, królujący od tej pory na uniwersytetach w Wittenberdze, Norymberdze i Tybindze, oddanych reformacji i zreformowanych dzięki jego wysiłkom, niepozbawiony był głębszego zamysłu. Otóż w tym samym czasie ich włoskie odpowiedniki jeszcze sztywniej stały na straży starej arystotelesowskiej scholastyki i obserwowały odpływ zagranicznych studentów, poczynając od słuchaczy nacji niemieckiej.

Kiedy Retyk stawił się u niego, Melanchton nie potrzebował zaglądać do listów polecających Paracelsusa i swojego dawnego studenta Achillesa Gassera, by dostrzec, że oto ma przed sobą rzadką perłę, chłopca, którego wyjątkowe talenty potrzebowały tylko rozkwitnąć. Czy jego także podbiła bijąca od tego blond archanioła piękność? Trudno powiedzieć. Jak jego korpulentny przyjaciel Marcin Luter nie potrafił ukryć żadnej myśli, żadnego z targających nim uczuć niczym wiecznie sprężony do skoku tygrys, tak Filip Melanchton zawsze umiał się opanować z tą spokojną czujnością drzemającego kota.

Po zaledwie czterech latach studiów Retyk został magistrem sztuk i w wieku dwudziestu dwóch lat objął katedrę matematyki elementarnej uniwersytetu w

Wittenberdze, podczas gdy jego poprzednik Erazm Reinhold, starszy od niego o trzy lata, przeszedł na katedrę matematyki wyższej. Aby otrzymać dyplom, Retyk błyskotliwie odpowiedział na pytanie zadane mu przez Melanchtona dotyczące zasadności astrologicznych przepowiedni.

Praca nauczyciela pozostawiała mu na tyle dużo wolnego czasu, że mógł rozwijać własne zainteresowania w dziedzinie astronomii. Melanchton odradził mu kontynuowanie badań w zakresie alchemii jeszcze ostrzej niż Paracelsus studia nad medycyną. Uczynił to o wiele mniej zabawnie, przytłumionym, nawet trochę groźnym głosem. Retyk podporządkował się jego zaleceniom i zszedł, przynajmniej na razie, z drogi wytyczonej przez swego ojca, odkładając na później wypełnienie przysięgi, jaką złożył pod płonąącym stosem w Feldkirch: pomścić męczennika, przerastając go.

Relacja między dwoma młodymi profesorami matematyki uniwersytetu w Wittenberdze daleka była od braterskiej zażyłości. Melanchton nie robił nic, by zmienić ten stan rzeczy: pragnął, by uległy Reticus został jego następcą w obronie astronomii Ptolemeusza, albowiem Erazm Reinhold, który przybrał imię jednoznacznie sugerujące jego przekonania religijne i filozoficzne, dyskretnie głosił starannie wybranym studentom nowe poglądy Kopernika. Dwaj magistrowie sztuk, których wzajemna niechęć, choć milcząca, była niemal namacalna, unikali się jak ognia. Spotykali się wyłącznie po to, aby uzgodnić programy nauczania na początku każdego semestru, a w ciągu roku akademickiego - by omówić inne, ściśle pedagogiczne sprawy. Reinhold, tytan pracy i - mimo młodego wieku, ojciec rodziny - uważał Retyka za powierzchownego i nazbyt zniewieściałego; Retyk natomiast zaliczył profesora matematyki wyższej do grupy ciężko harujących wyrobników. Przede wszystkim miał mu za złe całkowitą obojętność na jego wdzięk i polot.

Pewnego dnia, gdy Retyk odwiedził swego kolegę, by podkreślić zalety jednego z ubiegłorocznych studentów, zauważył na stole Reinholda wolumin oprawiony w gruby karton zszyty zwykłą nicią. Przedstawiając sprawę, z którą przyszedł, kątem oka przeczytał z ułożonej do góry nogami okładki łaciński tytuł pozbawiony nazwiska autora,

wypisany grubą czcionką na zgrzebnej, poźółkłej etykiecie.

- De revolutionibus orbium coelestium... Czy to nowy astronomiczny traktat pan przygotowuje, drogi przyjacielu? - spytał uprzejmie.

Reinhold niezręcznie zgarął z pośpiechem plik papierów w kartonowej okładce i położył go na stoliku za swoimi plecami.

- To niezawierający nic ciekawego rękopis, który przesłał mi pewien stary, trochę szalony kanonik papista żyjący jak pustelnik gdzieś na kresach swojego rodzinnego kraju, Polski, parający się astronomią. Jest jednym z tych dziwaków, którzy uważają, że dokonali epokowego odkrycia, a w rzeczywistości wynaleźli żyłkę do przecinania masła. Pan także musi dostawać sporo tych wypocin. Nieprawda? Przez tych ludzi tracimy nasz cenny czas, ale musimy wszystko to dokładnie czytać... Czasem można w tych śmieciach znaleźć kilka perełek.

Trochę przesadził z tą udawaną obojętnością i znudzeniem, co w rezultacie pobudziło ciekawość Retyka. Tonem najłżejszym z możliwych odpowiedział:

- Niech więc mi je pan pożyczycy! Delektuję się takimi przejawami głupoty. I kto wie, czy pewnego dnia nie skomponuję z nich antologii, którą zaprezentuję moim studentom. Jestem głęboko przekonany, że śmiech może być doskonałą metodą nauczania.

- Niestety, nie mogę. To dzieło zostało mi powierzone przez wielebnego Melanchtona i jest to jedyny egzemplarz na świecie.

- Ale! Wydawało mi się, że słyszałem, jak mówił pan przed chwilą, że ten polski kanonik przesłał je panu - odparł beczelnie Retyk.

Reinhold zbladł: został przyłapany na jawnym kłamstwie. Skrócił rozmowę, jak tylko się dało bez uchybiania uprzejmości. Rheticus udał się zatem do Melanchtona i, maskując

palącą go ciekawość, zapytał:

- Właśnie kończę komentarz na temat Sfery przypisywanej Proklosowi. Ale zanim powierzę go drukarzowi, być może będę potrzebował dodatkowych informacji. Czy słyszał pan, wielbny, o jakimś polskim kanoniku, który napisał coś interesującego na ten temat?

- O Koperniku z Torunia? Kto panu o nim powiedział?

Melanchton zadał to pytanie swoim wibrującym głosem kota zwiniętego w kłębek na ulubionym fotelu, który na chwilę wypuszcza mysz z pazurów, pozwalając jej pobiegać. Trzeba było rozegrać rzecz bardzo ostrożnie.

- Już nie pamiętam. Możliwe, że doktor Paracelsus, gdy spotkaliśmy się w Zurychu... Ale zna pan lepiej ode mnie dziwactwa tego jegomościa i... Nie wiem zresztą, czy wymienił to nazwisko, czy jakieś inne. Poza tym Polacy noszą takie nazwiska, że bardzo trudno je zapamiętać...

Reformator, zazwyczaj tak nieufny, nie dostrzegł w tym żadnego podstępu. W tajemnicy sporządził horoskop swego dawnego studenta, który utwierdził go w przekonaniu zarówno co do geniuszu Retyka (co nie mijало się aż tak bardzo z prawdą), jak i jego prostoliniowości. W tym punkcie dał się zmylić „anielskiej gębie” Joachima. Odrzekł zatem, umiejętnie uderzając we właściwą strunę:

- Mój synu... Pozwoli pan, że go tak nazwę, bo czy w końcu nie jestem w jakiejś części rodzicem wspaniałego profesora, jakim się pan stał? Mój synu, zostaw te nowe teorie, bardzo niekanoniczne, swemu starszemu koledze Erazmowi Reinholdowi. On takie uwielbia. Pan niech się zadowoli sięganiem do źródeł, do starożytnych i ich mądrości. Może utemperuje to trochę - jestem niepoprawnym optymistą - pańską porywczosć i pański nie do końca uporządkowany entuzjazm.



Retyk za dobrze znał dawnego profesora, by nie domyślić się, co skrywała ta niezmiennie złośliwa ironia. Wszedł ze spotkania bardzo z siebie zadowolony: poznał nazwisko autora tajemniczego manuskryptu; *De revolutionibus* ewidentnie nie było dziełem postrzeleńca. Przeciwnie, poczuł, że pod tą tekturową okładką kryje się coś o wiele ważniejszego niż powiedzieli mu Melanchton i Reinhold. Teraz musi sprawić, żeby uwierzyli, iż sprawa jest zamknięta, że zapomniał, i dyskretnie rozpocząć samodzielne poszukiwania.

Wytrwał do dorocznego zamknięcia uniwersytetu, jednak nazwisko Kopernik prześladowało go. Starał się dowiedzieć czegoś na jego temat w Montpellier, u Achillesa Gassera, i od Paracelsusa, do którego list, zdając się na łut szczęścia, wysłał do Strasburga, Zurychu, Norymbergi i Bazylei - takie adresy podał mu ten dziwny wędrowny lekarz. Achilles w odpowiedzi napisał mu, że nic na ten temat nie wie; od Paracelsusa nie otrzymał w zamian nic poza milczeniem. W tym czasie nie pozostawał beczynny, publikując jedno po drugim *Podstawy astronomii Alfraganusa*, *Sferę Proklosa*, *Computus* i traktaty *Sacrobosco*, nieco upraszczające zagadnienie, które opatrzył komentarzem i swoim przydomkiem.

Co do Reinholda, ogłosił on drukiem dzieła trudniejsze, między innymi przeraźliwie skomplikowane i nudne tablice matematyczne; wszystko odbywało się bez wzajemnych animozji, każdy trzymał się swojej działki: matematyki elementarnej w przypadku pierwszego, wyższej w przypadku drugiego. Wittenberga stawała się europejską stolicą cyfr, liczb i gwiazd. Zaś Melanchton był w siódmym niebie. O ile taki człowiek mógłby się tam znaleźć.

Na koniec tego roku uniwersyteckiego tysiąc pięćset trzydziestego siódmego kawaler i magister sztuk Joachim Georg Iserin von Lauchen, alias Rheticus, wystąpił do wielkiej rady wittenberskiej uczelni o bezterminowy urlop, który przyznano mu bez najmniejszych problemów. Zadeklarował, że będzie wędrował od jednego reformowanego uniwersytetu do drugiego w celu zebrania wszelkiej użytecznej wiedzy astronomicznej, niczym czeladnik złotnika krążący od mistrza do mistrza i z miasta do

miasta, by nauczyć się rzemiosła przed powrotem do kraju, gdzie - mocny zdobytą wiedzą - stworzy dzieło swojego życia.

Pomysł wydawał się wcale piękny i użyteczny dla Melanchtona, który poprosił swego młodego kolegę, by sporządzał szczegółowe raporty dotyczące odwiedzanych uczelni i ich profesorów. Ponieważ wysłannik tego rodzaju nie powinien podróżować samotnie, przydzielił Retykowi asystenta, utalentowanego alzackiego studenta Heinricha Zella. Melanchton, ten wnikliwy teoretyk reformacji, cechował się szczerą naiwnością w dziedzinach innych niż teologia. Nie spostrzegł więc, że Retykiem kierowały inne powody niż rzeczywiste zdolności w dziedzinie matematyki, gdy tak chętnie zgodził się przyjąć na sekretarza tego urodziwego bakałarza...

Wyruszyli w drogę pod koniec wiosny tysiąc pięćset trzydziestego siódmego roku. Na polach i łąkach pasterki oraz wieśniaczki obserwujące przejazd dwóch młodych i pięknych jeźdźców rzucały w ich stronę radosne, swawolne zaczepki. W miastach, za zamkniętymi okiennicami niejedna młoda dziewczyna długo marzyła, że zostaje porwana i uwieziona na ich rącznych wierzchowcach, daleko od starych mężów, którym były przyrzeczone.

W Ingolstadt, stanowiącym pierwszy etap podróży, Retyk odwiedził profesora matematyki Petrusa Apianusa, słynnego autora *Cosmographicus liber* tłumaczonego w całej Europie i zręcznego konstruktora przyrządów astronomicznych. Apianus przyjął młodszego kolegę życzliwie, nie bez pewnej próżności, pokazując mu przygotowane plansze do wielkiego dzieła, dedykowanego Karolowi V i jego bratu, arcyksięciu Ferdynandowi, pod trochę zbyt unieżenie brzmiącym tytułem: *Astronomicum Caesareum*. Na pierwszy rzut oka zrobiło to wszystko na Retyku spore wrażenie: na każdej planszy Apianus bardzo sprytnie umieścił ruchome, obrotowe tarcze - papierowe instrumenty astrologiczne - pozwalające na obliczenie z zadziwiająco dokładnością pozycji i ruchu ciał niebieskich. Ten rodzaj papierowego astrolabium, używany do określania długości astronomicznych, cechowała niezwykła pomysłowość. Kilka minut manipulacji przyrządem pozwalało określić na przykład długość astronomiczną planety z

dokładnością do jednego stopnia. Ale, oczywiście, Apianus poruszał się wyłącznie w ramach systemu ptolemejskiego. Potrzeba więc było pięciu obrotowych tarcz, by odtworzyć ruchy centralne, mimośrodowe i epicykliczne Marsa oraz trzech jedwabnych nici, z których każda zaopatrzona była w małą przesuwaną kuleczkę, umieszczonych w poszczególnych punktach centralnych i służących za linie do odczytywania cyfr na obrotowych tarczach. Na sąsiedniej stronie Apianus planował umieszczenie tablic podających pozycje bazowe planet dla każdego wieku od siedmiu tysięcy lat przed Chrystusem do siedmiu tysięcy lat po Nim. „Data najodleglejsza - uściślał - jest tą, którą podał Alfons X Mądry jako początek świata i stworzenie Adama”.

W tym momencie Retyk spytał go o Kopernika. Twarz jego rozmówcy, dotąd jowialna i opromieniona blaskiem, jaki często gości na obliczach uczonych lub artystów przekonanych, że ukończyli dzieło życia, nagle się zachmurzyła. Wygłosił diatrybę na temat tego niebezpiecznego szaleńca, ateisty, bluźniercy, którego zresztą i Luter, i Melanchton potępili - był to zresztą główny argument, jakim się posługiwał. Tak więc Retyk, mocno zawiedziony, pożegnał swego gospodarza. Towarzyszyło mu wrażenie, że z powodu ślepego zaufania do Ptolemeusza stracił mnóstwo czasu i osiągnął jedynie to, że udało mu się skonstruować przy pomocy wielkiej ilości węzłów i spirali poplątany labirynt. W sumie, mimo pozornej piękności, smutna do łez robota...

W Tybindze, skądinąd najświetniejszej szkole astronomicznej, w której odbył studia Melanchton, na pytanie dotyczące Kopernika zadane dostojnemu i bardzo uczonemu Joachimowi Camerariusowi, usłyszał Retyk taką samą odpowiedź: próżne byłyby starania o przybliżenie poglądów bluźniercy lub podanie tytułu jakiegokolwiek pisma tego kanonika papisty, wysłannika szatana.

Te same wymijające odpowiedzi, te same wykręty usłyszał w Norymberdze. Kierujący uczelnią Johann Schöner miał jednak reputację niepoprawnego i nonkonformistycznego alchemika i astrologa, na tych obszarach dosyć szybko się z Retykiem zrozumieli. Młody profesor z Wittenbergi szybko zauważył, że ten surowy, cnotliwy sześćdziesięcioletni wdowiec bynajmniej nie pozostaje obojętny na jego uroki.

Z pewnością musiał włożyć sporo trudu, by tamten mu uległ. Niemniej jednak to właśnie w łożnicy na próżno próbował wydrzeć mu sekret tajemniczego Kopernika, ku wielkiej rozpaczy osamotnionego w swojej izbie Zella.

Nazajutrz, kiedy Joachim i Heinrich zwiedzali wspaniałe miasto, ktoś ich zaczepił przed domem przedwcześnie zmarłego słynnego malarza Dürera.

- Ho, ho! Rheticus! Von Lauchen! Iserin! Jakby nie brzmiało imię, które nosisz, Cezarze matematyki, mężczyzno wszystkich kobiet, kobieto wszystkich mężczyzn!

Był to Paracelsus. Niewysoki rudowłosy lekarz wydawał się toczyć jak piłka opadającą stromo ulicą; jego ogromna szpada podskakiwała na każdym kamieniu. Obracał w dłoni grubą łaskę z drzewa oliwnego, której gałka wykonana z kości słoniowej przedstawiała Sfinksa. Dwaj mężowie padli sobie w ramiona.

- Cholera! Urocze masz asystenta, widzę, że ci się nie nudzi - rzucił Paracelsus, kiedy Retyk przedstawił mu Heinricha Zella. - Twoja podróż chyba nie należy do ponurych.

Od ich pierwszego i zarazem ostatniego spotkania Retyk nabrał pewności siebie. Odciął się więc:

- Zell posiada wiele innych talentów, stary ośle, i nie znam nikogo, kto by potrafił sporządzić mapę lepiej od niego.

Słyszając epitet, jakim ochrzcił go rozmówca, zadufany w sobie Paracelsus instynktownie się cofnął, czego Retyk nawet nie zauważył. Wędrowny medyk zawahał się nawet przez moment, czy nie dzielić bezczelnego młodzika łaską. Powstrzymał się jednak i rzekł:

- Język wysechł mi na wiór. Chodźmy zwilżyć gardło do tej tutaj gospody. Podają tu

najlepsze piwo w kraju. W dodatku doskonale wpływa na diurezę: wypijesz jedno, wysikasz dwa. Wierz księciu obojga medycyn, medycyny ciała i medycyny ducha.

„Z wiekiem coraz bardziej próżny i zadufany w sobie - pomyślał Retyk. - Nie dotknijmy go przypadkiem. Kto wie? Może ten oryginał, który wszystkich zna, będzie mógł udzielić mi jakichś informacji o tym, czego szukam...”

We wzmiankowanej gospodzie do późnej nocy oddawali się temu, co Paracelsus nazywał „popisem alkoholowym”. Mówił, pił, mówił, pił... Ale mówił tylko o sobie! Jeśli mu wierzyć, podróżował aż do Indii, odwiedził Persję, Grecję, dotarł do Egiptu i znalazł się u stóp wielkiej piramidy... W końcu raczył zainteresować się swoim rozmówcą:

- A ty, wyrodny synu Izraela, co robisz w Norymberdze? Myślałem, że jesteś oddanym wasalem tego kutwy Melanchtona, magistrem sztuk w Witteberdze, u tego grubego mnicha Lutra!

Ten przytyk do jego żydowskiego pochodzenia bardzo nie poszedł w smak Retykowi, który zerknął kątem oka na Heinricha Zella. Lecz jego asystent zdawał się nie wychwycić aluzji, tak bardzo chciał zapisać w pamięci każdy moment tego historycznego spotkania. Objaśniwszy, na czym polegała powierzona mu misja inspekcji różnych luterzańskich uniwersytetów, Joachim przeszedł w końcu do tematu, który nurtował go od chwili wyjazdu:

- Ty, który uważasz, że znasz wszystkich w pseudochrześcijańskim świecie, słyszałeś pewnie o jakimś polskim kanoniku parającym się astronomią, który...

- O Koperniku? Masz na myśli Mikołaja Kopernika? To mój najbliższy przyjaciel! No, powiedzmy, jeden z najbliższych... Uczynił mi nawet zaszczyt, przesyłając swe wzniosłe dzieło: O obrotach sfer niebieskich.

- O czym ono opowiada?

- O niczym innym, dziecinko, jak o tym, że pośrodku Wszechświata znajduje się Słońce. Ziemię redukuje do rangi pospolitej planety, podobnej do innych, która obraca się dookoła Słońca. Kopernik jest w stosunku do Ptolemeusza tym, czym Paracelsus wobec Galena: jego sędzią, jego katem! Kopernik i Paracelsus zmienili oblicze świata!

W tym momencie Retyk padł bez zmysłów. Upadł na wznak, głową waląc w zatłuszczonej posadzkę gospody; nogi zaklinowały się między ławą a stołem. To nie morze wyżłopanego piwa spowodowało utratę świadomości. Przerażony Heinrich Zell przechylił nad jego twarzą karafkę z wodą. Paracelsus odsunął go ze słowami:

- Ustąp miejsca księciu obojga medycyn, kochaneczku!

I wymierzył nieprzytomnemu Retykowi o parę energicznych policzków więcej, niż wymagał stan pacjenta. Zrekompensował sobie w ten sposób „starego osła”, epitet sprzed momentu, który ciągle trawił po usłyszeniu go z ust tego żółtodzioba. Retyk oprzytomniał. Usiadł, ukrył twarz w dłoniach i wymruczał:

- Słońce, wielkie tabernakulum, dusza świata... W centrum... Ziemia, my, krążący wokół niego. Dlaczego nikt nie pomyślał o tym przed nim?

Uniósł głowę. Łzy płynęły mu po policzkach.

- Postawiłeś bardzo ważne pytanie, Retyku - odpowiedział Paracelsus. - I nikt nie jest w stanie na nie odpowiedzieć. Nawet sam Kopernik. Nawet ja. Dlaczego on jest pierwszy, a nie tamten? Dlaczego Kopernik, a nie Regiomontanus, dlaczego Erazm, a nie Ficino, dlaczego Paracelsus, a nie Fracastor?

- Muszę się spotkać z tym człowiekiem. Muszę wyrwać mu jego tajemnicę. Ty, który znasz go dobrze, poleć mnie. Powiedz mi, w jaki sposób mogę...

Słyszając tą prośbę, Paracelsus ukrył zakłopotanie. Trochę zbyt pochopnie pochwalił się zażyłą relacją z kanonikiem z Fromborka. Należał wprawdzie do wąskiego grona wybrańców, którzy otrzymali kopię O obrotach...; genialny lekarz, praktykujący wtedy w Bazylei, poświadczył otrzymanie dzieła, obiecując wyrażenie opinii na jego temat w późniejszym terminie. Czego zresztą nigdy nie uczynił. Przez moment miał nawet ochotę odwiedzić go na tej jego dalekiej Warmii, ale stale przesuwał datę podróży.

Udając, że długo się namyśla, w końcu powiedział:

- Spotkać się z nim? Ty? To bardzo trudne, bardzo trudne... Mówiono mi, że ów jegomość zamknął się w swoim obserwatorium i nikogo nie przyjmuje. Albowiem heliocentryzm, gdyż tak nazywa się jego teorię, wielu ludziom napędził stracha. Grożono mu nawet śmiercią. Autorem pogrózek był nie byle kto: twój dawny profesor, kochanieńki, twój obecny przełożony, mam na myśli tego starego pierdziela Melanchtona.

- Teraz wszystko rozumiem...

- Nie przerywaj mi, proszę. Bo im więcej o tym myślę, tym bardziej cała sprawa wydaje mi się delikatna. Być może powinieneś pomówić ze starym Schönerem...

- Właśnie od niego wracam. Twierdzi, że nigdy nie słyszał o Koperniku.

- Kłamca, oszust, tchórz! Nie wcześniej niż trzy dni temu pokazywał mi korespondencję, jaką prowadzi z uczonym z Fromborka. Nie, nikt nie powie, że Paracelsus zniża się do poziomu tych służalców. No dobrze, wyznam ci prawdę: trochę przesadziłem, mówiąc ci przed chwilą, że jestem na „ty” z tym drugim gigantem.

- Drugim? Jakim „drugim”?

- Och, ja i Kopernik, na Boga! O kogo innego miałyby chodzić? Po prostu

wymieniłem z nim sporo listów. Dwa tak potężne drzewa, jak Kopernik i Paracelsus nie mogą rosnąć jedno w cieniu drugiego.

- Jeśli tak twierdzisz... - odrzekł ironicznie Retyk, rozgoryczony nieco szachrajstwem dawnego kochanka.

- Tak, ja tak twierdzę - ciągnął samozwańczy księżę obojga medycyn. - I nie przerywaj mi bez przerwy, słyszysz? Na czym to skończyłem?

Jednym haustem Paracelsus opróżnił swój kufel i zamachał nim w stronę karczmarza, prosząc o następny.

- To samo, ale do pełna, po sam brzeg, nikczemne bydle, królu złodziei! Nigdy nie słyszałeś o zasadzie kapilarności?

Należycie obsłużony, wciągnął swymi wiecznie wydętymi w pogardzie ustami piankę, która bielą obrębiła jego rude wąsy.

- Na czym stanąłem? - powtórzył. - A, tak, to nie będzie proste, mój drogi, spotkać się z Kopernikiem. Nie ufa nikomu, przekonany, że chcą go otruć jak jego wuja, biskupa Warmii. Biorąc to wszystko pod uwagę, kiedy do jego drzwi zastuka protestant lub podający się za takowego, w dodatku uczeń Melanchtona... W dodatku, podług tego, co powiedziała mi w Rzymie pewna dama, której nazwiska nie wymienię, ale która znała go bardzo dobrze, i za którą Ariosto długo wdychał, jest całkowicie nieczuły na miłość sokratejską. Jaka szkoda! Taki wielki człowiek! Nikt nie jest doskonały, co, moje ślicznotki?

I pod stołem wysunął do przodu nogę, umieszczając podeszwę swego buta dokładnie pomiędzy udami Retykowego sekretarza, Heinricha Zella, który, nieprzytomny z uwielbienia, słuchał ich z rozdziawionymi ustami, szeroko otwierając oczy.



- Ale... Wpadł mi do głowy pewien pomysł. Dobrze znam Dantyszka, biskupa Warmii, jego zwierzchnika, pozał się Boże poetę, ale bardzo biegłego dyplomatę o wielkiej erudycji. Spotkałem go w Hiszpanii... Nie, w Salzburgu... Mieliliśmy tę samą kochankę i...

- Na litość boską, Teofraście, błagam cię... - zawołał Retyk.

- Jeśli nie mogę już nic powiedzieć, dobrze, zamilknę, moje dziecko, i radź sobie sam.

Po czym jeszcze napastliwiej naparł na rozporek Zella. I pociągnął dalej:

- Tak, Dantyszek, oto rozwiązanie. Jego stosunki z kanonikiem z pewnością nie należą do najlepszych. Z tego, co zrozumiałem, chodzi o kobietę. Mimo podeszłego wieku ci dwaj księża są jeszcze całkiem jurni! Przeklęte niech będą śluby czystości! Lecz mimo to Dantyszek nie przestaje obsypywać pochwałami Kopernika i jego teorii. Trzeba powiedzieć, że astronom przydaje blasku herbowi jego lichego biskupstwa. W dodatku, choć wszystko ich dzieli na płaszczyźnie religijnej i politycznej, ten katolicki diabeł, mówię o Dantyszku, pozostaje ściśle związany z tą luterańską kanalią Melanchtonem. Ci dwaj bardzo się szanują. Oto piękna filozofia: tolerancji, przyjacielu, boskiej tolerancji! To jak nagły przebłysk słońca, skrawek błękitnego nieba pośrodku tej idiotycznej burzy, która bynajmniej nie przemija w tym okrutnym świecie, gdzie wypruwają sobie nawzajem flaki w sporze o dziewictwo matki Chrystusa. Niezglobiony problem! A mówiąc niezglobiony, mam na myśli...

- Ciszej, proszę cię!

- Zaraz napiszę ci list polecający dla Dantyszka. Hej, karczmarzu, podaj no tu atrament, pióro i papier, jeśli w ogóle te przedmioty istnieją w tej norze pełnej analfabetów! I jeszcze trzy piwa, dla mnie i moich malców! Chcesz, żebym wysechł z pragnienia, morderco, wrogu mądrości i rozumu?

Jego noga, idąc za słowami swego właściciela, stała się jeszcze bardziej niespokojna. Wpatrzony w kreślące na papierze znaki pióro Paracelsusa, Retyk czuł, jak wzbiera w jego duszy dziwne, podniecające uczucie. Jakby utrudzony wędrówką po krętych ścieżkach, grzęznąąc w kałużach błota i wykręcając sobie nogi w koleinach, wydostał się w końcu na szeroką, prostą drogę, w głębi której otwierał się na jego przybycie pałac ze złotym dachem, wyciągając ku niemu ogromne skrzydła z przepastnymi oknami patrzącymi sponad schodów o marmurowych stopniach.

Podczas gdy atrament wysychał, Paracelsus chwycił swą ciężką, dziwną laskę z drzewa oliwnego, która dotąd wisiała na oparciu krzesła. Zdjął gałkę z kości słoniowej w kształcie sfinksa. W środku laska była wydrążona. Wyjął z niej długi cienki walec z czerwonego jedwabiu, który otworzył, wyjmując z niego zwój pożółkłego papirusu. Delikatnie owinął list dookoła niego, a całość wsunął do pokrowca, który następnie ukrył we wnętrzu laski. Potem nałożył gałkę z powrotem.

- Czy uczynisz mi ten zaszczyt i wytłumaczysz mi to... - zapytał Retyk w równym stopniu zaintrygowany, co poirytowany tajemniczością przyjaciela.

- Widzisz, ta laska to moja odpowiedź na nadesłane mi przez Kopernika dzieło O obrotach sfer niebieskich. To bardzo cenny przedmiot. Przede wszystkim nie zgub jej i przekaz już podczas pierwszego spotkania Kopernikowi. Znam cię na tyle, by wiedzieć, że jak tylko stracę cię z oczu, poznasz treść pisma. Zrozumiesz wtedy, dlaczego jedynie Kopernik może otrzymać ten dar pochodzący od niejakiego Paracelsusa. Sam dostałem ją od starego perskiego astrologa na łożu śmierci, który posiadał obserwatorium na szczycie wieży pośród ruin Babilonu. Mówił, że odziedziczył ją po odległym przodku, sławnym al-farghanim, alias Alfraganusie, który sam... Nie, w tym miejscu muszę zamilknąć. Jednak wydaje się, że ta laska mogła zostać wyrzeźbiona z kija, którym Euklides kreślił swoje figury na piasku plaż Aleksandrii. Ach, wyobrażam sobie, jaką minę zrobi stary kanonik, kiedy, czytając rękopis, jaki kryje ta laska, zorientuje się, że nie jest pierwszy. Że nigdy nie jest się pierwszym!

I Paracelsus wybuchnął swym homerycznym śmiechem. Wręczył „laskę Euklidesa” Retykowi, a następnie, zamiast pożegnania, skrzyżował ramiona na stole i ułożywszy na nich głowę, w jednej chwili usnął, a jego chrapanie poczęło wstrząsać murami gospody.

## X

- Na Boga, młody człowieku, nawet jeśli uda się panu wejść do kryjówki tego starego niedźwiedzia, nie będzie widać końca pańskich trudów. Nawet mnie, jego biskupowi, nigdy się to nie udało. Regularnie odrzucał moje zaproszenia, gdy pragnąłem gościć go tutaj, w Lidzbarku. Zresztą wciąż nie do końca rozumiem, dlaczego protestant taki jak pan, uczeń mego przyjaciela Melanchtona, profesor matematyki, interesuje się wypocinami na poły szalonego, ciemnego kanonika.

Retyk nie mógł powstrzymać uśmiechu, słuchając tej tyrady Jego Eminencji biskupa Warmii. Jeżeli Paracelsus mówił prawdę, spór między Kopernikiem a Dantyszkiem dotyczył jedynie jakiejś historii z kobietą. Dziwi w takim razie - pomyślał - ta niezwykła zawziętość u tak subtelного i uczonego dostojnika.

- Tak więc nie mogę zbyt wiele dla pana zrobić, mój drogi - kontynuował biskup - poza wydaniem panu paszportu, który pozwoli panu podróżować, gdzie się panu spodoba, po całej Polsce. Czynię to w imię mojej starej przyjaźni z Melanchtonem. Niech się pan stara unikać nadmiernego manifestowania pańskich przekonań religijnych. Pełno w okolicy fanatycznych mnichów, którzy mogliby kazać gminowi obedrzeć pana żywcem ze skóry.

- O to, Wasza Wielbność - odparł Retyk z właściwą sobie wyszukaną lekkością - proszę się nie obawiać. Marny ze mnie wyznawca...

Teraz z kolei uśmiechnął się Dantyszek. Ten błyskotliwy młodzieniec wystrojony podług najnowszej paryskiej mody w szeroką krezę, wstążki i przybrany piórami kapelusz, nie wyglądał na zagorzałego, radykalnego luteranina; wręcz przeciwnie.

- Doskonale - odparł na to biskup. - Być może wyda się to panu zaskakujące, ale mimo to radziłbym panu udać się wpierw do Królewca i pokłonić się Jego Wysokości księciu Albrechtowi, jednemu z pańskich współwyznawców. Wydałoby mu się

podejrzane, gdyby uczeń Melanchtona nie złożył mu wizyty. Jak zapewne się pan domyśla, stosunki między katolickim Królestwem Polski a rzekomo luterzańskim Księstwem Pruskim nie są najlepsze, jednak mamy wspólnego wroga, zagrażającego zarówno jednemu, jak i drugiemu: Moskwę. Tak więc poproszę pana o małą przysługę. Niech pan dostarczy to pismo księciu i pospieszy z powrotem z odpowiedzią. Zdaje mi się, że jest pan człowiekiem wyjątkowym, panie Retyku. Niechże więc posmakuje pan trochę dyplomacji. To wyrafinowana przyjemność dla smakoszy.

- Ale Wasza Wielbność prawie mnie nie zna. Mogłem przecież zmyślić moją podróż i cel, jaki mnie tutaj przywiódł. Mogę być szpiegiem na usługach kogokolwiek, cesarza na przykład...

- Jakież pan jest jeszcze młody, mój chłopcze! Pańskie przybycie poprzedził list mistrza Melanchtona, który prosił mnie o udzielenie panu wszelkiej pomocy. Popiera na całej linii pańską wizytę u Kopernika. Pomimo że ich relacja nigdy nie należała do nazbyt przyjaznych.

Retyk przygryzł wargi. W jaki sposób jego dawny profesor się dowiedział? Kto go o tym poinformował? Pijak Paracelsus, stary kłamca Schöner czy może po prostu Heinrich Zell, ten przymilny sekretarz, którego narzucił mu Melanchton? Tym lepiej, prawdę powiedziawszy! Zgodził się na powierzoną mu przed chwilą przez biskupa Warmii misję przy pruskim księciu. On, syn żydowskiego lekarza spalonego za uprawianie magii, stykał się teraz z wielkimi tego świata. Zaprawdę, piękna odpłata losu!

Dantyszek wręczył mu dużą fioletową kopertę opatrzoną wielką czerwoną pieczęcią, z której zwieszała się również fioletowa taśma ze znakami herbowymi warmińskiego biskupstwa. Retyk wstał, przyjął list, rozumiejąc, że wizyta dobiegła końca. Ucałował pierścień dostojnika i już zbierał się do wyjścia, gdy Dantyszek zawołał:

- Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Tiedemann Giese, oczywiście! Stary dobry Giese. To jedyna osoba, która byłaby w stanie doprowadzić pana do Kopernika.

- Któż to jest?

- Mój odpowiednik na stolicy biskupiej w Chełmnie. Po pańskim powrocie napiszę panu list polecający do niego. To jedyny przyjaciel, jaki pozostał temu staremu niedźwiedziowi. Godna podziwu cierpliwość! Do tego stopnia, że czasem się zapytuję, czy...

Dantyszek powstrzymał się od przytoczenia obrzydliwej plotki, jaka krążyła na temat obyczajów biskupa Chełmna, plotki, której wielką zaletą było to, że dotykała także kanonika astronoma. Otóż właśnie się spostrzegł, że jego zbyt pięknego i zbyt uroczego gościa także może spotkać oskarżenie o zbrodnię sodomii. Czyż nie był przyjacielem Paracelsusa? Jeżeli jego podejrzenie się potwierdzi i jeśli Retyk przedłuży choć trochę swój pobyt we Fromborku, nawet papież Paweł III, Aleksander Farnese, nie będzie mógł już nic zrobić dla swego protegowanego Mikołaja Kopernika. Biskup nie dokończył więc rozpoczętego zdania i poprzestał na odprawieniu młodzieńca gestem urękawiczonej i upierścienionej dłoni.

Długa i usiana zasadzkami była droga do spotkania z tym tajemniczym człowiekiem, który ośmielił się umieścić Słońce w centrum świata. Księżę przyjął go łaskawie w swoim zamku w Królewcu, również uprzedzony o jego wizycie przez Melanchtona. Jego wątpliwości rozwiały się do końca: Heinrich Zell rzeczywiście otrzymał zadanie od mistrza z Wittenbergi. Miał śledzić każdy ruch tego, którego został sekretarzem. Albrecht Hohenzollern ze swojej strony obrzucał najgorszymi potwarzami starego kanonika, którego uważał za szaleńca, bluźniercę, papieską kreaturę i intryganta, co miało taki efekt, że jeszcze wzmogło ciekawość Retyka, który już rozumiał, że pod wzgardą, z jaką obnosili się ci dwaj wielcy panowie, wybrzmiewa jakby przejmujący lęk, jakaś święta groza.

Młody podróżnik musiał czekać tydzień, zanim Albrecht przekazał mu odpowiedź dla biskupa Warmii. Odpowiedź bardzo dosadną, gdyż Dantyszek wysłał mu, wraz z czysto

dyplomatycznym listem towarzyszącym, kopię dekretu o wygnaniu luteranów z terenów jego biskupstwa. Szczytem bezczelności był fakt, że wybrany przez biskupa powiernik przesyłki sam był protestantem. Retyk, pionek na szachownicy wielkich tego świata, nie zdawał sobie sprawy z toczącej się rozgrywki; ani razu go też nie niepokojono podczas tej długiej wizyty.

W zamian za liczne przepustki książe rozkazał mu sporządzić kompletną mapę Prus, której wykonanie ładnych parę lat wcześniej obiecał mu Kopernik. Jednak kanonik bez przerwy się wykręcał, podawał tysiąc pretekstów, by pracy nie ukończyć, niewątpliwie chcąc ukryć - jak sądził - swój brak kompetencji w dziedzinie kartografii, tak samo jak ukrywał ignorancję w zakresie astronomii, ponieważ uparcie odmawiał ogłoszenia drukiem swojego domniemanego nowego Almagestu.

Retyk udawał, że gorliwie przytakuje słowom dawnego wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, który teraz odgrywał oświeconego księcia, na florentyńską modłę uważającego się za znawcę we wszystkich możliwych dziedzinach. Ale warto było mieć tę możną osobistość po swojej stronie, tym bardziej że Albrecht kusił go przyszłym stanowiskiem dziekana nowej królewieckiej uczelni.

- Nigdy, przenigdy nie będę służył żadnemu księciu - oznajmił Retyk Zellowi, kiedy pozostawili Królewiec daleko za sobą. Pozostanę wolny, zawsze wolny, bardziej jeszcze wolny niż Paracelsus. Zresztą to ty, Heinrichu, zajmiesz się tą mapą Prus. Doskonałe ćwiczenie dla nowicjusza matematyki. Poza tym mapa... na pewno pomoże ci szlifować twoje inne, ukryte talenty, prawda, podstępny mały szpiegu?

Po powrocie do Lidzbarka Retyk musiał czekać jeszcze tydzień: biskup niestety wyjechał, by złożyć wizytę innemu biskupowi, Tiedemannowi Giesemu, w jego pałacu w Chełmnie. Miał wrażenie, że cały świat sprzyścił się, by mu przeszkodzić w spotkaniu się z tym przeklętym kanonikiem. Na moment poddał się zniechęceniu, gotów był nawet zrezygnować i wrócić do Wittenbergi. Może oni wszyscy mieli rację i Kopernik nie był wart trudu ani czasu, jaki mu poświęcił? Nie! Dojdzie do kresu swych poszukiwań,

choćby tylko po to, by pokazać innym, że nic nie byłoby w stanie wyperswadować mu tego spotkania.

Dantyszek w końcu powrócił, zgodnie z obietnicą dał mu list, w którym polecał go Giesemu, oczekującemu go w Gdańsku o wiele dni drogi konno od Lidzbarka. Dodatkowo, aby nie zapeszyć, Retyk postanowił nadłożyć drogi i szerokim łukiem ominąć Frombork, w którym ukrywał się ten nieuchwytny Kopernik...

- Nie, po trzykroć nie! Nie przyjmę tego osobnika. Mój biedny Tiedemann, wciąż taki naiwny! Dawny uczeń Melanchtona, który robi za gońca między Dantyszkiem a Albrechtem, czyli sługa trzech moich największych wrogów... I ty chcesz, bym pozwolił mu węszyć w moich sprawach? Gdybym cię nie znał na wylot, pomyślałbym, że i ty spiskujesz przeciwko mnie.

Kiedy przyjaciel wpadał w jedną z tych swoich gwałtownych furii, przekonany, że oto jest celem globalnego spisku, Giese miał tylko jedno wyjście: skulić się i przeczekać burzę. Kopernik usiadł i pogrążył się w zamyśleniu; po długim czasie ocknął się i powiedział łagodniejszym tonem:

- Mówisz mi, że chłopca poleca ten szaleniec Paracelsus? Kiedyś wysłałem mu O obrotach... do Bazylei, gdzie się podówczas znajdował; poruszyłem też kilka zagadnień dotyczących medycyny, bo wtedy jeszcze praktykowałem. W odpowiedzi zarzucił mnie swoimi książkami i zaproponował, że wydrukuje mój fascykuł u Frobena, wydawcy Erazma z Rotterdamu. Odmówiłem. Od tamtego czasu Paracelsus zyskał sobie bardzo złą reputację. Czy przypadkiem ten młody człowiek nie jest... A jeśli przykleją mi etykietkę... Wiesz, co mam na myśli...

Kopernik był strasznie zakłopotany. O ile sam nie wątpił w wielką cnotę przyjaciela, którego nigdy nie widział z kobietą, nawet w czasach Ferrary, znał jednocześnie potwarczą plotkę, jaka krążyła na temat nienagannego prowadzenia się biskupa Chełmna, a którą rozpuszczano za każdym razem, gdy pojawiał się duchowny nieposiadający



bękarta lub niezwiązany z kobietą.

- Profesor sodomita w Wittenberdze, u bezkompromisowego i surowego Melanchtona? To niemożliwe - odparł nieco zbyt gwałtownie Giese. - Uważaj, Mikołaju! Z wiekiem zaczynasz wszędzie węszyć zło.

Prawdę mówiąc, wraz z przybyciem Retyka i jego asystenta o dziecięcych rysach, do jego starej biskupiej siedziby wtargnął jakby huragan młodości i entuzjazmu, który do głębi wzburzył samotnego prałata otoczonego wyłącznie przez stetrycziałych księży i głupich mnichów. Kiedy tylko mógł, Giese udawał się do Fromborka, zawsze tak samo poruszony wszechstronną wiedzą tego, którego, nie mogąc nazywać mistrzem, mienił jedynym swoim przyjacielem. Jedynym przyjacielem - to prawda - lecz takim, który tak mocno skupiał się na sobie; nieufny, niecierpliwy, tak łatwo wpadał w złość, kiedy próbował wbić do głowy różne pojęcia matematyczne uodpornionemu na sztukę cyfr Tiedemannowi. Kopernik zresztą często skarżył się, że nie posiada już w matematyce błyskotliwości dwudziestolatka. Spostrzegłszy zatem pełne młodzieńczego zapału matematyczne zamięłowania Retyka, Giese powiedział sobie, że taki uczeń pobudziłby uśpiony geniusz jego przyjaciela lepiej niż niepoprawny stary leń, za jakiego się uważał. Już wiedział, jak przekonać Kopernika, by przyjął młodego matematyka:

- Nawet gdyby Retyk był na usługach twoich wrogów, nawet gdyby przysłano go tutaj, by splamić twoją reputację, odmowa przyjęcia go byłaby gorszym lekarstwem niż sama choroba. Oskarżono by cię o gnuśność i nazwano oszustem. Rozgłaszano by wszem i wobec, że mały, niewykształcony magister sztuk mógłby obrócić wniwecz twoje dzieło.

Czy Kopernik znowu wybuchnie? Nie. Jego twarz na moment się zasępiła, a następnie spokojnym głosem powiedział:

- Kiedy przedstawiś mi twego młodego geniusza?

- Czeka w portowej gospodzie, aż go wezwiesz.

- Niezły podstęp, Tiedemannie! Cofam, co powiedziałem: nie jesteś tak naiwny, jak podejrzewałem. Dobrze rozegrane! Poślij po niego. Ta spelunka nie jest odpowiednim miejscem dla ucznia Melanchtona. Aha, ostatnia prośba! Niech jego sekretarz tam poczeka! Nie chcę się obciążać kolejnym żółtodziobem. Czy ja miałem sekretarza, gdy po raz pierwszy udałem się do mego mistrza Novary?

Z biegiem lat Radom rozrył się i jakby oklapł. Tak że wspinając się za nim po schodach na ostatni poziom wieży, Retyk bynajmniej nie był pod wrażeniem grubego służącego, który ciężko dyszał na każdym stopniu, chwytając się splecionej z grubej liny poręczy. W końcu maja tysiąc pięćset trzydziestego dziewiątego roku zbliżał się do celu swych poszukiwań i odczuwał lęk. Lęk przed rozczarowaniem tym człowiekiem, który umieścił Słońce pośrodku świata. Wyobrażał go sobie jako małego staruszka, zasklepionego w sobie, gadającego w kółko o swojej wyjątkowej hipotezie, jedynym jego tytule do chwały. Młody podróżnik z pewnością zauroczy go bez trudu, podobnie jak wielbnego Giesego, którego wzruszał ponad miarę.

Człowiek, który ukazał się jego oczom, niedbale założywszy nogę na nogę, siedzący w narożniku długiego stołu ustawionego pośrodku obszernej biblioteki, zupełnie nie przypominał osoby, jaką wyobrażał sobie jeszcze parę chwil temu. Ze swą wysoką sylwetką, dużym garbatym nosem, z brodą i długimi szpakowatymi włosami, oczyma spoglądającymi spod gęstych brwi i głębokimi zmarszczkami przecinającymi szerokie czoło, Mikołaj Kopernik miał raczej wygląd starego weterana tysiąca bitew aniżeli nieśmiałego uczonego lub przynajmniej sługi Kościoła przez całe życie pogrążonego w czeluściach swojej pracowni.

Retyk doskonale zdawał sobie sprawę, że jego wdzięk i pozorna spontaniczność w niejednej zawróciły głowie, opromieniając niejednym uśmiechem twarze tych, przed którymi stawał po raz pierwszy. Z wiedzy tej potrafił zręcznie korzystać. Już gdy wchodził, na twarzy zanurzonego w ogromnym fotelu Tiedemanna Giesego zagościł szeroki uśmiech. W przeciwieństwie do niego najmniejszy nerw nie drgnął na twarzy

Kopernika. Ciężkim, przenikliwym spojrzeniem zmierzył nowo przybyłego od stóp do głów, jak handlarz ocenia jakość nabywanego bydła. Retyk zadrżał. Ten mężczyzna, to był jego ojciec, a w każdym razie lustrzane odbicie lekarza spalonego żywcem na rynku Feldkirch na oczach małego Joachima jednaście lat temu. Do złudzenia go przypominał. Nieboszczyka przypominał mu nawet ten jego ciężki głos, w którym pobrzmiwała szczególna ironia:

- Oto więc podopieczny Melanchtona, który pragnie mojej śmierci, Dantyszka, który nie przestaje mnie dręczyć i tego szaleńca Paracelsusa, który nie wydaje się zbyt spieszyc z odnowieniem naszych kontaktów. To ze względu na niego, młody człowieku, uległem naleganiom biskupa Giese i zgodziłem się, poświęcając mój cenny czas, przyjąć pana. Ale najpierw niech mi pan powie, co kryje się za przydomkiem: Rheticus? I proszę mówić głośno, jestem trochę przygłuchy.

- Wielebny Kopernik jest głuchy tylko wtedy, kiedy nie ma ochoty słuchać - zażartował Giese, tego dnia w przekornym, spontanicznym nastroju.

I podczas, gdy kanonik rzucał biskupowi Chełmna piorunujące spojrzenia, Retyk opowiedział o swoim dzieciństwie w drodze między Włochami, Bawarią i Austrią, osiedleniu się Feldkirch, męczeńskiej śmierci jego ojca...

- Znałem w Padwie studenta medycyny noszącego to samo nazwisko, Georga Iserina - przerwał Kopernik, dowodząc tym samym, że jego głuchota była bardzo względna. - Bardzo błyskotliwy osobnik, ale w moim odczuciu nazbyt pochopnie oddawał się w akademii, do której uczęszczaliśmy, mocno trącącymi herezją spekulacjom. Moi nauczyciele i ja sam często wzywaliśmy go do większej powściągliwości. Ale kontynuuj swoją opowieść, młody człowieku.

Młody człowiek, o którym mowa, poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Kopernik znał Georga Iserina! Poprzysiągł sobie odwzorować kiedyś układ gwiazd w momencie narodzin kanonika i porównać go z horoskopem swojego ojca. Wynik z pewnością

będzie zaskakujący. Przełknąwszy ślinę, kontynuował swą opowieść, z mniejszą już swadą niż do tej pory: studia w Zurychu, potem w Wittenberdze, dyplomy, uzyskanie szlachectwa i tytułu kawalera, wizyty u wszystkich niemieckich matematyków i astronomów, pomijając wszelako sposób, w jaki wyjawili mu nazwisko jego rozmówcy...

Przy każdym z wymienianych nazwisk Kopernik lekko kiwał głową, pokazując, że zna tych wybitnych profesorów, jednak Retyk nie wiedział, czy ukryty pod ciężkim wąsem grymas wyraża aprobatę, czy pogardę. Retyk wyjaśnił następnie, że celem jego wizyt u wszystkich tych sławnych uczonych było poszukiwanie systemu świata bardziej satysfakcjonującego dla umysłu niż ten, który obowiązuje od tylu wieków. Przybysz skończył na audiencjach, jakie uzyskał u Dantyszka i Albrechta Hohenzollerna, nie ukrywając, czego od niego wymagali, ale naciskając na fakt, iż został zmuszony do posłuszeństwa wbrew sobie, bowiem była to jedyna możliwa droga, by dotrzeć tutaj, do Fromborka.

- Oczywiście - odparł drwiąco Kopernik. - Książę i jego słynna mapa! Chociaż w gruncie rzeczy, co mnie obchodzą Prusy, Polska, Rzym i reformacja, i wszystkie te bestie, rozszarpujące się między sobą! Zrobiłem dla niego szkice tej mapy w zamian za święty spokój. Gdzieś je tutaj upchnąłem... Mój sekretarz to znajdzie. Pozbędę się dzięki panu niepotrzebnych szpargałów, które zbiera się latami, bo szkoda cisnąć je w ogień. A zresztą nie jestem pewien, czy ten barbarzyńca Albrecht będzie w stanie odczytać najprostsze współrzędne.

Na te słowa wtrącił się Giese, nie jako przyjaciel, ale jako biskup Chełmna:

- Mikołaju, zabraniam ci przekazywania jakichkolwiek wskazówek topograficznych dotyczących naszych diecezji temu, który jest, o czym ci przypominam, przywódcą pruskich protestantów.

- Za kogo mnie bierzesz, biskupie? To tylko kilka zestawień z jego posiadłości, zresztą niektóre specjalnie zafalszowałem - dorzucił astronom ze złośliwym błyskiem w

oku. - Poza tym... sądziłem, że darzysz absolutnym zaufaniem szlachetnego kawalera Rheticusa. Chyba nie przemknęło ci przez myśl, że ten chłopiec mógłby być szpiegiem Jego Wysokości?

Podczas gdy zakłopotany Giese próbował protestować, młody gość pomyślał, że musi znaleźć szczelinę w tej twierdzy nieufności, jaką zdawał mu się fromborski kanonik. Laska, oczywiście! Laska, którą kręcił machinalnie w dłoniach. A zwłaszcza jej zawartość. W swoim poruszeniu zupełnie o niej zapomniał! Kiedy dwaj duchowni skończyli swoje słodko-gorzkie pogawędki, Retyk wykrzyknął:

- Doktor Paracelsus prosił mnie, bym przekazał to panu w dowód przyjaźni i podziwu dla wielkiego filozofa, jakim pan jest.

- Paracelsus? Przyjaźń i podziw dla kogokolwiek poza nim samym? No no, czyżbyśmy się zmienili? Niechże mi to pan pokaże. Do licha, piękny przedmiot!

Podróżnik opowiedział wtedy, w jaki sposób ta gruba laska z drzewa oliwnego z gałąką z kości słoniowej stała się własnością wędrownego lekarza, a także zdradził, jaki kryje sekret.

- Różdżka Euklidesa! - zakpił trochę szyderczo Kopernik. - A czemu nie nocnik Archimedesza?

Odkręcił małą rzeźbę przedstawiającą sfinksa, rozwiązał etui z czerwonego jedwabiu i wydobyl z niego gruby papirusowy zwój, który rozłożył płasko na długim dębowym stole zawalonym stosami ręcznie zapisanego papieru, otwartymi książkami o zagiętych rogach, przyborami do pisania. Pośród tego wszystkiego tkwiła mała sfera armilarna, bardzo stara i prawdopodobnie przestarzała. Z bijącym sercem Retyk obserwował każdy gest, każdy grymas swojego gospodarza. Kopernik, wzdychając ze znużeniem, włożył na nos grube okulary, które powiększyły jego czarne jak węgle oczy, a zarazem w jednej chwili dodały mu lat. Jego usta zaczęły się poruszać, jednak nie wydobyl się z nich żaden

dźwięk. Retyk wiedział, że wymawiał on grecki tytuł i autora manuskryptu: Hipotezy, Arystarch z Samos. Lektura trwała długo, akcentowały ją jedynie pomruki, może zadowolenia, może zdziwienia. Giese, coraz głębiej zapadając się w swym fotelu, raz po raz tłumiał ziewanie. Powieki mu opadały, a od czasu do czasu także i głowa, po czym wybudzał się, cały podskakując. Przetrawienie posiłku, jaki spożył u przyjaciela, podczas gdy Retyk cierpliwie czekał w portowej gospodzie, zabierało dużo energii. W końcu, z pewną powściągliwością Kopernik zdjął okulary, a potem uniósł głowę i powiedział z nieruchomą jak zwykle twarzą:

- Taaak... O ile dobrze pamiętam, czytałem gdzieś o tym Arystarchu... Może u Plutarcha albo w wątpliwym zbiorze fragmentów zaginionego dzieła O liczeniu piasku Archimedesesa. Jest pan zbyt młody, by to wiedzieć, panie kawalerze, ale w moich czasach we Włoszech pojawiało się mnóstwo rzekomych utworów antycznych twórców cudownie odnalezionych w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, które były po prostu prymitywnymi podróbkami, nieudolnymi apokryfami, nowymi listami księdza Jana... Aleksander Farnese, dzisiaj Jego Świątobliwość Paweł III, pokazał mi pewnego dnia pseudodialog Platona, w którym Sokrates toczył zgrzebną łaciną rozmowę Pawłem z Tarsu. Nieźle się wtedy ubawiliśmy.

Kanonik wybuchnął tubalnym śmiechem, od którego zadrżały ściany wieży. Potem, w jednym momencie przyoblekając na nowo swoją ponurą maskę, ciągnął:

- Mam więc wszelkie powody, by zachować sceptycyzm wobec tego Arystarcha, którego rzekomo odkrył Paracelsus. Nie byłoby to pierwsze szachrajstwo doktora. Masz, Giese, przeczytaj to i powiedz, co o tym myślisz, jeśli ostały się w twojej głowie podstawy języka Homera. Co do pana, młody człowieku, przypuszczam, że dostarczenie mi tego wątpliwego prezentu nie jest jedynym celem pańskiej wizyty.

Zbity z tropu i onieśmiałony przez tego wyjątkowego człowieka Retyk utracił całą swoją nonszalancję i hardość. Wykrztusił jedynie, że pragnąłby móc zapoznać się z O obrotach sfer niebieskich, gdyż dostęp do jedynej kopii dzieła, kopii, którą Erazm

Reinhold miał od Melanchtona, został mu odmówiony.

- No popatrz! - odpowiedział Kopernik z narastającą złośliwością. - Czyżby Johann Schöner z Norymbergi, Petrus Apianus z Ingolstadt i wszyscy ci wybitni doktorzy, którym złożył pan wizytę posiali gdzieś egzemplarze, które im wysłałem? Mówi się, że astronomowie są roztargnieni, ale żeby aż do tego stopnia... Dobrze. Pożyczę więc panu... Przedtem jednak, jeśli profesor matematyki, jakim pan się mieni, nie obrazi się, chciałbym zbadać trochę pańskie umiejętności i zdolności w tej dziedzinie. Zrozum, kawalerze, nie życzę sobie, by jakiś oszust po raz kolejny zrobił z mojego dzieła karykaturę.

Gdyby ta zniewaga wyszła z ust innej osoby, natychmiast zostałaby zmaszana krwią. Jednak rzucona przez takiego człowieka przeszła niezauważona. Retyk, już bałwochwalczo wpatrzony w mistrza, z zapalem przystąpił do rozmowy, będącej w istocie rodzajem egzaminu. Podczas, gdy Giese odszyfrowywał rękopis Arystarcha, kanonik przeistoczył się w inkwizytora. Algebra, geometria, astronomia, filozofia, Platon, Ptolemeusz, Euklides, Pitagoras... Nie pominął niczego. Stopniowo padały coraz trudniejsze pytania, a odpowiedzi poprzedzał coraz dłuższy namysł, aż do momentu, kiedy Retyk uznał się za zwyciężonego i powiedział drżącym głosem:

- Nie wiem.

Kopernik poprawił się w fotelu i w końcu, jak się zdawało, popatrzył na rozmówcę łaskawszym wzrokiem:

- Gratulacje, kawalerze! Pańskie pozostałe odpowiedzi były wyczerpujące i poprawnie skonstruowane, za wyjątkiem paru drobiazgów. A ostatnia była najlepsza. Gdyby powiedział mi pan coś w rodzaju: „zapomniałem”, natychmiast wyrzuciłbym pana za drzwi. Wyznać swą niewiedzę to objawić swoją mądrość. Zgoda, powierzę panu moje dzieło, ale...

- W końcu nie jesteś sam, Mikołaju!

Giese podniósł się z fotela, wymachując kartkami pokrytymi wyblakłą grecką czcionką.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ależ... Arystarch z Samos, ten astronom ze słynnej w antyku szkoły aleksandryjskiej, mówi to samo, co ty... Będzie dla ciebie tym, czym Platon był dla Ficina! Co na to twoi przeciwnicy, jeśli będziesz mógł oprzeć się odtąd na wiedzy takiego mędrca, dawniejszego jeszcze niż Ptolemeusz, jak Arystarch być może opierał się na lasce Euklidesa?

- Chyba że to falsyfikat sporządzony po to, by mi zaszkodzić, ośmieszając mnie. Po Paracelsusie można spodziewać się wszystkiego. Poza tym Arystarch wydaje się być patronem złej wróżby. Ten uczeń Stratona z Lampsakos, autora doskonałego dzieła O wielkości i odległości Słońca i Księżyca był ostro krytykowany przez Archimedesę i oskarżony o bluźnierstwo przez Kleantesę Stoika. Słynny kabalista Zeitoun z Lizbony pisze w swym poemacie Pieśń o Lincei, że wszystkie jego pisma strawił wielki pożar w Bibliotece Aleksandryjskiej. W co wątpię. Sądzę raczej, że puściły je z dymem pochodnie jego sędziów.

„Oto ten, który jeszcze przed chwilą twierdził, że nie wie zbyt wiele na temat Arystarcha z Samos...”, pomyślał Retyk. Na marmurowym pomniku Kopernika, który w myślach mu wznosił, pojawiła się pierwsza rysa. Kanonik wstał, sugerując, że spotkanie dobiegło końca, zdjął z półki grubo oprawne tomiszczę spięte skórzaną klamrą i wręczył je Retykowi.

- Powierzam je panu. Proszę je przeczytać, spisać swoje uwagi i zwrócić za trzy tygodnie. Gdzie się pan zatrzyma?



Prawdę powiedziawszy, podróżnik nie miał pojęcia. Żywił niejasną nadzieję, że astronom przydzieli mu miejsce u siebie, proponując jeden z licznych pokoi tej obszernej wieży. Giese, odgadłszy przyczynę jego pełnego zakłopotania milczenia, rzekł:

- Może mi pan towarzyszyć do mojej letniej rezydencji w Lubawie, drogi przyjacielu. To posępny, stary zamek, ale idealny do studiów. W dodatku towarzyszą mi tam osoby o przyjemnej, a także uczonej wymowie.

Retyk podskoczył i odwrócił się w stronę Kopernika. Kolejny wybuch gromkiego śmiechu kanonika był tylko jego pobożnym życzeniem. W rzeczywistości nic takiego się nie wydarzyło. Astronom pozostał obojętny; dorzucił tylko:

- Stare mury Lubawy mają jeszcze jedną zaletę: to forteca, której strażę są bardzo czujne. Będzie miał pan więc sporo trudności, by się stamtąd wydostać. Zatem za trzy tygodnie to ja złożę panu wizytę. Okolica jest bardzo bogata w zwierzynę. Małe polowanie trochę mnie rozrusza.

W drodze, podczas gdy biskup chełmiński wymieniał lekkie spostrzeżenia na temat krajobrazu z Heinrichem Zellem, Retyk, do głębi wstrząśnięty tym dziwnym spotkaniem, zaczynał rozumieć paniczny strach, który zdawał się napełniać wszystkich wrogów Kopernika. Ten człowiek był monstrum, na przemian promieniejącym olśniewającym słonecznym światłem i pograżającym się w mroku głębszym niż bezksiężycowa, bezgwiezdna noc.

Od momentu, kiedy Retyk pogрузił się w lekturze, stał się głuchy i ślepy na wszystko dookoła poza leżącym obok otwartym tomem Ptolemeusza, do którego od czasu do czasu zaglądał. Gdyby to najnowsze wydanie Almagestu w języku greckim nagle pod wpływem magii rozpląnęło się na jego oczach, zupełnie by go to nie zdziwiło. Kopernik całkowicie zmieniał porządek istniejącego od czternastu wieków świata. U Ptolemeusza w centrum Wszechświata nieruchomo zasiadała Ziemia; następnie pojawiał się Księżyc, który okręgał ją w ciągu doby; potem Merkury, Wenus i Słońce, które zataczały swoje

obroty po deferentach w przeciągu roku; w przeciągu dwóch Mars, Jowisz - dwunastu, zaś Saturn - w ciągu trzydziestu lat. Na końcu znajdowały się gwiazdy stałe, wykonujące swoje obroty w jeden dzień. Kopernik, wychodząc z założenia, że wielkość orbit zwiększa się w miarę, jak dłuższe stają się obroty, na nowo ułożył układ planet, poczynając od góry: „Pierwszą i najwyższą ze wszystkich jest sfera gwiazd stałych obejmująca samą siebie oraz cały świat i dlatego jest nieruchoma, mianowicie jako takie miejsce całości, żeby doń można było odnieść ruch i położenie wszystkich pozostałych ciał niebieskich. Niektórzy sądzą, co prawda, że i ta sfera w jakiś sposób podlega zmienności, ale ja, wyłuszczając ruch Ziemi, inną tego pozornego zjawiska wskażę przyczynę. Z kolei idzie pierwsza z planet, Saturn, który obiegu swego dopełnia w ciągu trzydziestu lat. Za nim Jowisz, dokonujący obiegu w dwunastu latach. Następnie Mars, który odbywa obieg w ciągu dwu lat. Czwarte miejsce w tym szeregu zajmuje sfera o rocznym obiegu, w której, jak powiedzieliśmy, mieści się Ziemia ze sferą Księżyca jakby małym epicyklem. Na piątym miejscu Wenus jakby powraca do pierwotnego położenia co dziewięć miesięcy. Szóste wreszcie miejsce zajmuje Merkury, odbywający obieg w ciągu osiemdziesięciu dni. A w środku wszystkich ma swoją siedzibę Słońce [...] może wszystko równocześnie oświetlać”.

Ziemia została zredukowana do roli zwykłej planety, tylko Księżyc obracał się wokół niej. „Odnależliśmy zatem w tym porządku zadziwiający ład świata i ustalony, zharmonizowany związek między ruchem a wielkością sfer, jakiego w inny sposób odkryć niepodobna”, pisał dalej Kopernik, sporządzając dla tego nowego systemu świata biegłym w sztuce rysunku piórem ogólny schemat, który już na pierwszy rzut oka nie pozostawiał wątpliwości co do doskonałych kształtów niebiańskich orbit obiegających Słońce.

Retyk gorączkowo przepisywał całe ustępy, przy niektórych wpadając w ekstazę: „A w środku wszystkich ma swoją siedzibę Słońce. Czyż bowiem w tej najpiękniejszej świątyni moglibyśmy umieścić ten znicz w innym albo lepszym miejscu niż w tym, z którego on może wszystko równocześnie oświetlać? Wszakże nie bez słuszności nazywają go niektórzy latarnią świata, inni rozumem jego, jeszcze inni władcą.

Trismegistos zwie je widzialnym bogiem, Sofoklesowa Elektra - wszyszkowidzącym. Tak więc zaprawdę Słońce, jakby na tronie królewskim zasiadając, kieruje rodziną planet krążącą się dokoła”. Odwzorowywał tę czy inną figurę lub obliczenie, posługując się tablicami astronomicznymi, które wiozł ze sobą od Wittenbergi, i tymi, które zebrał w czasie całej swojej podróży.

Potrzebował tygodnia wytężonej pracy, by odkryć to genialne dzieło. Prosił, by przynoszono mu jedzenie do pokoju, który opuszczał rzadko, wyłącznie z uprzejmości dla swego gospodarza. Giese nie czuł się bynajmniej urażony, wręcz przeciwnie, był niezwykle uradowany. W końcu ktoś pełen entuzjazmu spojrzy świeżym okiem, bez uprzedzeń, na dzieło jego niezbyt łatwego w pożyciu przyjaciela, któremu towarzyszył już blisko trzydzieści pięć lat, od czasów Ferrary, nie przestając go wielbić i chronić przed atakami ograniczonych umysłów zewnętrznego świata. Żywił nadzieję, że dzięki młodemu matematykowi wielka Prawda objawiona przez kanonika rozbłyśnie w końcu w pełnym świetle, a jego światowa sława może choć odrobinę opromieni także biskupa Chełmna. Retyk był natomiast zadowolony, że zostawiają go w spokoju i nie nalegają, by uczestniczył w nudnych rozmowach gości prałata, którego ambicją było utworzenie w tej surowej krainie czegoś w rodzaju akademii.

Przedarłszy się przez Obroty..., zgodnie z metodą, jaką zwykł był przyjmować podczas pracy, Retyk przystąpił do ponownej lektury dzieła z odprężonym umysłem, tak jakby odkrywał je po raz pierwszy. Wyłapał wtenczas zasadniczy błąd: za wyjątkiem jedynie paru fragmentów, jakby niechętnie rozsianych tu i ówdzie pośród matematycznych objaśnień, mogło ono zostać skierowane tylko do wybranych, wtajemniczonych, odbiorców posiadających wiedzę równą jego autorowi. Kopernik wydawał się nie posiadać żyłki do nauczania i wittenberski profesor matematyki pomyślał, że gdyby kazał przeczytać tę książkę choćby najlepszemu ze swoich studentów, ten nie zrozumiałby z niej ani słowa.

W tym momencie doznał oświecenia: on, Retyk, był wybrańcem, Galahadem, widział już siebie, jak odbiera z rąk grzesznego króla, jakim był kanonik z Fromborka, świętego

Graala astronomii. W przeciwnym razie dlaczego niebiosy zesłały mu na tej drodze tyle doświadczeń, które miały go z niej zawrócić? Tak, będzie nauczał O obrotach..., objawi je światu, to jego misja, był już tego pewien, to jego przeznaczenie, to, ku czemu prowadziła go jego gwiazda od momentu, gdy jego ojciec zginął w płomieniach, by odrodzić się w ciele i umyśle Kopernika.

Potem racjonalizm naukowca wziął górę nad mistyczną ekstazą apostoła.

- Metoda, Joachimie, tylko i wyłącznie metoda! - wymruczał, nieświadomie powtarzając słowa ojca, gdy dawał mu pierwsze lekcje rachunku.

Co do metody, nie widział innej poza tą, którą praktykował w Wittenberdze: wykład *ex cathedra*. Kopernik, mistrz, zwracał się wyłącznie do równych sobie, do innych mistrzów; Retyk, uczeń, zwracał się do swoich studentów, przyszłych uczniów szkoły heliocentryzmu. Zebrał swoje notatki i ostatecznie skomponował z nich czternaście lekcji, na tyle przejrzystych, by mogły zostać przyswojone przez pracowitego bakałarza. Na koniec napisał kwiecisty list do Schönera, czując intuicyjnie, że astronom z Norymbergi może okazać się kiedyś użyteczny w jego misji: „Pragnę, wielce uczony doktorze Schöner, byś założył, że ten sławny człowiek, którego dzieła obecnie studiuje, nie ustępuje wiedzą i posiadanymi talentami Regiomontanusowi ani w astronomii, ani w żadnej innej dziedzinie. Przyrównałbym go raczej do Ptolemeusza. Tego słynnego greckiego astronoma łączy z moim mistrzem to, że z pomocą Opatrzności udało mu się do końca doprowadzić swoją teorię, podczas, gdy Regiomontanus okrutnym zrzędzeniem losu dokonał swoich dni, zanim mógł wznieść kolumny, na których miała oprzeć się jego budowla. Kiedy przed rokiem studiowałem u ciebie, wielce uczony doktorze Schöner, teorię ruchów niebieskich, opierając się na pracach Regiomontanusa, jego mistrza Peurbacha, twoje i innych cenionych matematyków, zacząłem rozumieć, na jak szeroką skalę muszą być zakrojone badania, by doprowadzić astronomię, tę królową matematyki, do jej prawdziwej niebiańskiej siedziby, i aby przywrócić godną formę jej królestwa. Lecz Bóg zechciał uczynić mnie świadkiem dopełnienia się tych ogromnych prac, o wiele bardziej wzniosłych niż śmiałem przypuszczać, których wagę mój mistrz jest w

stanie utrzymać, kpiąc sobie z trudności. Czuję, że w najśmielszych snach nie spodziewałem się choćby cienia tej imponującej pracy”.

Tak oto upłynęły dwa pozostałe tygodnie. Zatracił zupełnie poczucie czasu. Wreszcie pewnego dnia, w momencie, gdy właśnie skończył ostatnią lekturę swoich dwunastu lekcji, oznajmiono mu, że kanonik Mikołaj Kopernik przybył do zamku w Lubawie. Jego wizyta została przewidziana na ten dzień podczas rozmowy we Fromborku, ale Retyk zupełnie o tym zapomniał. Tak więc dostrzegł w tym drugim spotkaniu grzesznego króla i Galahada astronomii, które następowało dokładnie w momencie, gdy kończył swoją misję, kolejny znak od losu.

Upchnąwszy pod kaftan lekcje, zbiegł jak burza po schodach, sadząc po parę nieregularnie ciosanych stopni na raz i wpadł do przestronnej sali, służącej niegdyś do ceremonii pasowania krzyżackich rycerzy. Oparty o obudowę monumentalnego kominka, z prawą dłonią niedbale opartą na gałce laski Euklidesa, Kopernik rozprawiał, stojąc, z grupką kanoników i księży, podczas gdy zwrócony tyłem do paleniska biskup Chełmna z podkasaną sutanną ogrzewał nagie, owłosione pośladki nad małym, trzaskającym ogniem. Nawet w czerwcu, pięknym tego tysiąc pięćset trzydziestego dziewiątego roku, wszechobecna wilgoć przenikała jego letnią rezydencję. Wyższy o głowę od większości swoich słuchaczy Kopernik dojrzał ponad ich ramionami zdyszanego Retyka. Krzyknął do Giesego:

- Ejże, biskupie! Czy to nie ten luterański diabeł, któremu pozwalasz pluskać się w twojej święconej lubawskiej wodzie?

Wybuchnął śmiechem na widok wystraszonych min tych wszystkich pobożnych papistów zwracających się w stronę nowoprzybyłego, który w ciągu trzech ostatnich tygodni mimo wszystko zauroczył ich błyskotliwą konwersacją. Retyk, który nie usłyszał żartu, przepchnął się do niego, rzucił mu się do nóg, ujął jego dłonie i wykrzyknął:

- Ach, mistrzu, mistrzu! Jakie to piękne, jakie wielkie!

Kopernik zdecydowanie był w wyśmienitym humorze, bo spytał:

- Cóż więc jest takiego pięknego i wielkiego, kawalerze? Z pewnością nie przypieczone pośladki wielbnego biskupa, jak sędzę.

Giese, zmieszany i wściekły, opuścił sutannę, mrużąc pod nosem:

- Mikołaju, chwilami jesteś nie do zniesienia!

Kopernik podniósł Retyka i szepnął mu na ucho:

- Porozmawiamy o tym później. Nie tutaj, chłopcze, nie przed tymi ludźmi. Nie rzucam pereł przed wieprze.

Następnie głośniejszym głosem dodał:

- Zanim pan przybył, nie rozmawialiśmy tutaj ani o astronomii, ani o teologii, lecz o łowiectwie. Bowiem jutro biskup Chełmna zaprasza nas na polowanie na niedźwiedzia, ciekawie się to zapowiada. Przynajmniej dla tych, którzy są jeszcze w stanie utrzymać się w siodle. Należy pan do nich?

Retyk przytaknął, siląc się na entuzjazm. W gruncie rzeczy za mało radosną uważał perspektywę wyprawy w kompanii zgrai papistów, z których kilku uważał za zgrzybiałych dziadków, podczas gdy on marzył tylko o jednym: wznieść się do gwiazd z tym, którego od tej pory nazywał w myślach mistrzem nad mistrzami.

Połowanie trwało dwa dni. Zaś wieczorem trzeciego dnia wykończony, połamany Retyk przekazał swoich czternaście lekcji Kopernikowi, który natomiast jakby odmłodził o dwadzieścia lat, nabrał niezwyklej energii podczas tych gonitw po lasach i trzęsawiskach. Poza trzema niedźwiedziami, zabił jeszcze jednego tura i żubra.

Późnym rankiem następnego dnia młody profesor matematyki, który miał bolesne wrażenie, jakby w nocy diabeł wlepił mu sto kijów, wszedł do małego salonu, gdzie biskup i kanonik gawędzili przy karafce włoskiego wina, które bardzo sobie cenili.

- Cóż to? - usłyszał od Kopernika zamiast powitania. - Czyżby nasz Nimrod z Wittenbergi spadł z łóżka? Czytałem pański tekst. Niezły, ale mam parę pytań, które chciałbym panu zadać, i kilka zastrzeżeń, nie będących, co pana pocieszy, natury naukowej. Ale najpierw proszę nalać sobie szklaneczkę frascati, to dar od kardynała Kapui. Najlepsze lekarstwo na przemęczenie, proszę wierzyć lekarzowi, którym bądź co bądź jestem.

Padając na podsunęty mu fotel, Retyk odmówił. Wtedy Giese nakazał lokajowi, by przygotowano dla gościa kapuśniak z grzankami nacieranymi czosnkiem i ubite ziemniaki, doskonały lek na tego rodzaju przypadłości, jak stwierdził prałat z niemal macierzyńską troską, która zirytowała młodego człowieka jeszcze bardziej niż cięża zjadliwość mistrza.

- Pańskich czternaście lekcji to doskonale uproszczenie - podjął Kopernik. - Ale co zamierza pan z nimi zrobić?

Zanim odpowiedział, Retyk przyjął w końcu kieliszek białego wina z Lacjum, mając nadzieję, że doda mu ono sił. Najchętniej poprosiłby ich o przełożenie tej rozmowy na później. W końcu wystękał:

- Chciałem, mistrzu, za pańskim pozwoleniem, od przyszłego roku akademickiego nauczać heliocentryzmu na uniwersytecie w Wittenberdze.

Giese wykrzyknął na to:

- Dziecko, pan jest szalony! Zanim wymówiłby pan pierwsze słowo, Melanchton

zgotowałby panu ten sam los, jaki spotkał pańskiego ojca, naszego drogiego, biednego Georga Iserina!

Więc on także znał lekarza z Feldkirch! Retyk poczuł przez chwilę, jak przygniatają go wszystkie duchy i cienie przeszłości. Do szalu doprowadzały go niby to opiekuńcze, a tak naprawdę zadurzone miny biskupa! Zaś Kopernik, jak gorzko stwierdził, wydawał się dbać o jego los jak o zeszłoroczny śnieg. Przesuwając przed oczami rzucający świetlne refleksy kieliszek, kanonik obojętnie powiedział:

- Jeżeli ma pan ochotę zostać napiętnowany, to w końcu pański wybór, kawalerze. Ale w żadnym razie nie pozwolę panu głosić mojej teorii przed byle kim. Jeśli złamie pan zakaz, potraktuję to jako nadużycie zaufania. A wtedy, niech mi pan wierzy, od Rzymu, przez Paryż, aż po Londyn wszystkie drzwi zostaną przed panem zamknięte.

- Ależ mistrzu, przenigdy nie pozwoliłbym sobie na kradzież pańskiego dzieła i przywłaszczenie go sobie.

Kopernik gwałtownie uderzył pięścią w stół, cały spurpurowiał. Wpadł w jeden ze swych częstych, nagłych napadów wściekłości:

- Kradzież? Przesadzasz! Do diabła, to nie jest moje dzieło, to nie jest moja własność! To dzieło Boga! A On uchyla nielicznym wybranym, do których, jak sądziłem, należysz, rąbka zasłony, która skrywa przed oczami ignorantów absolutne piękno Jego Stworzenia. Do jakich oślich uszu chcesz wtłoczyć Wielką Tajemnicę, Retyku, do jakiego gniazda trutni, przed jakim gremium oszustów? Czy zdajesz sobie sprawę, jakim obrzucili mnie błotem, mnie, a zwłaszcza moich bliskich, w jakim gnoju próbowali mnie unurzać? Czy wiesz, na jakiej podłej, kuglarskiej scenie zbrukali plugawym szyderstwem istoty najdroższe memu sercu?

Ogłuszony tym wybuchem Retyk rzucił błagalne spojrzenie w stronę Giesego, niczym rozbitek ku ostatniej desce ratunku. Biskup odpowiedział mu grymasem, który



miał oznaczać: „Przeczekaj burzę, później ci wytłumaczę”. Kopernik wychylił kielich jednym haustem i ponownie po brzegi go napełnił. Ręka trochę mu się trzęsła i kilka srebrzystych kropli wylało się na obrus. Uspokoił się równie nagle, jak wybuchł:

- Jednakże, Joachimie...

Nazwał go po imieniu! Jego mistrz, jego ojciec!

- Jednakże, Joachimie, czułbym się trochę winien, gdyby doskonała praca, jaką wykonałeś, poszła na marne. Praca, która ukazała mi, że jesteś człowiekiem, jakiego mi trzeba. Umysł wystarczająco dziewiczy, nie zaśmiecony dawnymi uprzedzeniami, ale na tyle uczony, by wykonać pracę, w której udział ci proponuję. Chodzi o stary projekt: zebrać, sklasyfikować, ułożyć we właściwym porządku tablice astronomiczne, jakie udało mi się zebrać w ciągu mego zbyt długiego żywota, oraz wydrukować je, aby można było łatwo książkę zdobyć. I jak mówi Mateusz, „kto ma uszy, niechaj słucha”! Jednak wynagrodzę ci tę pracę, bądź tego pewien. Moja zapłata będzie twoją.

- Zostanie pańskim asystentem to dla mnie najbardziej nieoczekiwane wynagrodzenie. Nie pragnę żadnego innego.

- No popatrz! Czyżby nasz drogi biskup Dantyszek opowiadał ci o moim legendarnym skąpstwie? To prawda, że od kiedy próbowałem odzyskać to, co moje, od jednego z jego pacholców, największego oszusta spośród fromborskich kanoników, który jest mi winien pewną sumę...

Retyk nie był ciekaw kłótni zniedołężniałych starców. Udało mu się: oto wkroczył do najświętszej ze świątyń.

Zabawili w lubawskim zamku jeszcze dwa tygodnie - pozostało do załatwienia jeszcze parę spraw, między innymi problem map, których domagał się Albrecht Hohenzollern. Giesemu bardzo zależało na ich sporządzeniu, by nie wywołać

niezadowolenia niebezpiecznego sąsiada. Retyk zlecił wykonanie tej pracy swojemu asystentowi i byłemu kochankowi Heinrichowi Zellowi, którego najchętniej odesłałby w diabły. Trudno, jeśli ten zagorzały luteranin nie spełni prośby biskupa Chełmna i wyjawia dane topograficzne Prus katolickich dawnemu wielkiemu mistrzowi krzyżackiemu. Bardziej niebezpieczny był dekret biskupa Warmii wypędzający z podległych mu terytoriów protestantów, wzbogacony niedawno pogrozkami śmierci. Giese wystarał się więc u Dantyszka o dyspensę dla swego podopiecznego. Bardziej niż dyspensę, raczej gwarancję, gdyż w jego piśmie pobrzmiwała pogrozka, że jeśli w jak najkrótszym terminie nie otrzyma potrzebnego dokumentu, zda o tym sprawę Jego Wysokości Zygmuntowi I, królowi Polski, który pochwalał tolerancję na terenie całego królestwa.

Tymczasem, aż do końca pobytu w Lubawie, Kopernik stracił zainteresowanie dla, jak je nazywał, spraw administracyjnych. Każdego ranka udawał się na polowanie, z którego wracał dopiero wieczorem, niejednokrotnie triumfujący, wymachując jako trofeum porożem tura, rzadkiej już teraz zwierzyny. A tyle ich kiedyś z wujem Łukaszem ubili.

Retyk i Giese natomiast spiskowali. Pierwszy chciał napisać wstęp do słynnych tablic astronomicznych, w którym przedstawiłby życie i dzieło kanonika. Drugi uznał pomysł za wyśmienity, bo widział w nim pierwszy krok do ogłoszenia drukiem O obrotach sfer niebieskich; publikacji, o którą walczył z zaciętym w swoim uporze przyjacielem od lat. Biskup wytłumaczył młodemu profesorowi, że postanowienie Kopernika, by wyjawiać swoją teorię jedynie wtajemniczonym było tylko zasłoną dymną. Zasłoną, za którą kryła się obawa, by teoria heliocentryczna nie spowodowała reakcji łańcuchowej, przelewając tyle krwi i łez, co tezy Lutra.

- Mikołaj zupełnie nie dba o swoje osobiste bezpieczeństwo - uściślił Giese. - Nazbyt często dowodził tego w przeszłości. Schlebiam sobie, że czasem służyłem mu jako tarcza. Tak więc nie z powodu strachu wciąż odmawia szerszego upowszechnienia swoich Obrotów. Zdecyduje się na to jedynie wtedy, gdy jego zamiłowanie filozofa do Prawdy będzie w stanie przezwyciężyć jego miłość do ludzkości. Jeśli pan chce,

Joachimie, opowiem panu historię jego życia. On sam nigdy się na to nie zgodzi.  
Nieśmiałość i pycha to bliźniacze siostry.

Wiatr od strony morza smagał twarz Retyka, gdy - podążając za Kopernikiem - wyszedł na szczyt wieży, szeroki taras zawieszony nad laguną. Obserwatorium zdawało się być rufą dalekomorskiego okrętu, gotowego, by odbić od brzegu. Pośrodku, niczym maszt, górowała wielgachna laska Jakuba, wysoka na piętnaście stóp, pokryta politurą i powleczona u podstawy smołą. Przyrząd do pomiaru wysokości gwiazd został zresztą wyciosany z tego samego drewna, jakiego cieśle używają do budowy statków. Nad drzwiami strażnicy znajdował się zegar słoneczny zwrócony na północ, ku morzu, ze świeżo odmalowanymi cyframi. Był słoneczny dzień i cień rzucony przez igłę wskazywał dokładnie południe. Wewnątrz małej, okrągłej wieżyczki królowała opasła sfera armilarna wykonana z brązu: mały glob ziemski z połączonej miedzi zajmował środek, zaś stłoczone pierścienie planetarne, które go otaczały, odwzorowywały, jak na ironię, stary system Ptolemeusza; zawieszony pionowo na ścianie w głębi pomieszczenia drewniany kwadrant bardzo starego pomysłu, z podziałką do pomiarów rozpiętości kątowej; w końcu, starannie ułożone w leżącym na małym stoliku futerale z czerwonego aksamitu miedziane astrolabium, doskonale utrzymane, ale nieliczne zielonkawe plamy na dysku-matce i siatka drobnych pęknięć świadczyły o jego starości.

- Dzisiaj robią o wiele lepsze - powiedział Kopernik, wręczając je Retykowi - ale do tego jestem przywiązany jak do pierwszej miłości: mam go od tego starego wilka morskiego Martina Behaima z Norymbergi, którego poznałem na szlaku wiodącym do Italii.

Przez moment nowy asystent kanonika wyobrażał sobie, jak musiało wyglądać to nadzwyczajne spotkanie. Potem pomyślał, że tak naprawdę Giese, który szczycił się, że zna wszelkie fakty z życia przyjaciela i tak gładko go opisywał jako człeka całkowicie oddanego studiom, nie wiedział o wielu rzeczach. Albo je ukrywał.

- Widzi pan, kawalerze - ciągnął Kopernik - moje obserwatorium jest bardzo ubogie.

Poza astrolabium nie powinno sporo się różnić od pracowni Ptolemeusza. Niestety, to bardziej lub mniej los wszystkich dzisiejszych astronomów. I jest to rzecz, której nigdy nie mogłem pojąć. Od pół wieku setki okrętów przemierzają wszystkie morza świata, mając gwiazdy za przewodników; jednak żaden mechanik, żaden inżynier nie wynalazł dla nas mniej zawodnych i dokładniejszych urządzeń. Ach, gdybym tak mógł zredukować błąd obserwacyjny do dziesięciu minut, byłbym szczęśliwszy niż Pitagoras, gdy odkrył swoje twierdzenie.

Retyk spijał z jego ust każde słowo, przekonany, że tak naprawdę jego mistrz zupełnie nie potrzebował stosu przyrządów, by dojść do tego, co odkrył. Osiągnął to wszystko wyłącznie przez matematyczną konsekwencję, głęboką znajomość zdobyczy antyku i siłę swego otwartego umysłu.

Z biegiem czasu wiele się zmieniło. W miarę, jak mijały kolejne tygodnie, zwierzenia Kopernika stawały się coraz rzadsze, a on sam był wobec swego asystenta coraz bardziej bezwzględny, niekiedy nawet go poniżając, traktując jak sługę albo psa, gdy specjalnie upuszczał na ziemię stronę rękopisu i nakazywał mu: „Przynieś, kawalerze, przynieś!”. Retyk słuchał go, znajdował nawet upodobanie w tych szykanach, lecz nigdy nie wiedział, czy ma do czynienia z niezręcznością, perwersyjną grą czy zwyczajną rozrywką, której mistrz dostarczał sobie po długim i żmudnym dniu pracy.

Tak samo to powracające jak bumerang „kawalerze”, którym go dręczył: była to zwykła kurtuazja na starą modłę, czy też kpina ze „świeżego” szlacheństwa? Kopernik wymagał, by przeprowadzał od nowa wszystkie obliczenia, które sam był kiedyś wykonał, a potem poprawiał i sprawdzał w nieskończoność przez ostatnie czterdzieści lat. Do tego dochodziły tablice, które Retyk zebrał podczas swojej podróży, i które trzeba było zestawić z pozostałymi. Młody matematyk czynił to z werwą i największym kunsztem, na jaki potrafił się zdobyć, nie wiedząc, że mistrz odnajduje w sobie dzięki tej pracy energię i bystrość umysłu, przytępione przez ostatnie, długie lata.

Tymczasem krok po kroku Obroty klarowały się w umyśle Retyka. I już nie

studentom pragnął je wyklądać, ale równym sobie, aby oczyścić ich umysły z całego kurzu, jaki nagromadził się w przeciągu wieków. Będzie świętym Pawłem Kopernikańskiego słowa, ale to nie Koryntianom wyśle swoje listy; nie wyśmieje go ateńska agora, nie w Rzymie poddadzą go męczeństwu, ale w Prusach, Saksonii, Bawarii, Szwajcarii...

Porwany uniesieniem, nieomal w transie, Retyk wygłosił tę przemowę pewnego letniego wieczora tysiąc pięćset trzydziestego dziewiątego roku w rezydencji, którą kanonik posiadał w głębi łądu. Kopernik postanowił uciec od miazmatów ciężkiego, mglistego upału królującego we Fromborku, gdzie brzęczenie komarów rozlegało się w dzień i w noc pod ciężką warstwą czarnych chmur, które nigdy się nie rozpraszały, a najmniejszy powiew od strony morza nie pojawiał się, by je przegnać.

Posiadłość w Pieniężnie, położona na szczycie wzniesienia, górowała nad prześliczną, obfitującą w lasy i rzeki okolicą. Do jej podnóży tuliło się ufortyfikowane miasteczko. Retyk zapytywał sam siebie, czemu taki wytrawny myśliwy jak Kopernik nie umieścił swojego obserwatorium tutaj, na szczycie majestatycznej wieży obronnej, do której wejście zabito deskami. Tutaj byli daleko od ogłuszającej kakofonii dzwonów katedry i fromborskich kościołów, krzyków rybaków, sprzedawców ryb, poganiaczy wołów, kramarzy, mew, daleko zwłaszcza od mgieł podnoszących się wieczorem nad zatoką i przysłaniających niebo.

W miarę, jak upływał poranek spędzony na koniach, które wiozły ich tutaj, jadący noga w nogę z Retykiem Kopernik młodniał w oczach. Najmniejszej wzmianki nie było o epicyklach, logarytmach, tylko anegdoty z czasów młodości we Włoszech, często bardzo śmiałe i opowiadane ze swadą, jak zwykło się pogadywać z towarzyszem podróży. Lub z synem na tyle dużym, by mógł usłyszeć od ojca coś więcej niż dobrą radę albo reprimendę.

Retyk odkrył przyczynę metamorfozy kanonika, gdy na dziedzińcu dworu został przedstawiony dziesiątce osób oczekujących pana na włościach. Nigdy nie podejrzewał,

że taki człowiek jak Kopernik może mieć rodzinę. Poczynając od siostry, starej arystokratki z Gdańska w towarzystwie męża wyglądającego jak armator, który za młodu opłynął wszystkie morza świata i gromadki dzieci oraz wnuków; kuzyna, starego, czerwonego na twarzy, jowialnego burmistrza o nazwisku Filip Teschner, także obdarzonego licznym potomstwem. Nie brakło oczywiście ubogiego krewnego, Aleksandra Scultetiego, byłego kanonika, rekompensującego skromny status wielką erudycją i sztuką błyskotliwej konwersacji; jego żonę jednak Joachim Rheticus Iserin von Lauchen uważał za wulgarną niczym właścicielka domu publicznego. Nie należało zapominać o drugim kuzynie i jego synu przeznaczonym na koadiutora Kopernika na kanonii we Fromborku, a więc jego następcy, który w zasadzie już teraz odciążał astronoma we wszystkich obowiązkach kanonika. Ten młody człowiek bardzo przypadł Retykowi do gustu, zauważał w nim uderzające podobieństwo do gospodarza tych włości. Do tego stopnia, że zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem łączące ich więzy pokrewieństwa nie były o wiele silniejsze aniżeli zwykłe kuzynostwo. W dodatku przyszły koadiutor miał część rysów innej kuzynki Kopernika, jego gospodyni, która trzymała cały dom żelazną ręką.

W innym miejscu i w przypadku innych osób Retyk dziwiłby się, dlaczego Anna Schilling, w wieku czterdziestu lat kwitnąca, w pełni sił, zgadzała się pozostawać w cieniu i w łóżu starego, cholerycznego i kapryśnego kanonika. Jednak ich więź nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Często podczas wieczornych rozmów ich dłonie spoczywały jedna na drugiej, spojrzenia, jakie wymieniali, były wciąż spojrzeniami młodych małżonków. Nie trzeba było być Petrarą, by zauważyć, że w przypadku tego mężczyzny i tej kobiety wiek, czas i doświadczenia nie były w stanie osłabić namiętności, złagodzonej teraz czułością i wzajemnym zrozumieniem. Retyk wiedział, że jeśli spodoba się Annie, przełamie ostatnie opory, jakie Kopernik żywił w stosunku do jego osoby. Spodobał jej się, a nawet przez moment zastanawiał się, nie bez próżności, czy nie za daleko posunął się w pobijaniu jej serca.

Pierwszy tydzień upłynął na przejażdżkach po okolicy, polowaniu, spacerach, długich i uważnych rozmowach przy kominku. Retyk w zaciszu swego pięknego pokoju, w jakim

go ulokowano, próbował pracować, ale bez przerwy wciągano go w partyjkę szachów albo grę w piłkę, czemu oddawali się wszyscy krewniacy, których Kopernik był patriarchą, poczynając od najbardziej posiwiałej głowy, na najbardziej niesfornym malcu kończąc. Żałował wówczas, że nie ma powierzchowności szkaradnego, zezowatego nudziarza o cuchnącym oddechu, w czarnym ubraniu usianym łupieżem. „Nie podobać się, nie podobać się, Boże, daj mi ten dar!”, zabawiał się modlitwą, ani przez chwilę nie wierząc w jej spełnienie.

W końcu pewnego dnia powiadomiono go o przyjeździe biskupa Giesego i jego orszaku. „Jeszcze stary prałat, i rodzinka w komplecie”, wściekał się Retyk. Świerbiły go ręce. Nie przedsięwziął całej tej wyprawy po to, by smakować teraz życia prowincjonalnych notabli. Postanowił zatem zadać mocny cios, by obudzić tego Herkulesa astronomii uspiętego u stóp swojej Omfale.

Tak więc pierwszego wieczora po przybyciu Giesego, po kolacji, ośmielił się przedstawić jako prorok ubóstwionego Kopernika. Damy poszły się położyć, poza Anną oczywiście. Jego audytorium składało się już tylko z biskupa, burgrabiego Gdańska, „ubogiego krewnego” Aleksandra, młodego przyszłego koadiutora, burmistrza Filipa i - co oczywiste - Kopernika tronującego w swoim wielkim fotelu w dłońmi wspartymi na gałce laski Euklidesa, ramię w ramię z Anną. Patriarcha, który zdawał się obojętnie reagować na hymn pochwalny, w którym gloryfikował go jego asystent:

- Jeśli kiedykolwiek został zaproponowany zuchwały system, uczynił to pan, mistrzu. Trzeba było zaprzeczyć wszystkim ludziom, którzy sądzą tylko podług zmysłów; trzeba było przekonać ich, że to, co widzą, nie istnieje. Na próżno oglądali od dnia narodzin, gdy światło dzienne oślepiło ich oczy, Słońce wędrujące ze wschodu na zachód i pokonujące niebo w swym świetlistym biegu. Na próżno oglądali gwiazdy, przebywające tę samą drogę nocą; Słońce, gwiazdy, wszystko zdaje się nieruchome, ruch zaś istnieje tylko w ciężkiej masie, którą my zamieszkujemy. Lecz trzeba zapomnieć o ruchu, który dostrzegamy, by uwierzyć w ten, którego nie czujemy. To nie wszystko: trzeba zniszczyć odziedziczony system, zatwierdzony przez cztery strony świata, wywrócić tron



Ptolemeusza, który odbierał hołdy przez czternaście wieków. Oto dokonuje się przewrót, a ośmiela się go wprowadzić jeden jedyny człowiek, buntowniczy umysł, który daje sygnał wymarszu, pan, mistrzu!

Tę liryczną, pełną wzburzenia perorę zgromadzenie nagrodziło owacją, za wyjątkiem głównego zainteresowanego. Oczy Anny wypełniły się łzami, a ku wielkiej satysfakcji mówcy, uroczy koadiutor zerwał się, krzycząc „brawo!” na włoską modłę. Giese pierwszy przywołał się do porządku: bądź co bądź taka była rola najważniejszej osoby w tym małym zgromadzeniu:

- Ponieważ podaje się pan za apostoła tej nowej teorii, proszę napisać swoją ewangelię. Potem, po drogach i ścieżkach, z miasta do miasta, z uniwersytetu na uniwersytet, niech głosi pan heliocentryzm! Niechże będzie pan strażą przednią, zanim przybędzie najważniejsza część oddziału, potężna armia: O obrotach sfer niebieskich.

- Widzisz, Tiedemannie, znowu mam rację - przerwał Kopernik. - Mówicie obaj o ewangelii, podczas gdy chodzi o apokalipsę. A teraz mówisz o moim dziele w wojskowych terminach. To właśnie tego nie chcę. Kiedy mówisz o armii, mówisz też o wojnie, a gdy mówisz o wojnie, mówisz o krwi, o cierpieniu, o śmierci. Kto w takim razie napisał dawno temu: „Odmawiam walki” - ty - czy ja?

Kopernik wymówił te słowa spokojnym, poważnym głosem. Odwieczna walka między dwoma starymi sługami Kościoła znowu się zaczynała. Trzeba było uciąć sprawę, a zwłaszcza nie pozwolić, by wygasł entuzjazm wzbudzony przemową Retyka. Wyjął zza pazuchy plik papierów i powiedział z fanfaronadą przypominającą Paracelsusa:

- Ta ewangelia heliocentryzmu, według słów Jego Wielebności biskupa Chełmna, została już przeze mnie napisana. Oto ona.

- Świetnie, przeczytaj ją, Joachimie! - zakrzyknął Giese.

- Niestety, pani - odparł asystent, zwracając się do Anny - napisałem ją po łacinie...

- Pani Schilling doskonale rozumie język Cycerona - krótko uciął Kopernik. - Proszę czytać, kawalerze!

W tym momencie burmistrz Filip podniósł się z miejsca i powiedział:

- Co do mnie, łacina nie jest moją mocną stroną. I jeśli Jego Ekscelencja pozwoli, stary żołnierz rzuci się w objęcia Morfeusza, które woli od uścisków Uranii.

Po wyjściu burmistrza, za którym podążył burgrabia Gdańska, Retyk, przeprosiwszy wpieryw, że nie znalazł jeszcze tytułu dla swego dzieła, z wdziękiem wsparł się łokciami o gzyms kominka i zaczął lekturę:

„Opowiadanie pierwsze o księgach Obrotów uczonego męża, doskonałego matematyka, wielebnego pana doktora M. Kopernika z Torunia, od pewnego młodzieńca studenta nauk matematycznych do jaśnie oświeconego pana Filipa Melanchtona”.

- Źle zaczynasz, kawalerze - rzucił Kopernik. - Zadedykować tę książkę najgorszemu z moich wrogów, człowiekowi, który skazał mnie na śmierć!

- Dajże mu czytać dalej - zdenerwował się Giese. - Uzgodnimy te szczegóły potem. Niech nikt nie przerywa kawalerowi, aż nie skończy!

Przez całą godzinę mówca czytał swój tekst jak aktor rolę, w absolutnej ciszy, którą nakazał biskup, nie przyjaciel.

„...Lecz niech zatriumfuje prawda, niech zatriumfuje to, co wartościowe, niech zawsze już nauki będą szanowane, a każdy mistrz i jego nauka niech wydobędzie na światło dzienne to, co w jakikolwiek sposób jest użyteczne i niech praktykuje to tak, by

uchodził za człowieka prawdziwie poszukującego prawdy”.

Jakby po to, by złapać oddech, Retyk zrobił krótką pauzę i podsumował:

„Trzeba, by ten, kto chce uprawiać filozofię, wolny był od własnych sądów”.

- Platon, Didascalos, wersety od pierwszego do trzeciego - wyrecytował Kopernik.

Potem, nagle bardzo stary, podniósł się, pomagając sobie laską Euklidesa, podtrzymywany przez Annę.

- Robi się późno. Chodźmy spać. Porozmawiamy o tym wszystkim następnym razem.

Po tym pożegnaniu, wsparty na lasce, przygarbiony, u boku swej gospodyni opuścił salę.

Nazajutrz był jednak doskonale wypoczęty, gotów do bitwy. Była ona długa i zacięta. Retyk udawał, że długo opiera się w sprawie dedykacji dla Melanchtona, by tym skuteczniej walczyć o punkty, które wydawały mu się szczególnie ważne. Wcielając się w rolę polityka, Giese zaproponował, by zastąpić nazwisko mistrza z Wittenbergi Albrechtem Hohenzollernem, ponieważ to, co miało nosić tytuł Narratio prima, Opowiadanie pierwsze, jako zredagowane przez protestanta powinno ruszyć na podbój krajów oddanych reformacji, mimo wściekłego sprzeciwu wobec heliocentryzmu jej inicjatorów. Melanchton i Luter, bronił sprawy biskup, będą musieli skapitulować na rozkaz księcia, ich potężnego współwyznawcy. Kopernik zareagował na te słowa jednym ze swych wybuchów wściekłości. Według niego nie wchodziło w grę złożenie najmniejszego hołdu temu, którego uważał za łajdaka, krzyżackiego barbarzyńcę, mordercę. Nie rozumiejąc powodów tej nienawiści, Retyk czuł, że spór prowadzi donikąd. Przyszedł mu do głowy pomysł, wręcz natchnienie:

- Wszyscy trzej nie mamy racji - powiedział. - Jak mądrze pan postuluje, mistrzu,

Narratio prima powinno zostać zadedykowane wyłącznie tym, którzy będą w stanie docenić wielkość pańskiej teorii i nie wystawią na pośmiewisko pańskiego geniuszu. Uczniowie Pitagorasa będą korzystać z niego z rozsądkiem, nawet, gdy będą pana krytykować. Parodiując Platona, niech nikt go nie czyta, kto nie jest geometrą.

Kopernik i Giese wyszukali więc nazwiska profesorów matematyki wszystkich europejskich uniwersytetów, ale ten i ów od dawna już nie żył, inni zniedołężniali, a tamci zawsze byli idiotami i takimi pozostali wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

- Johann Schöner z Norymbergi wydaje mi się odpowiednią osobą - podszeptał Retyk. - Był zresztą moim drugim profesorem astronomii. Wybitny nauczyciel.

- Drogi Johann, oczywiście! - wykrzyknął Giese, uderzając się w czoło. - Jak mogłem o nim nie pomyśleć? Poznałem go w Ferrarze w tysiąc pięćset czwartym... Nie, w tysiąc pięćset siódmym roku. A może w Padwie w...

- Zaiste, Schöner wydaje mi się idealną osobą na dedykację - sucho uciął Kopernik. - O ile dobrze sobie przypominam, był jednym z niewielu, którzy odpowiedzieli w miarę sensownie na mój Komentarzyk, a potem na Obroty. Zresztą szczęśliwie nie jest ani luteraninem, ani papistą, lecz wyznawcą myśli Erazma, jak i ja. Ale wydawało mi się, że miałeś z nim jakiś zatarg, kawalerze.

- Po prawdzie, odmówił mi ujawnienia pańskiego dzieła, twierdząc, że nie przedstawia ono żadnej wartości. Dedykując mu Narratio prima zmuszę go, by porzucił tę swoją ostrożną rezerwę i przyłączył się do jednego z obozów.

- Obozy! Ciągłe ta wojna! - warknął Kopernik. - Nie rozumiesz, skończony ośle, że odmawiając pokazania moich pism byle komu, Schöner posłuszny był tylko mojej prośbie o dyskrecję?

- Dziękuję za „byle kogo”, mistrzu - odparł urażony Retyk. - Czyli postanowione:

wyberamy Schönera? Pozwoli mi to przyjąć nieco lżejszy ton, mniej autorytatywny niż w przypadku Melanchtona.

- Nie wypieraj się tego, co gorąco pokochałeś, mój synu - zartobliwie odpowiedział sentencją Giese, zachwycony, że udało się dojść w tym punkcie do porozumienia.

Bo kwestii spornych było więcej. Poczynając od czwartej części, zatytułowanej O tym, że imperia zmieniają się z ruchem centrum ekscentryki. Opierając się na prorocत्वach Eliasza i obliczeniach Kopernika, Retyk metodą dedukcji dochodził do wniosku, że królestwa wyznające Mahometa upadną dokładnie za sto lat, w tysiąc sześćset trzydziestym dziewiątym lub czterdziestym roku.

- Chcesz więc, by w przyszłości śmiano się z nas, kawalerze, kiedy boskim zrządzeniem twoje prorocत्व się nie spełni? - ironicznie spytał Kopernik. - Nie sądzisz, że będziemy mieli wystarczająco kłopotów ze współczesnymi?

- Cóż to, mistrzu? Nie wierzy pan więc, że bieg planet i gwiazd wywiera wpływ na przeznaczenie ludzi i mocarstw? Przecież to na tej płaszczyźnie, mistrzu - zapalił się Retyk - pańska teoria wstrząśnie światem, umożliwi przejrzystą, zrozumiałą lekturę Pisma Świętego, Apokalipsy świętego Jana i Kabały, która rozjaśni przyszłość i odkryje przed nami dokładną datę końca czasów, powtórnego przyjścia Mesjasza, paruzji.

Kopernik wybuchnął na te słowa gromkim śmiechem, który szybko przeszedł w drwinę:

- Mówiłem ci, Tiedemannie, mówiłem! Zaczyna się! Moi uczniowie to szaleńcy! W osobie kawalera Retyka przedstawiam ci pierwszego z szarlatanów, którzy rzucą się jak sfora psów na moje biedne obliczenia i pożrą łakomie, a potem wyrzycą nedorzeczne brednie. Szalone czasy! Rozum pogąrzył się w ciemnościach! Pytasz mnie, kawalerze, czy wierzę we wpływ gwiazd na ludzkie przeznaczenie? Nie mam pojęcia, jestem tylko małym twórcą logarytmów, mierniczym gwiazd. Nie wiem już, jaki sofista pokusił się o

rozdzielenie astrologa, według niego szczególnej misji proroka, mędrca, poety i Bóg wie, kogo jeszcze, i astronoma, ciemnego robotnika, zadowolającego się mierzeniem kątów między Marsem i horyzontem, stawianiem kolumn cyfr, aż oczy zachodzą łzami, podnoszeniem i opuszczaniem skalówek laski Jakuba, gdy szczekasz zębami w zimowym wietrze albo gdy w letnie noce obsiadają cię komary. Ja, kawalerze, jestem tym drugim, jestem manewrowym gwiazd.

Długo walczył Kopernik, sam przeciwko dwom, lub raczej sam przeciw wszystkim. Bo ci „wszyscy”: Retyk, Giese, Melanchton, Dantyszek, Luter, Schöner, królowie, księżęta i papieże czasów minionych, obecnych i przyszłych, są przekonani, że celem astronomii jest odszyfrowanie Historii i przepowiadanie przyszłości. Wszyscy poza nim, którego to zupełnie nie obchodziło: Kopernikiem. Trudno było znaleźć kompromis. Każde słowo z fragmentu dotyczącego imperiów było ważne, dyskutowane, zmieniane tak, aby czytelnik mógł pojąć, że ten pogląd, ta przepowiednia były dziełem autora książki, a nie „Pana Nauczyciela”, którego odkrycia i prace przytaczał.

W końcu, po upływie piętnastu dni, Narratio prima satysfakcjonowało wszystkie trzy strony. Retyk uznał ten moment za właściwy, by zaprezentować dwom starym sługom Kościoła hołd, który oddawał ich gościnności, Pochwałę Prus, z której wielce był zadowolony.

- W tym panegiryku opuszczam Uranie, muzę astronomii, by przejść pod egidę muzy hymnów, Polihymnii, i muzy historii, Klio - wytłumaczył z fałszywą skromnością zanim zaczął lekturę.

Nie zdążył doczytać pierwszej kartki, a Kopernik już pękał ze śmiechu:

- Prusy - nowe Rodos, córka Wenus i morza, oblubienica Apolla! Ach! Kawalerze, to nie Polihymnia ani Klio cię inspirują, ale Talia, muza komedii!

- Pozwólże mu wreszcie kontynuować - zaproponował Giese. - Zresztą, ty nigdy nie

miałeś żadnego upodobania w poezji i literaturze pięknej.

- Żadnego upodobania, zgadzam się, ale na pewno mam obrzydzenie.

Powstrzymując wściekłość, Retyk czytał dalej, unikając spoglądania na trzęsące się ze śmiechu ramiona mistrza i łzy spływające po policzkach i perlące się na jego brodzie, gdy próbował powstrzymać głośny wybuch wesołości. Dalsza część panegiryku była utrzymana w podobnym tonie: mitologiczna gmatwanina, gdzie wszystko, co liczyło się w katolickich Prusach odmalowane zostało jako ateński Areopag, a fromborska kapituła jako nowa Akademia, której Sokratesem miał być oczywiście Kopernik - z czego wynikało, że Retyk byłby jego Platonem. Jednakże za tym galimatiasem kryła się wielka zręczność, subtelna przebiegłość. Opisuując luteranom pruskie biskupstwa jako oazę pokoju i dostatku, raj sztuki i literatury pośrodku rozdzierającego się wzajem chrześcijańskiego świata, ukazywał, że heliocentryzm nie był ani papistów, ani protestantów, ale sytuował się gdzie indziej, ponad bitewnym zgiełkiem, na Olimpie nie będącym ani Rzymem, ani Wittenbergą.

Giese zrozumiał to bardzo dobrze, tak samo, jak pojął, że całość była zaadresowana również do Kopernika, mając go skłonić, by w końcu ogłosił drukiem O obrotach... Albowiem to nie wojnę mogły spowodować, lecz pokój na Ziemi, szczęśliwej, obracającej się dookoła wielkiego Słońca, Bożego tabernakulum.

Kopernik natomiast zachowywał się, jakby tego nie dostrzegał. Zażarcie dyskutując nad szczegółami, zasypując sarkastycznymi uwagami swego nieszczęśliwego ucznia, próbował zyskać na czasie, jak dzieciak odwlec nieuchronny moment, w którym będzie musiał ostatecznie zezwolić na druk dzieła.

- Dlaczego podpisujesz dedykację imieniem Antinousa? Byłbyż więc Schöner twoim cesarzem Hadrianem, a ty jego kochankiem? Już dawno temu domyśliłem się, kawalerze, że nie gustujesz w kobietach. Tym gorzej dla ciebie, nie wiesz, co jest dobre. Tym lepiej dla nas, którzy korzystamy z tego, czym pogardzasz. Jednak szanuję twe skłonności, choć

ich nie podzielałam. Ale w żadnym razie nie chciałabym, by przez tego niestosownego „Antinosa” podejrzewano mnie o bycie nie tylko twoim „Panem Nauczycielem”, jak mnie zaszczytnie nazywasz, lecz także twoją starą kochanką. Zbyt często w moim życiu brukano mnie oszczerstwem i zaczynam być tym trochę zmęczony.

Retyk przygryzł wargi aż do krwi, powstrzymując się przed rzuceniem się temu kłótliwemu staruchowi do gardła. W końcu odpowiedział zduszonym głosem:

- Nie chodzi tutaj ani o Hadriana, ani o jego ulubieńca. Antinous, o którego mi chodzi, był najlepszym i najwierniejszym uczniem Platona. Tak jak ja chlubię się być pańskim.

Wyprowadzony z błędu Kopernik tylko machnął ręką. To było jego jedyne imprimatur. Od tej pory stracił zainteresowanie tą kwestią. Retyk chciał wydać swoje Narratio prima w drukarni w Wittenberdze, która niegdyś wypuściła Dziewięćdziesiąt pięć tez Lutra. Giese odwiódł go od tego: nawet jeśli Melanchton udzieli mu swego pozwolenia, Rzym może powziąć podejrzenia co do religijnych sympatii kanonika z Fromborka, który mógłby w ten sposób utracić wsparcie i przyjaźń papieża. Biskup przekonał młodzieńca, by wydał dzieło w gdańskiej drukarni. Poza tym - przekonywał - czy udowodnienie, że pruskie prasy są przynajmniej tak dobre jak inne nie byłoby poparciem przykładem hymnu kończącego dzieło?

Jednej rzeczy Giese nie wyjawiał Retykowi. Mianowicie, w dużej mierze przyczynił się do powstania owej drukarni i obecnie miał udział w jej zyskach.

Od tej pory rzeczy potoczyły się bardzo szybko. Podczas, gdy Kopernik zamknął się w swojej wieży, a Giese w biskupim pałacu, Retyk zasięgał potrzebnych informacji, przemierzając we wszystkich kierunkach główne pruskie trakty. Udał się wprawdzie do Gdańska, przyjęty przez burgrabiego, przyjaciela Giesego i wielbiciela Kopernika, negocjował z jedynym drukarzem tego wielkiego portu, który, gdy nabrał do niego zaufania, wyznał mu, że pozostaje sekretnym wyznawcą Lutra i ofiarował mu w



prezencie darmowy wydruk, poza nakładem, dwóch pierwszych arkuszy tekstu w pięciu egzemplarzach. Chcąc uzyskać dodatkowe korzyści, Retyk wyznał mu, że miał ojca Żyda, pewien, że rozmówca także nim był. Okazało się, że miał rację. Lecz autor Narratio prima nie ośmielił się szukać z rzemieślnikiem innych punktów wspólnych poza religijnymi lub dotyczącymi wyznawania heliocentryzmu: drukarz był mądrym i cnotliwym ojcem rodziny. Kiedy darmowe arkusze wyszły spod prasy, Retyk wysłał dwa egzemplarze do Norymbergi, dla Schönera, jeden do Montpellier dla Gassera i jeden do Wittenbergi, dla Melanchtona. Następnie nakazał Heinrichowi Zellowi czuwać nad prawidłowym przebiegiem druku całości. Przynajmniej w tym mógł mu zaufać. Potem zapakował do juków inne próbne wydruki, jak i mapę całych Prus, w sposób godny podziwu sporządzoną przez jego asystenta i pomknął w stronę wschodzącego słońca, herold myśli kopernikańskiej.

W Lidzbarku Warmińskim Dantyszek przyjął go jak długo niewidzianego syna. Zachłannie przeczytał dwa pierwsze arkusze Narratio prima, rozpływał się z radości podczas lektury prorocstwa o imperiach, kazał mu sporządzić swój horoskop i powierzył mu kolejną wiadomość dla księcia Prus. Zanim go odprawił, poprosił go również o interwencję u Kopernika, aby ten w końcu wysłał mu kopię O obrotach... Retyk miał pewność, że prośba była szczerą. Biskup warmiński dał tego istotne świadectwo: od tej pory przymknij oko na skandaliczny konkubinaty swego fromborskiego kanonika. Dantyszek przeszedł do obozu heliocentryzmu bez żadnych ukrytych intencji poza tym, że dowiedział się, iż papież Paweł III był gorącym zwolennikiem teorii. Idąc za ciosem, Retyk przyrzekł prałatowi, że uczyni coś jeszcze lepszego niż przesłanie mu kopii rękopisu: wydrze swojemu mistrzowi pozwolenie na druk tego „nowego Almagestu”. Biskup zaczął na to krygować się jak paniątka pokazująca pierwszy haft starej niańce:

- Pewnie pan wie, drogi kawalerze, że niekiedy param się poezją. Swego czasu popełniłem tę małą odę ku czci tańca planet, która być może oświecili promykiem finezji poważne dzieło wielkiego uczonego, chluby i chwały mojego biskupstwa...

Retyk przeczytał poemat, wykrzykując z zachwytu nad jego urodą godną Horacego i

Arystotelesa razem wziętych, przyrzekł opublikować go we wstępie do Obrótów..., zastanawiając się w myślach, w jaki sposób uda mu się narzucić tę niedorzeczność Kopernikowi.

W Królewcu przyjęcie zgotowano mu równie serdeczne. Zwłaszcza że Albrecht był bardzo zadowolony ze sporządzonej przez Zella mapy, za autora której uważał Retyka. Wbrew insynuacjom Kopernika, doskonale odszyfrował dokument. Tak, jak zrozumiał, wczytując się w przepowiednie dotyczące imperiów, znaczenie nowej teorii ruchu planet. Książę obiecał Retykowi, że wyrze presję na Melanchtona - gruby Luter, stojący nad grobem i uwikłany w potyczki z diabłem już się nie liczył - by ten pozwolił na swobodne rozpowszechnianie poglądów kanonika z Fromborka. On, ostatni wielki mistrz zakonu krzyżackiego także został podbity.

Retyk, triumfujący, powrócił zatem do Gdańska. Czekало tam na niego Narratio prima, jego Opowiadanie pierwsze, doskonale złożone, mile pachnące świeżym tuszem, klejem i aksamitnym w dotyku papierem. W międzyczasie Georg Vogelinius, filozof i słynny lekarz, któremu Achilles Gasser przekazał wydrukowany fragment dzieła, przesłał bardzo wymowne wersety, które zostały umieszczone na samym początku pracy Retyka: „Owo dziełko zawiera rzeczy, które były nieznane znakomitym postaciom Starożytności, a które podziwiać będą geniusze naszych czasów. Ukazano w nim, poprzez nowe rozważania, przyczynę tej harmonii, jaka króluje w ruchach niebieskich, a także ruszono z posad ziemię, do tej pory postrzeganą jako nieruchomą. Słuszna chwała należy się uczonej Starożytności, albowiem w doskonałym momencie wynalazła nauki, lecz ani pochwał, ani sławy nie powinno się odmawiać niedawnym odkryciom lub nowym studiom. Dzisiejsze badania nie boją się podobnego osądu ni surowej krytyki oświeconych umysłów. Złośliwość i zazdrość jedynie mogą być im przeszkodą. Ale czymże jest zazdrość! Jeśli praca ma niewielu chwalców, najważniejsze, by podobała się prawdziwym uczonym, a to za wszystko wystarczy!”.

Lepiej jeszcze: Zell wręczył mu list od Melanchtona, informujący go, że został wybrany na stanowisko dziekana uniwersytetu w Wittenberdze, i że ma całkowitą

dobrowolność w doborze materiału, jakiego chce nauczać, niechby to były najbardziej nawet heterodoksyjne teorie. Retyk postanowił zatem wyruszyć w drogę powrotną. Jego poszukiwania dobiegły końca.

Mimo to nadłożył drogi i zajął do Fromborka, gdzie pozostał przez tydzień. To było siedem cudownych dni. Zdawało się Retykowi, jakby powrócił niemal do domu, do ojca i matki. Anna Schelling bowiem powróciła do miasta po dwóch latach wygnania spędzonych w posiadłości w Pieniężnie. Jej stary ukochany wiedział, że teraz Dantyszek zostawi ją w spokoju. Tydzień szczęścia pomiędzy nią i Mikołajem, który nie nazywał go już kawalerem, ale zwracał się do niego po imieniu: „Joachimie”. Serce pękało mu z bólu, gdy musiał ich opuścić, by zdążyć na rozpoczynający się właśnie rok akademicki. Na progu wieży, podczas gdy główna ulica wypełniała się już kupującymi, otwierano kramy i sklepiki, Retyk rzucił się do nóg Kopernika, ujął go za ręce, na które kapąły płynące z jego oczy łzy i błagał go:

- Ojczy, ojczy, opublikuj twoje dzieło. Świat czeka, czeka z nadzieją. Bez ciebie Ziemia wciąż spoczywałaby, nieruchoma, na kolanach Ptolemeusza.

Stary kanonik położył mu rękę na głowie, jakby go błogosławiąc, i łagodnie powiedział:

- Pozwól mi się nad tym zastanowić. Mamy czas, i to jest wszystko, co mamy. Czas. Ale ty podążaj swoją drogą. Nauczaj. Nauczaj Prawdy. Idź już, synu. Czyn, co do ciebie należy.

Po odjeździe ucznia Kopernik poprosił Radoma, by wystawił na taras wieży dwa fotele i podał tam kolację dla niego i dla Anny. W ten późny letni poranek tysiąc pięćset czterdziestego roku powietrze było szczególnie przyjemne dzięki ciągnącemu od ziemi ciepłemu powiewowi. Z nogami spoczywającymi na perskich pufach, chronieni przed chłodem ciepłymi futrami, trzymając się za ręce, Anna i Mikołaj bawili się jak dzieci, wypluwając jak najdalej pestki z oliwek, które przysłał im kardynał Kapui, Jego

Eminencja Schönberg. Wkrótce astronom znudził się grą, odetchnął, puścił dłoń swojej towarzyszki i rzekł:

- Widzisz, moja miła damo, jestem nie z tej rzeczywistości, nie z tej epoki. Bóg powinien powołać mnie do życia na Samos lub w Krotonii przy Pitagorasie, lub w Syrakuzach w towarzystwie Archimedesza, albo w Egipcie. Teon z Aleksandrii dałby mi za żonę swoją córkę, która przypominałaby cię, czuła Hypatio. Nie, nie należę do tej epoki, której już nie rozumiem. Hermes Trismegistus przeklinał wynalazek pisma, który, jak mawiał, zabijał pamięć będącą właściwością istoty ludzkiej. Mylił się. A ja mówię, że druk jest najstraszliwszą bronią, jakiej człowiek używa przeciwko samemu sobie. Mylę się, Retyk ma rację. Sam już nie wiem. Anno, moja Hypatio, od kiedy o tym mówię, nigdy cię nie spytałem, co ty o tym myślisz: czy powinienem wydrukować Obroty..., nawet jeśli świat miałby przez nie spłynąć krwią i ogniem, czy też nadal powinienem milczeć, pozwalając, by plotka się rozprzestrzeniała, oszczerstwo szerzyło, rozpowszechniały obelżywe wymysły? Zastanów się nad tym dobrze, rozważ wszystkie za i przeciw i spisz to dla mnie, jeżeli nie ośmielisz się powiedzieć mi tego prosto w oczy.

- Od dawna mam to przemyślane. Drukuj, kochanie, drukuj - odpowiedziała Anna. - Czyń, co powinienes.

Podniósł się z trudem z fotela, pokonał schody prowadzące do biblioteki i sporządził krótki list do Retyka, i zanim atrament na dobre wysechł, powierzył go Radomowi z obawy, że zdąży się rozmyślić. Następnie, niczym Pizarro palący swoje okręty, poinformował Giesego, Dantyszka, Schönberga i samego papieża o rychłym ukazaniu się O obrotach sfer niebieskich.

Retyk, nie zwlekając, pospieszył do Fromborka. Stanowisko dziekana w Wittenberdze zapewniało mu pełną swobodę; powierzył swoje wykłady koledze, pobitemu konkurentowi Erazmowi Reinholdowi, któremu Melanchton także udzielił pozwolenia na nauczanie teorii Kopernika, obwarowując je jednym tylko warunkiem: by

nie odcinać nauczania polskiego kanonika i Ptolemeusza.

Zainstalowawszy się we fromborskiej wieży, Retyk długo odbierał instrukcje swojego nauczyciela. Były niezwykle obszerne. Na przestrzeni trzydziestu dwóch lat Kopernik sam wykonał jedynie dwadzieścia siedem nadających się obserwacji. Nigdy nie udało mu się dostrzec Merkurego, przyklejonego do Słońca o świcie i wieczorem, pogrążonego w mgłę znad zatoki. Kopernik wymógł więc najpierw na Retyku, by sporządził wykaz wszystkich obserwacji planetarnych na podstawie tablic uczonych z minionych wieków. Chciał upewnić się w ten sposób, że podczas ich kopiowania nie popełnił błędu. Pod uwagę trzeba było wziąć także tablice współczesnych astronomów, takich jak Waltherus czy Schöner. Następnie miał Retyk obliczyć długość astronomiczną Marsa na przestrzeni piętnastu wieków, biorąc oczywiście pod uwagę, że czerwona planeta obraca się wokół Słońca na czwartym miejscu, za Ziemią, a nie dookoła Ziemi jako piąta, poprzedzana przez Słońce.

- Gdybyś mógł później - powiedział z dezynwolturą Kopernik - uszczuplić go o parę epicykli, kawalerze, zapewnisz sobie moją dozonną wdzięczność.

To był trwający dwa długie miesiące koszmar. Kapryśna wędrowną planeta zdawała się włączyć w przestrzeni bez celu, oddalać się, powracać, cofać, robić sobie przystanki. Zaś nieszczęsny Retyk, by „zachować pozory”, mógł tylko mnożyć epicykle, zamiast zmniejszać ich liczbę. Pewnej nocy niewiele brakowało, by postradał przez nią zmysły. Gdy wszystko w wieży głęboko spało, poczuł, jakby jakiś zły duch chwycił go za włosy i uderzał jego głową w ościeżnicę, chcąc go zabić. Kiedy się obudził, miał opuchnięte i posiniaczone czoło.

- Mówiłem ci przecież, byś uważał, kawalerze. Drzwi do twojego pokoju są bardzo niskie. Schylaj się, gdy wchodzisz do środka. Ile razy mam ci to powtarzać? Anno, przetrzyj mu czoło alkoholem. Lepiej, żeby rany się nie zainfekowały.

Podczas, gdy gospodyni opatrywała go z największą czułością, Retyk zastanawiał się,

czy Kopernik nie czerpał złośliwej przyjemności z jego udręki. Znowu zaczął z tym swoim „kawalerem” i drobnymi szykanami. Jednak najgorszy był komentarz nauczyciela, gdy uczniowi w końcu zdawało się, że skończył z przeklętą planetą:

- Nieźle. Ale... każesz naszej uroczej sąsiadce wywijać koziołki, chciałem powiedzieć: epicykle. Koniec końców, starożytni byli ludźmi jak my. Skłonny do upadków. Hipparch i Ptolemeusz na pewno nie mieli tak dobrych instrumentów mierniczych jak my, mogli się mylić w swoich obliczeniach. Wystarczyłoby zmniejszyć niektóre kąty o kilka minut w jednym miejscu, zwiększyć w innym, krótko mówiąc, ofiarować Marsowi bardziej harmonijną i bardziej godną tej planety orbitę.

Nie był to wyłącznie trudny do wyrażenia cynizm. Astronom wyrażał się jak malarz tłumaczący uczniowi błąd proporcji lub perspektywy. Kopernik nie szukał Prawdy o świecie, ale jego Piękna.

- A propos, kiedy ty brałeś się za bary z bogiem wojny, napisałem wstęp, który mam zamiar zadedykować Jego Świątobliwości Pawłowi III. Sam zobacz.

Podniecony Retyk zaczął czytać: „...wołałem te owoce mojej pracy dedykować Waszej Świątobliwości [...]. Łatwo więc swoją powagą i swym sądem będziesz mógł stłumić napaści oszczerczych języków, jakkolwiek przysłowie powiada, że nie ma lekarstwa na ukąszenie fałszywego oskarżyciela”. „I nie wątpię, że utalentowani i uczeni matematycy zgodzą się zupełnie ze mną, pod warunkiem że dopełnią tego, czego przede wszystkim wymaga ta nauka, tj. zechcą nie powierzchownie, ale do głębi poznać i przemyśleć to wszystko, co ja na dowód tych twierdzeń w tym dziele podaję”. „Być może znajdą się tacy, co lubią bredzić i mimo zupełnej nieznajomości nauk matematycznych [...] na podstawie jakiegoś miejsca w Piśmie Św., tłumaczonego źle i wykrętnie odpowiednio do ich zamierzeń, ośmielą się potępiać i prześladować tę moją teorię. O tych jednak zupełnie nie dbam do tego stopnia, że sąd ich mam nawet w głębokiej pogardzie jako lekkomyślny”.

Reszta brzmiała równie ujmująco, był to doskonały tekst napisany w najczystszej łacinie, poruszające wezwanie do tolerancji, do konfrontacji poglądów, a przede wszystkim obrona jego teorii z godnością wielkiego pana zupełnie pozbawionego uniżoności, jakiej można by oczekiwać od pośledniego kanonika zwracającego się do pierwszego z biskupów. Z tą samą godnością uzasadniał swoje wątpliwości dotyczące publikacji. Mikołaj Kopernik zdecydowanie był księciem.

- Och, mistrzu... - zaczął Retyk.

- Przykro mi, kawalerze, że nie wymieniłem cię pośród osób, które pomogły mi w podjęciu decyzji o publikacji, choć zasługujesz na to bardziej niż ktokolwiek inny. Niemile byłoby jednak widziane w tekście skierowanym do papieża nazwisko dziekana uniwersytetu w Wittenberdze w otoczeniu takich osobistości jak kardynał Mikołaj Schönberg czy pobożny biskup o imieniu Tiedemann Giese. Zaszкодziłoby ci to bardziej niż wszystko inne. A ja nie chcę śmierci grzesznika.

- Gdyby umieścił pan moje nazwisko, błagałbym, by je pan wykreślił. To raczej ja powinienem po stokroć dziękować panu za oświecenie mnie światłem prawdy. Poza tym to nie przystoi, by nauczyciel dziękował za pomoc swojemu uczniowi.

- Ach! Nie jestem w zbyt dobrej komitywie z tym, co przystoi... W związku z tym zabawimy się trochę przy wyborze drukarni. Ponieważ wydrukowaliśmy twoje Narratio prima na katolickich gdańskich prasach, złożymy moje Obroty... z luterańskich czcionek drukarni w Wittenberdze.

- Ale bardzo pan tym ryzykuje. Jeśli Melanchton odmówi...

- Odmówi? Jeśli to zrobi, udowodni, że jego przekonania są jeszcze bardziej ograniczone niż Giesego i Dantyszka. Nie odmówi, wierz mi. Ten hipokryta jest za sprytny. Czyniąc to, drogi kawalerze, wsadzimy kij Euklidesa w mrowisko. Pokażemy im wszystkim, że mieszanie spraw religii i filozofii przyrody jest tak absurdalne, jak

niebezpieczne. Heliocentryzm nie ma nic do roboty w kłótniach między kościołami. Ma sprawę wyłącznie z Panem Bogiem. Wyśpiewuje piękno i harmonię Jego Stworzenia i nie obchodzą go ich spory na temat płci aniołów, pępka pierwszego człowieka czy dziewictwa Najświętszej Pani.

Podniósł się i dał Retykowi znak, by zbliżył się do jednej ze ścian biblioteki:

- Popatrz tam, kawalerze, na tę rycinę. Została wykonana dawno temu przez mojego zmarłego przyjaciela Dürera, który przesłał mi ją w podziękowaniu za mój Komentarzyk. Czy wiesz, co biedny Albrecht napisał w załączeniu? „Do Boga jednego należy wyznaczenie granic absolutnego piękna”. Ta akwaforta, kawalerze, to heliocentryzm.

Retyk wstał i zbliżył się do Melancholii Dürera, której reprodukcje widywał już w Norymberdze. Lecz tym razem rozumiał obraz. Pojął, skąd pochodziło to straszliwe piękno.

Ciemna twarz archanioła była obliczem Kopernika, może sprzed mniej więcej czterdziestu lat, ale to był on. Postura, głowa oparta na zaciśniętej w pięść lewej ręce, spojrzenie zwrócone ku niebu, prawa dłoń z roztargnieniem dzierżąca kompas - taką pozę przybierał Kopernik, kiedy pogrążał się w tajemniczej medytacji; dziwny budynek, przed którym zasiadał, z opartą z boku drabiną, podwieszoną klepsydrą, dzwonem i wagą, to była wieżyczka z tarasu obserwatorium; śpiący pies był psem Kopernika; iskrzący się w blasku zachodzącego słońca wodny bezkres ukoronowany tęczą to Zalew Wiślany. „A senny aniołek dzierżący w objęciach małe skryptorium to ja, to ja!”, rozmarzył się Retyk w przyływie uniesienia. Odchrząknął, przybrał swobodną pozę i wreszcie powiedział:

- Więc wielki Dürer przyjechał do Fromborka?

- Nigdy - odparł Kopernik obojętnym tonem - i to jest właśnie najbardziej niesamowite.



Zapadła cisza, która po dłuższej chwili zaczęła ciążyć jak ołów. By ją przerwać, Retyk zażartował:

- Przed chwilą mówiliście mi, mistrzu, o biskupie Dantyszku. Czy jest panu wiadome, że stał się jednym z najzagorzalszych zwolenników heliocentryzmu? Zbawienny wpływ Jego Świątobliwości Pawła III bez wątpienia odegrał w tym niebagatelną rolę. Nie widziałem jego nazwiska w podziękowaniach. To niezbyt uprzejme z pańskiej strony, mistrzu. Zwłaszcza że tak bardzo by chciał znaleźć się w Obrotach... Wie pan, o co pana błaga? By umieścił pan gdzieś... hmmm... to.

Retyk podał Kopernikowi wiersz, który powierzył mu biskup Warmii. Stary kanonik przeczytał go, doskonale naśladowując pedantyczny głos swojego biskupa:

Febusie, centrum świata,

Niczym marionetką igrasz nami

Kręcącymi się dookoła

Twej oślepiającej pochodni

Eter tworzy nasze więzy

Boisz się, że się zgubimy?

Jak wymarła gwiazda, odlecimy...

Dokończywszy lektury, Kopernik wybuchnął swoim gromkim śmiechem. W końcu, osuszywszy oczy wielką chustką, powiedział:

- Napiszę do niego list z pochwałą jego „eleganckiego i trafnego epigramu”, i

przyrzeknę mu umieścić go na widocznym miejscu w Obrotach.

- Co? Mistrzu! - zaniepokoił się Retyk. - Ależ oszpeci pan swoje dzieło, zatopi swój piękny statek!

Za całą odpowiedź, uważnie patrząc w oczy swego rozmówcy, z niemą uciechą podarł Kopernik poemat na drobne kawałeczki. Ten nudziarz Dantyszek uznał za dobry pomysł okraszenie swoich wypocin astrologicznym frazesem: „Najpierw musicie opanować teorię, którą te zasady w skrócie rysują przed wami, jeśli chcecie wiedzieć, jakie losy pokierują przyszłością, jakie klęski nieprzyjazne gwiazdy gotują ludzkości”.

Potem Kopernik rzucił się na swój fotel, przymknął powieki. Na jego twarzy odbijała się głęboka satysfakcja. Okrucieństwo także. W końcu odkrył słabość swojego odwiecznego wroga: poezję. Z góry rozkoszował się zaskoczeniem i zawodem Dantyszka, gdy, otwierając książkę, na próżno będzie szukał jakiegokolwiek wzmianki swojego imienia. Poniżył Kopernika, uderzając w to, co miał najdroższego: Annę. A teraz nadeszła jego kolej, by odnieść ranę w swą piętę achillesową: próżność twórcy.

## XII

Retyk opuścił Frombork po rocznym pobycie, we wrześniu tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego roku. Roku jakże owocnego, bo wioził ze sobą, poza ostateczną wersją rękopisu O obrotach sfer niebieskich, Kartografię przedstawiającą środki i metody sporządzania map geograficznych, napisaną z pomocą Zella, i w końcu Życie Mikołaja Kopernika zredagowane wraz z Giesem, w tajemnicy przed mistrzem nad mistrzami.

Przyjęcie Melanchtona w Wittenberdze było lodowate. Dwanaście miesięcy nieobecności, gdy właśnie zostało się wybranym na dziekana uniwersytetu, to stanowczo za długo. Retyk otrzymał publiczną naganę przed radą uczelni, którą musiał prosić o wybaczenie. Po tym akcie Melanchton zaczął mu okazywać swoją zwyczajną życzliwość. Reformatorowi uniwersytetu w Wittenberdze absolutnie nie zależało na utracie tego, którego uważał, zresztą słusznie, za najlepszego matematyka tego czasu. Nazbyt dobrze wiedział, że jeśli nałożą mu zbyt ciasne więzy, Retyk bez skrupułów wyruszy szukać szczęścia gdzie indziej, do Krakowa, na Sorbonę czy do Padwy, gotów nawet zostać najzagorzalszym z papistów. W jednym tylko punkcie nie poszedł na ustępstwa: kategorycznie odmawiał druku O obrotach... na tej samej prasie, spod której wyszły dzieła Lutera, poczynając od Biblii w języku niemieckim, a kończąc na Rozmowach przy stole, gdzie ponownie potępił heliocentryzm i jego wynalazcę. Poza tym nie zrozumiano by, dlaczego główna protestancka drukarnia pozwala sobie na wydanie dzieła w całości zadedykowanego osobie, którą sam Luter wskazywał jako antychrysta: papieżowi Pawłowi III.

By udowodnić, że kraje luterzańskie są przynajmniej tak samo otwarte na nowe idee, jak ich katoliccy wrogowie, Melanchton zaproponował Retykowi opublikowanie dzieła polskiego kanonika w Norymberdze, gdzie drukarz Petreius specjalizował się w wydawaniu książek z dziedziny matematyki i astronomii. Był to wielce pożądaný splot okoliczności: to u Petreiusa Retyk drukował niegdyś swoje magisterium w zakresie sztuk. W dodatku, ponieważ oba miasta dzieliło dziewięćdziesiąt mil, Schöner mógłby na miejscu nadzorować przebieg druku. Stary profesor z norymberskiej uczelni był mu to

zresztą winien. Czyż Narratio prima nie przyczyniło się do wzrostu renomy osoby, której je zadedykowano?

Zawarłszy z Melanchtonem satysfakcjonującą go umowę, Retyk musiał wszakże przełożyć na później tę długą podróż do Norymbergi. Nowy dziekan uniwersytetu w Wittenberdze był zmuszony zapłacić okup; był nim jego zawód: nauczanie. Nauczał więc i czerpał z tego przyjemność. Jak przed wyjazdem, jego wykłady dotyczyły astronomii Persa Alfraganusa i Ptolemeusza, teraz jednak mocno je krytykował, wciąż przywołując heliocentryzm i jego odkrywcę: Mikołaja Kopernika, którego „anty-Almagest” miał się wkrótce ukazać. Całe tłumy studenckiej braci waliły na jego zajęcia, sala była pełna, studenci tłoczyli się wszędzie: na parapetach, po dwóch na jednym krześle, a nawet na kamiennej posadzce. To nie jedynie zachwycająca nowość poruszanego tematu przyciągała setki słuchaczy, ale także magia jego przekazu, ten wdzięk, który opromieniał go niczym aureola świętego, ten liryzm, który porywał na wyżyny jego audytorium, a potem osadzał na ziemi jednym błyskotliwym spostrzeżeniem, jednym uśmiechem.

Cytował z pamięci całe ustępy Obrotów..., te najpiękniejsze, możliwie najprostsze, które ozdabiał owocami własnej weny:

- Tak więc Słońce jest zamysłem Boga, a każda planeta jednym ze sposobów jego wyrażenia. Och, poznać Boży Zamysł! Co czynią Gwiazdy? Co mówią Liczby? Co wyznaczają Sfery? One mówią, one wyśpiewują, one wyznaczają nasze przeznaczenie!

Pewnego dnia ktoś ze zgromadzonych zakrzyknął z entuzjazmem: „Oto Orfeusz Astronomii!”. Zawołanie robiło furorę. Uniwersytet w Wittenberdze również, a Melanchton zacierał ręce. Nie odmówiłby niczego dawnemu uczniowi, wiedząc, że walczyły o niego uniwersytety w Heidelbergu i Lipsku. W ten sposób mimo wszystko przystał na wydrukowanie na miejscu dwóch rozdziałów Obrotów Księgi Pierwszej w całości poświęconych matematyce. Poprawiając je po raz ostatni, Retyk nie bez dumy stwierdził, że był zdecydowanie lepszy w obliczeniach aniżeli jego mistrz. Mały rewanż

w sam raz, by osłodzić upokorzenia, jakie musiał znieść młody „kawaler” od starego kanonika.

Jednak jakie to miało znaczenie? We wstępie do trygonometrycznego dzieła Kopernika obsypał go pochwałami, otaczając nimbem tajemnicy i potęgując tym samym niecierpliwość, z jaką oczekiwano na ten nowy Almagest, który tak zwlekał z ukazaniem się. I kiedy w końcu się ukaże, zaleje sobą cały świat, rekompensując w ten sposób Retykowi trudy, jakie musiał ponieść.

Kiedy rok akademicki 1541-1542 dobiegł końca, mógł w końcu udać się do Norymbergi, by czuwać nad drukiem tej tak wyczekiwanej książki. Potrzebował ponad dziesięciu dni, by dotrzeć do miasta Dürera i Behaima. Trakty były niebezpieczne. Słynna wojna chłopska została wprawdzie zdławiona dziesięć lat temu, to zwołanie soboru przez papieża Pawła III i powołanie do życia nowej Inkwizycji spowodowały niepokoje w całym imperium Karola V. Rewolty, zamieszki, bunty chłopstwa wybuchały to tu, to tam w całych Niemczech, prowadzone przez ziemian, rywali rycerzy Huttena i Sickingena.

Pomimo to bez większych przeszkód dotarł w końcu do Norymbergi i pokryty warstwą kurzu, jaki unosił się na gościńcu, udał się prosto do warsztatu drukarza Petreiusa. Prace były już mocno zaawansowane, a połowę dzieła już złożono. W zasadzie nie można było drukarzowi niczego zarzucić. Żadnych błędów lub tylko takie, których nawet najbardziej uważne oko nie dostrzeże bez pomocy innego, świeżego spojrzenia.

- Doskonale, mistrzu Petreiusie. Pańska sława jest w pełni zasłużona. Muszę też stwierdzić, że profesor Schöner nie stracił nic ze swej spostrzegawczości.

- Schöner? Ależ ten stary nudziarz nie postawił nogi w mojej drukarni! - odparł drukarz z bezpośredniością właściwą rzemieślnikowi, który dobrze zna swoją wartość i ograniczenia, a także potrafi dostrzec je u innych. - Nadzór nad tym arcydziełem powierzył doktorowi Osianderowi.

- Osianderowi? A cóż to za kreatura?

- Gdyby Osiander był zwierzęciem, na pewno przybrałby postać węża lub skorpiona. Albo osła. Ten pomyłony teolog jest wobec Melanchtona tym, czym Savonarola był dla Medyceuszy. Niestety, w dodatku para się matematyką. Teraz chwali się, czytając każdemu, kto tylko chce słuchać, listy, jakie otrzymał od tego giganta natchnionego przez Uranę, mam na myśli Mikołaja Kopernika z Torunia, pańskiego mistrza. I zapewniłem pana, że polski Ptolemeusz nie patyczkuje się bynajmniej z naszym norymberskim Torquemadą. Gdyby pan wiedział, jakimi epitetami raczy naszego drogiego Osiandera!

Zdjęty paniką Retyk poprosił Petreiusa, by wyrażał się jaśniej. Drukarz opowiedział mu, co następuje: kiedy Schöner przekazał mu rękopis Obrotów..., utrzymywał, że zły stan zdrowia nie pozwala mu doglądać przygotowań do druku i przekazuje to zadanie osławionemu Osianderowi. Pastor, bardzo dumny z faktu, iż powierzono mu dzieło tego, o którym słyszał jako o największym astronomie owych czasów, przystąpił z zapałem do pracy. Stąd doskonała jakość próbnych wydruków, które Petreius pokazał Retykowi. W końcu pewnego dnia Osiander zrozumiał znaczenie i przesłanie Obrotów... Umyślił sobie wtedy, że przekona Kopernika, by złagodził swą heliocentryczną teorię, sprowadził ją do szkolnej hipotezy nieposiadającej solidniejszych podstaw niż inne, do zwykłego intelektualnego rozważania. Po czym zadeklarował Kopernikowi, że chce go „nawrócić”. Odpowiedź kanonika była cięta i brzmiała mniej więcej tak: „Proszę się zająć wyłącznie usuwaniem błędów typograficznych i nie wtrącać się do reszty”. Nie ostudziło to ewangelizacyjnego zapału Osiandera, który kontynuował swoją misję z łagodnym i uśmiechniętym uporem fanatyka, męczennika albo kata: uratuje Kopernika od potępienia, jeśli będzie trzeba - wbrew niemu samemu. Nie ma nic gorszego od takich ludzi, którzy dążą do zbawienia drugich wbrew ich woli. Smakował on niczym najprzedniejszą ambrozję steki wyzwisk, jakimi obrzucał go jego słynny korespondent.

- Na miłość boską! - krzyknął Retyk, gdy drukarz skończył opowieść. - Dlaczego Kopernik mnie o tym nie uprzedził? I ten stary imbecyl Schöner, który też milczał? Już ja

mu dam popalić! Idę do niego.

- Wkrótce wybije północ - łagodnie przypomniał Petreius.

- Choćby wszystkie czarownice zleciały się tej nocy na sabat i tak pójdę natrzeć mu uszu.

- Idę z panem! Za żadne skarby nie chciałbym stracić tego widowiska.

Dom starego astrologa znajdował się nieopodal drukarni. Retyk zaczął walić kołatką w drzwi, krzyżąc „Otwierać, tam w środku, otwierać!”. Wychyliła się zza nich jakaś głowa. Był to zaspany syn Schönera, Andrzej.

- Joachim! Co tu robisz o tej godzinie?

- Chcę się widzieć z twoim ojcem, natychmiast.

- To niemożliwe, ojciec śpi. Nie sądzisz poza tym, że wyrządziłeś mu już wystarczająco wiele zła, przeklęty sodomito?

Za całą odpowiedź Retyk otworzył brutalnie drzwi na oścież i wymierzył cios prosto w twarz mówiącego, który osunął się na posadzkę w korytarzu. Następnie w paru susach pokonał schody prowadzące do pokoi. Za nim podążał Petreius, zacierając ręce na myśl o spektaklu, którego za chwilę miał być świadkiem. Schöner wyrósł przed nimi, trupioblady, w nocnej koszuli. Jednak to nie z powodu przejmującego zimna drżał tak, że pompon u jego szlafmocy nasuniętej aż po brwi rozkołysał się niby wahadełko różdżkarza.

- Joachimie, Joachimie, wszystko ci wytłumaczę. To nie moja wina, tylko Melanchtona. To on zmusił mnie, bym wziął Osiandera na rewizora Obrotów...!

- Hola, panie profesorze, nie mówi pan chyba poważnie - wtrącił jowialnie drukarz. - Wszyscy, od Norymbergi po Wittenbergę wiedzą, że stosunki naszych dwóch wielkich myślicieli reformacji nie wyglądają różowo!

- Proszę pozwolić mu skończyć, mistrzu Petreiusie, uciał Retyk. - To się staje interesujące.

Schöner wyjąkał, że Melanchton usilnie nalegał, by przekazał Osianderowi nadzór nad drukiem dzieła Kopernika, dając mu do zrozumienia, że jeśli nie posłucha, może zacząć pakować manatki, bo zostanie zdjęty ze stanowiska profesora matematyki w norymberskiej szkole. W jego wieku!

- Poza tym - dodał jękliwie - heliocentryczne szaleństwa tego twojego Kopernika zmuszą mnie do rewizji wszystkich moich dzieł, wszystkich moich przepowiedni, wszystkich astrologicznych objawień dotyczących minionych dziejów i przyszłości świata.

- Ach tak! Ale to, stary sodomito, to twój problem, nie mój! - podsumował Retyk, dorzucając:

- Chcę widzieć was obu, ciebie i Osiandera, jutro o wschodzie słońca w warsztacie mistrza Petreiusa. Uzgodnimy parę szczegółów.

Tych kilka szczegółów zostało uzgodnionych wielce sprawnie. Osiander nie wysmaży już żadnej epistoły do Kopernika, lecz wszelkie krytyczne spostrzeżenia - jeśli takowe przyjdą mu do głowy - skieruje do „Orfeusza Astronomii”, który ewentualnie posłuży za pośrednika w kontaktach z mistrzem z Fromborka. Gdyby musiał przesunąć w tekście najmniejszy przecinek, przedtem ma powiadomić o tym Petreiusa, który od tej pory miał swobodę rozstrzygania wszystkich kwestii spornych. Osiander z namaszczeniem i zapalem przytakiwał decyzjom młodego profesora. Pewnego dnia także jego uda mu się nawrócić.



Retyk odjechał z lekkim sercem. Nic już nie przeszkodzi ukazaniu się Obrotów... Teraz mógł zacząć myśleć o sobie i swoich interesach. Protestantcki uniwersytet w Lipsku, chcąc, by został tam profesorem matematyki, właśnie złożył mu wielce atrakcyjną ofertę. Postanowił ją przyjąć: Lipsk cieszył się jeszcze większą renomą niż Wittenberga, wszedłby w skład dyrekcji kolegalnej uczelni, która cieszyła się opinią bardzo tolerancyjnej; zarobiłby o wiele więcej pieniędzy i zyskałby dużo większą sławę. Lecz przede wszystkim pozbyłby się uciążliwego patronatu Melanchtona, odpłacając mu swoją rejteradą za wszystkie jego machinacje.

Osiander nie był świadom tych rozgrywek. Petreius niezwykle trafnie odmalował jego postać: był to gad, równie zimny jak lepki. Żegnając go, Retyk nie uścisnął mu ręki. Powszechnie wiadomo, że węże nie mają rąk.

Posłaniec położył na stole ogromny pakunek, cofnął się, by lepiej go widzieć, tak, jakby to on stworzył ten wielki kartonowy sześcian usiany pieczęciami i różnorakimi autografami - dowodem na to, że urzędy celne zatwierdziły jego przewóz przez granicę. Chcąc pozbyć się gońca, Radom wsadził w wyciągniętą dłoń luźny zwitek dziesięciu polskich złotych. Bijąc tysięczne pokłony, posłaniec zniknął, nie omieszkał przedtem wychylić do dna kufla piwa zaproponowanego mu przez olbrzyma.

- Ukochana, uczyni mi ten zaszczyt i otwórz to - powiedział Mikołaj, wręczając Annie srebrne nożyczki.

- Odmawiam, mój miły. Honor ten nie mnie się należy, prędzej biskupowi Chełmna.

Anna we wdzięcznym ukłonie przyklękła na jedno kolano, wręczyła nożyce Giesemu, jak wręcza się zwycięskiemu królowi klucze do miasta i powiedziała do niego cichym, śpiewnym głosem:

- To pańskie zadanie, najdroższy Tiedemannie.

- O przyjaciele nauki, o żarliwi obrońcy filozofii natury i Prawdy - wykrzyknął biskup, jakby miał przed sobą tysięczne rzesze, a nie audytorium składające się, poza Mikołajem i Anną, z Aleksandra Scultetiego, Radoma i młodego koadiutora gospodarza domu. - O przyjaciele absolutnej Prawdy, oto w końcu Księga.

Uroczyście rozerwał opakowanie, pod którym ukazały się cztery stosy po pięć książek każdy. Kopernik pochwycił jeden z nich, pogłaskał okładkę ze świeżo wyprawionej skóry, otworzył pośrodku, wciągnął do nozdrzy zapach papieru, tak jak wacha się dobre wino i powiedział z niejasnym żalem w głosie:

- Pomimo wszystko to piękne, taka wydrukowana książka.

Następnie odszukał pierwszą stronę;

- No popatrz, a cóż to?! Ostrzeżenie dla czytelnika. Mogli mnie przynajmniej uprzedzić...

Stojąc, wczytał się w ów wstęp. Im był dalej, tym bardziej czerwieniała jego twarz, marszczyły brwi, co zapowiadało jeden z jego gwałtownych wybuchów wściekłości. W końcu zagrzmiał:

- Ach, Retyku, Judaszu, zdradziłeś mnie!

Jego twarz zsiniała, oczy wywróciły się i jak długi runął do tyłu. Głowa głucho uderzyła o posadzkę.

Ocknął się w swoim łóżku dopiero po dwóch godzinach. Jednak czy był to stan pełnej świadomości? Prawa połowa twarzy zastygła w potwornym grymasie odsłaniającym zęby aż po trzonowce i zakrywającym oko. Prawa noga oraz ręka także pozostawały nieruchome. Kiedy w końcu był w stanie mówić, z jego ust wyszły jedynie

nieartykułowane pomruki, w których Giese, jak mu się zdawało, rozpoznał jedno z jego ulubionych słów, jakim określał swoich wrogów: „Trutnie, trutnie!”. Biskup wręczył mu kawałek papieru, a do lewej ręki włożył węgiel do pisania; chory odmówił krótkim warknięciem. Potem odgrodził się od reszty świata ścianą ciszy.

Kiedy Giese przeczytał skierowane do czytelników ostrzeżenie, także uznał Retyka za odpowiedzialnego za ten haniebny, lecz zręczny tekst, niszczący wiarygodność Obrotów...: „Nie ma koniecznej potrzeby, aby te hipotezy były prawdziwe, owszem, mogą one być najmniej do prawdy podobne. Wystarczy jedna rzecz: mają dostarczyć obliczeń potrzebnych do obserwacji. Filozof będzie być może wymagał więcej prawdopodobieństwa; żaden jednak nie będzie potrafił go ani osiągnąć, ani nauczać, jakkolwiek by było prawdopodobne, chyba że zostanie mu to objawione przez Boga. Pozwólmy więc, by te nowe teorie poznawane były razem z dawnymi, zwłaszcza że są zarazem godne podziwu i proste, i że niosą z sobą przeogromny skarb najbardziej uczonych obserwacji”.

Natychmiast po powrocie do Chełmna biskup napisał zjadliwy i pełen gwałtowności list do domniemanego winnego Ostrzeżenia dla czytelnika, oskarżając go wprost o zabicie Kopernika. Zarzucił mu także, że nie opublikował zamiast tej nikczemności Życia Mikołaja Kopernika, jak uzgodnili wcześniej, chcąc zrobić miłą niespodziankę głównemu zainteresowanemu. Aby wszyscy byli świadomi, co zaszło, postanowił ponowić te oskarżenia przed Dantyszkim, księciem Albrechtem Hohenzollernem, kardynałem Kapui Mikołajem Schönbergiem, którego list z tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku został przytoczony na początku dzieła, oraz samym odbiorcą książki, papieżem Pawłem III. Na końcu Giese powiadamiał swojego korespondenta, że od tej pory jest persona non grata we wszystkich pruskich biskupstwach, dodając, by nie ośmielał się na nie zapuszczać, gdyż mógłby nie wyjechać stamtąd bez szwanku.

Dlatego właśnie Retyk nie był obecny na uroczystościach pogrzebowych Kopernika, które miały miejsce pod koniec maja tysiąc pięćset czterdziestego trzeciego roku, po ponad siedmiu miesiącach straszliwej agonii. Gdy tylko zgasła jego gwiazda, ci, którzy

krążyli wokół niej, oderwali się od swych orbit i stali się wędrownymi planetami, spadającymi gwiazdami, kometami, których trajektorii nie byłoby w stanie przewidzieć i obliczyć sam Kopernik. Do najbardziej zagubionych zaliczał się Retyk. Kiedy otrzymał swój egzemplarz *Obrotów...*, ruszył jak szalony z Lipska do Norymbergi, zdecydowany udusić Osiandera własnymi rękami. Ale, oczywiście, po spełnieniu zadania fanatyczny pastor umknął do Bazylei, gdzie działała silna grupa protestantów. Schöner natomiast zabarykadował się w swoim domu, zaś jego syn zatrudnił kilku dobrze uzbrojonych zbirów. Querens quem devoret, Retyk postanowił zatem zabrać się za Petreiusa. Drukarz przyjął go, strojąc żałobne miny, i wytłumaczył, że Osiander w ostatniej chwili narzucił mu zastąpienie Życia Mikołaja Kopernika swoim miażdżącym wstępem, w razie sprzeciwu grożąc mu zamknięciem warsztatu. Miał wystarczające wpływy w radzie miasta, by być w stanie zrealizować swe pogroźki. Pełzający wąż wypluł więc swój jad na *Obroty...* I posmakował w nich: Petreius poradził Retykowi, by czym prędzej opuścił Norymbergę, bo Osiander zasugerował synowi Schönera wytoczenie mu procesu o sodomie.

Po powrocie do Lipska, czytając przerażający list Giesego, Retyk przez moment miał ochotę położyć kres swojemu żywotowi. Potem pozbierał się, napisał do biskupa długą obronę swojej osoby, przedstawiając mu okoliczności, w jakich zostało opublikowane *Ostrzeżenie*, przysiągł, że od tej pory będzie najgorliwszym obrońcą twierdzenia swojego mistrza oraz że ma zamiar przyjąć wiarę katolicką.

Odpowiedź otrzymał dopiero po wielu miesiącach. Giese powiadamiał go o śmierci Kopernika, która nastąpiła dwudziestego czwartego maja tysiąc pięćset czterdziestego trzeciego roku, zarzucając go szczegółowymi informacjami o agonii swego przyjaciela, utracie poczytalności, tak jakby chciał wtrącić adresata swojego listu w jeszcze większe poczucie winy. Retyk popadł w głęboką melancholię. Jego wykłady zaczęły trącić nudą i nikt nie poznawał w nim „Orfeusza Astronomii”.

To jego dawny amant i sekretarz Heinrich Zell, który stał się znanym i powszechnie cenionym geografem, w końcu przekonał go, by udał się na bezterminowy urlop. Zell

zmobilizował w tym celu całą młodą gwardię nowej astronomii, poczynając od dawnego konkurenta Retyka, Erazma Reinholda, głoszącego obecnie teorię Kopernika w Tybindze, Caspara Peucera, jego dawnego studenta, który zajął jego miejsce w Wittenberdze, Achillesa Gassera, który w Zurychu wprowadził młodego Joachima w dorosłość i który - o ironio! - został lekarzem w Feldkirch, miejscu, w którym praktykował ojciec Retyka, zanim żywcem go tam spalono. Na apel nie odpowiedział jedynie „nieortodoksyjny” Paracelsus: zmarł dwa lata przed Kopernikiem w okolicznościach, które do dziś pozostały tajemnicą.

Prawdę powiedziawszy, dziwna była ta koalicja, chcąca ożywić na nowo ledwie pełgający płomyk „Orfeusza Astronomii”. Wszyscy byli gorącymi zwolennikami heliocentryzmu, wszyscy również, może z wyjątkiem Reinholda, oddawali się w sekrecie miłości sokratejskiej. Czy istniał związek między tymi dwiema rzeczami, które na pozór ramię w ramię sprzeciwiały się powszechnie przyjętym zasadom?

Ulegając wywieranej przez przyjaciół presji, Retyk wziął w garść nie laskę Euklidesa, lecz kij pielgrzymi i wyruszył, by od miasta do miasta głosić kopernikańską dobrą nowinę. Widziano go w Paryżu przy Ramusie, wdziano go w Mediolanie u boku Cardano. Myśląc, że szuka uczniów, szukał nowych mistrzów. Półtora roku później zaginął po nim ślad, potem ktoś widział go zagubionego, na poły szalonego, wyniszczanego ciężkimi chorobami na wyspie na Jeziorze Bodeńskim. Wreszcie pozbierał się na tyle, by przez trzy miesiące nauczać w Konstancji, a następnie wyjechał do Zurychu studiować medycynę.

Po czterech latach tułaczki powrócił w końcu do Lipska odmieniony. Znowu był „Orfeuszem Astronomii”. Jednak wrogowie o nim nie zapomnieli. Ojciec jednego ze studentów wytoczył mu proces. Jak zawsze chodziło o to samo! Przyłapano go na praktykach przeciwnych naturze z młodym chłopcem, kuzynem syna Schönera, którego upił, by tym łatwiej go znieprawić. Przy okazji procesu nie omieszkało przypomnieć, że wcześniej, w tysiąc pięćset dwudziestym ósmym roku, ojciec oskarżonego został osądzony i skazany za uprawianie magii. Nie ulegało wątpliwości: zły musiał opętać tę

rodzinę.

Retyk musiał salwować się ucieczką. Pod jego nieobecność doprowadzono proces do końca i ogłoszono wyrok: sto jeden lat wygnania. To było niemal zabawne. Krążył więc od uniwersytetu do uniwersytetu, wyganiany z jednego, mamiony obietnicami przez inny. W końcu znalazł się u bram Krakowa.

Właśnie tam ja, Michael Maestlin, wtedy młodziutki chłopiec, uczęszczałem na jego wykłady. Świat się zmienił. Europa stała w ogniu, rozdzielana sporami religijnymi. Papież Paweł III, który - otwierając sobór trydencki - próbował zapoczątkować głęboką reformę swojego Kościoła, zbyt późno spostrzegł, że teoria Kopernika nie szła w parze z tym, co zamierzył: mogła doprowadzić do tego, że ludzie myśleliby, iż są jedynie częścią porządku naturalnego, nie zaś panami natury, centrum, wokół którego wszystko jest zorganizowane. Zaś przede wszystkim miejsce Wcielenia Chrystusa oraz Odkupienia, Ziemia, mogła wydawać się umniejszona, odcięta od swej wyjątkowej, uprzywilejowanej roli.

Dodatkowo papież, niczym otwierająca swą puszkę Pandora, powołał znowu Świętą Inkwizycję. Jej trybunał dostrzegł w dziele Kopernika kolejną pochodnię płonąącą pośród ciemności ignorancji i zgodnie ze swym posłannictwem pospieszył tradycyjnie zdusić jej płomień. Nie było już dla astronoma miejsca w tym świecie z krwi i ognia. Musiał zostać obalony, zapomniany. Następcy Aleksandra Farnese bynajmniej się przed tym nie wzburlali, nawet jeśli swobodnie czerpano z obliczeń mistrza nad mistrzami przy opracowaniu kalendarza gregoriańskiego, którego my, protestanci, nie uznajemy. Cóż za głupota! W Krakowie, niegdyś refugium tolerancji, mordowano Żydów, wypędzano luteranów. Wszak Retyk nauczał o Koperniku w tajemnicy.

Jednak kiedy pewnego dnia zapytałem go, dlaczego nie ogłosił całemu światu wielkiej prawdy odkrytej przez kanonika z Fromborka, zastrzegając ją wyłącznie dla wybranych adeptów, w tym mnie, Michaela Maestlina, „Orfeusz Astronomii” odpowiedział mi wybuchem śmiechu, mającym imitować Kopernika, a który mógł być

równie dobrze śmiechem Dionizosa...

## Epilog

Linz, 6 lutego 1628

„...śmiej Dionizosa...”

Zdanie było niedokończone. Stary Jan odwrócił ciężką, wydrążoną w środku laskę, uderzył w nią swoją pokrytą plamami dłonią, by wydobyć z niej zaklinowaną lub przyklejoną kartkę papieru. Nic nie wypadło. Zanurzył w jej wąskim otworze długi żelazny pręt, podrapał nim o wykonane z drzewa oliwnego ścianki. Bez skutku. Laska Euklidesa była pusta. Jan przed chwilą odszukał ten cenny przedmiot na dnie kufra, gdzie leżał zapomniany już od tylu lat.

Co też mógł zrobić z tymi ostatnimi kartkami otrzymanymi przed trzydziestu laty? Może to sprawka jakiegoś dziecka, które kiedyś wzięło je, by sobie na nich pogryzmolić? Chyba że sam, kiedy znowu uciekał z kolejnego miejsca przed prześladowcami, ukrył je, pospiesznie wsuwając listy do laski, by uchronić je przed rzuceniem w płomienie?

Ten kij, laska Euklidesa - Jan uśmiechnął się na to wspomnienie - jego dawny mistrz Michael Maestlin opowiedział mu jego historię. Zgodnie z tym, co mówił, był w jej posiadaniu, jednak dość szybko musiał się z nią rozstać, gdy - będąc przejazdem w Augsburgu, bez grosza przy duszy, bo wydał wszystkie posiadane środki na wspaniałe astrolabium - wpadł na Tychona Brahego, który przyszedł do tego samego sklepu po wykonany na zamówienie ogromny globus nieba. Gdy wspominali Kopernika, Maestlin pokazał Duńczykowi laskę, który odkupił ją od niego za bająską kwotę. Ten syn arystokraty, od urodzenia opływający we wszystko, mógł sobie na to pozwolić!

Sam Maestlin wszedł w posiadanie laski, nic nie płacąc, kilka lat wcześniej. Po prostu ją ukraść. Pewnie, według tego, co wyznał Janowi w jednym ze swych licznych listów, popełniając ten podły czyn, miał ledwie szesnaście lat. Ale czy mogło to służyć za



usprawiedliwienie? Właśnie opuścił Kraków, gdzie dokonał swoich dni jego stary profesor Retyk. Przed powrotem do Tybingi postawił sobie za punkt honoru podróż do Fromborka, pielgrzymkę do miejsca pobytu jego świętego. Jakaś mocno podeszła w latach dama, prawie niewidoma, będąca nikim innym jak Anną Schilling, oprowadziła go po słynnej baszcie, gdzie Kopernik przeżył ostatnie lata swojego życia. Wszystkie należące do niego przedmioty, wszystkie meble zostały z pietyzmem zachowane na swoich miejscach, jakby ich właściciel miał za chwilę powrócić. Zanim opuścił tę boską świątynię, w korytarzu, Maestlin ucałował dłoń starej strażniczki z całym młodzieńczym urokiem, na jaki go było stać, na który ona odpowiedziała macierzyńską kokieterią. Wtedy właśnie wziął „laskę Euklidesa” zamiast własnej, którą specjalnie położył tuż obok, przy drzwiach wejściowych. Gdyby Anna zauważyła tę zamianę, mógłby usprawiedliwić swój postępek nieprzepartą chęcią pójścia w ślady boskiego Kopernika. Jednak oczy nieszczęsnej kobiety, które starość zraszała niewyczerpanymi łzami, niczego nie spostrzegły.

Gdy tylko powrócił do gospody, Maestlin pospieszył do swego pokoju i zdjął pożąłkłą gałkę z kości słoniowej przedstawiającą sfinksa: ten sekret wyjawiał mu Retyk na łożu śmierci. Czerwone jedwabne etui znajdowało się na swoim miejscu. Rozwiązał spinający je rzemyk i wyciągnął z niego zwitek papieru. Życie i dzieło Mikołaja Kopernika z Torunia, napisane przez jego ucznia Georga Joachima Retyka - tak brzmiał tytuł rękopisu.

Na moment ogarnęło Maestlina głębokie rozczarowanie, bo nie była to rzecz, którą spodziewał się znaleźć w tej skrytce. Umierając, Retyk mówił mu, że zachowano w niej skarb, który zaginął dawno temu: Hipotezy Arystarcha z Samos, tego tajemniczego astronoma aleksandryjskiego, który siedemnaście wieków przed Kopernikiem twierdził, że Ziemia nie tylko kręci się dookoła własnej osi, ale także krąży po okrągłej orbicie wokół Słońca. Anna Schilling upoważniła młodego Maestlina do przejrzania jego dokumentów i zasobów biblioteki. Nie znalazł tam żadnego śladu tego cennego dzieła. Co dziwniejsze, ze wstępu oryginalnego rękopisu *Obrotów... zadedykowanego papieżowi Pawłowi III*, w którym składał hołd starożytnym, a siebie nazywał ich prostym

spadkobiercą, Kopernik wymazał nazwisko Arystarcha. Skąd to skreślenie? Czy Kopernik obawiał się, że podzieli los swego odległego poprzednika, czy też była to machinacja mająca ukazać, że tylko i wyłącznie on jest wynalazcą heliocentryzmu?

Była to jedna z tajemnic, jakie Maestlin chciał rozgryźć, redagując swoją własną wersję Życia Kopernika, którą następnie powierzył we fragmentach Janowi z obawy, że ktoś ją odkryje w jego przytulnym gniazdku tybindzkiego profesora. Zresztą dawny jego mistrz nigdy nie był tak rozmowny, jak w tych listach z czasów młodości. Ani tak odważny. Albowiem w późniejszym okresie, gdy chodziło o wsparcie i pomoc dla ucznia, którego nazywał przyjacielem, w jego, Jana, Obrotach, ze strony Michaela następowały tylko kolejne wymówki albo głucha cisza. Za bardzo zależało mu na małej katedrze w Tybindze, zasobnym dobrobycie, w którym zresztą zawsze się lubował ten starzec o żelaznym zdrowiu! Zaś Jan musiał samotnie podążać niebezpieczną drogą prowadzącą do prawdy.

Poza tym, czy Maestlin nie przerysował przytaczanych faktów, nie skłamał? Jan wyłapał w jego opisie kilka niezgodności. Na przykład, w jaki sposób autor mógł uczęszczać na wykłady Retyka w Krakowie, jeśli w momencie śmierci jedyne go ucznia Mikołaja Kopernika miał zaledwie czternaście lat? A stara strażniczka wieży we Fromborku musiałaby mieć ze sto lat, jeśli spotkał ją w tysiąc pięćset siedemdziesiątym czwartym roku! I jeszcze te myśli i słowa, które zapożyczał od autora Obrotów... - zdawały się czasem usprawiedliwiać jego tchórzostwo.

Nie miało to już żadnego znaczenia. Od tamtej pory Jan zaszedł daleko, dużo dalej, sprowadzając Kopernika do rangi zwykłego prekursora, na miejsce, gdzie polski kanonik sam umieścił Arystarcha i Ptolemeusza. Czy prawie trzydzieści lat temu Tycho nie wręczył mu także laski Euklidesa?

Zagościła w głowie Jana na moment myśl, że może był jej godny. W gruncie rzeczy dzięki niemu w tej odwiecznej podróży, jaką jest filozofia przyrody, szło się teraz nieco lżej po drodze prowadzącej do Prawdy o świecie. Wszechświat stał się prostszy,

pobrzmiwała w nim większa harmonia dzięki tym trzem prawom doskonałości, temu boskiemu sekretowi, który sprawia, że planety krążą po elipsach wokół Słońca, swego świetlistego domu.

Tak, a to wszystko dzięki niemu, Janowi Keplerowi.

## Od Autora

Przy próbie odtworzenia, nawet w sposób wolny, życia rzeczywistej postaci - tutaj Mikołaja Kopernika - która pozostawiła po sobie ślad w historii, nie można obyć się bez literatury przedmiotu. Ogólnie przyjęte jest wśród powieściopisarzy biografów, że z pasją, drobiazgowo zagłębiają się w ukształtowaną przez tradycję historyczną dokumentację dotyczącą ich bohatera. Nie byłem wyjątkiem od reguły; źródła i współczesne opracowania, z których korzystałem, są zbyt liczne, by je w tym miejscu przytoczyć. Uważam jednak za ważne przypomnieć, że okrutnie brakuje oryginalnych dokumentów (korespondencji, rękopisów itp.) dotyczących życia Kopernika. Najstarsza biografia fundatora współczesnej astronomii, jaką dysponujemy, została spisana dopiero sto lat po jego śmierci przez Pierre'a Gassendiego (1592-1655). Ten ostatni, studiując listy i notatki pozostawione przez Tychona Brahego w celu stworzenia biografii tego słynnego duńskiego astronoma, odkrył w jego papierach łaciński wiersz zadekowany post mortem Kopernikowi. Ten niespodziewany zbieg okoliczności natchnął Gassendiego, by w podobny sposób zebrać informacje i notatki dotyczące Kopernika i dorzucić jako suplement do obszernej biografii Tychona Brahego krótkie opracowanie na temat polskiego astronoma.

Tych pięćdziesiąt stron przedstawia nieocenioną wartość ze względu na fakty i szczegóły, jakie zawierają. Gassendi prawdopodobnie miał możliwość skorzystania z korespondencji, jaka istniała między Kopernikiem a Retykiem. Musiał także znać treść listów biskupa Warmii, Dantyszka (jedne wyrażały uznanie, inne - gdy wielokrotnie nakazywał krnąbrnemu kanonikowi oddalenie Anny, gospodyni, z którą żył w konkubinacie - groziły) oraz niewątpliwie serdeczne listy biskupa Chełmna, Tiedemanna Giesego, najlepszego przyjaciela astronoma. Właśnie z tej korespondencji Gassendi mógł zaczerpnąć wszystkie potrzebne informacje.

Co ciekawe, większość biografów Kopernika nigdy nie odwołuje się do łacińskiego tekstu Gassendiego. Później, być może częściowo z tego powodu, powstał przeciwko

Kopernikowi rodzaj „zmowy zapomnienia”, a w każdym razie coś w rodzaju „mrocznej legendy”. Jak trafnie przypomina Louis Figuer , w XVII wieku nazwisko Kopernika było dobrze znane (Leibnitz dał świadectwo swego podziwu dla wiedzy i zalet charakteru Kopernika, nazywając go jednym z ośmiu Mędrców na Ziemi), jego książka jednak, umieszczona na indeksie ksiąg zakazanych w 1616 roku, za pontyfikatu papieża Pawła V, stała się rzadkością. Poza pierwszym wydaniem z 1543 roku, praktycznie nie do znalezienia, w późniejszym czasie miały miejsce tylko dwa: w 1566 i 1617 roku.

Z drugiej strony, proces wytoczony Galileuszowi ukazał, do jakiego stopnia mogło być niebezpieczne publiczne pochwalanie Kopernika i jego systemu. Wykształceni Polacy, którzy poświęcili sporo czasu na zebranie faktów i wspomnień dotyczących ich sławnego rodaka, nie ośmielili się ogłosić drukiem historii jego życia; zresztą, gdyby nawet ją wydrukowali, rzymska inkwizycja znalazłaby sposób, by szybko przestała być dostępna.

Wiek XIX zanotował kilka godnych szacunku przedsięwzięć: błyskotliwy uczoney François Arago zredagował piękną notę biograficzną , w Polsce zaś Jan Śniadecki , a potem, w 1847 Jan Czyński sprawili (po polsku, ale i także - o, szczęśliwe czasy frankofonii! - po francusku), że odżyło nazwisko najwybitniejszego polskiego uczonego.

Następnie niektórzy historycy zaczęli upowszechniać obraz stosowny dla samotnego i bojaźliwego uczonego, który, na wpół oszalały, snuł się po swojej wieży górującej nad mglistą laguną. Inni znowu kładli nacisk na błędy w obliczeniach, zapominając, że Kopernik nie dysponował oczywiście obserwatorium Tychona Brahego. Skąd taka zawziętość? Czyżby biografowie ci mieli zbyt romantyczną (odziedziczoną po oświeceniu) wizję renesansu, która kazała im na ten przykład żałować, że Kopernik nie był męczennikiem nauki wobec średniowiecznego obskurantyzmu?

Szczytem wszystkiego był esej z 1959 roku, pasjonujący zresztą, pod tytułem *The Sleepwalkers - Somnambulicy* , którego autor Arthur Koestler postanowił przedstawić tego geniusza jako starego, bojaźliwego, nietowarzyskiego, skąpego, niewdzięcznego,

pożądliwego, hipochondrycznego kanonika... Krótko mówiąc, pojawiają się tam wszystkie grzechy główne; Arthur Koestler bynajmniej się z astronomem nie patyczkuje: „Z daleka Kopernik sprawia wrażenie niezłomnego bohatera rewolucji. W miarę zbliżania się, stopniowo przeobraża się w nudnego pedanta, pozbawionego przenikliwości i somnambulicznej intuicji prawdziwych geniuszy; to człowiek, który, zawładnąwszy dobrą ideą, czyni z niej zły system, trudząc się żmudnie nad mnożeniem epicykli i deferentów w najsmutniejszej, najmniej czytelnej ze znanych książek”.

Wydało mi się więc sprawą pilną odnowienie obrazu „bojaźliwego kanonika” (taki tytuł nadał Koestler jednemu z rozdziałów poświęconych naszemu bohaterowi), aby przywrócić mu jego prawdziwy wymiar: pod piórem pisarza-biografa zgnuśniały i nudny kanonik staje się archetypem człowieka renesansu, którym niewątpliwie był, kochający życie, dobrą strawę, sztuki i nowe idee.

W końcu „nasiąknąłem” wiedzą pochodzącą z dawnych i współczesnych opracowań, nie szukając w nich wszakże ścisłych faktów historycznych dotyczących Kopernika, lecz jego prawdy ukrytej. Jego tajemnicy. Bo nie ulega wątpliwości, że owa tajemnica istnieje. W jaki sposób człowiek nie różniący się na pozór od innych ośmielił się wyrzucić do góry nogami piętnaście wieków astronomii? Jakim cudem, jakim gigantycznym wysiłkiem myśli był w stanie zdetronizować Ziemię i pośrodku, na jej miejscu umieścić Słońce? Trzeba było szczególnie buntowniczego geniuszu, by odważyć się obalić te stare systemy przyjmowane z zabobonnym respektem i przekazywane jako akt wiary profesorom, którzy, nie żywiąc innych ambicji jak uczynienie ich choć trochę mniej zagmatwanymi, nie ośmielali się poddać w wątpliwość dziedzictwa dawnych szkół.

Oczywiście już inni uczeni przed Kopernikiem, bynajmniej nie pomniejsi, brali pod uwagę ten wielki przewrót w kosmosie. Plutarch na podstawie koncepcji Wszechświata Filolaosa pisze, że Ziemia, przemierzając zodiak, obraca się dookoła strefy ognia, jak Słońce i Księżyc. Naczelnicy pitagorejczycy nauczali tej samej teorii. Według nich Ziemia nie trwa nieruchomo w centrum świata; krąży po okręgu; jest daleka od zajmowania

pierwszej pozycji wśród ciał niebieskich. Timajos z Lokroj nazywał pięć znanych planet „narzędziami czasu” z powodu czynionych przez nie obrotów, dodając, że należy założyć, iż Ziemia nie pozostaje nieruchoma, lecz obraca się wokół własnej osi, przemieszczając się w przestrzeni. Nie można też zapomnieć o Arystarchu z Samos, który żył na długo przed Ptolemeuszem . Co ciekawe, pierwsze wzmianki o tym aleksandryjskim uczonym zostały wydobyte z watykańskich archiwów dopiero rok po śmierci Kopernika. O wiele mu bliższych Mikołaja z Kuzy, Regiomontanusa, Marsilia Ficina i nauczyciela Novary nie satysfakcjonował system astronomiczny Ptolemeusza.

Tak więc ci wybitni ludzie domyślali się, że świat nie może być taki, jakim ustanowił go Ptolemeusz. Jego system był zbyt skomplikowany, przyjmując wskutek licznych przybudówek wszelkie cechy potwornego monstrum. Dlaczego nie ośmielili się go obalić? Posiadali potrzebny po temu geniusz. Nic im nie groziło, ani kat, ani indeks. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że Kościół rzymski tylko na to czekał; pragnął, by objawiono stworzenie w całym jego pięknie i równowadze. A jednak nie odważyli się. Zabrał się za to jeden z ich najmniej znanych uczniów.

Być może rozprawiali o tym między sobą, w zaciszu akademii rozkwitających w owym czasie we włoskich miastach, na których największe umysły spotykały się na wzór Pitagorasa i jego uczniów. Jedni obawiali się słowa pisanego, które, jak wierzyli, zabijało pamięć i umiejętność przemawiania, inni znowu nie ufali wynalazkowi druku, wypuszczającemu bez różnicy najlepsze i najgorsze dzieła, z jednej strony pomagającemu w odtworzeniu pełnej harmonii świątyni wzniesionej przez starożytnych, z drugiej rzucającemu tłumom głupoty zrodzone przez mroki średniowiecza. Czy druk nie wywoła jeszcze większego chaosu, podczas gdy oni starali się odkryć wielki uniwersalny porządek? Marsilio Ficino, człowiek, który przecież przywrócił światu Platona i Arystotelesa, tłumacząc ich pisma na łacinę, protestował przeciwko podobnym inicjatywom dotyczącym Archimedesza, Ptolemeusza i aleksandryjskich geometrów z obawy, że udostępniając ogółowi mechaniczną wizję Wszechświata, Człowiek, dla którego ten Wszechświat został stworzony, zapomni albo zaprzeczy istnieniu Tego, który go stworzył.

Ów brak zaufania wielkich umysłów tamtych czasów do słowa drukowanego i oszczędność, z jaką się nim posługiwali, tłumaczy być może choć w części dziwną formułę użytą przez Kopernika we wstępie do *Obrotów*... zaadresowanym do papieża Pawła III, w którym opisuje on swoje rozterki: „abym to dzieło, które głęboko schowane przeleżało u mnie w ukryciu nie tylko dziewięć lat, lecz już nawet czwarte dziesięciolecie, wydał i pozwolił mu w końcu wyjść na światło dzienne”. Żartobliwa aluzja do dziewięciu miesięcy kobiecej ciąży skrywa niewątpliwie symbole pitagorejskie, takie jak dziewięć muz, dziewięć niebiańskich sfer, którymi, jak wynika z początku jego *Thegonii*, miał inspirować się Hezjod; przede wszystkim jednak Dziewiątka była liczbą Prometeusza.

Zamiast doszukiwać się we wspomnianym wstępie ukrytych sensów, przyjrzyjmy się jego dosłownemu znaczeniu. Dlaczego Kopernik nie podał w miejsce tej dziwacznej formuły dokładnej daty ukończenia swojego dzieła? W każdym razie, sytuuje ją mniej więcej w czasie swego powrotu z Italii. „Przeleżało w ukryciu... już nawet...” - czyżby więc powstało ono rok, dwa, trzy lata po przyjeździe do kraju? Nawet dla takiego Prometeusza jak on czas ten wydaje się bardzo krótki... Mógł przesadzić, rozmyć tę datę specjalnie, chcąc wywołać u czytelnika wrażenie, że jego praca jest owocem powolnego dojrzewania. A te długie lata milczenia, czy nie było ich trzydzieści sześć, tyle, ile dekanów w zodiaku? Liczba 36 nosiła u pitagorejczyków nazwę „Świata”, albo „Wielkiej Czwórki”.

Ponadto, datując ukończenie dzieła na rok 1506 lub 1507, chce pokazać, iż zabrał się za tę kolosalną pracę ukończywszy długi cykl studiów we Włoszech, po powrocie „do siebie”. Jeśli w powieści tak bardzo się rozpisuję na temat włoskiego okresu Kopernika, wypływa to z przekonania, iż to właśnie tam kryje się jego tajemnica. Posiadł ją tam, w tym kotle idei i nowinek, pomimo spisków i wojen. A może dzięki nim. Chodziło o przecucie, któremu brakowało matematycznej ścisłości, przecucie, które wisiało w powietrzu tamtej epoki, we włoskim powietrzu, które tylko przybyły z północy cudzoziemiec mógł wdychać z taką zachłannością. Zdecydowanie szukać nam trzeba w



Italii...

Dla pisarza starającego się przeniknąć głęboki umysł Kopernika pozostają do wydobycia na światło dzienne jeszcze inne tajemnice, związane z opublikowaniem na trzy lata przed *Obrotami*... *Narratio prima* Retyka. Dlaczego Kopernik udzielił swemu uczniowi zgody na upowszechnienie swojej teorii, wystawiając się na niebezpieczeństwo, że zostanie mu ona wykradziona? Dlaczego jako miejsce druku pierwszego dzieła napisanego przez protestanta wybrali Gdańsk, miasto katolickiego kraju, podczas gdy *Obroty*... ukażą się w Norymberdze, sercu reformacji? Dlaczego w ostrzeżeniu do czytelnika ostatniego dzieła, tym dziwnym anonimowym wstępie oznajmiającym, że wszystko, co dalej następuje, jest jedynie hipotezą bez podstaw, że heliocentryzm jest w gruncie rzeczy jedynie poetyckim wieszczaniem i że tak należy go traktować? Dlaczego w końcu Kopernik pominął w podziękowaniach nazwisko Retyka, pomimo kluczowej roli, jaką ten przypisywał sobie w tej publikacji? Możliwe odpowiedzi proponuje niniejsza książka....

Żądny dodatkowych informacji Czytelnik może podążyć za mną w wyjaśnieniu wyboru Michaela Maestlina na narratora, snującego swą opowieść w serii listów kierowanych do swego dawnego ucznia, Jana Keplera.

Ta autentyczna postać profesora matematyki (1580-1635) odegrała istotną rolę w życiu Keplera. Był on jednym z pierwszych renomowanych astronomów, którzy przyjęli teorię Kopernika, mimo iż w swoich wykładach na uniwersytecie w Tybindze mówił wyłącznie o systemie Ptolemeusza. Zadowalał się udzielaniem wyjaśnień dotyczących systemu Kopernika najpilniejszym uczniom, wśród nich młodemu Janowi Keplerowi, którego uczynił gorącym zwolennikiem kopernikańskiej teorii.

To Maestlin wyjawiał Keplerowi, że „skandaliczny” wstęp do *Obrotów*... Kopernika tłumaczy, że chodzi wyłącznie o „hipotezy bynajmniej nie bardziej prawdopodobne od dawnych”, nie wyszedł spod pióra Kopernika. Także on przekonał Keplera do rezygnacji z zamiaru zostania duchownym i w 1594 roku uzyskał dla niego stanowisko profesora

matematyki w Graz. Wydrukował też Keplerowi w Tybindze, w 1596 roku, jego pierwsze dzieło, Tajemnica Kosmosu. Ich stosunki, w każdym razie epistolarne, pozostawały bardzo zażyłe przez cały okres ich życia. 15 marca 1598 roku, w liście do swego profesora i przyjaciela zawierającym interpretację horoskopu, Kepler przepowiada, że syn Maestlina, który niedługo miał przyjść na świat, dożyje wieku dorosłego. W liście z 2 maja 1598 Kepler, który właśnie stracił jedno ze swoich dzieci, dodaje: „Tak, jak tobie, urodził mi się syn. Spodobało się bogom, że twój poradził sobie z większym szczęściem. Miałem nadzieję na długie życie dla mojego syna”. A w liście z 11 czerwca 1598, dowiadując się, że Maestlinowi przypadło z kolei pożegnać się z własnym dzieckiem, współczuje cierpieniom swojego dawnego nauczyciela: „W tym, co dotyczy śmierci twego nowo narodzonego syna, łączę się z tobą w smutku i jestem w stanie zrozumieć twoje cierpienie, podobne w swej istocie do mojego”.

Podaję te szczegóły wyłącznie po to, by ukazać, że pomysł, że Maestlin podejmuje się przeogromnej pracy spisania biografii Kopernika jedynie po to, by zaspokoić ciekawość swojego ucznia i przyjaciela, nie jest pozbawiony sensu (nawet jeśli wiadomo, że nie miało to miejca). Tak więc punkt wyjścia powieści to rok 1595, kiedy profesor astronomii i matematyki Michael Maestlin (45 lat) postanawia opowiedzieć dawnemu uczniowi Janowi (34 lata) życie Kopernika i własnego nauczyciela astronomii Jerzego Joachima Retyka. Zamierzony swoisty dystans historyczny w narracji jest oczywisty. Pozwala to przede wszystkim zanurzyć się w myśli protestanckiej, wypowiadającej się w języku niemieckim (co tłumaczy przyjętą przez autora zgermanizowaną formę polskich nazw własnych). Następnie, nawet jeśli w tym czasie Kopernik nie znalazł się jeszcze na indeksie, na pewno jest w „czyścicu” tak, strony katolickiej, jak protestanckiej, które to frakcje toczyły ze sobą wojnę w całej Europie. To również w tym okresie naprawdę wdrażana jest spuścizna wszystkich odkryć poprzednich pokoleń (Montaigne w swoich Próbach z 1588 roku wymienia Kopernika). W 1595 roku, kiedy Kepler (albowiem Jan to właśnie on, czego Czytelnik szybko się domyśli!) zaczyna tworzyć swoje pierwsze dzieło, Tajemnicę Kosmosu, którego brudnopis podsuwa swojemu nauczycielowi. Maestlin otrzymuje historię Kopernika od własnego mistrza, Retyka, co pozwala na opowiedzenie w skrócie także jego losów po śmierci Kopernika. Narrator może również

ukazać, w jaki sposób system kopernikański był dopracowywany przez niektórych jego uczniów praktycznie w całej Europie. W końcu, zabieg ten zwróci uwagę na pierwszy tom serii Architektury nieba w jej całość: Kopernik przekazał symbolizowaną przez laskę Euklidesa pałeczkę Keplerowi przez Retyka, Maestlina i Tychona Brahego. Laska ta przypadnie w końcu w udziale Newtonowi, docierając do niego drogami, które pozostają mi jeszcze do wymyślenia...

Fikcyjny list wysłany przez Maestlina Keplerowi, w którym obwieszcza mu, iż spisze przeznaczoną dla niego biografię Kopernika, inspirowany jest w części najzupełniej autentycznym, choć późnym tekstem Maestlina; chodzi o projekt posłowania do wydania *Obrotów... Kopernika* z 1617 roku, posłowania nie zamieszczonego ostatecznie we wzmiarkowanym wydaniu, lecz figurującego w dodatku do traktatu, jaki Kepler opublikował w roku 1618, noszącego tytuł *Harmonices mundi*.

Odkrywamy w nim „prawdziwego” Maestlina: zwolennika kopernikańskiej teorii, o polemizującym i barwnym stylu, nie cofającego się przed wyśmianiem nieświadomych wiekopomnego znaczenia dzieła Kopernika kardynałów i postawieniem ich na równi z tymi, którzy niegdyś, mimo oczywistych dowodów, zaprzeczyli kulistości Ziemi. Oto wybrane fragmenty tego sugestywnego tekstu, stanowiącego kolejny argument potwierdzający słuszność wyboru Maestlina na narratora powieści:

W roku 1616, nakładem drukarni Kamery apostolskiej w Rzymie, ukazał się dekret podpisany ręką dostojnego kardynała Świętej Cecylii i zaopatrzony w jego pieczęć z datą 5 marca, którego tytuł brzmi: Dekret Świętej Kongregacji Dostojnych Kardynałów Świętego Kościoła Rzymskiego, upoważnionej przez Ojca Świętego, papieża Pawła V i przez Stolicę Apostolską do sporządzenia indeksu książek, wydawania zezwoleń, zakazów, poprawiania i drukowania w całej chrześcijańskiej Republice. Dekret do powszechnego obwieszczenia.

W dekreście tym czytamy między innymi: „Ponieważ doszło do uszu Świętej Kongregacji, że owa fałszywa pitagorejska doktryna, całkowicie niezgodna z Pismem

Świętym, w której Mikołaj Kopernik naucza o ruchomej Ziemi i nieruchomym Słońcu obecnie się rozpowszechnia, a przez wielu jest nawet przyjmowana [...], zatem, aby podobna opinia nie szerzyła się, prowadząc do zguby prawdę katolicką, Święta Kongregacja zdecydowała, że wyżej wymieniona książka: Kopernik, O obrotach, powinna zostać zawieszona aż do naniesienia stosownych poprawek”.

Cóż sądzisz, miły Czytelniku, o tym dekreście Dostojnych Kardynałów? Nie powstaje w tobie przekonanie, gdy czytasz ten wspaniały tytuł Kongregacji, że osadzono we wzmiankowanej komisji osoby najbardziej wykształcone i najmędrze nie tylko we wszelkich dziedzinach świętej teologii, prawoznawstwa itd., ale także we wszystkich gałęziach wiedzy, w taki sposób, by nie umknęło im nic ważnego w tym, co każdego dnia jest nauczane, pisane lub upowszechniane? Nie ulega wątpliwości, że ludzie, którzy twierdzą, że z pełną surowością decydują o druku książek, ich poprawieniu, potępieniu lub proskrypcji winni być takimi. Co za tym idzie, powiesz, że niektórzy członkowie tej Świętej Kongregacji powinni być dobrze wykształceni w dziedzinie nauk matematycznych, pośród których astronomia nie jest najpośledniejszą.

Lecz kiedy przyjrzesz się trochę uważniej sformułowaniom odnoszącym się w dekrecie do astronomii Kopernika, bez wątpienia poweźmiesz wraz ze mną podejrzenie, że ci kardynałowie nie przeczytali książki Kopernika, że nie widzieli jej na oczy, a wręcz nie wiedzieli o jej istnieniu, gdy Kopernik zaliczał się do grona żyjących i oddychał tym powietrzem.

[...] Księgi Kopernika O obrotach sfer niebieskich zostały wydane w Norymberdze w 1543 roku; poprzedziło je Narratio prima Retyka, zadedykowane w roku 1539 J. Schönerowi, upowszechnione przez A. P. Gassera w 1540 i w końcu wydrukowane w Bazylei w 1541 roku. Narratio zostało załączone do kolejnego wydania dzieł Kopernika w Bazylei. Nawet sława kopernikańskiej teorii dotarła do uszu innych uczonych na kilka lat przed pierwszym wydaniem dzieła astronoma. Fakt ten potwierdza kardynał Kapui Mikołaj Schönberg w liście adresowanym do Kopernika z 1536 roku. To ten sam Schönberg, który w porozumieniu z T. Giesem, biskupem Chełmna i przy pomocy sporej

liczby bardzo wpływowych i wielce uczonych osób, poprzez dopominanie się, a czasem wyrzuty, wydarł Kopernikowi zgodę na wydanie jego ksiąg, które zachowywał na „po czterokroć dziewiąty rok”. W końcu, zmożony ich ustawicznym naprzykrzaniem się, Kopernik nie tylko zgodził się na upublicznienie swego dzieła dokończonego dzięki Herkulesa godnej, żmudnej pracy, i pozwolił przyjaciółom na długo oczekiwane wydanie go, ale nawet skierował zastępujący dedykację wstęp do papieża Pawła III. Gdybyż dzieło to, zaprawdę przekraczające możność ludzkiego pojmowania, zostało poddane krytyce przez papieża Pawła III lub któregośkolwiek z jego następców aż do Pawła V lub skazane albo zabronione czy też zawieszane przez inkwizytorów - nie znalazłem jednak o tym wzmianki w żadnym spisie ksiąg zakazanych ani żadnym dziele. Prywatnie z pewnością dzieło Kopernika było przedmiotem ataków i ujadania ze strony wielu ludzi, i za pomocą niektórych nie odnoszących się do tematu argumentów zostało raczej wyśmiane aniżeli obalone. Lecz żaden z nich nie osiągnął zamierzonego celu dzięki właściwym, fundamentalnym racjom zaczerpniętym z samej astronomii albo matematyki. Niektórzy bez wątpienia uznają w Koperniku człowieka o niezrównanym umyśle i wyznają, iż winni przedstawiać go jako cud świata, gdyby nie obawa, że ci, którzy z uporem obstają przy dawnych opiniach filozoficznych, uznają to za obrazę, to znaczy gdyby nie lęk przed szykanami. Zadziwiające jest więc, że kardynałowie Świętej Kongregacji skazują niniejszym jedynie Kopernika, o którym jeszcze nigdy nie słyszeli i którego podstawy nigdy do tej pory nie zostały podważone.

[...]

Spotkał Kopernika ze strony owych kardynałów ten sam los, jakiego doświadczył w 743 roku Wergiliusz z Salzburga. Wergiliusz był bardzo biegły w sprawach Bożych i ludzkich. Zatem dzięki swej szczególnej erudycji i mądrości dostał się na dwory książąt, Pepina Krótkiego i Karola Wielkiego, gdzie w krótkim czasie zaczął być wielce mile widziany; od tej pory goszczony był jako najwyższy autorytet przez Odilona, króla małego państewka, Bawarii. Ów Wergiliusz, będąc wykształconym w dziedzinach matematyki i filozofii świeckiej, lepiej aniżeli wymagały tego zwyczaje chrześcijańskie, opierając się na pewności płynącej z posiadanej wiedzy przeczącej powszechnie

panującej opinii, a nawet poglądom Augustyna, Laktancjusza i innych Ojców Kościoła, pewnego dnia wygłosił pogląd, że Ziemia ma kształt globu, a na całej jego powierzchni rozsiani są ludzie. Wynikało z tego, że istnieją na Ziemi ludzie „antypodyczni”, to znaczy tacy, których nogi w stosunku do drugich zwrócone są w kierunku przeciwnym [...]. Opinie te wydały się sprzeczne z religią i Bożą filozofią Winfridowi (urodzony w Anglii, został ustanowiony przez papieża biskupem i legatem apostolskim w Germanii; przybrał imię „Bonifacy” i zasiadł z mianowania Karola Wielkiego oraz Pepina na stolicy arcybiskupiej w Moguncji). Jako że Bonifacy nie był w stanie spowodować, by Wergiliusz wycofał się ze swoich poglądów, przekazał sprawę samemu papieżowi, Zachariaszowi. Papieżowi także filozofia Wergiliusza zdaje się podejrzana: nakazuje więc, by filozof Wergiliusz, jeśli jest duchownym, został wydalony z Bożej świątyni, czyli Kościoła, i aby podczas soboru został pozbawiony godności kapłańskiej, jeżeli głosił tę przewrotną doktrynę.

Czy nie przemknęło ci przez myśl, drogi Czytelniku, że dostojnicy Stolicy Apostolskiej i arcybiskupstwa naszych czasów (możesz dorzucić do tego kardynałów) oraz wszyscy ci, których użyli na swoich radach, by decydować o przypadkach wątpliwych, zostali wzięci wprost z ulicy i przysposobieni do tak wysokich godności i stanowisk? Albowiem ludzie ci nie byli zdolni wywnioskować z podstaw astronomii i paru dowodów geograficznej natury, że jedna różnica długości między dniami w porze letniej i zimowej na przykład w Rzymie, we Włoszech, w Niemczech lub Anglii, ojczyźnie Bonifacego, wystarcza do ukazania, że powierzchnia Ziemi nie jest płaska i poparcia tego, co nieuchronnie z tej tezy wypływa. W konsekwencji mądra ignorancja mogła zmylić tych uczonych księży do tego stopnia, że rzeczy, które na długo wcześniej udowodnili filozofowie i których nauczano w normalnych szkołach, ogłosili obrazoburczymi, pogańskimi, sprzeciwiającymi się boskiej filozofii, dubami smalonymi i bełkotem szaleńca, zdolnym zbrukać i skazić prostą, czystą mądrość Chrystusa. Rzeczy niebędące już dzisiaj przedmiotem naukowych rozważań, lecz znane nawet ślepcom i golibrodom wskutek licznych doświadczeń tych, którzy żeglują od Europy ku Nowemu Światu, Ameryce i Peru. Tak czy inaczej, dzielny Wergiliusz został skazany za herezję. To samo przytrafia się dziś Kopernikowi i jego astronomii.

Po tym doskonale autentycznym, pełnym brawury tekście, skupmy się na moment na fikcji literackiej. Poza jakimiś dwoma czy trzema przypadkami, bohaterowie przemierzający karty powieści są „żywcem” wzięci z historii albo kronik. Pozwoliłem sobie jednak na wysnucie z wyobraźni paru nici, które, wplecione w różne momenty ich życia łączyły jednych z drugimi, gdyż przebywali w tych samych miejscach, spotykały ich podobne przygody, podążali za tą samą gwiazdą. Zwykle zgodności miejsc i dat wystarczają za pożywkę dla tego miłego ćwiczenia. Zatem spotkania Kopernika z Behaimem, Dürerem, Machiavellim czy Aleksandrem Farnese są fikcyjne, tak samo, jak jego związek z Giulią Farnese. Nie były wszakże niemożliwe, podobnie jak Leonardo da Vinci wpadający jak burza na uroczyste zebranie Akademii Lincei poświęcone pamięci Marsilia Ficina: wiemy, że w 1499 roku francuskie zwycięstwo nad księciem Mediolanu wyгнаło stamtąd Leonarda, który w aureoli sławy powrócił do Florencji, przejeżdżając przez różne włoskie miasta. Tak samo rzecz ma się z otruciem Łukasza Watzenrodego; prawdopodobnie nie umarł w ten sposób, jednak przypuszczenie to wpisuje się sprawnie w czystą logikę historyczną.

Hipoteza, iż słynna rycina Dürera, *Melancholia*, przedstawia młodego Kopernika, to również moje dzieło; wydaje mi się możliwa do obrony, przynajmniej na planie poetyckim i emocjonalnym. Temu ezoterycznemu dziełu poświęcono sporo analiz. Najbardziej interesujące zebrano w książce R. Klibanskiego, E. Panofskiego i F. Saxla pt. *Saturne et la mélancolie* (Gallimard, 1989).

Zamieszczenie precyzyjnej listy literackich zabiegów byłoby tyleż banalne, co nudne. Dzięki zamieszczonym w Dodatku krótkim notkom biograficznym (autentycznym, ma się rozumieć), wymagający Czytelnik będzie mógł skuteczniej oddzielić prawdę historyczną (to się naprawdę wydarzyło) i fikcję literacką (to się mogło wydarzyć).

## Czaszka Kopernika

Zdarza się, że nieoczekiwane wydarzenia przychodzą w sukurs żmudnej pracy wyobraźni. Zaledwie ukończyłem powieść, a otrzymana 4 listopada 2005 roku depecha z Associated Press w Warszawie oznajmiła mi odkrycie czaszki Kopernika!

Archeolodzy wiedzieli, że jego ciało spoczywa gdzieś pod posadzką fromborskiej katedry, jednak nigdy nie udało im się zlokalizować miejsca pochówku pomimo całych wieków poszukiwań i rozpytywania. Aż do dnia, w którym pewien naukowiec z Olsztyna, doktor Jerzy Sikorski, odnalazł wiarygodne informacje, że kanonicy z Fromborka byli składani przed ołtarzem, który był im przypisany za życia. Wiadomo było, że Kopernik zajmował się ołtarzem Krzyża Świętego. Nowe badania wkrótce się rozpoczęły, a skanowanie podziemia usytuowanego przed ołtarzem Krzyża Świętego (dzisiaj ołtarz św. Andrzeja) pozwoliło dokładnie zlokalizować miejsce spoczynku zmarłych. Archeolodzy skupili się na poszukiwaniu ciała mężczyzny mniej więcej siedemdziesięcioletniego, co pozwoliło nie naruszać niepotrzebnie pozostałych szczątków poza należącymi do polskiego astronoma.

Do celów identyfikacyjnych naukowcy zdecydowali się pobrać czaszkę, która została przekazana badaczom z głównego laboratorium kryminologicznego w Warszawie. Dzięki temu przy pomocy techniki komputerowej można było zrekonstruować twarz zmarłego w momencie śmierci. Otrzymany obraz został następnie porównany z portretami Kopernika wykonanymi za jego życia... Obie podobizny wykazywały tę samą asymetrię i lekkie skrzywienie łuku nosa. Ponadto na jednym z portretów na czole Kopernika widniała blizna; otóż ślad po zranieniu w tym samym miejscu odnaleziono na czaszce. Wydaje się więc, że szczątki rzeczywiście należą do słynnego astronoma!

Ta zrekonstruowana twarz krąży od tej pory w Internecie. Co widzimy? Dokładna wizualizacja twarzy mistrza u kresu jego życia, taka, jaką odkrywa Retyk (za pośrednictwem pisarskiej wyobraźni), gdy po raz pierwszy przybywa do Fromborka: człowiek wysokiego wzrostu, o szerokim i wysokim czole, z długim, garbatym nosem,



oczami osadzonymi głęboko pod gęstymi brwiami, obliczem pooranym zmarszczkami. Krótko mówiąc, pełna swoistego piękna, dziwna szpetota, przypominająca bardziej starego żołnierza niż człowieka Kościoła... Szczególna to pociecha post factum dla powieściopisarza-biografa i doskonale unaocznienie tego, jak intuicja pisarza może przybliżyć głęboką prawdę o człowieku.

Sprawa nie jest zamknięta... Aby usunąć resztę wątpliwości dotyczących identyfikacji czaszki, polscy badacze przeprowadzą test DNA. Kopernik był duchownym, nie miał więc potomstwa; posiadał jednak rodzinę: Łukasza Watzenrodego, wuja, biskupa warmińskiego, którego miejsce spoczynku znamy. Jego szczątki zostaną porównane z tymi odnalezionymi we fromborskiej katedrze!

Wiadomość ta wywołuje na mej twarzy uśmiech także dlatego, że gdyby polscy archeolodzy zapoznali się z biograficznym opracowaniem, jakie François Arago poświęcił Kopernikowi (patrz wyżej), nie straciliby tyle czasu na poszukiwanie ciała astronoma pod głównym ołtarzem. Oto wielce pouczający fragment tej pozycji... bez komentarza!

Cesarz Napoleon, przejeżdżając przez Toruń w 1807 roku, zapragnął osobiście zebrać wszystko, co przechowała tradycja, a co dotyczyło Mikołaja Kopernika. Dowiedział się, że dom wybitnego astronoma zajmowany był przez pewnego tkacza. Kazał się tam zaprowadzić. Domostwo to, bardzo skromnych rozmiarów, składało się z parteru oraz dwóch pięter. Wszystko zachowano w nim w stanie nienaruszonym. Portret wielkiego astronoma zawieszony był nad łóżkiem, którego baldachim z czarnymi, tkanymi zasłonami przetrwał od czasów Kopernika; jego stół, szafa, dwa krzesła, wszystkie meble uczonego były na swym miejscu.

Cesarz zapytał tkacza, czy zechce sprzedać mu portret tego wielkiego człowieka, który przewiózłby do muzeum Napoleona w Luwrze, jednak rzemieślnik odmówił, uważając ów portret za świętą, przynoszącą szczęście relikwię. Cesarz nie nalegał, szanował bowiem te wzruszające zabobony.

Opuszczając dom Kopernika, Napoleon udał się do kościoła św. Jana, chcąc zwiedzić grób autora dzieła o niebieskich obrotach. Nadwerżył go ząb czasu, cesarz zlecił więc konieczne prace i kazał przenieść go na bok od głównego ołtarza, ponieważ tam był widzialny z każdego punktu w kościele. Prace wykonano na koszt Napoleona”.

## DODATEK

### 1. Indeks osób

#### WSPÓLCZEŚNI KOPERNIKOWI

Achillini, Alessandro (1463-1512). Filozof, lekarz i anatom włoski, nauczał w Bolonii i Padwie.

Aleksander I Jagiellończyk (1461-1506). Syn Kazimierza Jagiellończyka, najpierw Wielki Książę Litewski, następnie król Polski w latach 1501-1506. Autor konstytucji ustanawiającej podstawy polskiego parlamentaryzmu. Jego następcą był brat, Zygmunt.

Apianus, Petrus (1495-1552). Naprawdę nazywał się Peter Bienewitz; nauczał matematyki i astronomii w Ingolstadt i cieszył się łaską Karola V, który nadał mu tytuł kawalera Cesarstwa Niemieckiego, ofiarowując przy tym 3000 złotych talarów. Apianus jest autorem wielokrotnie wznawianej *Cosmographia* (1524) oraz *Astronomicum ceasareum* (1540), jednego z najbardziej spektakularnych dzieł w historii astronomii.

Ariosto (Ludovico Ariosto, 1474-1533). Poeta włoski na dworze księżęcym w Ferrarze, osławiony autor *Orlanda szalonego*.

Bajazet II (1447-1512). Sułtan turecki. Nieustannie najeżdżał państwa sąsiadujące z Europą, zagarniając przede wszystkim Mołdawię, Chorwację i Karyntię, nie udało mu się wszakże podbić Węgier. Zwycięzca słynnej bitwy w Lepante z flotą wenecką (1499), ostatecznie zawarł pokój z Wenecją i Węgrami w 1503 r.

Bazyli III (1505-1553). Syn Iwana Wielkiego, kontynuował jednoczenie i centralizowanie terenów wokół Moskwy i jej wielkiego księstwa. Ojciec Iwana Groźnego, który jako pierwszy ogłosił się carem.

Behaim, Martin (1459?-1507). Kosmograf niemiecki, uczeń Regiomontanus, nawigator. Doradzał królowi Portugalii Janowi II w sprawie odkryć geograficznych i dopracował miedziane astrolabium, bardziej precyzyjne od dotychczasowych, wykonywanych z drewna. Po wyprawach wzdłuż afrykańskich wybrzeży skonstruował w Norymberdze, w 1492 r., słynny globus, na którym odtworzył najnowsze koncepcje geograficzne swojej epoki. Martin Behaim, odbywszy po raz drugi niektóre ze swych podróży, zmarł w Lizbonie.

Bellini, Gentile (1431-1507). Malarz włoski (brat Giovanniego), słynny z portretów weneckich dożów i Mahometa.

Borgia, Cesare (1475-1507). Książę renesansu, syn kardynała Rodrigo Borgii (przyszłego papieża Aleksandra VI) oraz brat Lukrecji, z którą jakoby miał dziecko. Mianowany księciem Walencji w 1498 r. przez francuskiego króla Ludwika XII, pragnącego uczynić z papieża swego sprzymierzeńca, Cesare Borgia w pewnej mierze służył Machiavellemu za wzór podczas redakcji Księcia.

Borgia, Lukrecja (1480-1519). Córka kardynała Rodrigo Borgii (przyszłego papieża Aleksandra VI), słynąca tak z urody, jak rozwiązości. Jej pierwsze małżeństwo z Giovannim Sforzą zostało unieważnione przez ojca Lukrecji, papieża. Drugie, z Alfonsem Aragońskim, kończy się zabójstwem tego ostatniego przez jej brata, Cesare. Trzeci mariaż z Alfonsem d'Este zawiedzie ją na dwór książąt Ferrary, gdzie będzie uchodziła za mecenaszkę sztuki, sławioną przez Ariosta.

Borgia, Rodrigo (1431-1503). Urodzony w Hiszpanii, zostaje papieżem, przyjmując imię Aleksandra VI. Jego panowanie na Stolicy Piotrowej zasłynęło z nepotyzmu, licznych skandali i przestępstw Savonaroli. Aleksander VI zmarł nagle 18 kwietnia 1503 r. po wieczornej uczcie, być może został otruty.

Brudzewski, Wojciech (1445-1495). Polski astronom, błyskotliwy wykładowca Akademii Krakowskiej, do grona jego uczniów zaliczał się Kopernik.

Camerarius, Joachim (1500-1574). Niemiecki humanista i teolog, uczeń Melanchtona i Erazma z Rotterdamu, zreformował uniwersytety w Tybindze i Lipsku. Napisał, że nie istnieje nic piękniejszego aniżeli prawa dłoni Dürera!

Cao, Diego. Portugalski XV-wieczny żeglarz, który odbył dwie podróże wzdłuż atlantyckich wybrzeży Afryki i odkrył w 1483 r. ujście rzeki Kongo.

Dantyszek, Jan Flachsfinder (1485-1548). Rodem z Gdańska (stąd jego łaciński przydomek), brał udział w wyprawach wojennych przeciwko Turkom i Mołdawii, przez trzydzieści lat pełnił funkcję sekretarza i dyplomaty przy polskim królu. Uznany neolaciński poeta, został biskupem chełmińskim, a potem, w 1538 r., warmińskim. Pełen podziwu dla naukowego dorobku Kopernika. Zmusił go do odesłania gospodyni i kochanki Anny Schilling.

Dias, Bartolomeo (1450-1500). Portugalski żeglarz związany z otoczeniem króla Jana II Doskonałego, który w 1487 r. otworzył drogę do Indii przez Przylądek Dobrej Nadziei.

Długosz, Jan (1415-1480). Kronikarz, w 12 tomach spisał historię Polski (poświęcił na to lata 1455-1480).

Dürer, Albrecht (1471-1528). Największy z niemieckich artystów, tworzył głównie w Norymberdze. Odbywał liczne podróże po Alzacji i Włoszech. Jego dorobek jest imponujący: obrazy, drzeworyty, miedzioryty, akwaforty, rysunki. Pozostający w bliskich stosunkach z Melanchtonem, był ulubionym artystą cesarza Maksymiliana. Jego akwaforta pt. Melancholia datowana jest na 1514 r.

Erazm z Rotterdamu (1469-1536). Niderlandzki filolog i teolog. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Gerard de Praët, przybrał jednak pseudonim Desiderius Erasmus (upragniony, bardzo kochany). Bywał we Francji, Anglii, Włoszech. Postrzegany jako największy humanista renesansu, Erazm przez całe życie bronił ewangelicznej koncepcji

religii katolickiej. Wielokrotnie krytykował postawę kleru i papieża, którego zachowanie wydawało mu się sprzeczne z Ewangelią. Mimo że jego myśl i krytyka bliskie były nauczaniu Lutra, nie chciał wywołać schizmy w łonie Kościoła, nigdy nie zaakceptował ani nie wspierał reformacji, pozostając wiernym swemu ideałowi pokoju i zgody. W roku śmierci Kopernika - 1543 - jego książki zostały publicznie spalone w Mediolanie razem z książkami Lutra. Był to koniec humanistycznej reformy Kościoła katolickiego.

Farnese, Aleksander (papież Paweł III) (1468-1549). Pochodzący z bogatego rodu i obdarzony licznymi talentami, szybko i pewnie wspinał się po szczeblach kościelnej kariery pomimo szaleństw burzliwej młodości. Należący do niego Pałac Farnese prześcigał wspaniałością wszystkie inne miejsca w Rzymie. Dwa razy był o krok od otrzymania papieskiej tiary, aż w końcu konklawe w 1534 r. ogłosiło go następcą Klemensa VII. Kopernik zadedykował mu *Obroty*. Jego pontyfikat, naznaczony soborem trydenckim (1545-1547) wspomniany jest w kościelnych rocznikach jako jeden z najbardziej owocnych.

Farnese, Giulia (1475-1524). Siostra Aleksandra. Wydana w wieku piętnastu lat za Orsiniego, w tym samym roku została kochanką sześćdziesięcioletniego Rodriga Borgii; ich związek trwał także po wyborze tego ostatniego na papieża w 1492 r., gdy przybrał on imię Aleksandra VI. Miała z nim przynajmniej dwoje dzieci. Olśniewająco piękna, sportretowana przez Rafaela, była przedmiotem westchnień wielu osobistości. Nie ma dowodów na jej związek z młodym Kopernikiem. Brak także zaprzeczeń...

Faust, Johann (ok. 1480-1540). Na poły legendarny lekarz, magik i astrolog. Jest bohaterem licznych utworów literackich i muzycznych.

Ferber, Maurycy (1471-1537). Od 1523 r. następca von Lussainena na warmińskiej stolicy biskupiej, gwałtownie przeciwstawiał się luteranizmowi.

Ferdynand Austriacki (1503-1564). Arcyksiążę Austrii, suweren Holandii, król Aragonii i Kastylii, król Sycylii. Gdy jego brat Karol V abdykował w 1556 r., Ferdynand

został jego następcą jako rzymski cesarz niemiecki.

Ficino, Marsilio (1433-1499). Włoski filozof i teolog, poświęcił całe życie dziełu Platona, które przełożył na łacinę. Protegowany Kosmy Medyceusza, kierował akademią Careggi ufundowaną przez tego władcę, gdzie miał za ucznia swojego przyszłego władcę Wawrzyńca Wspaniałego.

Fracastor, Girolamo (1478-1553). Włoski uczoney i lekarz. Profesor filozofii w Padwie, był także świetnym geografem, astronomem i matematykiem. Jego badania nad patogenami uprzedzają odkrycia Pasteura.

Gasser, Achilles Pirmin (1505-1577). Syn Achillesa Gassera, który przyjął do siebie Retyka po egzekucji wykonanej na jego ojcu. Achilles Pirmin ukończył studia medyczne w Awinionie, a następnie praktykował w Feldkirch i Augsburgu. Serdeczny przyjaciel Retyka, napisał wstęp do Narratio prima.

Giese, Tiedemann (1480-1550). Kanonik kapituły warmińskiej, biskup chełmiński, potem biskup Warmii, był najbliższym przyjacielem Kopernika; to on między innymi zachęcił go do opublikowania Obrotów. Kopernik zapisał mu swoje pisma oraz bibliotekę.

Glimski (daty nieznane). Ulubieniec króla Polski Aleksandra Jagiellończyka, nadworny intrygant. Przypisywane mu czyny są fikcyjne.

Hadrian VI (1459-1523). Adrian Boyers, niskiego pochodzenia, szczególnie wyróżniający się podczas kościelnych studiów, został wychowawcą Karola V. Zanim został wybrany papieżem (1522), pełnił funkcję inkwizytora (był to jedyny papież pochodzący z Holandii). To za jego pontyfikatu kraje skandynawskie zaczęły przechodzić na luteranizm.

Herkules I d'Este (1431-1505). Książę Ferrary i Modeny; ściągnął na uniwersytet w

Ferrarze licznych uczonych i artystów.

Hohenzollern, Albrecht von (1490-1568). Wielki mistrz Zakonu Krzyżackiego. Ze szwabskiej linii Hohenzollernów, przeszedł na protestantyzm i w 1525 r. przekształcił Prusy i Brandenburgię, własność zakonu, w dziedziczne księstwo. W 1544 r. utworzył uniwersytet w Królewcu, gdzie w 1549 r. mianował profesorem swojego przyjaciela Osiandera. Albrecht sfinansował także druk Tablic pruskich zebranych przez Erazma Reinholda na podstawie nowych odkryć astronomicznych.

Hohenzollern, Otton Achilles von. Postać fikcyjna.

Hutten, Ulrich von (1488-1523), Sickingen, Franz von (1481-1523). Popędliwi niemieccy rycerze, którzy zbuntowali się przeciw nadmiernym przywilejom książąt. Inspiratorzy „wojny chłopskiej”, zostali skazani na banicję.

Innocenty VIII, papież (1432-1492). Giovanni Battista Cibo, wyświęcony na papieża w 1484 r. Bezskutecznie próbując zorganizować krucjatę przeciwko Turkom, ostatecznie nawiązał kontakt z sułtanem Bajazetem II, który przekazał mu Świętą Włóczę. Upoważnił inkwizycję do przeciwdziałania czarownictwu i potępił tezy Pica della Mirandoli.

Izabela Kastylijska (1451-1504). Nazywana Izabelą Katolicką, królowa Kastylii, a następnie Hiszpanii u boku małżonka Ferdynanda V, króla Aragonii. Zapewniła Krzysztofowi Kolumbowi statki, które zniosły go do wybrzeży Ameryki.

Iserin, Georg (1480-1528). Lekarz z miasta Feldkirch, spalony na stosie za uprawianie magii. Ojciec Joachima Retyka.

Jan Olbracht (1459-1501). Zastąpił na tronie Polski swego ojca Kazimierza Jagiellończyka w 1497 r. Poprowadził przeciwko Turkom skazaną na niepowodzenie wyprawę wojenną na teren Mołdawii. Po jego śmierci na tronie zasiadł jego brat



Aleksander.

Jan II Portugalski (1458-1525). Król Portugalii od 1481 r. Odmówił pomocy Krzysztofowi Kolumbowi, finansował zaś eksplorację wybrzeży Afryki, pragnąc odkryć wschodnią drogę morską do Indii. Traktat w Tordesillas, podpisany w 1494 r., ustanowił podział mórz pomiędzy Portugalię (której przyznano część wschodnią) oraz Hiszpanię (która otrzymała zachodnią część mórz). Przydomek „Jan Doskonały” nawiązuje do Księcia Machiavellego, któremu monarcha częściowo służył za wzorzec.

Jan Medyceusz (1475-1521). Kardynał w wieku trzynastu lat, papieżem wybrany został w 1513 r. i przyjął imię Leona X. Wielki mecenas sztuki, zatrudniał m.in. Rafaela. W działalności politycznej na próżno sprzeciwiał się wyborowi Karola V na władcę Świętego Cesarstwa. W dziedzinie teologii najpierw próbował prowadzić z Lutrem rozmowy, a następnie, w 1521 r., ekskomunikował go.

Jan z Głogowa (1455-1507). Profesor astrologii i astronomii w Akademii Krakowskiej.

Juliusz II, papież (1443-1513). Giuliano della Rovere, został wybrany papieżem w 1503 r. Pragnął uczynić ze swego państwa potęgę, powołując do życia między innymi Świętą Ligę przeciwko Francji. To on utworzył Gwardię Szwajcarską, wmurował pierwszy kamień Bazyliki Świętego Piotra i wybrał Michała Anioła do ozdobienia dekoracjami Kaplicy Sykstyńskiej.

Kazimierz IV Jagiellończyk (1427-1492). Król Polski od 1447 r. Podpisał w 1466 r. pokój toruński, w którym Gdańsk i Prusy Wschodnie, własność rycerzy krzyżackich, zostają oddane pod zwierzchność Polski. W 1474 r. otworzył w Krakowie pierwszą drukarnię. W 1477 r. wybrany został królem Czech, a w 1490 r. - królem Węgier.

Klemens VII, papież (1478-1534). Juliusz Medyceusz, wybrany papieżem w 1523 r., starał się opierać dominacji Karola V we Włoszech, odpowiedzialny jest za wywołanie

sacco di Roma przez najemników niemieckich w 1527 r. Został uwięziony na kilka miesięcy w Zamku Świętego Anioła. Papież i cesarz ostatecznie doszli do porozumienia: Karol V został uroczystie koronowany przez Klemensa VII w Bolonii w 1530 r. W tym samym roku oddziały cesarskie zajęły Florencję, zaś Klemens VII osadził tam swoje nieślubne dziecko, Aleksandra, jako księcia Toskanii. Za jego pontyfikatu w 1533 r. król Anglii Henryk VIII, nie mogąc uzyskać rozwodu z Katarzyną Aragońską, zerwał z religią katolicką i założył Kościół anglikański.

Kolumb, Krzysztof (1451-1506). Włoski żeglarz, „odkrywca” obu Ameryk w 1492 r. Zmarł, zrujnowany, w Valladolid, przekonany, że odkrył zachodnią drogę do Indii.

Kopernik, Andrzej (ok. 1471-1512?). Starszy brat Mikołaja, wychowywany, jak on, przez Łukasza Watzenrodego. Po tym, jak próbował - bez sukcesu - swoich sił w handlu, został mianowany kanonikiem we Fromborku. Jego samobójstwo jest fikcyjne.

Kopernik, Barbara (ok. 1445-1475?). Z domu Watzenrode, siostra Łukasza (biskupa diecezji warmińskiej), w 1464 r. wychodzi za Nicolausa Kopernigka, kupca z Torunia i członka rady miasta, z którym ma dwóch synów (Andrzeja i Mikołaja) oraz dwie córki.

Kopernik, Mikołaj (?-1483). Ojciec Mikołaja, mieszkał w Krakowie, a następnie w Toruniu. Zręczny kupiec i polityk, posiadał wiejską rezydencję oraz winnice.

Kosma I Medyceusz (1519-1574). Pierwszy książę Toskanii, restytuował dynastię Medyceuszy, która będzie rządzić Florencją przez dwa następne wieki.

Leonardo da Vinci (1452-1519). Człowiek o wszechstronnym umyśle, artysta, naukowiec, wynalazca i filozof. Leonardo da Vinci ucieleśnia ducha renesansu i pozostaje jednym z największych ludzi tej epoki.

Lussainen, Fabian von (1470-1523). Kanonik kapituły warmińskiej, doradca biskupa Łukasza Watzenrodego. Został biskupem Warmii w 1512 r., skłaniał się ku tezom Lutra.

Luter, Marcin (1483-1546). Główny inspirator reformacji. Po ogłoszeniu jego dziewięćdziesięciu pięciu tez przeciwko odpustom, zwykła kłótnia teologiczna przeistoczyła się w wojnę, która zagroziła ogólnoeuropejską rewolucją. Luter odrzucił przykazania kościelne, celibat duchowieństwa, śluby zakonne, orędownictwo świętych, kościelną hierarchię i potępił teorię Kopernika. Poślubił młodą, urodziwą zakonnice, z którą miał sześcioro dzieci.

Machiavelli, Niccoló (1469-1527). Włoski myśliciel, dyplomata, teoretyk polityki i wojny. Rozwija swoją koncepcję polityki w Księżciu (1513), gdzie roztraca przed czytelnikiem wizję republikańskich, zjednoczonych Włoch.

Maksymilian I Habsburg (1459-1519). Syn cesarza Fryderyka III, wybrany królem Rzymian po śmierci ojca w 1493 r. Odnosi zwycięstwo nad Francją podczas wojen włoskich. W 1508 r., za zgodą papieża Juliusza II, ogłasza się cesarzem Świętego Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego. Jego następcą został syn Karol V.

Melanchton, Filip (1497-1560). Niemiecki reformator, uczeń Marcina Lutra. Jako humanista, nauczał teologii, greki, retoryki i nauk, gwałtownie atakował teorię Kopernika.

Michał Anioł (Michelangelo Buonarroti) (1475-1564). Malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt włoskiego renesansu. Ozdobił między innymi sufit Kaplicy Sykstyńskiej, jest autorem widniejącego nad ołtarzem Sądu Ostatecznego.

Novara, Domenico Maria di (1454-1504). Uczeń Regiomontanusa, zajmował się astrologią i nauczał astronomii na uniwersytecie w Bolonii. Obdarzony błyskotliwym i wyzwolonym umysłem, w latach 1496-1500 miał za ucznia, asystenta i współpracownika Mikołaja Kopernika. Był świadkiem pierwszej znaczącej obserwacji swego ucznia; obaj mieli świadomość, że dni ptolemejskiego, geocentrycznego modelu Wszechświata są policzone. Utrzymujący kontakt z florenckimi neoplatonczykami Novara zarzucał

systemowi Ptolemeusza nadmierne skomplikowanie wyjaśnień dotyczących przejrzystego porządku natury.

Novara, Giorgio di (?-1500). Włoski myśliciel, spalony w Bolonii za negację bóstwa Chrystusa.

Osiander, Andreas (1498-1552). Niemiecki teolog protestancki. W 1523 r. przekonał Albrechta Hohenzollerna, wielkiego mistrza krzyżackiego, do przejścia na luteranizm. W 1543 r. Osiander nadzorował publikację książki Kopernika O obrotach, do której dołączył anonimowy wstęp mający osłabić jej przekaz.

Paracelsus (1493-1541). Phillippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim, szwajcarski chemik i lekarz, kazał nazywać się Paracelsusem, ponieważ uważał, iż jego umiejętności górują nad wiedzą Celsusa. Pielgrzymujący po całej Europie, niezbyt ceniony z powodu kostycznej osobowości, radykalnych poglądów religijnych i reputacji sodomity, Paracelsus krytykował ogólnie przyjęte w medycynie zasady. Wierząc w magię i tłumacząc choroby wpływem gwiazd, uważał, że posiadał uniwersalne panaceum oraz sekret przedłużania życia. Wędrując od jednego miasta do drugiego, głosił swoje kontrowersyjne nauki i szarłatańskie praktyki. Zmarł w nędzy w Salzburgu.

Petreius, Johannes (1497-1550). Norymberski drukarz specjalizujący się w publikowaniu dzieł z dziedziny matematyki i astronomii. Przyjaciół Retyka, to spod jego prasy wyszło pierwsze wydanie Obrotów.

Peucer, Caspar (1525-1602). Uczony niemiecki, studiował matematykę, astronomię i medycynę na uniwersytecie w Wittenberdze, tam też został zięciem Melanchtona.

Pico della Mirandola, Giovanni (1463-1494). Włoski humanista słynący z uczoneści, którego talenty objawiły się i rozwinęły już w bardzo młodym wieku. Ten człowiek o wszechstronnej wiedzy potrafił skutecznie stawić czoło każdemu przeciwnikowi w

dyskusji na wszelkie możliwe tematy. Jak jego nauczyciel, Marsilio Ficino, zafascynowany był Platonem. Twierdzenia tego protegowanego Wawrzyńca Wspaniałego zostały uznane za splamione herezją, a tym samym potępione przez Innocentego VIII. Zmarł w wieku zaledwie trzydziestu jeden lat.

Pomponazzi, Pietro (1462-1525). Włoski lekarz i filozof, nauczał w Padwie, a następnie w Bolonii. Jego materialistyczne poglądy spowodowały, że został posądzony o herezję.

Radom. Postać fikcyjna.

Reich, Feliks (daty nieznane). Kanonik fromborski. Pod wpływem reformacji bronił wobec swoich konfratrów ideę sprawowania mszy w językach narodowych i protestował przeciwko bezecnym czynom papieża.

Reinhold, Erazm (1511-1553). Matematyk i astronom niemiecki. W 1536 r. został mianowany przez Melanchtona profesorem astronomii na uniwersytecie w Wittenberdze. Autor tablic zwanych pruskimi, ponieważ ich druk finansował Albrecht, książę Prus, jego protektor. Tablice te, sporządzone na podstawie obserwacji Kopernika, przyczyniły się do rozpowszechnienia teorii heliocentrycznej. To właśnie Reinhold, porównując obserwacje Ptolemeusza i Kopernika, określił długość roku na 365 dni, 5 godzin, 55 minut i 58 sekund. Uściślenie to zostało użyte przy gregoriańskiej reformie kalendarza.

Rheden, Dietrich von (?-1556). Duchowny niemiecki, przedstawiciel księcia Albrechta Hohenzollerna w Rzymie przy Klemensie VII. Został cesarskim arcybiskupem Lubeki.

Retyk, Joachim (1514-1574). Georg Joachim von Lauchen, zwany Rheticusem - Retykiem - szwajcarski astronom, matematyk, kartograf, lekarz. Po egzekucji ojca w Feldkirch studiował matematykę w Zurychu i Wittenberdze, gdzie, wspierany przez Melanchtona, wykładał przez dwa lata (1537-1539). Następnie udał się do Kopernika, do

Fromborka, pomagał wybitnemu astronomowi, którego był jedynym uczniem, w obliczeniach zawartych w *Obrotach*, namówił go do opublikowania dzieła, osobiście przeglądał pierwsze odbitki i odważnie rozpowszechniał nową teorię we własnej książce *Narratio prima* (1540). Zawarte w powieści informacje dotyczące jego życia, w tym homoseksualizmu, i nigdy nieopublikowanego *Życia Kopernika* są prawdziwe. Jego *Ephemeris ex fundamentis Copernici* (Lipsk, 1550) zawierają szczegółowy biograficzny dotyczący Kopernika.

Savonarola, Girolamo (1452-1498). Mnich i kaznodzieja włoski, spowiednik Wawrzyńca Medyceusza i Pica della Mirandoli, organizator „stosów pychy”, podczas których Florentczycy byli zapraszani do palenia nadmiernie zbytkownych dóbr. Prekursor reformacji, głosił kazania potępiające przepych, pogoń za zyskiem, zdeprawowanie moźnych Kościoła, szukanie czezej chwały. Ataki przypuszczane na papieża Aleksandra VI kosztowały go najpierw ekskomunikę, a następnie życie, gdy przekazany do Rzymu przez florencką burżuazję, został spalony na stosie na mocy wyroku inkwizycyjnego trybunału.

Schilling, Anna (ok. 1483-?). Gospodyni i towarzyska życia Mikołaja Kopernika. Jej pokrewieństwo z astronomem nie jest dowiedzione.

Schöner, Johann (1477-1547). Norymberski astrolog, astronom i kartograf, przyjaciel Retyka, któremu ten ostatni zadedykował *Narratio prima* z 1540 r. Schöner ułożył horoskop Kopernika, uściślając, że urodził się on 19 lutego 1473 r. o godzinie 16.48.

Schönberg, Nicolas (1472-1537). Duchowny niemiecki, kardynał Kapui. Ten zapalony zwolennik Mikołaja Kopernika przesłał mu w 1536 r. list z prośbą, by opublikował swoje dzieło.

Sforza, Bona (1494-1557). Córka księcia Mediolanu, małżonka króla Zygmunta I Starego, króla Polski.

Zygmunt I Stary (1467-1548). Syn Kazimierza IV Jagiellończyka, zasiada na tronie polskim po śmierci brata Aleksandra w 1506 r.

Sulejman Wspaniały (1495-1566). Dziewiąty sułtan dynastii osmańskiej. Wstąpił na tron w 1520 r. Pod jego berłem Imperium Osmańskie stało się światową potęgą.

Sculteti, Bernard (?-1518). Kanonik warmińskiej kapituły, przyjaciel Kopernika. Przedstawiciel kapituły w Rzymie w roku 1500, został kapelanem i szambelanem papieskim Jana Medyceusza (papieża Leona X). Członek komisji ds. reformy kalendarza podczas V Soboru Laterańskiego (1512-1517), zwrócił uwagę obradujących na prace Kopernika. Jego funkcja nauczyciela Kopernika jest fikcyjna.

Sculteti, Aleksander (1485-1564). Kanonik kapituły warmińskiej we Fromborku, przyjaciel Mikołaja Kopernika. Jego pokrewieństwo z Bernardem Scultetim nie jest ustalone.

Stoss, Veit (Wit Stwosz) (1450-1533). Niemiecki rzeźbiarz rodem z Norymbergi, wezwany do Krakowa w celu ukończenia głównego ołtarza kościoła Mariackiego i wykonania marmurowego sarkofagu Kazimierza Jagiellończyka.

Teschner, Filip (daty nieznane). Nieślubny syn biskupa Warmii Łukasza Watzenrodego, wychowywał się z Mikołajem i Andrzejem Kopernikami. Później, jako burmistrz Braniewa, z sukcesem walczył z Krzyżakami w 1521 r.

Vespucci, Amerigo (1451-1512). Żeglarz i geograf na służbie Hiszpanii i Portugalii. Idąc w ślady Krzysztofa Kolumba, odbył cztery wielkie wyprawy do Nowego Świata. W 1507 r. niemiecki geograf Martin Waldseemüller nada nazwę Ameryki krajom, których poznanie umożliwił Amerigo Vespucci, nawet o tym nie informując głównego zainteresowanego!

Vogelinus, Georg (daty nieznane). Filozof i lekarz, przyjaciel Achillea P. Gassera.

Napisał tekst sławiący Kopernika, który został umieszczony na początku Narratio prima Retyka.

Watzenrode, Łukasz (1447-1512). Wuj Mikołaja Kopernika, biskup warmiński od 1489 r., ważna osobistość w Polsce. Szczegóły biograficzne przytoczone w książce są w większości autentyczne za wyjątkiem śmierci przez otrucie (choć w kontekście historycznym hipoteza ta posiada znamiona wiarygodności).

Werner, Johann (1468-1522). Astronom, matematyk i geograf, uczeń Regiomontanus. Z poczynionych przez niego obserwacji korzystał Kopernik.

Zell, Heinrich (1518-1564). Niemiecki kartograf, autor między innymi opracowań topograficznych terenów Brandenburgii.

Zwingli, Ulrich (1484-1531). Szwajcarski teolog, jeden z trzech ojców reformacji, założył z Kalwinem Kościół reformowany.

## INNI PRZEDSTAWICIELE ŚWIATA NAUKI

Albategnius (850-929). Muhammad ben Geber al-Battani, arabski astronom i zarządca Syrii. Przyjął system ptolemejski, korygując go w wielu punktach. Jego prace zaprezentowane są w Tablicach sabejskich.

Alfraganus (al-Farghani). Astronom perski z IX w., autor streszczenia Almagestu, bardzo popularnego w średniowieczu.



Alhazen (965-1039). Irański astronom, lekarz, filozof i fizyk (Ibn al-Haytham), zyskał sławę dzięki odkryciom w dziedzinie optyki. Był jednym z „łączników” między średniowieczem a renesansem.

Al-Shatir, Ibn (1304-1375). Astronom z Damaszku, który próbował zastąpić ptolemejski ekwant dodatkowym epicyklem - jeden z tych, którzy zainspirowali Mikołaja Kopernika.

Alfons X, zwany Mądrym (1221-1284). Król Kastylii i Leonu, wielki erudyta, który w Toledo zaprosił do współpracy uczonych i tłumaczy żydowskich, chrześcijańskich i muzułmańskich, gdzie pracowali nad astronomią, układając między innymi Tablice alfonsyńskie.

Apollonios z Perge (ok. 262-200 p.n.e.). Matematyk i astronom związany ze szkołą Euklidesa, autor dzieła poświęconego przekrojom stożka.

Arystarch z Samos (ok. 310-230 p.n.e.). Praktykował w Aleksandrii w okresie pomiędzy Euklidesem i Archimedesem. Wynałazł metodę pozwalającą na obliczanie odległości względnej Ziemi od Słońca i Księżyca. Prekursor myśli Kopernika, bronił idei rotacyjnego ruchu Ziemi wokół własnej osi i dookoła Słońca; był oskarżony o herezję.

Arystoteles (384-322 p.n.e.). Uczeń Platona, podtrzymał model Akademii, zakładając w Atenach szkołę filozoficzną i naukową: Liceum. Jego wszechstronne dzieło znalazło szeroki oddźwięk nie tylko wśród intelektualistów, ale także protagonistów historii. Jego techniczne traktaty (Fizyka, O niebie, Meteorologia) wyznaczają początek greckiej nauki.

Awicenna (980-1037). Filozof, lekarz, wszechstronny uczyony, Ibn Sina był jednym z najpłodniejszych geniuszy swoich czasów.

Euklides (III w. p.n.e.). jeden z największych matematyków w historii. Jego dzieło

największe Elementy geometrii, obszerna synteza matematyki epoki klasycznej.

Galen, Klaudiusz (131-201). Lekarz urodzony w Pergamonie, zmarły w Rzymie. Jego dzieło, szczyt osiągnięć greckiej medycyny, królować będzie w tej dyscyplinie aż do połowy XVII w.

Hermes Trismegistus. „Po trzykroć wielki” (będąc wynalazcą astronomii, konstruktorem wieży Babel i ekspertem z dziedziny alchemii), autor legendarnego Szmaragdowego stołu, biblii hermetyzmu. Europa odkrywa go w XII w. dzięki Arabom. Przypisuje mu się teorię makrokosmosu i mikrokosmosu (poprzez analogię do Wszechświata i człowieka), która do końca XVI w. odnosiła znaczące sukcesy. Niektóre jego teksty (apokryfy) zostały przetłumaczone przez Marsilia Ficina.

Hipparch z Nikai (ok. 180-125 p.n.e.). Twórca astronomii pozycyjnej, opracował precyzyjne tablice ruchów Słońca i Księżyca, odkrył zjawisko precesji i zredagował pierwszy katalog gwiazd, klasyfikując je według wielkości sugerowanych jasnością. Stworzył także podwaliny trygonometrii i wynalazł projekcję stereograficzną na potrzeby kartografii. Jego prace znane są dzięki Ptolemeuszowi.

Kepler, Jan (1571-1630). Astronom i matematyk niemiecki. Uczeń Maestlina, asystent Tychona Brahego, a następnie cesarski matematyk w Pradze. Odkrył przede wszystkim prawo eliptycznego ruchu planet. O przykuwającej uwagę osobowości, niezwykle twórczy we wszystkich prawie dziedzinach, Kepler pozostaje jednym z największych przedstawicieli nauki w historii.

Kuzańczyk, Mikołaj (Mikołaj z Kuzy) (1401-1464). Uczony i teolog niemiecki, jeden z pierwszych wielkich myślicieli renesansu. W swoim traktacie O oświeconej niewiedzy starał się na nowo ożywić system pitagorejski, według którego Ziemia krąży wokół Słońca, oraz filozofię atomistyczną zakładającą nieskończoność przestrzeni i mnogość zamieszkałych światów.

Maestlin, Michael (1550-1631). Niemiecki astronom i matematyk. Studiował teologię i matematykę w Tybindze; udał się w podróż po Italii, gdzie wygłosił mowę, która skłoniła Galileusza do definitywnego odejścia od systemu ptolemejskiego. Po powrocie do kraju wykładał astronomię w Tybindze. Mimo że należał do zadeklarowanych zwolenników teorii Kopernika, głosił nieruchomość Ziemi „z powodu pełnionego oficjalnie stanowiska profesora”, jak sam pisze w *Epitome astronomiae* (1582). Maestlin był nauczycielem Keplera, i jest to być może jego największy powód do chwały. Wydaje się, że zdawał sobie z tego sprawę, mówiąc, że „przed Keplerem uczeni atakowali astronomię od tyłu”.

Otho, Valentin (1561-1613). Matematyk niemiecki. W 1575 r. przybył do Wittenbergi, proponując Retykowi pomoc w prowadzonych pracach. Rok później odziedziczył jego pisma, przede wszystkim niedokończony rękopis jego trygonometrii wraz z tablicami, który ukończył i opublikował w 1596 r. Po jego śmierci znaleziono wśród pozostawionych przez niego dokumentów oryginalny rękopis *Obrotów Kopernika*.

Peurbach, Georg von (1423-1461). Astronom i matematyk austriacki, profesor i przyjaciel Regiomontanusa. Autor Nowej teorii planet, w której próbował udoskonalić system ptolemejski, oraz - razem z Regiomontanusem - *Epitoma in Almagestum Ptolemei*, najlepsze streszczenie dzieła aleksandryjskiego uczonego.

Filolaos (ok. 400 p.n.e.). Najwybitniejszy uczeń Pitagorasa, pierwszy, który przelał na papier jego nauczanie. Przypisuje mu się również teorię, że Ziemia obraca się wokół osi przechodzącej przez jej środek oraz dookoła położonego w centrum ognia (nie jest nim Słońce).

Platon (427-347 p.n.e.). Grecki filozof, uczeń Sokratesa. Jego poglądy należą do najważniejszych w historii Zachodu. Astronomiczne teorie Platona, oparte na porządku geometrycznym, znajdują się rozproszone w *Timajosie*, *Rzeczypospolitej* oraz w *Epinomis*.

Ptolemeusz, Klaudiusz (ok. 85-165). Wszechstronny uczyony, urodzony i zmarły w Egipcie. Nie wiemy praktycznie nic o jego życiu poza tym, że w latach 127-141 prowadził obserwacje astronomiczne w Aleksandrii. Jego przebogate dzieło stanowi ukoronowanie starożytnej nauki. Autor dzieła *Megiste syntaksis*, znanego pod nazwą *Almagest*, będącego punktem odniesienia dla astronomii aż do czasów Kopernika i Keplera. Przedstawia w nim swój system świata, matematyczny model odzwierciedlający obserwacje astronomiczne. W Geografii opisuje metody projekcji i sporządza pierwsze dokładne mapy. Wśród jego dzieł znalazły się także traktat astrologiczny znany pod tytułem *Czworoksiąg* oraz *Harmonika poświęcona matematycznej teorii dźwięków*.

Pitagoras (ok. 580-490 p.n.e.). Matematyk, filozof i astronom antycznej Grecji, założyciel szkoły filozoficznej, religijnej i naukowej. Pitagoras sformułował teorię o liczbowej organizacji struktury Wszechświata. Nauczał, że Ziemia i Słońce są sferyczne, zaś ekliptyka ukośna, a także wyjaśniał istotę zaćmień.

Regiomontanus (1436-1476). W rzeczywistości Johannes Müller, najwybitniejszy astronom, matematyk i astrolog niemiecki XV w. Ulubieniec i przyjaciel Peurbacha, odkrył bliskie teorii heliocentrycznej pisma Mikołaja z Kuzy. Regiomontanus pozostał jednak zwolennikiem ptolemejskiego geocentryzmu. Po śmierci Peurbacha nauczał we Włoszech, kontynuował tłumaczenie *Almagestu* na łacinę i ukończył swe *Epitoma in Almagestum Ptolemei*, które wywarło znaczący wpływ na Mikołaja Kopernika. Skonstruował w Norymberdze pierwsze obserwatorium astronomiczne w Europie i opublikował w tym mieście wielką ilość tablic astronomicznych. W 1475 r. powrócił do Rzymu, by pracować z papieżem Sykstusem IV nad reformą kalendarza. Regiomontanus zmarł w tajemniczych okolicznościach 6 lipca 1476, prawdopodobnie zamordowany przez syna George'a de Trébizonde, którego przekłady skrytykował! Regiomontanus jest, razem z Peurbachem, jednym z odnowicieli astronomii: obaj uznawali i sygnalizowali niewiarygodność systemu Ptolemeusza.

Sacrobosco, Johannes (1195-1256). John de Hollywood, mnich-astronom i tłumacz pochodzenia angielskiego żył w Paryżu. Autor traktatu *O sferze*, mocno uproszczonego

streszczenia Ptolemeusza, które wznawiano ponad stukrotnie. Sacrobosco nie miał matematycznego wykształcenia potrzebnego do zrozumienia podstawowych zasad dzieła, o którym pisał.

Seneka (ok. 4 p.n.e.-65 n.e.). Filozof łaciński. Uformowany w szkole stoickiej, głosił pochwałę ascezy i rezygnacji z dóbr doczesnych. Autor konsolacji, traktatów moralnych i Problemów przyrody, gdzie zamieszcza poglądy astronomiczne inspirowane bez wątpienia genialnym umysłem. Nauczyciel Nerona, z rozkazu tego ostatniego popełnił samobójstwo, otwierając sobie żyły.

Symokatta, Teofilakt (VII w.). Historyk grecki znany ze swego upodobania do retoryki, zmanierowanego stylu i dość przeciętnej intuicji historycznej. Niemniej Mikołaj Kopernik przetłumaczył na łacinę jego listy!

Timajos z Lokroj (V w. p.n.e.). Pitagorejski filozof, autor Traktatu o duszy świata i o przyrodzie. Uważa się, że był inspiracją Platona podczas redakcji Timajosa.

## 2. Koncepcje świata od starożytności do Kopernika

Począwszy od VI w. p.n.e., filozofowie przyrody, astronomowie i fizycy budowali „systemy świata”, pragnąc opisać ruchy niebieskie i ogólną strukturę Wszechświata. W zasadzie poza atomistami, postulującymi nieograniczoną przestrzeń wypełnioną nieskończoną liczbą światów (co uniemożliwia graficzne jego wyobrażenie), pozostałe systemy świata - skoncentrowane na Ziemi (geocentryczne) czy na Słońcu (heliocentryczne) - zakładają Wszechświat skończony, zamknięty ostatnią sferą „gwiazd stałych” (przejście od zamkniętego świata do nieskończonej przestrzeni będzie stanowić zrab rewolucji postkopernikańskiej).

Poszczególne koncepcje różnią się między sobą porządkiem orbit. Poniższe diagramy ukazują główne systemy świata od starożytności do Kopernika. Zostały zaczerpnięte z napisanego przez Anglika Edwarda Sherburna dzieła zatytułowanego *Of the Cosmical System* (Londyn, 1675). Ciała niebieskie przedstawiono za pomocą następujących symboli:

Ziemia

Księżyc

Słońce

Merkury

Wenus

Mars

Jowisz

Saturn

Sfera gwiazd stałych

System arystotelesowski

Ziemia - Księżyc - Merkury - Wenus - Słońce - Mars - Jowisz - Saturn - Gwiazdy stałe - Pierwsza Przyczyna

System przyjęty przez Archimedesza, Cyserona, Ptolemeusza, Alfonsa X, Peurbacha.

System platoński

Ziemia - Księżyc - Słońce - Merkury - Wenus - Mars - Jowisz - Saturn - Gwiazdy stałe

System przyjęty przez Apulejusza, Porfiriusza (który odwrócił pozycje Merkurego i Wenus), Marsilia Ficina.

System egipski

Ziemia - Księżyc - Słońce (Merkury i Wenus krążące wokół niego)

- Mars - Jowisz - Saturn - Gwiazdy stałe

System przyjęty przez Witruwiusza, Marcjanusa Kapellę, Makrobiusza, Bedę  
Czcigodnego

System kopernikański

Słońce - Merkury - Wenus - Ziemia (Księżyc krąży wokół niej) - Mars - Jowisz -  
Saturn - Gwiazdy stałe

System przyjęty przez Filolaosa, Arystarcha z Samos, Mikołaja z Kuzy, Kopernika

### 3. Niemieckie odpowiedniki pruskich i warmińskich miast

Königsberg (Królewiec)

Danzig (Gdańsk)

Thorn (Toruń)

Heilsberg (Lidzbark Warmiński)

Braunsberg (Braniewo)



Elbing (Elbląg)

Allenstein (Olsztyn)

Mehlsack (Pieniężno)

Marienburg (Malbork)

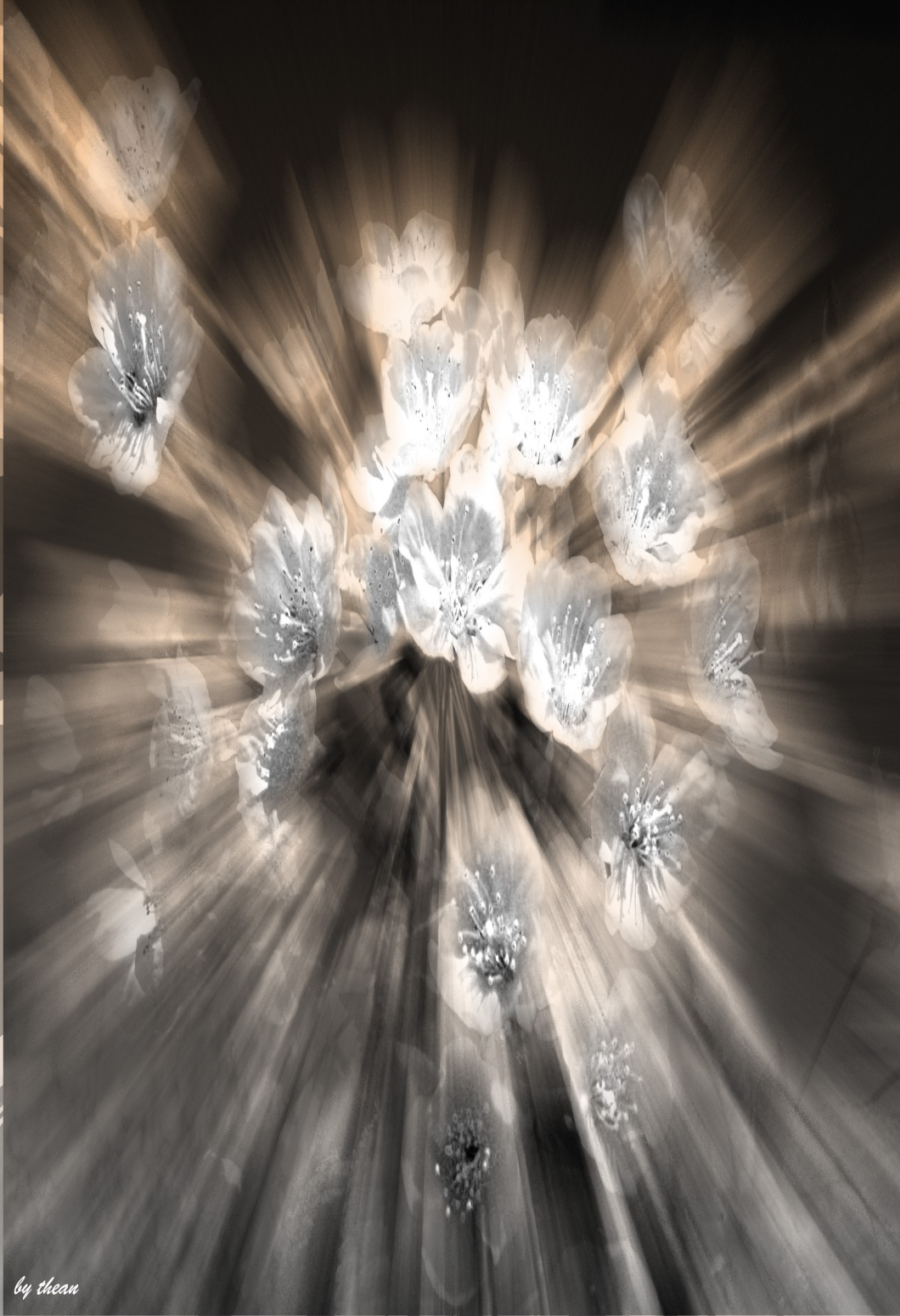
Kulm (Chełmno)

Loebau (Lubawa)

Frauenburg (Frombork)

## Podziękowania

Wyrazy wdzięczności składam Olivierowi Ikorowi, który przekazał mi wiedzę o Historii i historiach.



by thean

